JEAN-CHRISTOPHE GRANGÉ

PURPUROWE RZEKI

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

JEAN-CHRISTOPHE GRANGÉ

PURPUROWE RZEKI

Z języka francuskiego przełożyła
Wiktoria Melech

WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału: *Les rivières pourpres*

© Editions Albin Michel – Paris 1998

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2019 for the Polish translation by Wiktoria Melech (under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Okładka:
© 2018 STORIA TELEVISION – MAZE PICTURES – ZDF –UMEDIA
Copyright for pictures of photographer Aurélie Elich
© 2018 Aurélie Elich – STORIA TELEVISION – MAZE PICTURES
Copyright for pictures of photographer Jo Voets
© 2018 Jo Voets – STORIA TELEVISION – MAZE PICTURES
Artwork created by © 2018 Marcel Weisheit
Licensed by ZDF Enterprises GmbH
Adaptacja okładki: Monika Drobnik-Słocińska

Redakcja: Hanna Machlejd-Mościcka
Korekta: Aneta Iwan, Edyta Malinowska-Klimiuk

ISBN: 978-83-8110-943-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2019

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Część I
- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6

Część II
- 7
- 8
- 9
- 10

Część III
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16

Część IV
- 17
- 18
- 19
- 20

21
Część V
22
23
24
25
26
27
28
29
Część VI
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
Część VIII
41
42
43
44
45
46
Część IX
47
48

49
50
Część X
51
52
53
Część XI
54
55
56
Część XII
57
58
59
60

Dla Virginie

Część I

1

– Ga-na-mos! Wygraliśmy!

Pierre Niémans, z nadajnikiem VHF w dłoni, obserwował z góry tłum opuszczający Parc des Princes. Tysiące rozgorączkowanych głów, białych kapeluszy, jaskrawych szalików, tworzących różnobarwny i podekscytowany strumień ludzi. Eksplozja konfetti. A raczej może legion oszalałych demonów. I trzy sylaby, ciągle te same, skandowane wolno i dobitnie: „Ga-na-mos!”.

Komisarz, stojąc na dachu przedszkola, które znajdowało się naprzeciw parku, kierował ruchami CRS, trzeciej i czwartej brygady republikańskiej służby bezpieczeństwa. Mężczyźni w granatowych mundurach, w czarnych kaskach, z dającymi im osłonę tarczami z poliwęglanu. Klasyczna metoda. Dwustu ludzi po obu stronach każdego wyjścia, grupa komandosów tworząca taki „parawan”, żeby kibice obu drużyn nie przeszli obok siebie, nie zbliżyli się ani nawet siebie nie widzieli…

Tego wieczoru, z okazji meczu Saragossa–Arsenal, jedynego w tym roku, kiedy walczyły ze sobą w Paryżu drużyny niefrancuskie, zmobilizowano ponad tysiąc czterystu policjantów i żandarmów. Kontrola tożsamości, rewizja osobista, żeby tylko zapanować nad czterdziestoma tysiącami kibiców, przybyłych z obu krajów. Główny komisarz policji, Pierre Niémans, był jednym z odpowiedzialnych za tę akcję. Lubił tego rodzaju czynności, które nie należały do jego zwykłych obowiązków. Żadnego śledztwa, żadnego postępowania sądowego. Jak na wojnie.

Kibice dotarli do pierwszego poziomu – można ich było dostrzec poprzez betonową kratownicę stadionu, powyżej wejść H i G. Niémans spojrzał na zegarek. Za cztery minuty znajdą się na zewnątrz, zaczną wylewać się na ulicę. Jeżeli przerwą kordony policyjne, dojdzie do zamieszek. Niémans odetchnął głęboko. W powietrzu tego październikowego wieczoru wyczuwało się napięcie.

Minęły dwie minuty. Niémans odruchowo odwrócił się i zobaczył w głębi plac Porte de Saint-Cloud. Całkowicie opustoszały. Pośrodku,

niczym totemiczne symbole niepokoju, wznosiły się trzy fontanny. Wzdłuż alei stały ciasno obok siebie samochody CRS. Przed nimi ludzie z kaskami przyczepionymi do pasów, z pałkami obijającymi się o uda, machali dla rozgrzewki rękami. Brygady rezerwowe.

Zgiełk wzmagał się. Tłum posuwał się między płotkami z ostro zakończonych palików. Niémans uśmiechnął się mimo woli. Tego właśnie było mu potrzeba. Tłum zakołysał się. Ponad ogólny harmider przebiły się dźwięki trąbek. Pomruk wprawiał w drżenie wszystkie fragmenty żelbetowej konstrukcji. „Ga-na-mos! Ga-na-mos!”. Niémans nacisnął klawisz nadajnika i powiedział do Joachima, dowódcy kompanii: „Tu Niémans. Wychodzą. Skierujcie ich ku samochodom, na bulwar Murata, w stronę parkingów, do wyjść z metra”.

Ze swojego wysokiego stanowiska ocenił sytuację: ryzyko z tej strony było minimalne. Tego wieczoru kibice hiszpańscy byli zwycięzcami i dlatego zachowywali się mniej agresywnie. Anglicy opuszczali stadion z przeciwnej strony, wyjściami A i K, przy trybunie Boulogne – trybunie dzikich zwierząt. Niémans zamierzał rzucić tam okiem, czy operacja przebiega bez zakłóceń.

Nagle, w świetle latarni, ponad tłumem przeleciała butelka.

Komisarz ujrzał wznoszącą się pałkę, cofające się ściśnięte szeregi, upadających na ziemię ludzi. Wrzasnął przez nadajnik: „Joachim, skurwysynu! Powstrzymaj swoich ludzi!”. Rzucił się do schodów służbowych i zbiegł w pośpiechu osiem pięter w dół. Gdy wypadł na ulicę, nadbiegli już w dwu szeregach policjanci z CRS, gotowi siłą powstrzymać chuliganów. Niémans zagrodził drogę policjantom, zaczął machać rękoma. Wzniesione do góry pałki były zaledwie kilka metrów od jego twarzy, gdy z prawej strony wyskoczył Joachim, w kasku na głowie. Podniósł przyłbicę i rzucił mu wściekłe spojrzenie:

– Mój Boże, Niémans, czy pan oszalał? Po cywilnemu, naraża się pan na…

Komisarz zignorował jego uwagę.

– Co ma znaczyć ten bajzel? Niech pan powstrzyma ludzi, Joachim! Bo inaczej za trzy minuty będziemy tu mieli rozruchy.

Korpulentny, czerwony na twarzy kapitan ciężko dyszał. Jego maleńki wąsik, według mody z ubiegłego wieku, podrygiwał za każdym urywanym oddechem. W nadajniku VHF rozległ się głos: „Wezwanie do wszystkich

jednostek… Wezwanie do wszystkich jednostek… Skrzyżowanie na Boulogne… Ulica Commandant-Guilbaud… Ja… Mamy problem!”. Niémans spojrzał na Joachima tak, jakby to on był odpowiedzialny za cały ten chaos. Nacisnął guzik nadajnika: „Tu Niémans. Idziemy do was”. Potem tonem rozkazującym polecił kapitanowi:

– Biegnę tam. Przyślijcie jak najwięcej ludzi. I opanujcie sytuację tutaj.

Nie czekając na odpowiedź, komisarz pobiegł odszukać stażystę, który był jego kierowcą. Przemierzył plac długimi krokami, widząc, jak kelnerzy z piwiarni des Princes w popłochu opuszczają żaluzje. W powietrzu panowała atmosfera strachu.

Odnalazł w końcu ciemnowłosego chłopaka w skórzanej kurtce, przytupującego dla rozgrzewki obok czarnego samochodu. Uderzając w maskę wozu, krzyknął:

– Szybko! Skręt na Boulogne!

Wskoczyli do samochodu jednocześnie. Opony zadymiły, gdy gwałtownie ruszyli. Stażysta chciał skręcić w lewo od stadionu, żeby jak najszybciej dojechać do wejścia K ulicą obstawioną przez policję, ale Niémans, w przebłysku intuicji, wysapał:

– Nie, objedź dokoła. Rozjuszony tłum zagrodzi nam tu przejazd.

Samochód zawrócił gwałtownie, rozpryskując kałuże wokół armatek wodnych, gotujących się już do akcji. Przejechał pędem aleję Parc des Princes, między szarymi wozami służb porządkowych. Ludzie w kaskach, biegnący w tym samym kierunku, uskakiwali na bok, nie patrząc na nich. Niémans wystawił na dach koguta. Stażysta skręcił w lewo przy liceum Claude’a Bernarda i objechawszy rondo, pojechał wzdłuż muru stadionu. Za chwilę mieli minąć trybunę Auteuil.

Kiedy Niémans zobaczył pierwsze kłęby dymu unoszące się w powietrzu, wiedział, że miał rację: zamieszanie objęło już plac de l’Europe.

Samochód przeciął białawą mgłę, roztrącając przy tym pierwsze ofiary, które uciekały co sił w nogach. Bitwa rozgorzała tuż przed trybuną prezydencką. Mężczyźni w krawatach, kobiety w odświętnych strojach biegli, potykając się, z twarzami zalanymi łzami. Część usiłowała przedostać się do bocznych ulic, inni, przeciwnie, wbiegali na powrót po schodach, do wejść na stadion.

Niémans wyskoczył z wozu. Na placu wrzała bezładna bójka. W tłumie kibiców z trudem można było rozróżnić jaskrawe stroje zwolenników drużyny angielskiej i ciemne sylwetki policjantów CRS. Niektórzy z tych ostatnich czołgali się po ziemi – niczym broczące krwią ślimaki – podczas gdy inni, stojący dalej, obawiali się użyć karabinów z gumowymi pociskami, żeby nie postrzelić rannych kolegów.

Komisarz zdjął okulary i osłonił twarz szalem. Podszedł do najbliższego policjanta i wyrwał mu pałkę, wymachując jednocześnie swą trójkolorową legitymacją. Para osiadająca na wizjerze kasku przesłoniła osłupiałą minę chłopaka.

Pierre Niémans pobiegł w kierunku bijących się. Kibice Arsenalu walili pięściami, drągami, podkutymi obcasami, a policjanci z CRS cofali się, osłaniając leżących już na ziemi kolegów. Kłębiące się ciała, zmiażdżone twarze, rozbite o asfalt szczęki. Trzask pałek, wyginających się od silnych uderzeń.

Komisarz zanurzył się w ciżbę.

Grzmocił pięścią, walił pałką. Dorwawszy jakiegoś potężnego typa, zaczął go okładać bez opamiętania. Po żebrach, w podbrzusze, po twarzy. Niespodziewanie typ zerwał się z rykiem na nogi, unikając kolejnego kopnięcia. Dźgnął swoim drągiem w gardło napastnika. Wtedy krew uderzyła Niémansowi do głowy, w ustach poczuł metaliczny smak. Przestał myśleć logicznie, stracił panowanie nad sobą. Dla niego była to prawdziwa wojna.

Nagle ujrzał dziwną scenę. Sto metrów od niego jakiś mężczyzna, ubrany po cywilnemu, już dość poturbowany, szarpał się z dwoma przytrzymującymi go chuliganami. Niémans dojrzał smugi krwi na jego twarzy i to, z jaką nienawiścią okładali go tamci dwaj. Sekundę potem zrozumiał wszystko: ranny i ci, którzy go zaatakowali, mieli na bluzach symbole rywalizujących ze sobą klubów.

Dla nich to zwykłe porachunki.

Tymczasem ofiara zdołała wymknąć się swoim napastnikom i pobiegła w boczną ulicę Nungesser et Coli. Napastnicy rzucili się w pogoń za uciekającym. Niémans odrzucił pałkę i ruszył w ślad za nimi.

Zaczął się pościg.

Niémans, oddychając miarowo, biegł cichą uliczką, zmniejszając dystans do prześladowców, którzy byli już blisko swojej ofiary.

Skręcili na prawo i wkrótce dotarli do pływalni Molitor, otoczonej dokoła murem. Tutaj bandziory dopadły swoją ofiarę. Kiedy Niémans dobiegł do placu Porte Molitor, na końcu peryferyjnego bulwaru, nie mógł uwierzyć własnym oczom: jeden z napastników wyciągnął maczetę.

W niebieskawym świetle ulicy komisarz dostrzegł, jak ostrze maczety tnie człowieka, który upadł na kolana, podrygując przy każdym ciosie. Napastnicy podnieśli ciało i przerzucili je ponad balustradą.

– Stać! – krzyknął komisarz, wyciągając jednocześnie rewolwer. Oparł się o jakiś samochód i trzymając oburącz kolbę, wycelował na wstrzymanym oddechu. Pierwszy strzał. Pudło. Bandzior z maczetą odwrócił się zaskoczony. Drugi strzał. Znowu pudło.

Niémans pobiegł, z bronią w dłoni przy udzie, gotów do walki. Był wściekły: bez okularów dwa razy nie trafił do celu. Wbiegł na most. Bandzior z maczetą schował się w krzaki rosnące wzdłuż bulwaru. Jego kumpel stał nieruchomo, oszołomiony. Komisarz przyłożył mu lufę do gardła, a potem pociągnął za włosy aż do słupa ze znakiem drogowym. Przykuł go jedną ręką. Dopiero wtedy spojrzał na jezdnię.

Ciało ofiary spadło na asfalt, gdzie kilka samochodów przejechało po nim, a potem zderzając się, spowodowały ogromny korek. Stłoczone rozbite auta, pogięte blachy… ponad tym wszystkim unosił się przeraźliwy dźwięk klaksonów. W świetle reflektorów Niémans zauważył, że jeden z kierowców zatoczył się przy swym wozie, zasłaniając rękami twarz.

Komisarz zwrócił wzrok w głąb bulwaru. Dostrzegł zabójcę, z kolorową opaską na ramieniu, który znikał w krzakach. Niémans ruszył jego śladem, chowając do kabury broń.

Bandzior, uciekając między drzewami, co pewien czas spoglądał w jego kierunku. Pierre Niémans nie chował się: ten człowiek powinien wiedzieć, że główny komisarz policji zamierza dobrać mu się do skóry. Niespodzianie morderca przeskoczył skarpę i zniknął. Odgłos kroków na żwirowanej alejce pozwolił Niémansowi ustalić kierunek jego ucieczki: park Auteuil.

Pobiegł za nim. Nocne światło odbijało się w szarych kamykach żwirowej alejki parkowej. Okrążając szklarnie, ujrzał sylwetkę wdrapującą się po murze. Rzucił się za nim i stwierdził, że znajdują się na terenie kortów Rolanda Garrosa.

Furtki pomiędzy nimi nie były zamknięte i zabójca bez trudu przebiegał z jednego kortu na drugi. Niémans otworzył furtkę i znalazł się na korcie.

Przeskoczył przez siatkę. Pięćdziesiąt metrów dalej uciekinier zwolnił, najwyraźniej tracił siły. Pokonał jeszcze jedną siatkę i wbiegł na schody między ławkami. Niémans zaczął się wspinać w ślad za nim, lekko, zwinnie, był tylko trochę zadyszany. Będąc zaledwie kilka metrów od uciekającego, zobaczył cień skaczący w próżnię ze szczytu trybun.

Uciekinier właśnie przedostał się na dach jakiegoś domu i natychmiast zniknął po drugiej stronie. Komisarz cofnął się dla nabrania rozpędu i skoczył za nim. Wylądował na tarasie wysypanym żwirem. Pod nim były trawniki, drzewa. Wokół cisza i spokój.

Ani śladu mordercy.

Stoczył się na wilgotną trawę. Istniały tylko dwie możliwości: budynek główny, z którego dachu właśnie zeskoczył, lub spora drewniana budowla w głębi ogrodu. Wyciągnął swój MR 73 i oparł się o drzwi, które otworzyły się pod jego ciężarem.

Komisarz zrobił kilka kroków i zatrzymał się zaskoczony. Znalazł się w holu wyłożonym marmurem, z kamienną półokrągłą płytą, na której wyryte były słowa w nieznanym mu alfabecie. W ciemności widniała pozłacana balustrada schodów prowadzących na wyższe piętra. Z cienia wyłaniały się welurowe obicia, cesarska czerwień, połyskujące wazy… Niémans domyślił się, że wtargnął do ambasady któregoś z krajów azjatyckich.

Nagle rozległ się jakiś hałas na zewnątrz. Morderca był w innym budynku. Komisarz przeciął park, depcząc trawniki, i dotarł do budynku z drewnianym dachem. I tym razem drzwi otworzyły się bez trudu. Niczym cień wśliznął się do mrocznego wnętrza. Była to stajnia, podzielona na boksy z ażurowymi ściankami, gdzie stały małe koniki z krótko przystrzyżonymi grzywami.

Koniki drżały. Migotała słoma. Pierre Niémans ruszył do przodu z bronią w ręku. Minął jeden boks, drugi, trzeci… Jakiś głuchy dźwięk z prawej strony. Odwrócił się. To tylko stuk kopyta. Krzyk. Znowu obrót. Za późno. Błysk ostrza. Niémans uskoczył w ostatnim momencie. Maczeta musnęła go po ramieniu i wbiła się w zad konia. Koń gwałtownie wierzgnął i żelazna podkowa rąbnęła bandytę w twarz. Komisarz wykorzystał tę chwilę, rzucił się na mordercę i zaczął okładać go kolbą rewolweru.

Bił go i bił… gdy wreszcie przerwał, spojrzał na krwawiącą twarz swojej ofiary. Z poranionych policzków sterczały kości. Gałka oczna zwisała na

kilku włóknach. Morderca nie ruszał się, na głowie wciąż miał kapelusz w barwach Arsenalu. Niémans ponownie chwycił rewolwer i trzymając oburącz zakrwawioną kolbę, włożył mu lufę do ust. Odciągnął kurek i zamknął oczy. Już miał strzelić, gdy rozległ się przenikliwy dzwonek.

To odezwał się w jego kieszeni telefon komórkowy.

2

Trzy godziny później, w nowej dzielnicy Nanterre-Préfecture, w budynku Komendy Głównej Policji ostre światło padało na biurko Antoine’a Rheimsa siedzącego w cieniu. Naprzeciw niego, również poza kręgiem światła, widoczna była wysoka sylwetka Pierre’a Niémansa, który właśnie przedstawił zwięzły raport na temat pościgu w Boulogne.

– Co z tym człowiekiem? – zapytał sceptycznym tonem Rheims.

– Z Anglikiem? Jest w stanie śpiączki. Ma liczne złamania na twarzy. Zadzwoniłem do szpitala Hôtel-Dieu: zamierzają zrobić mu przeszczep skóry.

– A ofiara?

– Rozjechany przez samochody na przedmieściu Porte Molitor.

– Mój Boże! Co się tam właściwie stało?

– Porachunki między angielskimi chuliganami. Wśród kibiców Arsenalu byli kibice Chelsea. Korzystając z zamętu, pobili się między sobą. Jeden z nich użył maczety.

Rheims pokiwał głową z niedowierzaniem. Po chwili ciszy zapytał ponownie:

– A ten twój? Jesteś pewien, że to uderzenie kopytem doprowadziło go do tego stanu?

Niémans nie odpowiedział i odwrócił się do okna. W białym blasku księżyca po fasadach sąsiednich budynków przesuwały się fantazyjne cienie, ponad ciemnozielonymi wzgórzami parku Nanterre przepływały obłoki.

– Nie rozumiem cię, Pierre – odezwał się znowu Rheims. – Po co wdajesz się w takie historie? Pilnowanie stadionu!

Niémans nadal milczał.

– To nie na twoje lata – podjął Rheims. – Ani nie wchodzi w zakres twoich obowiązków. Nasza umowa była jasna: żadnej pracy w terenie, żadnej więcej przemocy…

Niémans odwrócił się do swego przełożonego.

– Przejdźmy do rzeczy, Antoine – rzekł. – Dlaczego wezwałeś mnie tutaj w środku nocy? Kiedy do mnie dzwoniłeś, nie mogłeś wiedzieć, co się dzieje w parku. A więc, o co chodzi?

Pozostający w cieniu Rheims ani drgnął. Szerokie ramiona, siwe kręcone włosy, twarz jak z kamienia. Komisarz wydziału kierował od kilku lat Centralnym Biurem do spraw Zwalczania Handlu Ludźmi – OCRTEH – skomplikowana nazwa na określenie po prostu brygady obyczajowej. Niémans poznał Rheimsa znacznie wcześniej, zanim osiadł on na tym spokojnym stanowisku rządowym, spotkali się, kiedy obaj jako zwykłe gliny patrolowali ulice w słońcu i w deszczu, szybcy i skuteczni. Niémans pochylił krótko ostrzyżoną głowę i powtórzył:

– O co chodzi?

Rheims westchnął.

– Chodzi o morderstwo.

– W Paryżu?

– Nie, w Guernon. W departamencie Isère, niedaleko Grenoble. Miasteczko uniwersyteckie.

Niémans przysunął krzesło i usiadł, zwrócony twarzą do przełożonego.

– Zamieniam się w słuch.

– Ciało znaleziono wczoraj po południu. Zawieszone między skałami, nad rzeką, która płynie obok kampusu. Wszystko wskazuje na to, że zbrodnię popełnił psychopata.

– Co wiesz o ciele? Czy to kobieta?

– Nie. Mężczyzna. Młody. Chyba bibliotekarz. Ciało było nagie. Nosiło ślady tortur: rany cięte, szarpane, oparzenia… wspominano też o uduszeniu.

Niémans oparł łokcie o biurko. Obracał w rękach popielniczkę.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz?

– Bo mam zamiar cię tam wysłać.

– Co takiego? Przecież policja z Grenoble zatrzyma zbrodniarza w ciągu tygodnia i…

– Pierre, nie udawaj idioty. Dobrze wiesz, że to nie takie proste. Takie sprawy nigdy nie są proste. Rozmawiałem z sędzią. Chce specjalisty.

– Specjalisty od czego?

– Od zabójstw. I obyczajówki. Podejrzewa motyw seksualny. W każdym razie coś w tym rodzaju.

Niémans wychylił się do światła i poczuł ciepło lampy halogenowej.

– Antoine, nie mówisz mi wszystkiego.

– Sędzią jest Bernard Terpentes. Mój stary kumpel. Obaj pochodzimy z Pirenejów. Ta sprawa go niepokoi, kapujesz? Chce załatwić ją jak najszybciej. I uniknąć plotek, mediów, wszystkich tych głupot. Za kilka tygodni zaczynają się zajęcia na uniwersytecie, trzeba zamknąć dochodzenie przed tym terminem. To wszystko, co mogę ci powiedzieć.

Niémans wstał i podszedł ponownie do okna. Popatrzył na latarnie, na ciemny park. Czuł jeszcze w skroniach napięcie ostatnich godzin: uderzenia maczetą, przedmieście, pościg przez korty Rolanda Garrosa. Uświadomił sobie po raz setny, że telefon od Rheimsa uchronił go przed zabiciem człowieka. Pomyślał o napadach niekontrolowanej agresji, które odbierały mu świadomość, poczucie czasu i miejsca, do takiego stopnia, że zdolny byłby popełnić zbrodnię.

– Więc jak? – spytał Rheims.

Niémans odwrócił się i oparty o framugę okna odrzekł:

– Mija już czwarty rok, odkąd nie prowadzę tego rodzaju spraw. Dlaczego właśnie mnie to proponujesz?

– Potrzebny mi człowiek doświadczony. Wiesz, że ci z centrali mogą wysłać swoich ludzi w każde miejsce we Francji. – W mroku było słychać, jak bębni palcami o blat biurka. – Korzystam więc ze swojej niewielkiej władzy.

– Wyciągasz asa z kieszeni?

– Wyciągam asa z kieszeni. Dla ciebie to wycieczka. Dla mnie przysługa, którą oddam staremu przyjacielowi. Przynajmniej nikogo w tym czasie nie pobijesz.

Rheims wyjął kartki z faksu, który połyskiwał na jego biurku.

– Pierwsze wnioski żandarmów. Bierzesz czy nie?

Niémans podszedł do biurka i wyciągnął rękę po ciepłe jeszcze kartki.

– Zadzwonię do ciebie. Po wiadomości ze szpitala Hôtel-Dieu.

Niémans opuścił wkrótce ulicę Trois Fontanot i udał się do swojego mieszkania na ulicy La Bruyère, w dziewiątej dzielnicy. Był to duży apartament, niemal pusty, z woskowanym parkietem. Wziął prysznic, opatrzył rany – a raczej zadrapania – i popatrzył na swe odbicie w lustrze. Krótko ostrzyżone włosy, połyskujące siwizną, okrągłe szkła okularów w metalowej oprawce. Uśmiechnął się do siebie. Nie chciałby spotkać na pustej ulicy kogoś z taką gębą.

Wrzucił trochę ubrań do sportowej torby, między koszule wsunął remingtona kaliber 12 oraz pudełko naboi i magazynek do swojego manurhina. Potem wziął pokrowiec i włożył do niego dwa garnitury wraz z kilkoma krawatami o fantazyjnych deseniach.

Po drodze Niémans zatrzymał się przed otwartym całą noc McDonaldem na bulwarze Clichy. Połknął w pośpiechu dwa royal cheese, nie spuszczając wzroku z samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Była trzecia nad ranem. W brudnej, słabo oświetlonej migającymi neonami salce kręcili się zwykli bywalcy. Murzyni w zbyt obszernych łachach. Prostytutki z warkoczykami w stylu jamajskim. Narkomani, bezdomni, pijacy. Wszyscy oni należeli do świata, w którym sam kiedyś przebywał – świata ulicy. Niémans porzucił go dla pracy w biurze, dobrze płatnej i budzącej szacunek. Dla każdego innego gliny wejście do urzędów centralnych było awansem. Dla niego oznaczało zepchnięcie w kąt – wprawdzie pozłacany, ale on czuł się tym upokorzony… Spojrzał jeszcze raz na otaczające go szare istoty. Były to zjawy z jego lasu, który kiedyś przemierzał niczym myśliwy.

Niémans jechał bez zatrzymywania, na długich światłach, nie zważając na radary ani na ograniczenia szybkości. O ósmej rano skręcił na autostradę prowadzącą do Grenoble. Przejechał przez Saint-Martin-d’Hères, Saint-Martin-d’Uriage i na wysokości podnóża Grand Pic de Belledonne skręcił na Grenoble. Wzdłuż krętej drogi przesuwały się na przemian lasy iglaste i tereny przemysłowe. Jak zwykle na prowincji przyroda mimo swego piękna nie była w stanie zamaskować wrażenia ogólnej brzydoty.

Komisarz minął pierwsze znaki wskazujące kierunek do miasteczka uniwersyteckiego. W oddali, w zamglonym świetle pochmurnego poranka, rysowały się wysokie szczyty gór. Na kolejnym zakręcie dostrzegł leżące w dolinie miasteczko: betonowe bryły wysokich, nowoczesnych budynków, otoczone długimi trawnikami. Niémans pomyślał, że przypomina to ośrodek sanatoryjny, który dzięki swym rozmiarom mógłby uchodzić za normalne miasto.

Zjechał z drogi krajowej i skierował się ku dolinie. Po zachodniej stronie szosy zobaczył płynące w dole rzeki, które się ze sobą splatały, srebrzyście połyskując wśród ciemnych górskich zboczy. Niémans zwolnił: wstrząsnął nim dreszcz na widok lodowatych strumieni wody spływających z góry,

które pieniąc się, znikały w zaroślach, żeby za moment znowu się pojawić z głośnym szumem, białe od piany.

Postanowił zboczyć trochę z drogi. Skręcił, przejechał pod sklepieniem modrzewi i sosen, skropionych poranną rosą. Po chwili znalazł się na długiej polanie, okolonej wysokim, czarnym murem skalnym.

Zatrzymał się. Wysiadł z samochodu i wyjął lornetkę. Obejrzał uważnie okolicę: stracił z oczu rzekę, ale szybko się zorientował, że strumień, dosięgnąwszy dna doliny, przepływał tuż za skalną ścianą. Mógł go nawet dostrzec w przerwach między kamieniami.

Nagle zauważył inny szczegół i nastawił ostrzej lornetkę. Nie, nie mylił się. Wrócił do samochodu, ruszył z rykiem silnika w stronę rzeczki. W jednym z uskoków skalnych znalazł fluorescencyjną żółtą taśmę, jakiej używała żandarmeria państwowa, z napisem:

PRZEJŚCIE WZBRONIONE.

3

Niémans zjechał po skalnym zboczu niżej, gdzie widać było krętą, wąską ścieżkę. Wkrótce musiał się zatrzymać. Wysiadł z wozu, przeszedł pod taśmą i dotarł do rzeki.

Nurt rzeki hamowała tu naturalna przeszkoda. Potok, który, jak oczekiwał Niémans, powinien kipieć wzburzoną pianą, rozlał się, tworząc małe jeziorko o przezroczystej, spokojnej tafli. Jak twarz, z której zniknęły wszelkie objawy gniewu. Daleko na prawo rzeka kontynuowała swój bieg i zapewne przepływała przez miasto, którego szarawe kontury widniały poniżej.

Niémans nagle się zatrzymał. Na lewo od niego jakiś człowiek przykucnął nad wodą. Komisarz odruchowo sięgnął do kabury. Trącił przy tym kajdanki, które cicho brzęknęły. Tamten odwrócił się i uśmiechnął do niego.

– Co pan tu robi? – zapytał ostro Niémans. Nieznajomy uśmiechnął się ponownie bez słowa i podniósł się, otrzepując ręce. Był to młody mężczyzna o szczupłej twarzy i rzadkich blond włosach. W zamszowej bluzie i spodniach z kantami.

– A pan? – odpowiedział zuchwałym pytaniem. Jego bezczelność rozbroiła Niémansa.

– Jestem policjantem – odparł szorstko. – Nie zauważył pan taśmy? Mam nadzieję, że ma pan jakieś wytłumaczenie…

– Éric Joisneau, policja z Grenoble. Przyjechałem, żeby zbadać teren. Trzej moi koledzy dotrą tu w ciągu dnia.

Niémans stanął obok niego na wąskim brzegu.

– Gdzie są pańscy ludzie? – zapytał.

– Dałem im pół godziny na śniadanie. – Wzruszył ramionami beztrosko. – Chciałem popracować tu w spokoju… panie komisarzu Niémans.

Niémans drgnął zaskoczony. Młody człowiek podjął pewnym siebie tonem:

– Rozpoznałem pana od razu. Pierre Niémans. Sławny łowca morderców i dilerów narkotyków. Sławny we wszystkim, czego się tylko tknie…

– Czy wszyscy inspektorzy są teraz tacy bezczelni?

Joisneau skłonił się z ironiczną miną.

– Proszę mi wybaczyć, komisarzu. Próbuję tylko odbrązowić idola. Jest pan gwiazdą, supergliną, który śni się wszystkim młodym inspektorom. Przyjechał pan tu z powodu morderstwa?

– A jak myślisz?

Młody policjant skłonił się ponownie.

– To będzie zaszczyt pracować u pańskiego boku.

Niémans spojrzał pod nogi, na lśniącą powierzchnię gładkiej wody, jakby przeszkloną przez poranne światło. W głębi rzeka zdawała się mienić zielenią nefrytu.

– Powiedz mi, co wiesz o sprawie.

Joisneau wskazał oczyma na skalną ścianę.

– Ciało było zawieszone tam na górze.

– Na górze? – powtórzył Niémans, spoglądając na skałę, której ostre występy rzucały ponury cień.

– Tak. Na wysokości piętnastu metrów. Zabójca umieścił ciało w jednym z uskoków tej skały. Ułożył je w dziwnej pozycji.

– To znaczy w jakiej?

Joisneau zgiął nogi, uniósł kolana i skrzyżował ramiona na piersi.

– Embrionalnej.

– Niebanalne.

– W tym wypadku nic nie jest banalne.

– Wspominano mi o ranach, oparzeniach – powiedział Niémans.

– Nie oglądałem jeszcze ciała, ale zdaje się, że rzeczywiście były ślady licznych tortur.

– Ofiara zmarła wskutek tortur?

– Nie ma co do tego pewności. Na szyi są także głębokie rany cięte i ślady duszenia.

Niémans znowu odwrócił się w kierunku jeziorka. Zobaczył wyraźne odbicie swojej sylwetki – ostrzyżoną głowę i niebieski płaszcz.

– A tu? Znalazłeś coś?

– Nie. Od godziny już szukam jakiegoś szczegółu, wskazówki. Na razie bez rezultatu. Moim zdaniem ofiara nie została zabita tutaj.

– Wspiąłeś się na górę?

– Tak. Nie znalazłem niczego ważnego. Morderca z pewnością dostał się na szczyt ściany z drugiej strony, a potem opuścił ciało na linie. Zszedł za pomocą drugiej liny i przymocował ciało. Zadał sobie dużo trudu, żeby ułożyć trupa w takiej wymyślnej pozycji. To niepojęte.

Niémans spojrzał jeszcze raz na chropowatą powierzchnię skały najeżonej ostrymi krawędziami. Z miejsca, gdzie stał, nie mógł dobrze ocenić odległości, ale wydawało mu się, że nisza, w której umieszczono ciało, znajdowała się w połowie wysokości ściany, tak samo daleko od ziemi jak od szczytu grzbietu. Odwrócił się gwałtownie.

– Chodźmy stąd.

– Gdzie?

– Do szpitala. Chcę obejrzeć ciało.

Na oświetlonym stole leżał trup mężczyzny, odkryty do ramion. Był skulony, jakby bał się uderzenia pioruna w twarz.

Łokcie miał wciśnięte między kolana, pięści pod brodą. Biała skóra, napięte mięśnie, ślady ran sprawiały dziwne wrażenie, jakby nie pasowały do ciała. Na szyi widoczne były długie zadrapania, jakby ktoś usiłował rozciąć gardło. Żyły na skroniach napęczniały.

Niémans podniósł wzrok na osoby obecne w kostnicy. Byli to: sędzia śledczy Bernard Terpentes – szczupły, z krótkim wąsikiem, potężnie zbudowany, o ruchach niedźwiedzia, kapitan Roger Barnes, który dowodził brygadą żandarmerii w Guernon, oraz kapitan René Vermont, oddelegowany przez sekcję poszukiwań, niewysoki, łysawy, z twarzą pokrytą trądzikiem i wąskimi szparami oczu. Joisneau stał z tyłu, z miną gorliwego stażysty.

– Czy wiadomo, kto to jest? – zapytał Niémans. Barnes zrobił krok do przodu, bardzo po wojskowemu, i odkaszlnąwszy, powiedział:

– Ofiara to Rémy Caillois, panie komisarzu. Miał dwadzieścia pięć lat. Pracował od trzech lat jako kierownik biblioteki na uniwersytecie w Guernon. Ciało zostało zidentyfikowane dziś rano przez jego żonę, Sophie Caillois.

– Czy zgłosiła jego zniknięcie?

– Wczoraj, w niedzielę, wieczorem. Mąż wybrał się poprzedniego dnia na wycieczkę w góry, na szczyt Muret. Sam, jak to czynił w każdy

weekend. Czasami spędzał noc w którymś ze schronisk. Dlatego żona nie niepokoiła się, aż do wczoraj po południu i…

Barnes przerwał. Niémans odsłonił ciało ofiary.

Zapadła cisza, jakby wszystkim głos uwiązł w gardle ze zgrozy. Brzuch i klatkę piersiową ofiary pokrywały czarne rany różnej wielkości i kształtu. Widoczne były pokaleczone fioletowe wargi, wielobarwne oparzenia i coś, co przypominało plamy z sadzy. Dawało się również zauważyć zadrapania na rękach i nadgarstkach, jakby skrępowano ofiarę kablem.

– Kto znalazł ciało?

– Młoda kobieta… – Barnes zerknął do notatek. – Fanny Ferreira. Wykładowca na tym uniwersytecie. Ma zwyczaj pływać w rwącej rzece – w piance i z płetwami. To niebezpieczny sport…

– I co dalej?

– Dopłynęła do naturalnej zapory na rzece, do skały odgradzającej kampus. Wdrapując się na górę, dostrzegła w skalnej niszy ciało.

– To jej słowa?

Barnes rozejrzał się niepewnie dokoła.

– Tak, chyba tak…

Komisarz odkrył ciało w całości. Obszedł wokoło skulonego nieboszczyka, przyglądając się jego białej skórze i ostro sterczącym kościom czaszki z krótkimi włosami.

Niémans wziął świadectwo zgonu, które podał mu Barnes. Pobieżnie przebiegł wzrokiem tekst maszynopisu. Dokument został sporządzony osobiście przez dyrektora szpitala. Miejscowy lekarz nie podał godziny zgonu. Zadowolił się opisaniem widocznych ran i wywnioskował, że śmierć nastąpiła wskutek uduszenia. Żeby dowiedzieć się czegoś więcej, trzeba przeprowadzić sekcję zwłok.

– Kiedy przybędzie lekarz sądowy?

– Spodziewamy się go w każdej chwili.

Komisarz podszedł do ofiary. Pochylił się nad zmarłym i przyjrzał się rysom jego twarzy. Przystojna, młoda, z zamkniętymi oczyma, bez żadnych śladów tortur.

– Nikt nie dotykał twarzy?

– Nikt, panie komisarzu.

– Oczy miał zamknięte?

Barnes przytaknął głową. Niémans kciukiem i palcem wskazującym uniósł ostrożnie powieki ofiary. W tym momencie stała się rzecz nieoczekiwana: z prawego oka wypłynęła łza. Komisarz odskoczył gwałtownie. Zmarły płakał.

Niémans spojrzał na innych, ale nikt nie zauważył tego zadziwiającego szczegółu. Starając się zachować zimną krew, znowu uniósł powieki zmarłego. To, co zobaczył, upewniło go, że nie oszalał, że było to morderstwo z rodzaju tych, jakich boi się każdy glina lub o jakich marzy przez cały okres służby, zależnie od swojej osobowości.

Wyprostował się i zdecydowanym ruchem przykrył ciało. Mruknął do sędziego:

– Pomówmy o przebiegu śledztwa.

Bernard Terpentes wstał.

– Rozumiecie panowie, że ta sprawa może okazać się trudna i… niecodzienna. Z tego powodu postanowiliśmy z prokuratorem, że policja z Grenoble będzie współpracować z policją krajową. Sprowadziłem także obecnego tu komisarza głównego policji Pierre’a Niémansa, który przybył z Paryża. Bez wątpienia znacie jego nazwisko. Komisarz pracuje teraz w Paryżu w wydziale do walki ze stręczycielstwem. Na razie nie wiemy nic o motywach zabójstwa, być może jednak chodzi o zbrodnię na tle seksualnym. W każdym razie popełnił ją jakiś szaleniec. Doświadczenie pana Niémansa bardzo nam się przyda. Dlatego też proponuję, żeby komisarz objął kierowanie operacją…

Barnes wyraził zgodę krótkim skinieniem głowy, Vermont poszedł w jego ślady, lecz nie tak gorliwie. Natomiast Joisneau powiedział:

– Co do mnie, to nie widzę żadnych przeszkód. Kiedy jednak przybędą moi koledzy…

– Ja im wszystko wyjaśnię – przerwał mu Terpentes i zwróciwszy się do Niémansa, powiedział: – Słuchamy pana, komisarzu.

Niémans poczuł się trochę niezręcznie. Chciał jak najszybciej stąd wyjść, zająć się śledztwem i przede wszystkim być sam.

– Kapitanie Barnes, ilu ma pan ludzi? – zapytał.

– Ośmiu. Nie, przepraszam, dziewięciu.

– Czy potrafią przepytać świadków, odnaleźć jakieś wskazówki, zorganizować zapory na drodze?

– No tak… Choć, co prawda, nie robimy na ogół takich rzeczy…

– A pan, kapitanie Vermont, ilu pan ma ludzi?

– Dwudziestu – odpowiedział służbiście żandarm. – Są to ludzie doświadczeni. Przeczeszą teren, gdzie odnaleziono…

– Doskonale. Sugeruję również, żeby przepytali osoby, które mieszkają przy drogach prowadzących do rzeki, żeby złożyli wizyty w warsztatach, na dworcach, w domach sąsiadujących z parkingami samochodowymi… Caillois podczas wycieczek nocował niekiedy w schroniskach. Dotrzyjcie do nich i przeszukajcie je. Ofiara mogła być porwana z któregoś z nich.

Niémans zwrócił się do Barnesa.

– Panie kapitanie, chciałbym, żeby zebrał pan informacje z całego regionu. Do południa chcę otrzymać listę włóczęgów i bezdomnych w departamencie. Proszę sprawdzić, kto ostatnio został zwolniony z więzienia w promieniu trzystu kilometrów. Może nam się przydać wykaz kradzieży samochodów i włamań. Proszę nie zapomnieć o hotelach i restauracjach. Niech pan roześle faksem kwestionariusze z pytaniami. Chcę wiedzieć o każdym podejrzanym szczególe. Chciałbym też dostać opis wszystkich bulwersujących wydarzeń, jakie miały miejsce w Guernon w ciągu ostatnich dwudziestu lat, a które mogłyby mieć coś wspólnego z naszą sprawą.

Barnes zapisał w swoim notesie żądania komisarza. Niémans zwrócił się do Joisneau:

– Skontaktuj się z centralnym biurem informacji. Poproś ich o listę sekt, magów i wszystkich ostatnio uwięzionych w tym rejonie.

Joisneau kiwnął głową. Terpentes także milcząco wyraził swą zgodę, niczym szef, który obmyślił cały plan działania.

– Zajmiecie się tym, zanim będzie gotowy wynik sekcji zwłok – zakończył Niémans. – Nie muszę chyba panom przypominać, że należy zachować całkowite milczenie w tej sprawie. Ani słowa prasie lokalnej, w ogóle nikomu.

Rozstali się w pośpiechu, z powodu porannej mżawki, na podjeździe CHRU – szpitala uniwersyteckiego. W cieniu wysokiego budynku, który, jak się wydawało, liczył sobie przynajmniej dwa wieki, każdy wsiadł bez słowa do swego samochodu.

Rozpoczęło się polowanie.

4

Pierre Niémans i Éric Joisneau udali się od razu na uniwersytet, wzniesiony u wrót miasta. Komisarz poprosił porucznika, by poczekał na niego w bibliotece, w głównym budynku, podczas gdy on złoży wizytę rektorowi uczelni, który miał gabinet na ostatnim piętrze budynku administracyjnego, sto metrów dalej.

Wszedł do odnowionego gmachu z lat siedemdziesiątych, z wysokim stropem i ścianami w jasnym pastelowym kolorze. Na samej górze, w sali przypominającej poczekalnię, siedziała przy małym biurku sekretarka. Niémans przedstawił się i powiedział, że chciałby się widzieć z panem Vincentem Luyse’em.

Musiał poczekać kilka minut i przez ten czas obejrzał fotografie zwycięskich studentów, dzierżących puchary i medale zdobyte na trasach narciarskich lub na rwących górskich potokach.

Chwilę potem Niémans znalazł się przed obliczem rektora. Był to mężczyzna o krótkich, kędzierzawych włosach, płaskim nosie i białej cerze. Twarz Vincenta Luyse’a stanowiła ciekawą mieszaninę negroidalnych rysów i anemicznej bladości. Panujący w gabinecie półmrok przed burzą rozjaśniały co jakiś czas promienie chowającego się za chmury słońca. Rektor poprosił komisarza, by usiadł, i pocierając nerwowo ręce, zapytał:

– No i co pan powie?

– O czym?

– Odkrył pan już jakieś ślady?

– Panie rektorze, dopiero co przyjechałem. Proszę dać mi trochę czasu. Na razie chciałbym zadać panu kilka pytań.

Luyse zesztywniał na krześle, które, jak wszystkie meble w tym gabinecie wyłożonym boazerią w kolorze ochry, przypominało swym kształtem dziwny kwiat, jakby z obcej planety.

– Czy miały już miejsce jakieś niepokojące wydarzenia w pańskiej uczelni? – spytał obojętnym tonem Niémans.

– Niepokojące? Nigdy.

– Żadnych historii z narkotykami? Żadnych kradzieży, rozróbek?

– Nie.

– Nie ma żadnych band, klanów? Jakiejś grupy egzaltowanych młodych ludzi?

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Mam na myśli czarną magię i tym podobne rytuały.

– Nic takiego u nas się nie zdarza. Nasi studenci mają otwarte umysły.

Niémans milczał. Rektor taksował go wzrokiem: krótkie, na jeża ostrzyżone włosy, barczysta sylwetka, kolba MR 73 wystająca spod płaszcza. Luyse przeciągnął dłonią po twarzy, po czym, jakby sam siebie próbując przekonać, powiedział:

– Słyszałem, że jest pan doskonałym policjantem.

Niémans nadal milczał, utkwiwszy w nim wzrok. Luyse opuścił oczy i dodał:

– Chciałbym, panie komisarzu, żeby znalazł pan jak najszybciej mordercę. Wkrótce zaczynają się zajęcia…

– W tej chwili nie ma w kampusie żadnego studenta?

– Jest kilku w internacie. Mieszkają na górze, na poddaszu głównego budynku. Jest także paru profesorów, którzy przygotowują się do wykładów.

– Mógłbym poznać ich nazwiska?

– Ależ… – zawahał się na moment – nie ma problemu.

– Co może pan powiedzieć o Rémym Caillois?

– Był bibliotekarzem. Bardzo zamknięty w sobie, nie utrzymywał z nikim kontaktów.

– Czy studenci go lubili?

– No tak… Oczywiście.

– Gdzie mieszkał? W Guernon?

– Tutaj, w kampusie. Na ostatnim piętrze głównego budynku, mieszkał razem z żoną. To samo piętro zajmują studenci z internatu.

– Rémy Caillois miał dwadzieścia pięć lat. W dzisiejszych czasach to trochę za młody wiek, żeby się żenić.

– Rémy i Sophie Caillois studiowali na naszym uniwersytecie. Poznali się wcześniej, w kampusie, w szkole dla dzieci naszych profesorów. Przyjaźnili się od dziecka.

Niémans wstał gwałtownie.

– Dziękuję panu bardzo, panie rektorze.

Wyszedł pospiesznie, uciekając przed panującym w gabinecie zapachem strachu.

Książki.

W wielkiej bibliotece uniwersyteckiej, na ażurowych, metalowych półkach, wszędzie dokoła stały ułożone w doskonałym porządku, widoczne w świetle lamp neonowych, masy książek. Tomy z ciemnymi grzbietami, zdobione tłoczeniami lub srebrem. Na każdym etykietka z symbolem uniwersytetu w Guernon. Pośrodku rozległej sali stoły z plastikowymi blatami, oddzielone od siebie szklanymi ściankami. Kiedy Niémans wszedł, od razu skojarzyło mu się to z więzienną rozmównicą.

W przestronnej i jasnej sali panowała jednocześnie atmosfera całkowitego odosobnienia.

– Na tym uniwersytecie wykładają najlepsi profesorowie – poinformował go Joisneau. – Elita południowo-wschodniej Francji. Prawo, ekonomia, literatura, psychologia, socjologia, fizyka… I przede wszystkim medycyna. Wybitni naukowcy z Isère prowadzą tu zajęcia i są konsultantami w tutejszym szpitalu. Mieści się w dawnych budynkach uniwersyteckich, które zostały całkowicie przerobione. Leczy się tu ponad połowa departamentu, a w klinice położniczej urodzili się wszyscy mieszkańcy tutejszej górskiej okolicy.

Niémans słuchał go, skrzyżowawszy ręce na piersi, oparty o jeden ze stolików.

– Skąd wiesz to wszystko?

– Studiowałem tutaj – odrzekł Joisneau, wziąwszy do ręki pierwszą z brzegu książkę. – Zaczynałem na wydziale prawa… chciałem zostać adwokatem.

– I jesteś policjantem?

Porucznik spojrzał na Niémansa. W jego oczach odbijało się światło lamp.

– Kiedy miałem już robić dyplom, przestraszyłem się nagle, że się zanudzę na śmierć. Wtedy zapisałem się do szkoły policyjnej w Tuluzie. Wmawiałem sobie, że zawód policjanta wiąże się z działaniem, ryzykiem, że będzie to praca, która dostarczy mi wielu niespodzianek…

– I co, jesteś rozczarowany?

Porucznik odstawił książkę na półkę. Spoważniał.

– Nie. A zwłaszcza nie dzisiaj. – Utkwił wzrok w komisarzu. – Te zwłoki… Jak można zrobić coś takiego?

Niémans uchylił się od odpowiedzi.

– Jaka była atmosfera na uczelni? Nie działo się nic szczególnego?

– Nie. Sporo smarkaczy z rodzin mieszczańskich, z głowami pełnymi frazesów na temat życia, epoki, jedynie słusznych ich zdaniem idei… Były także dzieci chłopów i robotników. Jeszcze więksi idealiści. I bardziej agresywni. W każdym razie wszyscy zetknęliśmy się z bezrobociem, więc…

– Nie było żadnych dziwnych historii? Powstawały jakieś grupki, partyjki?

– Nie. Nic takiego. Chociaż może… Istniała swego rodzaju elita uniwersytetu. Taki mikrokosmos utworzony z dzieci wykładających tu profesorów. Niektórzy byli wyjątkowo zdolni. Zgarniali co roku wszystkie nagrody. Nawet w dyscyplinach sportowych. To nam się nie podobało.

Niémans przypomniał sobie portrety zwycięzców w poczekalni rektora Luyse’a.

– Czy ci studenci tworzyli jakąś grupę? – zapytał. – Czy mógł ich łączyć jakiś pomylony pomysł?

Joisneau roześmiał się głośno.

– Coś w rodzaju konspiracji?

Niémans wstał i podszedł do półek.

– Bibliotekarza znają wszyscy na uczelni. Jest idealnym celem. Wyobraź sobie grupę studentów opanowanych jakąś szaleńczą ideą. Ofiara… rytuał… Zastanawiając się nad wyborem kandydata na ofiarę, mogliby pomyśleć właśnie o Caillois.

– Zapomina pan, że mówiłem o prymusach. Są zbyt zajęci rywalizacją w nauce, żeby wdawać się w coś takiego.

Niémans wszedł między rzędy półek z książkami, których oprawy połyskiwały brązem i złotem. Joisneau podążał za nim krok w krok.

– Bibliotekarz – mówił dalej komisarz – to ktoś, kto pożycza książki, wie, co każdy czyta, co studiuje… Może dowiedział się czegoś, czego nie powinien wiedzieć?

– Nie zabija się człowieka w ten sposób dla… Jakie tajemnice, według pana, mogą skrywać studenci w swoich lekturach?

– Nie wiem – Niémans odwrócił się do niego gwałtownie. – Nie ufam intelektualistom.

– Ma pan jakiś pomysł? Jakieś podejrzenie?

– Nie. W tym momencie wszystko jest możliwe. Bójka. Zemsta. Jakiś wybryk inteligencików. Może homoseksualistów. Albo po prostu dokonał tego jakiś włóczęga, psychopata, który przypadkiem natrafił w górach na Caillois.

Komisarz przejechał palcami po okładkach książek.

– Nie jestem dogmatykiem, ale zaczniemy od tego. Trzeba przejrzeć stare księgi, które mogą mieć związek z tym morderstwem.

– Jaki związek?

Niémans przeszedł znowu między rzędami półek, skierował się do pulpitu bibliotekarza w drugim końcu sali, na podwyższeniu, ponad stolikami czytelników. Na pulpicie królował komputer, w szufladach ustawione były segregatory. Komisarz postukał w czarny ekran.

– Tutaj musi być wykaz wszystkich wypożyczanych książek. Zleć to swoim ludziom. Znajdź najbardziej oczytanych, jeśli w ogóle tacy istnieją. Poproś także o pomoc studentów z internatu. Niech wyszukają wszystkie książki, które poruszają problemy zła, brutalności, tortur, a także zabijania na ofiarę z pobudek religijnych. Niech zajrzą do książek dotyczących etnologii. Chciałbym, żeby zanotowali nazwiska studentów, którzy interesowali się tego rodzaju pracami. Trzeba też dowiedzieć się, na jaki temat Caillois pisał swą pracę dyplomową.

– A ja co mam robić?

– Ty przepytasz studentów z internatu. Każdego z osobna. Przebywają tutaj dniami i nocami, muszą więc znać uczelnię na wylot. Zwyczaje, nastroje, dziwne typy… Chcę wiedzieć, jak Caillois był oceniany przez innych. Zbierz też informacje o jego włóczęgach w górach. Znajdź tych, którzy mu towarzyszyli. Spróbuj wysondować, kto znał trasy jego wycieczek. Kto mógł dołączyć do niego tam na szlaku…

Joisneau spojrzał sceptycznie na komisarza. Niémans nachylił się do niego i powiedział cicho:

– Powiem ci, co tu mamy. Mamy przerażający mord, skurczonego trupa, z oznakami straszliwego cierpienia na twarzy. Wszystko to wygląda na jakieś szaleństwo. Ale na razie to nasz sekret. Mamy kilka godzin, może trochę więcej, żeby rozwiązać tę zagadkę. Potem wtrącą się media, zaczną

się naciski, rozbudzą się emocje. Skoncentruj się. Zanurz się w tym koszmarze. Daj z siebie wszystko, co możesz. Tylko w ten sposób odsłonimy oblicze zła.

Porucznik robił wrażenie przestraszonego.

– Pan naprawdę uważa, że uda nam się w kilka godzin…

– Chcesz pracować ze mną, tak czy nie? – przerwał mu komisarz. – Wyjaśnię ci, jak ja to widzę. Kiedy mamy morderstwo, trzeba brać pod uwagę każdy szczegół z nim związany, jakbyś spoglądał w zwierciadło. Ciało ofiary, ludzie, którzy ją znali, miejsce zbrodni… We wszystkim tkwi część prawdy, szczególny aspekt zbrodni, rozumiesz? – Stuknął palcem w komputer. – Na przykład ten ekran. Kiedy się go włączy, pokaże nam, jak w lustrze, co robił każdego dnia Rémy Caillois, jego codzienne zajęcia, jego myśli. Znajdują się w nim szczegóły, drobne informacje, które mogą nas zainteresować. Trzeba się w to zagłębić. Spojrzeć na to z drugiej strony. – Podniósł się i rozłożył ręce. – Jesteśmy w szklanym pałacu, Joisneau, w labiryncie odbitych obrazów. Patrz więc uważnie. Bo gdzieś wśród tych luster, w jakimś ciemnym kącie kryje się morderca.

Joisneau stał z otwartymi ustami.

– Jak na praktyka snuje pan zbyt teoretyczne rozważania…

Komisarz trzepnął go dłonią po plecach.

– To nie filozofowanie, Joisneau. Po prostu takie jest życie.

– A pan, kogo pan zamierza przepytać?

– Ja? Porozmawiam z naszym świadkiem, Fanny Ferreirą. No i oczywiście z Sophie Caillois, żoną zabitego. Nic, tylko kobietki, Joisneau – mrugnął do niego. – Na tym polega praktyka.

5

Asfaltowa droga, nad którą wisiało posępne niebo, wiła się wśród budynków kampusu, z szarawymi i niebieskimi ścianami, z pordzewiałymi żaluzjami na oknach. Niémans jechał wolno – wcześniej zaopatrzył się w plan uniwersytetu – i w odpowiednim momencie skręcił w uliczkę prowadzącą do stojącego osobno gimnazjum. Dojechał do budynku z betonu, który przypominał raczej bunkier niż halę sportową. Wysiadł z samochodu i odetchnął głęboko. Siąpił drobny deszczyk.

Komisarz obrzucił spojrzeniem kampus z budynkami rozsianymi w odległości kilkuset metrów. Jego rodzice byli także nauczycielami, ale w małych szkołach na przedmieściu Lyonu. Nie pamiętał z tego nic lub prawie nic. Bardzo szybko zorientował się, że w pozornie ciepłym, przytulnym gniazdku rodzinnym panuje zakłamanie. Doszedł wówczas do wniosku, iż powinien się usamodzielnić. Im szybciej, tym lepiej. Kiedy skończył trzynaście lat, poprosił rodziców, by pozwolili mu kontynuować naukę w szkole z internatem. Nie próbowano mu tego wyperswadować, ale teraz jeszcze pamiętał dochodzący zza zamkniętych drzwi sypialni rodziców płacz matki. Nigdy nie wyzwolił się od tego wspomnienia. Wtedy właśnie zamknął się w sobie.

Cztery lata internatu. Cztery lata samotności, nauki i ćwiczeń fizycznych. Wszystkie jego nadzieje wiązały się z jednym celem, z jedną datą: wstąpieniem do wojska. Siedemnastoletni Pierre Niémans, wzorowy maturzysta, złożył podanie do szkoły oficerskiej. Kiedy lekarz wojskowy, w stopniu majora, oznajmił mu, iż nie został przyjęty, i wyjaśnił dlaczego, młody Niémans poczuł się urażony do głębi. Zdradziły go jego wewnętrzne, zbyt widoczne niepokoje. Wiedział, że już zawsze będzie mu się śnił długi korytarz bez wyjścia, zalany krwią, z wyjącymi wściekle w ciemności psami na samym końcu.

Inni chłopcy poddali się, wysłuchali pokornie orzeczenia psychiatrów. Tylko nie Pierre Niémans. Zaparł się, ponownie zaczął ćwiczyć, z jeszcze większą zaciętością i siłą woli. Ponieważ nie może być żołnierzem,

wybierze inne pole walki: ulice, gdzie toczy się bitwa z pospolitym złem. Poświęci swoje siły i duszę wojnie bez laurów i sztandarów, lecz doprowadzi ją do końca. Niémans postanowił zostać policjantem. W tym celu poddawał się przez długie miesiące testom psychologicznym. Wkrótce wstąpił do szkoły policyjnej w Cannes-Écluse. Zaczęła się wówczas dla niego nowa epoka. Odnosił wyjątkowe rezultaty w strzelaniu. Nie ustawał w wysiłkach, żeby być jeszcze lepszym, jeszcze silniejszym. Stał się policjantem, który nie miał sobie równego – upartym, brutalnym, przebiegłym.

Najpierw pracował w komisariatach dzielnicowych, potem jako strzelec wyborowy znalazł się w brygadzie, z której powstała BRI – brygada dochodzeniowa i interwencyjna. Zaczęły się operacje specjalne. Zabił pierwszego człowieka. Wtedy po raz ostatni zmierzył się ze swoim własnym przekleństwem. Nigdy nie zostanie dumnym żołnierzem, walecznym oficerem. Będzie jednak nieustraszonym bojownikiem ulic, w ich przemocy i szaleństwie utopi własne lęki.

Niémans wciągnął głęboko górskie powietrze. Pomyślał o nieżyjącej od wielu lat matce. O coraz bardziej tracącej swe kształty przeszłości, o zacierających się wspomnieniach.

Nagle ujrzał biegnącego drobnym truchtem ogromnego psa, z krótką sierścią, lśniącą od mżawki. Wielkie żółte ślepia wpatrywały się w komisarza. Pies zbliżał się, kołysząc zadem. Niémans nie ruszał się. Pies był już zaledwie kilka kroków od niego. Zmarszczył wilgotny nos. Zaczął powarkiwać. Oczy mu zabłysnęły. Wyczuł strach człowieka.

Niémans stał jak sparaliżowany.

Jakaś nieznana siła skrępowała mu ręce i nogi. Zbladł jak ściana. Pies ujadał, wyszczerzając zęby. Niémans znał ten proces. Strach rodził strach i agresję. Pies szczerzył zęby, w jego gardle bulgotał ryk. Komisarz sięgnął po broń.

– Clarisse! Clarisse! Wracaj, Clarisse!

Niémans oprzytomniał. Spoza czerwonej zasłony dostrzegł siwego mężczyznę w swetrze, jaki noszą kierowcy ciężarówek. Zbliżał się szybkim krokiem.

– Czyś pan zwariował?

– Jestem z policji. Niech pan zabierze tego kundla – z trudem wydusił z siebie Niémans.

Mężczyzna był najwyraźniej oburzony.

– To rasowy pies. Chodź, Clarisse, chodź, moja maleńka.

Pan i jego zwierzę oddalili się. Niémans z trudem przełknął ślinę. W gardle czuł piekącą suchość. Pokiwał głową, schował broń i obszedł dokoła budynek. Skręcając w lewo, zmusił się do refleksji: od jak dawna nie zaglądał do swojej duszy?

Z drugiej strony budynku gimnazjum komisarz zauważył kobietę.

Fanny Ferreira stała w otwartych drzwiach i polerowała papierem ściernym czerwoną deskę. Komisarz pomyślał, że pewnie za jej pomocą pokonuje rwącą wodę potoków.

– Dzień dobry – powiedział i skłonił się na powitanie. Całkiem już doszedł do siebie.

Fanny podniosła wzrok. Miała chyba nie więcej niż dwadzieścia lat. Matowa cera, czarne kręcone włosy, drobnymi loczkami wijące się na skroniach i gęstą, ciężką kaskadą opadające na ramiona, niezwykle jasne, błyszczące oczy.

– Nazywam się Pierre Niémans, jestem komisarzem policji. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa Rémy’ego Caillois.

– Pierre Niémans? – zapytała z niedowierzaniem. – A to ci dopiero. Niewiarygodne.

– Co takiego?

Głową wskazała na małe radio stojące na ziemi.

– Właśnie mówili o panu w wiadomościach. Powiedzieli, że schwytał pan dwóch morderców w Parc des Princes i przy okazji skatował jednego z nich, co raczej nie jest godne pochwały. Umie pan być jednocześnie w różnych miejscach?

– Po prostu jechałem tu całą noc.

– Co pan u nas robi? Nasi policjanci nie wystarczą?

– Powiedzmy, że jestem tu, żeby ich wesprzeć.

Fanny wróciła do swego zajęcia – zwilżyła powierzchnię deski, a potem przytrzymując ją rękami, oderwała kawałek papieru ściernego. Miała zgrabną, silną sylwetkę. Była w spodniach do nurkowania z pianki kauczukowej, w kamizelce i w butach do wspinaczki z jasnej skóry, ciasno zasznurowanych. Przymglone mżawką światło mieniło się wokół niej tęczowymi barwami.

– Wygląda na to, że nieźle zniosła pani ten szok – odezwał się znowu Niémans.

– Jaki szok?

– No… odnalezienie…

– Staram się o tym nie myśleć.

– A czy możemy o tym porozmawiać?

– W tym celu pan przyjechał, prawda?

Nie patrzyła na komisarza. Cały czas szlifowała deskę. Jej ruchy były szybkie i zdecydowane.

– W jakich okolicznościach odkryła pani ciało?

– W każdy weekend pływam na czymś takim – wskazała na przewróconą do góry dnem łódź. – W pobliżu kampusu jest skalna ściana, taka naturalna przeszkoda, która hamuje prąd rzeki, dzięki czemu można bez większych trudności wylądować. Kiedy wciągałam deskę, zauważyłam…

– Na skale?

– Tak, na skale.

– To niemożliwe. Byłem tam. Stwierdziłem, że nie sposób zauważyć czegoś na skale, na wysokości piętnastu metrów…

Fanny rzuciła papier ścierny do kosza, wytarła ręce i zapaliła papierosa. Te zwykłe gesty wzbudziły nagle u Niémansa gwałtowne pożądanie.

Młoda kobieta wypuściła z ust długą smużkę błękitnawego dymu.

– Ciało było na skale, ale ja go tam nie widziałam.

– Więc gdzie?

– Odbite w wodzie. Biała plama na powierzchni jeziora.

Z twarzy Niémansa znikło napięcie.

– Tak właśnie przypuszczałem.

– Czy to ważne dla śledztwa?

– Nie. Lubię jednak jasne sytuacje.

Niémans milczał przez chwilę, po czym znowu zapytał:

– Jest pani alpinistką?

– Skąd pan wie?

– Nie wiem… Ta okolica… Poza tym wygląda pani na bardzo wysportowaną.

Odwróciła się i uniosła ręce ku górom widniejącym wokół doliny. Po raz pierwszy się uśmiechnęła.

– Oto moje królestwo, panie komisarzu! Znam na pamięć wszystkie te góry, od Grand Pic de Belledonne do Grandes Rousses. Kiedy nie pływam po górskich potokach, wspinam się na szczyty.

– Czy umieścić ciało na skale mógł tylko alpinista?

Fanny spoważniała, obserwując rozżarzony do białości koniec papierosa.

– Niekoniecznie. Są tam naturalne stopnie. Trzeba jednak być bardzo silnym, żeby wnieść taki ciężar, nie tracąc równowagi.

– Jeden z moich inspektorów sądzi, że zabójca wspiął się z drugiej strony, mniej stromym zboczem, i dopiero potem opuścił ciało na linie.

– Musiałby nadłożyć niezły kawał drogi. – Zastanowiła się przez moment. – Prawdę mówiąc, jest jeszcze trzecia możliwość, bardzo prosta, jeśli zna się technikę wspinaczki.

– Chętnie posłucham.

Fanny Ferreira zgasiła papierosa o podeszwę buta i pstryknęła palcami.

– Proszę pójść ze mną.

Weszli do budynku, w którym mieściła się hala sportowa. W półmroku Niémans dostrzegł ułożone w stos podłogi namiotowe, poręcze, tyczki, sznury z węzłami. Fanny skierowała się pod ścianę z prawej strony.

– To moja kryjówka – powiedziała. – Latem nikt tu nie przychodzi. Mogę więc tu przechowywać moje rupiecie.

Zapaliła lampę sztormową, zawieszoną nad czymś w rodzaju warsztatu. Leżały na nim liczne narzędzia, jakieś kawałki metalu, połyskujące srebrzyście lub jaskrawymi barwami. Fanny zapaliła kolejnego papierosa.

– Co to jest? – zapytał Niémans.

– Haki, karabińczyki, trójkąty, uchwyty. Sprzęt alpinistyczny.

– I co z tego wynika?

Fanny znowu wypuściła z ust smużkę dymu.

– A to, panie komisarzu, że zabójca, dysponujący takim sprzętem i umiejący się nim posługiwać, mógłby bez trudu podnieść ciało z brzegu rzeki.

Niémans słuchał jej z założonymi na piersi rękami, oparty o ścianę. Fanny, z papierosem w ustach, grzebała w swoich rzeczach. Tym gestem bez znaczenia znowu obudziła w komisarzu pożądanie. Ta dziewczyna wyjątkowo mu się podobała.

– Mówiłam już panu, że w tej ścianie są naturalne stopnie. Dla alpinisty albo nawet dla kogoś, kto często uprawia trekking, byłoby dziecinnie łatwe

wejść bez ciała.

– I co dalej?

Fanny wzięła jaskrawozielony bloczek z wieloma otworami.

– Umieszcza go pan na skale, ponad niszą.

– Jak? Za pomocą młotka? To by zabrało mnóstwo czasu!

– Pańska wiedza o alpinizmie – twarz Fanny ginęła w kłębach dymu papierosowego – jest na poziomie zerowym, panie komisarzu. – Wzięła hak leżący na stole. – Za pomocą takiego urządzenia jak to – pokazała coś w rodzaju wiertarki, tłustej od smaru – wbije pan błyskawicznie kilka haków do każdej skały. Potem umocowuje pan bloczki i już może pan unieść swego trupa. Taką technikę stosuje się przy wciąganiu plecaków w trudnych miejscach.

Niémans miał sceptyczną minę.

– Nie wchodziłem na samą górę, ale moim zdaniem nisza jest za ciasna. Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób zabójca mógłby wciągać ciało z tak niewygodnej pozycji. Chyba że wrócimy do poprzedniego przypuszczenia, że jest to jakiś olbrzym.

– A kto mówi o wciąganiu ciała na górę? Alpinista po prostu wziąłby drugi koniec liny i zjechał na dół. Wtedy ciało samo wjechałoby na górę.

Komisarz nagle pojął, na czym polega cała ta technika, i uśmiechnął się.

– Tyle tylko, że zabójca musiałby być cięższy niż ofiara, prawda?

– Albo miał podobną wagę: gdy wpada się w próżnię, nasz ciężar się zwiększa. Kiedy już ciało znalazło się na górze, pański zabójca szybko umocował je, układając w tak wymyślny sposób.

– Ile czasu zajęłaby taka operacja?

– Dla kogoś z moim doświadczeniem – mniej niż dziesięć minut.

Sylwetka zabójcy zaczynała nabierać kształtów. Wyszli oboje na zewnątrz. Słońce przeświecało przez chmury, nadając szczytom blask kryształu.

– Jest pani profesorem na tej uczelni?

– Wykładam geologię.

– A co jeszcze?

– Moje wykłady dotyczą różnych dziedzin: klasyfikacja kamieni, przemieszczenia tektoniczne, glacjologia – ruchy lodowców.

– Wygląda pani bardzo młodo. Prawdziwa ozdoba uczelni.

– Jestem córką i wnuczką zasłużonych profesorów z Guernon.

– Należy więc pani do bractwa?

– Jakiego bractwa?

– Jeden z moich ludzi studiował w Guernon. Opowiadał mi, że na uczelni istniała grupa elitarnej młodzieży trzymająca się z dala od innych. Należały do niej dzieci tutejszych wykładowców…

Fanny pokręciła głową przecząco.

– Nazwałabym to raczej wielką rodziną. Dzieci, o których pan mówi, dorastały na terenie uniwersytetu, tu się uczyły, wychowywały się w jego atmosferze. Potem uzyskiwały doskonałe wyniki w nauce. To chyba zrozumiałe?

– Nawet w dyscyplinach sportowych?

– To sprawa górskiego powietrza.

– Znała pani na pewno Rémy’ego Caillois. Jaki on był?

Fanny odpowiedziała bez wahania:

– Samotny. Zamknięty w sobie. Ponury. A przy tym bardzo zdolny. Prawdziwy erudyta. Krążyła plotka… że jakoby przeczytał wszystkie książki z naszej biblioteki.

– Myśli pani, że ta plotka miała jakieś podstawy?

– Nie wiem, ale księgozbiór biblioteki znał na wylot. Biblioteka była jego kryjówką, schronieniem, azylem.

– Był dość młody jak na to stanowisko.

– Dorastał w tej bibliotece. Jego ojciec był dyrektorem uniwersyteckiej biblioteki.

– Tego nie wiedziałem. Czy Caillois też należeli do waszej „wielkiej rodziny”?

– Ależ skąd! Przeciwnie, Rémy był wrogo do nas nastawiony. Mimo swej wiedzy nigdy nie osiągał rezultatów, na jakie liczył. Przypuszczam, że nam zazdrościł.

– Jaka była jego specjalność?

– Chyba filozofia. Swoją pracę dyplomową pisał z filozofii.

– Na jaki temat?

– Nie mam pojęcia.

Komisarz umilkł. Spoglądał na góry coraz bardziej oświetlone słońcem. Przywodziły mu na myśl oślepionych jaskrawym światłem gigantów.

– Czy jego ojciec jeszcze żyje?

– Nie. Zaginął kilka lat temu. Wypadek w górach.

– Nie było w tym nic podejrzanego?

– O co panu chodzi? Zginął pod lawiną, która zeszła z Grande Lance d’Allemont w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku. Jest pan gliną w każdym calu.

– Mamy dwóch bibliotekarzy alpinistów. Ojca i syna. Obaj zginęli w górach. Ten zbieg okoliczności chyba zasługuje na uwagę?

– Nic nie świadczy o tym, że Rémy zginął w górach.

– To prawda. Wyszedł jednak w niedzielę rano na wycieczkę. Pewnie został zaskoczony przez zabójcę tam wysoko. Może morderca znał jego trasę…

– Rémy nie należał do tych, którzy chodzą utartym szlakiem. I nie rozmawiał z nikim o swojej marszrucie. To był człowiek bardzo skryty.

Niémans skłonił się.

– Dziękuję pani. Na zakończenie muszę jeszcze powiedzieć oklepaną formułkę: jeśli przypomni pani sobie o jakimś szczególe, proszę skontaktować się ze mną pod jednym z tych numerów. – Napisał numer swojego pagera i telefonu w czytelni, którą rektor mu udostępnił, komisarz wolał bowiem zainstalować się na uczelni niż w biurze żandarmerii. Mruknął na pożegnanie: – Do zobaczenia.

Dziewczyna nie podniosła oczu. Kiedy jednak Niémans zabierał się do odejścia, zapytała:

– Mogę zadać panu jedno pytanie?

Utkwiła w nim spojrzenie swych jasnych oczu. Niémans poczuł się nieswojo. Jej tęczówki miały niezwykły blask kryształu, wzburzonej wody lub skrzącego się szronu.

– Słucham.

– W radiu powiedzieli… Czy to prawda, że należał pan do ekipy, która zabiła Jacques’a Mesrine’a?

– Byłem wtedy bardzo młody, ale to prawda.

– Zastanawiałam się… Co się czuje po czymś takim?

– Po czym?

– Po takiej akcji.

Niémans zrobił kilka kroków w kierunku dziewczyny, która cofnęła się mimo woli. Wytrzymała jednak jego spojrzenie z arogancką miną.

– Zawsze z przyjemnością porozmawiam z panią, ale nigdy nie usłyszy pani ode mnie słowa na ten temat ani o tym, co straciłem tamtego dnia.

Fanny spuściła oczy.
– Rozumiem – powiedziała cicho.
– Nie, nie rozumie pani. I to pani wielkie szczęście.

6

Krople deszczu bębniły po jego plecach. Niémans pożyczył w żandarmerii buty terenowe i teraz wspinał się po dość wygodnych skalnych stopniach, utworzonych przez naturę. Znalazłszy się na szczycie uskoku, obejrzał dokładnie niszę, w której odkryto ciało, a także całe skalne zbocze. Dłońmi w rękawicach z goreteksu usiłował wymacać w chropowatej powierzchni ślady haków. Otwory w kamieniu.

Wiatr smagał jego twarz kroplami lodowatego deszczu. Niémans lubił to uczucie. Mimo okoliczności, z powodu których przybył nad to małe jeziorko, miał nieodparte wrażenie panującego tu spokoju. Może dlatego właśnie zabójca wybrał ten zakątek, gdzie panowała niczym niezmącona błoga cisza, a szmaragdowa zieleń wody przynosiła ukojenie wzburzonym umysłom.

Komisarz nic nie znalazł. Przeszukał niszę, ale i tam nie było śladów haków. Przyklęknął i ręką obmacywał wewnętrzne ściany niszy. Nagle jego palce natrafiły na otwór, wyraźny, wykonany precyzyjnie w samym środku sklepienia groty. Pomyślał przez moment o Fanny Ferreirze. Miała rację – zabójca, zaopatrzony w haki i bloczki, wciągnął ciało, wykorzystując własny ciężar.

Wsunął głębiej rękę i znalazł jeszcze trzy otwory głębokości dwudziestu centymetrów, ułożone w trójkąt – trzy odciski haków podtrzymujących bloczki. Zaczynały się zarysowywać okoliczności zbrodni. Rémy Caillois został zaskoczony podczas swojej wycieczki. Morderca związał go, torturował, okaleczył, a w końcu zabił w tym górskim pustkowiu. Następnie opuścił się na dół. Jak się stąd wydostał? Niémans spojrzał piętnaście metrów niżej, tam gdzie woda tworzyła lśniące lustro jeziora. Z pewnością popłynął kajakiem lub czymś w tym rodzaju.

Ale dlaczego zadał sobie tyle trudu? Dlaczego nie zostawił ciała na miejscu zbrodni?

Komisarz zszedł bardzo ostrożnie na dół. Ściągnął rękawiczki, odwrócił się plecami do masywu skalnego i przyjrzał się uważnie miejscu, gdzie na

gładkiej tafli wody widoczny był cień rzucany przez uskok. Odbicie było tak wyraźne jak obraz. Ponownie pomyślał, że to miejsce jest jakby sanktuarium kompletnej ciszy i absolutnej czystości. Zabójca pewnie dlatego je wybrał.

Poszukiwany zabójca był z całą pewnością alpinistą.

Wóz Niémansa miał zainstalowany nadajnik VHF, ale komisarz nigdy go nie używał. Przy poufnych rozmowach nie korzystał także ze swego telefonu komórkowego, który zapewniał jeszcze mniej dyskrecji. Od kilku lat najchętniej używał pagera, zmieniając marki i modele. Nikt nie mógł podłączyć się do tego systemu, który działał tylko po podaniu hasła. Nabył tę zabawkę u dilerów paryskich, którzy natychmiast docenili fakt, że pagery zapewniają dyskrecję w przekazywaniu wiadomości. Numer komisarza znali tylko Joisneau, Barnes i Vermont. Wsiadając do samochodu, wyjął pager z kieszeni i nacisnął guzik. Żadnych wiadomości.

Uruchomił silnik i pojechał z powrotem na uniwersytet.

Dochodziła godzina jedenasta rano. Na obsadzonym zielenią placu widać było niewiele osób. Kilku studentów biegało na stadionie, nie bardzo pasującym do skupiska betonowych bloków.

Komisarz skręcił w ulicę poprzeczną i skierował się ponownie do ogromnego głównego gmachu, mającego osiem pięter i sześćset metrów długości. Zaparkował wóz i spojrzał na plan budynku. Poza biblioteką znajdowały się tutaj także sale wykładowe wydziału medycznego oraz fizyki i chemii. Na poszczególnych piętrach usytuowano laboratoria. Najwyższe piętro przeznaczono na internat. Strażnik kampusu podał komisarzowi numer apartamentu zajmowanego przez Rémy’ego Caillois i jego młodą żonę.

Pierre Niémans minął drzwi do biblioteki i wszedł do obszernego holu, gdzie światło wpadało przez duże okna. Ściany ozdobiono prostymi freskami, połyskującymi w jasnym blasku poranka, drugi koniec holu kilkaset metrów dalej ginął w mglistej poświacie. Rozmiarami hol przywodził na myśl budownictwo socrealizmu – nic tu nie przypominało atmosfery jasnych marmurów i ciemnych drewnianych boazerii uczelni paryskich. Przynajmniej tak wyobrażał to sobie Niémans, który nigdy nie postawił nogi w żadnym uniwersytecie. Ani w Paryżu, ani gdzie indziej.

Wszedł na granitowe stopnie wiszących schodów, których każda część tworzyła spiralę oddzieloną pionową ścianką. Fantazja architektoniczna

w tak samo przytłaczającym stylu jak reszta. Co druga lampa nie działała i Niémans wchodził na zmianę w strefy całkowitych ciemności lub zalane jaskrawym światłem.

Wreszcie dotarł do wąskiego korytarza z licznymi drzwiami. Rozejrzał się w ciemnościach – widocznie przepaliły się wszystkie żarówki – szukając numeru 34, mieszkania Caillois.

Gdy go w końcu odnalazł, lekko pchnął uchylone drzwi z cienkiej sklejki.

Powitały go cisza i półmrok. Znalazł się w małym przedpokoju. W głębi, w smudze światła, zauważył rozwieszone na ścianach biało-czarne fotografie, zrobione chyba w latach trzydziestych lub czterdziestych. Przedstawiały dumnych ze zwycięstwa lekkoatletów, którzy nie szczędząc wysiłku, skaczą aż pod niebo lub w rekordowym czasie pokonują ostatnie metry bieżni. Z ich twarzy, sylwetek, postawy, jak z posągów bogów, emanowała niezwykła doskonałość. Wszystko to pasowało do architektury uniwersytetu.

Na wiszącym u dołu portrecie widniał Rémy Caillois. Komisarz zdjął fotografię, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Młody, przystojny, uśmiechnięty mężczyzna, z krótko przystrzyżonymi włosami. Z jego oczu wyzierał jakiś szczególny niepokój.

– Kim pan jest?

Niémans odwrócił się. Z głębi korytarza wyłoniła się sylwetka kobiety w nieprzemakalnym płaszczu. Mogła mieć około dwudziestu pięciu lat. Niezbyt długie jasne włosy okalały szczupłą, pociągłą twarz, której bladość podkreślały cienie pod oczami. Na jej pięknej twarzy, z delikatnymi rysami, malowało się ogromne przygnębienie.

– Jestem komisarzem policji. Pierre Niémans – przedstawił się.

– I wchodzi pan bez pukania?

– Przepraszam. Drzwi były otwarte. Czy pani jest żoną Rémy’ego Caillois?

Zamiast odpowiedzi kobieta wyrwała zdjęcie z rąk komisarza i powiesiła je z powrotem na ścianie. Zdjęła płaszcz nieprzemakalny i weszła do pokoju z lewej strony. Niémans mimo woli dostrzegł w rozchyleniu zniszczonego swetra białą, wątłą pierś. Wzdrygnął się.

– Proszę wejść – powiedziała niechętnie.

Niémans zobaczył urządzony starannie, choć w dość surowym stylu, mały salon. Na ścianach wisiały nowoczesne obrazy. Symetryczne linie, niepokojące barwy, niezrozumiałe figury. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Jego uwagę zwrócił inny szczegół – w pokoju unosił się silny chemiczny zapach. Był to zapach kleju. Widać niedawno położone zostały nowe tapety. Serce mu się ścisnęło. Pomyślał, że życie okrutnie doświadczyło tę kobietę.

– Proszę pani, przyjechałem z Paryża – zaczął oschłym tonem. – Zostałem tu wezwany przez sędziego, żeby pomóc w śledztwie dotyczącym zabójstwa pani męża.

– Czy coś pan znalazł?

Komisarz przyjrzał jej się. Ta kobieta przepełniona była żalem, ale jeszcze bardziej nienawiścią do policji.

– Na razie nie mamy nic – przyznał. – Mam jednak nadzieję, że śledztwo…

– Czekam na pańskie pytania.

Niémans usiadł na kanapie naprzeciw kobiety, która odsunęła krzesło, jakby chciała być jak najdalej od niego. Zmieszany podniósł poduszkę i obracał ją w rękach przez kilka sekund.

– Czytałem pani zeznanie. Chciałbym uzyskać kilka dodatkowych informacji. Czy dużo osób chodzi na wycieczki w tym regionie?

– Czy sądzi pan, że w Guernon jest tak wiele atrakcji? Wszyscy tu chodzą i wspinają się po górach.

– Czy inni wycieczkowicze znali trasy, którymi chadzał Rémy?

– Nie. Nigdy o tym nie mówił. Miał swoje własne ścieżki.

– Czy były to po prostu spacery, czy dłuższe wyprawy?

– To zależy. W niedziele Rémy szedł w góry, przynajmniej na wysokość dwóch tysięcy metrów. Ale nie zabierał ze sobą sprzętu.

Niémans milczał jakiś czas, po czym zapytał:

– Czy pani mąż miał wrogów?

– Nie.

Dwuznaczny ton tej odpowiedzi kazał mu zadać następne pytanie, które jego samego zaskoczyło:

– Czy miał przyjaciół?

– Nie. Rémy był człowiekiem zamkniętym w sobie.

– Jakie były jego relacje ze studentami, którzy przychodzili do biblioteki?

– Jego kontakty z nimi ograniczały się do przyjmowania rewersów.

– Nie zdarzyło się nic dziwnego w ostatnim czasie?

Ponieważ kobieta milczała, Niémans zapytał inaczej:

– Czy pani mąż nie był jakoś szczególnie zdenerwowany, spięty?

– Nie.

– Proszę mi opowiedzieć, jak zaginął jego ojciec.

Sophie Caillois podniosła wzrok. Miała ciemne, przygasłe źrenice, ale przepiękne brwi i rzęsy. Wzruszyła ramionami.

– Zginął pod lawiną w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku. Wtedy nie byliśmy jeszcze małżeństwem. Nic więcej nie wiem. Rémy nigdy o tym nie mówił. Do czego to panu potrzebne?

Komisarz milczał, rozglądając się po pokoju z meblami ustawionymi jak pod sznurek. Dobrze znał tego rodzaju miejsca. Wiedział, że nie jest tu sam na sam z Sophie Caillois. Pamięć o zmarłym była wszechobecna, jakby jego duch właśnie pakował walizki gdzieś w sąsiednim pokoju. Komisarz wskazał obrazy na ścianie.

– Pani mąż nie trzymał tu żadnych książek?

– Nie miał takiej potrzeby. Cały dzień pracował w bibliotece.

– Czy tam właśnie przygotowywał swoją pracę dyplomową?

Kobieta potwierdziła krótkim skinieniem głowy. Niémans nie przestawał obserwować jej pięknej i nieprzystępnej twarzy. Zadziwiające było to, że w ciągu niecałych dwóch godzin poznał dwie tak urzekające kobiety.

– Na jaki temat pisał pracę dyplomową?

– O igrzyskach olimpijskich.

– Do tego nie potrzeba być intelektualistą.

Na twarzy Sophie Caillois pojawił się wyraz lekceważenia.

– Praca dotyczyła relacji między wysiłkiem fizycznym i świętością, ciałem i myślą. Prowadził badania nad mitem o *athlon*, interesował go człowiek pierwotny, który uzyskiwał urodzajność ziemi dzięki swojej sile fizycznej, pokonawszy ograniczenia własnego ciała.

– Niech mi pani wybaczy – jęknął Niémans. – Nie znam się na filozofii. Czy ma to jakiś związek ze zdjęciami w korytarzu?

– Tak i nie. Są to kadry z jednego z filmów Leni Riefenstahl o olimpiadzie w Berlinie w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku.

– Te zdjęcia robią wrażenie.

– Rémy mawiał, że ta olimpiada swoją atmosferą odpowiadała całkowicie igrzyskom w Olimpii, gdzie przewodnią ideą był związek ciała i myśli, fizycznego wysiłku i myśli filozoficznej.

– W tym konkretnym przypadku mamy do czynienia z ideą nazistowską, czyż nie?

– Dla mojego męża nie liczyły się słowa. Fascynował go związek idei i siły fizycznej, ducha i ciała.

Niémans nie pojmował nic z tego zagmatwanego wywodu. Kobieta pochyliła się i spytała niespodziewanie ostrym tonem:

– Dlaczego pana tu przysłano? Dlaczego właśnie kogoś takiego jak pan?

Zignorował napastliwość tej uwagi. Przepytując świadków, zawsze stosował tę samą technikę – bezosobową i chłodną, onieśmielającą rozmówcę. Policjant, zwłaszcza ktoś z jego gębą, nie musi grać na uczuciach ani posługiwać się psychologicznymi sztuczkami.

– A czy pani zdaniem mógł ktoś mieć jakieś pretensje do pani męża?

– Czy pan zwariował? Nie widział pan ciała? Nie rozumie pan, że mojego męża zabił jakiś szaleniec? Że to jakiś dewiant go napadł, pobił, torturował, zamęczył na śmierć?

Niémans odetchnął głęboko. Pomyślał o tym cichym, oderwanym od świata bibliotekarzu i jego agresywnej żonie. Przedziwna para.

– Jak układało się w waszym małżeństwie? – zapytał.

– A co to pana obchodzi?

– Proszę jednak odpowiedzieć.

– Jestem podejrzana?

– Dobrze pani wie, że nie. Proszę o odpowiedź.

– Czy chce pan wiedzieć, ile razy w tygodniu się kochaliśmy? – Z jej spojrzenia biła nieukrywana wrogość.

Niémans poczuł gęsią skórkę na karku.

– Proszę panią o współpracę. Wykonuję tylko mój zawód.

– Wynoś się, zasrany gliniarzu.

Jej zęby nie były śnieżnobiałe, ale usta miała prześliczne, fascynujące. Niémans podziwiał jej wystające kości policzkowe, brwi, niezwykle wyraziste oczy i cerę o jasnej karnacji. Doskonała i nieskazitelna piękność. Komisarz nie ruszył się z miejsca.

– Niech się pan wynosi! – krzyknęła.

– Ostatnie pytanie. Rémy cały czas przebywał na terenie uniwersytetu. Kiedy odbył służbę wojskową?

Sophie Caillois znieruchomiała, zaskoczona tym pytaniem. Skuliła się, jakby ogarnięta wewnętrznym chłodem.

– Nie był w wojsku.

– Nie powołano go?

Przytaknęła skinieniem głowy.

– Z jakiego powodu?

Spojrzała znowu uważnie na komisarza.

– Czego pan szuka?

– Z jakiego powodu? – powtórzył.

– Pewnie zadecydował tak psychiatra.

– Rémy cierpiał na zaburzenia umysłowe?

– Skąd pan przyjechał? Wszyscy starają się wykręcić od wojska. To o niczym nie świadczy. Symuluje się chorobę i sprawa załatwiona.

Niémans nic już nie powiedział, ale jego mina musiała wyrażać nieskrywaną dezaprobatę. Kobieta otaksowała go wzrokiem od stóp do głów, jego nienaganną elegancję, i skrzywiła się z niesmakiem.

– Zabieraj się stąd, do cholery.

Podniósł się i mruknął:

– Wychodzę, ale chciałbym, żeby pani wiedziała jedno.

– Co takiego? – warknęła.

– Czy się to pani podoba, czy nie, ale to właśnie tacy ludzie jak ja chwytają zbrodniarzy. Tylko tacy jak ja mogą pomścić mordercę pani męża.

Twarz Sophie Caillois stężała na kilka sekund, a potem jej podbródek zadrżał. Wybuchnęła płaczem.

– Znajdę go – powtórzył.

Stojąc już w drzwiach, rzucił przez ramię:

– Przysięgam, że znajdę tego łajdaka, który zamordował pani męża.

Na zewnątrz oślepiła go jasność dnia. Pod powiekami zatańczyły czarne plamy. Potrzebował kilku sekund, żeby coś zobaczyć. Idąc do samochodu, wielkim wysiłkiem woli nakazał sobie spokój. Widział wciąż twarze tych dwóch kobiet – ciemnowłosej Fanny Ferreiry i jasnowłosej Sophie Caillois. Dwie kobiety o silnych charakterach, inteligentne i agresywne. Takich kobiet nigdy nie trzymał w swoich objęciach.

Kopnął z całej siły żelazny kosz na śmieci zawieszony na słupie, potem sprawdził mimochodem pager.

Ekranik zamigotał: lekarz sądowy zakończył sekcję zwłok.

Część II

7

O świcie tego samego dnia, dwieście pięćdziesiąt kilometrów na zachód, porucznik policji Karim Abdouf kończył czytać książkę na temat wykorzystania genetyki w sprawach o gwałt i morderstwo. Nad tym sześćsetstronicowym dziełem prześlęczał całą noc. Spojrzał na kwarcowy budzik, który właśnie zadzwonił. Była siódma rano.

Karim westchnął, rzucił książkę w kąt pokoju i poszedł do kuchni, żeby zrobić sobie mocną herbatę. Potem wrócił do salonu, który był zarazem jego jadalnią i sypialnią. Zapatrzył się w panujące za oknem ciemności. Z czołem opartym o szybę rozważał w myśli swoje szanse na prowadzenie badań genetycznych w tej zakazanej dziurze, dokąd go karnie przeniesiono. Te szanse były zerowe.

Młody Arab przyglądał się latarniom ulicznym, których światło przebijało się jeszcze przez mrok nocy. W ustach poczuł smak goryczy. Gdy prowadził działalność przestępczą, zawsze udawało mu się uniknąć więzienia. I oto teraz, w wieku dwudziestu dziewięciu lat, kiedy został gliną, znalazł się w najbardziej parszywym więzieniu, jakie można sobie wyobrazić – w małej prowincjonalnej mieścinie, przytłaczającej nudą, położonej w kamienistej okolicy. Więzienie bez murów i krat. Więzienie psychiczne, które go stopniowo zżerało.

Karim oddał się marzeniom. Widział już, jak wsadza do pudła seryjnych zabójców dzięki analizie DNA i specjalistycznym programom niczym na amerykańskich filmach. Wyobraził sobie, że stoi na czele ekipy badającej mapę genetyczną przestępców. Opierając się na badaniach i statystyce, specjaliści wyodrębnili coś w rodzaju przerwy lub uskoku na jakimś odcinku łańcucha chromosomów i uznali to pęknięcie za kluczowe w skłonnościach przestępczych. Poprzednio mówiono już o podwójnym chromosomie Y, który miałby być charakterystyczny dla zabójców, lecz później ten ślad okazał się fałszywy. Według Karima istniał jednak jakiś inny „błąd ortograficzny” w zbiorze liter kodu genetycznego, o którym marzył, że go odkryje. Nagle mimo woli zadrżał.

Jeśli rzeczywiście taki „błąd” istniał, to również on sam nie jest od niego wolny.

Dla Karima słowo „sierota” nie miało nigdy żadnego znaczenia. Można żałować czegoś, co się znało, a on nigdy nie zaznał, nawet w najmniejszym stopniu, życia rodzinnego. Jego najdawniejsze wspomnienia wiązały się z ciasnym kątem pokoju z podłogą pokrytą linoleum, z biało-czarnym telewizorem. Wychował się na ulicy Maurice’a Thoreza, w Nanterre, w samym sercu brzydkiej, bezbarwnej dzielnicy. Małe szeregowe domki, puste tereny przekształcające się w miasto. Pamiętał, jak bawił się w czasach dzieciństwa w chowanego na placach budowy, które wkraczały stopniowo na pola porośnięte perzem.

Karim był dzieckiem porzuconym albo znalezionym. Wszystko zależało od punktu widzenia. W każdym razie nigdy nie poznał swoich rodziców ani niczego nie dowiedział się o swoim pochodzeniu. Nie mówił zbyt dobrze po arabsku, miał mgliste pojęcie o islamie. W wieku kilkunastu lat szybko uwolnił się od swoich opiekunów, których dobra wola i uczciwość przyprawiały go o mdłości. Jego domem stało się miasto.

Poznał wtedy Nanterre, terytorium bez granic, pocięte szerokimi alejami, z ogromnymi osiedlami, fabrykami, budynkami administracji miejskiej, ze spieszącymi w różne strony przechodniami, podenerwowanymi, wymiętymi, w starych łachach, którzy niczego nowego nie spodziewali się od jutra i nigdy nie śpiewali. Tutejsza atmosfera szokowała jednak tylko bogaczy. Karim nie dostrzegał ubóstwa szpecącego całe miasto, od najmniejszego kamienia po pobrużdżone zmarszczkami twarze jego mieszkańców.

Przeciwnie, zachował wzruszające wspomnienia z okresu dojrzewania. Był to czas punków – *No Future*. Trzynaście lat. Pierwsze przyjaźnie. Pierwsze kobiety. Paradoksalnie, Karim, w samotności i udręce dorastania, nauczył się kochać ludzi. Po sierocym dzieciństwie trudne lata młodzieńcze stały się dla niego jakby drugą szansą nawiązania kontaktu z ludźmi, wreszcie mógł podzielić się myślami z innymi, otworzyć serce przed całym światem. Do dziś doskonale pamiętał tamtą epokę. Długie godziny spędzane w piwiarniach, mocowanie się na rękę obok automatów do gry, przy wtórze rechotu kumpli. Niekończące się marzenia i suchość w gardle, gdy myślał o jakiejś dziewczynie, którą zobaczył na schodach liceum.

Choć przedmieście ukrywało swoje prawdziwe oblicze, Abdouf zawsze wiedział, że życie w Nanterre było smutne i bez nadziei na zmianę. Teraz odkrył, że w mieście panowała bezwzględna przemoc.

Pewnego piątkowego wieczoru grupa bandziorów wtargnęła do kafejki na pływalni, gdzie odbywały się właśnie wieczorne zawody. Bez słowa, kopniakami i pałkami zmasakrowali twarz właścicielowi. Stara historia – odmowa wstępu, niezapłacone piwo. Stłumione krzyki nieszczęśnika leżącego pod kontuarem odbijały się echem w nerwach Karima. Tego samego wieczoru oświecono go. Poznał nazwiska, miejsca, usłyszał różne plotki. Był to inny świat, którego istnienia wcześniej nie podejrzewał. Świat gwałtu, zakazanych miejsc. Innym razem, na chwilę przed koncertem, na ulicy l'Ancienne-Mairie, bójka przekształciła się w masakrę. Znowu sprawka jakichś gangów. Karim zobaczył wówczas twardych facetów z twarzami rozbitymi o asfalt, dziewczęta z zakrwawionymi włosami, szukające schronienia pod samochodami.

Młody Arab dorastał i nie poznawał już swojego miasta. Nowa fala narastała. Opowiadano z podziwem o Viktorze, Kameruńczyku, który szprycował się na dachach domów. O Marcelu, włóczędze z twarzą naznaczoną syfilisem, z niebieskim pieprzykiem wytatuowanym na czole w stylu hinduskim, wielokrotnie skazanym za czynną zniewagę policjantów. O Jamelu z Saidu, który zrobił skok na bank. Czasami Karim widywał te typy przy wejściu do szkoły. Zaskoczony był ich pełnym godności, pewnym siebie zachowaniem. Okazali się facetami z klasą, eleganckimi, z manierami.

Karim też chciał być taki. Najpierw kradł radia z samochodów, potem samochody, aż stał się całkiem niezależny finansowo. Spotykał się z narkomanem, czarnym, z „braćmi" włamywaczami, a zwłaszcza z Marcelem, brutalnym włóczęgą, narkotyzującym się od rana do wieczora, który jednocześnie zachował pewien dystans w stosunku do przedmieścia, co fascynowało Karima. Marcel, z krótkimi i utlenionymi włosami, nosił futrzaną kurteczkę i lubił słuchać *Rapsodii węgierskich* Liszta. Mieszkał nielegalnie w domach przeznaczonych do rozbiórki i czytywał Blaise'a Cendrarsa. Nazywał Nanterre „ośmiornicą" i miał na poczekaniu przeróżne zmyślone historyjki, mające usprawiedliwić to, że znalazł się w rynsztoku. Paradoksalnie, właśnie ci osobnicy ukazali Karimowi, że poza jego przedmieściem istnieje inne życie.

Młody Arab przysiągł sobie wtedy, że się stąd wyrwie.

Nie rezygnując ze złodziejskiego fachu, pilnie uczęszczał do liceum. Przerobił w jednym roku materiał dwóch klas, co wszystkich zdumiało. Zapisał się na kurs tajskiego boksu, żeby bronić się przed innymi i przed sobą samym, bo zdarzały mu się zdumiewające, niekontrolowane napady furii. Naokoło wszystko nurzało się w bagnie przestępczości i euforii narkotykowej. Karim skończył siedemnaście lat. Znowu był samotny. Otaczało go milczenie, gdy szedł korytarzem ośrodka społecznego, gdy pił kawę obok automatów do gry w piwiarni liceum. Nikt nie śmiał go zaczepiać. W tym czasie został wytypowany do udziału w regionalnych zawodach boksu tajskiego. Wszyscy wiedzieli, że Karim potrafi rozbić każdemu nos jednym kopnięciem, nawet nie zdejmując rąk z kontuaru. Opowiadano także po cichu i inne historie: o włamaniach, o podejrzanych transakcjach, o nieprawdopodobnych bójkach…

Większość tych plotek nie miała nic wspólnego z prawdą, ale zapewniały mu one względny spokój. Zdał egzamin maturalny z ogólną oceną dobrą. Kiedy dyrektor liceum składał mu gratulacje, Karim pomyślał, że chyba ten człowiek się go bał. Zapisał się na wydział prawa. Oczywiście w Nanterre. W tym czasie kradł dwa samochody w miesiącu. Ciągle używał innych dokumentów. Był z pewnością jedynym Arabem w mieście, który nigdy nie został zatrzymany przez policję. Nigdy też nie spróbował żadnych prochów.

W wieku dwudziestu jeden lat Karim otrzymał dyplom prawnika. I co miał dalej robić? Żaden adwokat nie zatrudniłby nawet jako gońca młodego Araba o wzroście metr osiemdziesiąt pięć, chudego jak szczapa, z kozią bródką, warkoczykami i kolczykami w uszach. Czy miał się zarejestrować jako bezrobotny i czekać w kolejce na pracę? Wolał raczej zdechnąć z głodu. Czy nadal miał kraść samochody? Karim lubił ponad wszystko tajemnicze nocne godziny, ciszę parkingów, przypływ adrenaliny, kiedy pokonywał system zabezpieczeń w kolejnych bmw. Czuł, że brak mu będzie tego podwójnego życia, trudnego, niebezpiecznego i tajemniczego. Wiedział również, że któregoś dnia szczęście może się od niego odwrócić.

I wtedy przyszło nań olśnienie: zostanie gliniarzem. Będzie obracać się w tym samym ciemnym światku, ale pod osłoną prawa, które lekceważył, chroniony przez państwo, którym gardził z całej duszy. Już w najmłodszych latach Karim wiedział, że nie ma ani ojczyzny, ani rodziny. Musi kierować się tylko własnymi prawami, a jego krajem jest własna przestrzeń życiowa.

Po odbyciu służby wojskowej zapisał się do wyższej szkoły inspektorów policji w Cannes-Écluse, w pobliżu Montereau, i zamieszkał w internacie. Po raz pierwszy w życiu opuścił Nanterre. Natychmiast uzyskał doskonałe rezultaty. Był nieprzeciętnie zdolny, a poza tym z własnej praktyki znał metody działania przestępców, prawa rządzące gangami, ich rewiry. Również jako strzelec nie miał równego sobie. Doszedł do perfekcji w sztuce karate, która była kwintesencją walki wręcz, uprawianej przez silnych mężczyzn, spragnionych niebezpieczeństwa i ryzyka. Koledzy w szkole policyjnej instynktownie go nienawidzili. Był Arabem. Chodził z wysoko podniesioną głową. Potrafił zachowywać się bardziej kulturalnie niż większość jego kolegów pochodzących z biednych rodzin, bez konkretnych planów na przyszłość, którzy zapisali się do policji, żeby uciec przed bezrobociem.

Rok później Karim ukończył edukację, odbywszy staż w wielu komisariatach paryskich. Wciąż takie same miejsca, ta sama nędza, lecz tym razem w Paryżu. Młody stażysta wynajął małe mieszkanko w dzielnicy Abbesses. Zrozumiał, z nieco mieszanymi uczuciami, że jest uratowany.

Nie zerwał jednak do końca ze swoją przeszłością. Przyjeżdżał regularnie do Nanterre i zbierał nowiny. Viktora znaleziono na dachu ośmiopiętrowego bloku, skulonego, ze strzykawką wbitą w mosznę. Przedawkował. Hasan, kabylski muzyk, potężny blondyn, dał sobie odstrzelić głowę z broni myśliwskiej. „Bracia włamywacze” przebywali w więzieniu w Fleury-Mérogis. Marcel natomiast całkowicie uzależnił się od heroiny.

Karim widział, jak jego przyjaciele staczają się, zmierzając ku nieuchronnej katastrofie. AIDS przyspieszał jeszcze ten proces destrukcji. Szpitale, niegdyś pełne wyniszczonych pracą robotników, obłożnie chorych starców, teraz zapełniały się nieszczęsnymi dzieciakami z czarnymi dziąsłami, z pokrytą cętkami skórą, z przeżartymi wnętrznościami. Większość jego dawnych kumpli tak właśnie umierała. Zgubny nałóg pochłaniał coraz więcej ofiar, a wywołane przezeń zapalenie wątroby typu C dziesiątkowało szeregi jego generacji.

Jego miasto umierało.

W czerwcu 1992 roku Karim otrzymał dyplom inspektora wraz z gratulacjami członków jury, godnych politowania mieszczuchów. Trzeba to było jednak uczcić. Kupił butelkę szampana i udał się do Fontenelles, gdzie mieszkał Marcel. Do dziś pamiętał każdy najdrobniejszy szczegół

tego popołudnia. Zadzwonił do drzwi przyjaciela. Nikt się nie odezwał. Wypytał dzieciaki na dole, przeszukał wszystkie zakamarki budynku, piwnice, miejsca skupu makulatury… Nikt nic nie wiedział. Biegał tak aż do wieczora. Na próżno. O dziesiątej wieczorem udał się do szpitala Maison de Nanterre, na oddział seroterapii – Marcel od dwóch lat był zakażony wirusem HIV. Zobaczył wynędzniałe twarze chorych, ogłupiałych od wąchania eteru, wypytywał lekarzy. Widział śmierć w akcji, przerażające postępy choroby.

Nie znalazł jednak Marcela.

Pięć dni potem dowiedział się, że znaleziono jego ciało w jakiejś piwnicy, z poparzonymi rękami, z pociętą twarzą, z powyrywanymi paznokciami. Marcel był potwornie torturowany, żeby w końcu umrzeć od strzału w szyję. Wiadomość ta nie zaskoczyła Karima. Jego przyjaciel nadużywał narkotyków i podkradał prochy z działek, które sprzedawał. Handlując nimi, ścigał się ze śmiercią. Właśnie tego samego dnia Karim otrzymał lśniącą, trójkolorową legitymację inspektora. W tym zbiegu okoliczności ujrzał znak. Zabójcy Marcela nie mogli przewidzieć, że miał on kumpla policjanta. Nie mogli też przewidzieć, że ten gliniarz nie zawaha się przed ich zabiciem w imię minionej przeszłości i z głębokim przekonaniem, że życie nie może być tak podłe.

Karim zaczął śledztwo na własną rękę.

Po kilku dniach znał już nazwiska morderców. Widziano ich z Marcelem na krótko przed morderstwem. Thierry Kalder, Éric Masuro, Antonio Donato. Karim poczuł rozczarowanie: chodziło o trzech drobnych opryszków, uzależnionych od narkotyków, którzy zapewne chcieli wydobyć od Marcela, gdzie przechowywał swój zapas kokainy. Po dokładniejszym zbadaniu sprawy stwierdził, że ani Kalder, ani Masuro nie mogli torturować Marcela. Byli na to za słabi. Całą winę ponosił Donato. Miał na koncie napady i gwałty na nieletnich oraz stręczycielstwo. Przesiąkł kokainą do szpiku kości.

Karim uznał, że jedna ofiara zaspokoi jego pragnienie zemsty.

Musiał działać szybko. Policjanci z Nanterre także poszukiwali tych skurwysynów. Karim zapuścił się w miasto. Pochodził z Nanterre, znał je, mówił językiem tutejszych dzieciaków. Już następnego dnia zlokalizował trzech narkomanów. Mieszkali w zniszczonym budynku, obok wiaduktów Nanterre-Universite. Dom wyglądał tak, jakby lada moment miał się

rozpaść od wibracji wywoływanych łomotem samochodów, przejeżdżających w odległości kilku metrów od okien.

Karim udał się do tej rudery, nie zważając na hałas dochodzący z autostrady ani na palące żarem czerwcowe słońce. Bawiące się w kurzu dzieci odprowadziły wzrokiem potężnego faceta o wyglądzie włóczęgi, który wchodził do rozwalonego budynku.

Karim wszedł do holu z pootwieranymi skrzynkami na listy i wbiegł na schody. Mimo huku samochodów usłyszał dudnienie charakterystyczne dla muzyki rap. Uśmiechnął się do siebie, rozpoznając melodię A Tribe Called Quest z albumu, który znał od kilku miesięcy. Otworzył drzwi jednym kopnięciem i krzyknął: „Policja!”. Czuł, jak podskoczył mu poziom adrenaliny. Po raz pierwszy był w akcji jako policjant i nie bał się.

Trzy typy osłupiały ze zdumienia. W mieszkaniu walał się gruz, ścianki działowe były zburzone, ze wszystkich stron wystawały rury kanalizacyjne, na poprutym materacu królował telewizor. Najnowszy model Sony, z pewnością ukradziony poprzedniej nocy. Na ekranie wiły się blade postacie filmu porno. W kącie wibrował głośnik basowy, wzniecając gipsowy pył.

Karim wpadł do środka z uczuciem, że jego ciało wykonuje ruchy niezależnie od jego woli. Kątem oka zauważył radia samochodowe zwalone na kupę pod ścianą. Na przewróconym kartonowym pudle leżały rozdarte torebki z prochami. Dzięki antropometrycznemu zdjęciu, które miał w kieszeni, rozpoznał natychmiast Donata – blada, koścista twarz z jasnymi oczami, pocięta bliznami. Potem dwóch pozostałych, skulonych, usiłujących wyrwać się ze stanu halucynacji.

– Kalder, Masuro, zjeżdżajcie!

Zadrżeli, słysząc swoje nazwiska. Zawahali się, spojrzeli po sobie rozszerzonymi źrenicami, a potem wymknęli się za drzwi. Został Donato, który trząsł się jak suchy liść. Nagle sięgnął po broń. Gdy tylko wyciągnął rękę, Karim zmiażdżył mu ją i kopnął w twarz – nosił buty z podkutymi czubkami. Donato krzyknął chrapliwie, przyciśnięty mocno do materaca. W pokoju wciąż dudnił głuchy rytm A Tribe Called Quest.

Karim wyciągnął z kabury pistolet automatyczny i ujął kolbę przez plastikową torebkę, z niepalnego tworzywa, którą przyniósł ze sobą.

– Co jest… do cholery… zwariowałeś? – wydusił z siebie bandzior.

Karim wprowadził nabój do lufy i uśmiechnął się.

– Kulki, cwaniaczku. Nie widziałeś nigdy w telewizji, jak się to robi?

– Czego chcesz? Jesteś gliną? Na pewno jesteś gliną?

Karim przytaknął głową i powiedział:

– Przychodzę od Marcela.

– Od kogo?

Ten łajdak najwyraźniej niczego nie pojmował. Nawet nie przypominał sobie człowieka, którego zamęczył torturami. W pamięci tego narkomana Marcel jakby nigdy nie istniał.

– Błagaj go o przebaczenie.

– Co… takiego?

Po oświetlonej słońcem twarzy Donata spływał kroplami pot. Karim wycelował w niego pistolet.

– Błagaj Marcela o przebaczenie! – krzyknął. Donato zrozumiał, że za chwilę umrze.

– Przebacz mi, Marcel, przebacz! Kurwa mać! Błagam cię o przebaczenie, Marcel! Ja…

Karim dwa razy wystrzelił mu w twarz.

Wydobył kule spomiędzy popalonego włosia materaca, schował dymiące jeszcze łuski do kieszeni i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Przypuszczając, że tamci dwaj wrócą z posiłkami, odczekał kilka minut w holu. Zobaczył Kaldera i Masura w towarzystwie trzech mięczaków. Weszli do budynku przez wahadłowe drzwi. Zanim zdążyli zareagować, Karim pojawił się przed nimi i przyparł Kaldera do skrzynek na listy. Wyciągnął pistolet i wrzasnął:

– Powiesz jedno słowo i jesteś martwy. Będziesz mnie szukał, jesteś martwy. Zabijesz mnie, spotka cię to samo. Jestem policjantem, skurwielu! Policjantem, rozumiesz?

Pchnął go na podłogę i wyszedł na ulicę zalaną blaskiem słońca, depcząc butami odłamki szkła.

Takim sposobem Karim rozstał się z Nanterre, miastem, które nauczyło go wszystkiego.

Po kilku tygodniach młody Arab zadzwonił na komisariat policji na placu de la Boule z pytaniem, jak idzie śledztwo. Opowiedziano mu to, co sam wiedział. Donato został zastrzelony dwiema kulami z parabellum kaliber 9 milimetrów, nie odnaleziono jednak ani kul, ani łusek. Jego dwaj wspólnicy

zniknęli. Sprawa została umorzona. Tym lepiej dla policji. Tym lepiej dla Karima.

Karim złożył podanie o przyjęcie do BRI – brygady dochodzeniowo-interwencyjnej w komendzie policji na Quai des Orfèvres. Specjalizowała się w śledzeniu przestępców, łapaniu ich na gorącym uczynku poprzez urządzanie tak zwanych nalotów. Ponieważ jednak z tak dobrym wynikiem ukończył szkolenie, zaproponowano mu pracę w Szóstym Wydziale – w brygadzie antyterrorystycznej. Miałby za zadanie przeniknąć w środowisko integrystów islamskich w zapalnym rejonie przedmieścia. Policjantów pochodzenia arabskiego było niewielu i bardzo mógł się do tego przydać. Odmówił. Nie miał zamiaru grać roli konfidenta, nawet jeśli w grę wchodziliby fanatyczni mordercy. Karim chciał przemierzać królestwo nocy, robić obławy na zabójców, walczyć z nimi na ich własnym terenie, przebywać w świecie, do którego należał. Nie zrozumiano powodów jego odmowy. Kilka miesięcy później Karim Abdouf, który jako prymus opuścił szkołę inspektorów w Cannes-Écluse, nierozpoznany zabójca narkomana psychopaty, został wysłany do miejscowości Sarzac w departamencie Lot.

Lot. Region, gdzie nie zatrzymywały się pociągi, gdzie zza zakrętu drogi jak zjawy wyłaniały się miasteczka z domami z kamienia. Kraina jaskiń: wąwozy, przepaście, malowidła ścienne… i nawet ani jednego turysty. Zesłanie go w to miejsce Karim potraktował jak zniewagę. Był Arabem, człowiekiem z ulicy, nic nie mogło mu być bardziej obce niż to przeklęte prowincjonalne miasteczko.

I tak zaczęła się żałosna codzienność. Dni płynęły na śmiertelnie nudnych czynnościach. Potwierdzić wypadek drogowy, zatrzymać złodziejaszka w centrum handlowym, przyłapać gapowicza w jakimś obiekcie turystycznym…

Młody Arab zaczął więc żyć marzeniami. Zaopatrzył się w biografie sławnych policjantów. Kiedy tylko mógł, jeździł do bibliotek w Figeac lub Cahors, gdzie wyszukiwał w gazetach artykuły opisujące śledztwa i wszelkie wydarzenia przypominające mu o prawdziwym zawodzie policjanta. Wyszperał także stare powieści, wspomnienia o gangsterach. Zaprenumerował fachowe pisma policyjne, magazyny specjalizujące się w rodzajach broni, balistyce, nowych technologiach. Karim pogrążał się stopniowo w tym nierealnym świecie.

Mieszkał sam, spał sam, pracował sam. W komisariacie, z pewnością jednym z najmniejszych we Francji, bano się go i jednocześnie pogardzano nim. Koledzy nadali mu przydomek „Kleopatra” z powodu noszonych warkoczyków. Sądzono, że jest integrystą, bo nie pił alkoholu, a w czasie patroli nocnych odmawiał wizyty u Sylvie.

Zamknięty w swojej samotności, Karim liczył dni, godziny, sekundy. Potrafił spędzić całe tygodnie, nie otwierając do nikogo ust. Co pewien czas robił wypady do lasu, gdzie niestrudzenie powtarzał gesty i ciosy karate, a potem wystrzeliwał kilka magazynków w stuletnie drzewa.

W ten poniedziałkowy poranek musiał przerwać swój stan milczenia.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach. Karim mimochodem spojrzał na zegarek. Była godzina 7.45. Poszedł otworzyć.

Na progu stał Sélier, policjant z nocnej służby. Z jego poszarzałej twarzy wyzierały niepokój i niewyspanie. Karim nie zaproponował mu herbaty ani nie poprosił, by usiadł.

– Co się stało? – zapytał.

Policjant otworzył usta, ale nic nie powiedział. Pot spływał mu spod kasku na twarz.

– W szko… w szkole podstawowej… – wydusił wreszcie.

– Gdzie?

– W szkole imienia Jeana Jaurèsa. Było włamanie… w nocy.

Karim uśmiechnął się. Tydzień zaczynał się z rozmachem.

Złodziejaszki z sąsiedniego miasteczka zrobiły burdel w szkole, poprzewracały wszystko dla samej przyjemności psucia innym krwi.

– Duża rozróba? – zapytał, ubierając się.

Ubrany w przepisowy mundur Sélier skrzywił się, widząc, co Karim wkłada na siebie. Bawełnianą koszulkę, dżinsy, bluzę do joggingu z kapturem, na to skórzaną brązową marynarkę, model z lat pięćdziesiątych.

– Właśnie że nie – wyjąkał. – To robota zawodowców…

– Robota zawodowców? Co chcesz przez to powiedzieć?

– To nie są jakieś młodziaki, które wyczyniają głupoty… Weszli do szkoły za pomocą wytrycha. Nie starali się być ostrożni. Dyrektorka szkoły zauważyła ślady włamania, ale…

– Co ukradli?

Sélier westchnął i palcem wskazującym odciągnął kołnierzyk.

– Najdziwniejsze jest to, że nic nie ukradli.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Po prostu weszli do jednej sali i potem… wygląda na to, że sobie poszli…

Karim przez moment spoglądał w okno. Warkoczyki sterczały ukośnie przy jego skroniach, wąską i smagłą twarz wyostrzała dodatkowo kozia bródka. Wcisnął na głowę włóczkowy kolorowy beret i uśmiechnął się do swego odbicia. Diabeł z Karaibów. Odwrócił się do Séliera.

– Dlaczego przyszedłeś z tym do mnie?

– Crozier jeszcze nie wrócił z weekendu. Dusard i ja… pomyśleliśmy, że ty… Musisz to sam zobaczyć, Karim.

– Dobra. Idziemy.

8

Nad Sarzac wstawało bladawe, dające nikłe ciepło październikowe słońce. Karim jechał swoim starym peugeotem za wozem patrolowym. Przejeżdżali przez ciche o tej porze dzielnice. Gdzieniegdzie widniały słabo oświetlone okna.

Sarzac nie było ani starym, ani nowoczesnym miastem. Na długiej równinie rozłożyły się niczym szczególnie niewyróżniające się domy i zabudowania powstałe w ciągu dwustu lat. Tylko centrum mogło się pochwalić czymś wyjątkowym – był to mały tramwaj, kursujący starymi kamiennymi uliczkami z jednego końca miasta na drugi. Karimowi za każdym razem, kiedy tędy jechał, przychodziły na myśl Szwajcaria lub Włochy. Sam nie wiedział dlaczego. Nie znał żadnego z tych krajów.

Szkoła imienia Jeana Jaurèsa znajdowała się we wschodniej ubogiej dzielnicy, w pobliżu strefy przemysłowej. Karim dojechał do wyjątkowo brzydkiego kompleksu niebiesko-brązowych budynków, które przypominały mu miasto dzieciństwa. Szkoła stała przy betonowym podjeździe, górującym nad ulicą z popękanym asfaltem.

Na zewnątrz czekała na nich kobieta w ciemnym żakiecie. Dyrektorka szkoły. Karim przedstawił się. Przyjęła go ze szczerym uśmiechem, czym był niepomiernie zdziwiony. Zazwyczaj spotykał się z nieufnością. Podziękował jej w duchu za taką spontaniczność. Miała gładką jak tafla jeziora twarz, z dużymi zielonymi oczyma, przypominającymi dwa nefryty.

Bez żadnych wyjaśnień dyrektorka poprosiła, by poszedł za nią. Pseudonowoczesny budynek szkoły sprawiał wrażenie nieukończonego. A może był w trakcie renowacji. Niskie korytarze miały sufity wyłożone źle dopasowanymi płytami styropianu. Większość ścian pokryta była rysunkami dzieci, przybitymi pluskiewkami lub namalowanymi bezpośrednio na ścianie. Na niewielkiej wysokości umieszczono wieszaki na ubranka dzieci. Wszystko tu było zrobione byle jak.

Dyrektorka zatrzymała się przed uchylonymi drzwiami.

– To jedyne pomieszczenie, do którego weszli.

Pchnęła ostrożnie drzwi. Znaleźli się w gabinecie przypominającym raczej poczekalnię. W oszklonych szafach zgromadzono liczne segregatory i szkolne książki. Na małej lodówce stał ekspres do kawy. Biurko z drzewa imitującego dąb zastawione było kwiatami doniczkowymi ze spodkami pełnymi wody. W całym pomieszczeniu pachniało wilgotną ziemią.

– Jak pan widzi – powiedziała dyrektorka – otworzyli tę szafę. Przechowujemy w niej nasze archiwa. Wydaje się, że niczego nie ukradli ani nawet nie ruszyli.

Karim przyklęknął i obejrzał zamek w szafie. Dziesięć lat włamań i okradania samochodów dało mu solidne doświadczenie w tej materii. Bez wątpliwości intruz, który manipulował przy zamku, znał się na rzeczy. Po co zawodowiec miałby włamywać się do szkoły podstawowej w Sarzac? Karim wziął do ręki jeden segregator i pobieżnie go przejrzał. Wykaz nazwisk, komentarze nauczycieli, pisma urzędowe… Teczki w segregatorach ułożone były rocznikami.

– Nikt nic nie słyszał? – zapytał.

– Szkoła właściwie nie jest pilnowana. Mamy strażnika, ale, prawdę mówiąc… – odparła dyrektorka.

Karim w dalszym ciągu oglądał szafę.

– Jak pani sądzi, czy włamanie nastąpiło w nocy z piątku na sobotę, czy z soboty na niedzielę?

– Mogło się to stać nawet w dzień. W czasie weekendów nasza szkoła to istny młyn. Tu nie ma nic do ukradzenia.

– W porządku. Musi pani udać się na komisariat, żeby złożyć zeznanie.

– Czy pan jest wtyczką?

– Słucham?

– Ten pański ubiór, wygląd… Wmieszał się pan w szeregi gangu i…

Karim wybuchnął śmiechem.

– Tutaj nie ma gangów.

Dyrektorka, nie zwracając uwagi na jego słowa, mówiła dalej tonem eksperta:

– Wiem, jak to się odbywa. Widziałam dokumentalny film o tym. Tacy ludzie jak pan noszą dwustronne ubrania ze znakami policji krajowej i…

– Proszę pani – przerwał jej Karim. – Przecenia pani wasze małe miasteczko.

Zawrócił na pięcie i skierował się do drzwi. Dyrektorka złapała go za ramię.

– Nie zabezpieczy pan śladów, nie weźmie pan odcisków?

– Sądzę, że ze względu na wagę tej sprawy zadowolimy się pani zeznaniem i rozejrzymy się w tej dzielnicy.

Kobieta nie kryła rozczarowania. Spojrzała z nowym zainteresowaniem na Karima.

– Pan nie pochodzi stąd, prawda?

– Nie.

– Co pan takiego zmalował, że znalazł się tutaj?

– To długa historia. Być może wpadnę któregoś dnia i opowiem ją pani.

Po wyjściu ze szkoły Karim dołączył do policjantów w mundurach, którzy popalali papierosy w zaciśniętych dłoniach, z minami uczniaków złapanych na gorącym uczynku. Sélier wyskoczył z furgonetki.

– Poruczniku, mamy nową sprawę.

– Co takiego?

– Kolejne włamanie. Odkąd tu jestem, nigdy…

– Gdzie?

Sélier zawahał się, popatrzył na kolegów. Zamamrotał pod wąsami:

– Na cmentarzu. Ktoś wszedł do grobowca.

Na łagodnym stoku widniały zielonkawo-szare groby i krzyże, połyskujące w jasnym świetle słońca. Za żelaznym ogrodzeniem Karim poczuł zapach róż i zwiędłych kwiatów.

– Poczekajcie tutaj na mnie – powiedział do towarzyszących mu policjantów.

Włożył gumowe rękawiczki, mówiąc sobie w duchu, że Sarzac długo będzie wspominać ten poniedziałek.

Zanim tu przyjechali, Karim wrócił do swego mieszkanka, żeby wziąć potrzebny na taką okazję „ekwipunek”: pojemniki z proszkiem aluminiowym i grafitowym, taśmę klejącą i ninhydrynę do odtworzenia śladów linii papilarnych, jak również elastomer do utrwalania odcisków stóp. Postanowił starannie zabezpieczyć najmniejsze ślady.

Poszedł żwirowanymi alejkami do grobu, którego położenie wcześniej mu wskazano. W pierwszym momencie obawiał się większego zniszczenia, w rodzaju tych makabrycznych, jakie zdarzały się we Francji od wielu lat: rozbite czaszki, sprofanowane zwłoki. Tu jednak wszystko było

w porządku. Włamywacze niczego nie ruszyli poza odsunięciem płyty nagrobnej. Karim stanął przed monumentalnym granitowym grobowcem w kształcie kaplicy.

Drzwiczki były na pół otwarte. Karim przyklęknął i obejrzał je dokładnie. Podobnie jak w szkole włamywacze z wielką wprawą otworzyli grobowiec. Pomacał krawędź ścianki i doszedł do wniosku, że i tym razem dokonali tego zawodowcy. Czy ci sami?

Usiłował odtworzyć w wyobraźni całe zdarzenie. Dlaczego intruzi zadali sobie tyle trudu, żeby wejść do środka, a wyszli, nie zamykając grobowca? Zbadał dokładnie kamienny mur i zrozumiał – obsuwający się żwir spowodował wygięcie gzymsu i dlatego zatrzaśnięcie drzwi stało się niemożliwe.

Karim obejrzał kamienne zatyczki tworzące zamknięcie. Był to szczególny system, stosowany w tego typu budowlach, znany jednak tylko specjalistom. Karim ponownie zaczął się zastanawiać, czy to ta sama grupa dokonała włamania w szkole i na cmentarzu. Jaki mógł być związek między tymi dwoma zdarzeniami?

Odpowiedzi na to pytanie dostarczyła mu na początek stela nagrobna. Napis na niej głosił: *Jude Itero. 23 maja 1972–14 sierpnia 1982*. Może ten chłopiec uczęszczał do szkoły imienia Jeana Jaurèsa? Karim przyjrzał się jeszcze raz tablicy – nie zawierała żadnego epitafium, żadnej modlitwy. Pozostała tylko mała, owalna, podniszczona srebrna ramka przymocowana do marmuru. Wewnątrz jednak nie było żadnego zdjęcia.

– Czy to imię dziewczynki?

Karim odwrócił się. Za nim stał Sélier z wystraszoną miną.

– Nie, to imię męskie – odpowiedział.

– Angielskie?

– Nie, żydowskie.

Sélier otarł czoło.

– Mój Boże, to profanacja jak w Carpentras. Czy znów sprawka skrajnej prawicy?

Karim podniósł się i otrzepał ręce.

– Nie przypuszczam. Bądź tak miły i poczekaj przed bramą razem z pozostałymi.

Sélier odszedł, pomrukując coś pod nosem, z kaskiem w ręku. Karim popatrzył za nim, po czym ponownie obejrzał niedomknięte drzwi.

Postanowił zejść do grobowca. Z zapaloną latarką, nisko pochylony, schodził po stopniach, a pod jego stopami chrzęścił piach. Miał uczucie, że zakłóca spokój zmarłym. W tych okolicznościach był zadowolony, że nie jest człowiekiem wierzącym. Wiązka światła żarówki halogenowej przecięła panujący tu mrok. Karim zrobił jeszcze kilka kroków i nagle stanął jak wryty. W promieniu latarki dostrzegł małą trumnę z jasnego drzewa, ustawioną na dwóch podpórkach.

Czując suchość w gardle, podszedł bliżej i obejrzał ją dokładnie. Miała ponad półtora metra długości. Jej rogi ozdobiono spiralami i fantazyjnymi arabeskami ze srebra. Wydawała się w dobrym stanie mimo upływu czasu. I chyba nikt jej nie otwierał. Karim włożył latarkę w usta, żeby móc dokładniej sprawdzić śruby. I w tym momencie usłyszał za sobą głos:

– Co pan tam wyrabia?

Aż podskoczył. Latarka wypadła mu z ust i potoczyła się pod trumnę. W całkowitych ciemnościach odwrócił się. Jakiś barczysty mężczyzna z ogoloną głową stał nad otworem grobowca. Karim, szukając po omacku latarki, powiedział:

– Jestem porucznikiem policji.

Mężczyzna na górze milczał chwilę, po czym odezwał się ze złością:

– Nie ma pan prawa tam wchodzić.

Porucznik, oświetlając sobie drogę, wszedł na schodki. Bez wątpienia był to strażnik cmentarny. Karim zdawał sobie sprawę z tego, że naruszył przepisy. Nawet w takim wypadku trzeba mieć zezwolenie podpisane przez rodzinę albo specjalny dokument uprawniający do wejścia do grobowca.

– Proszę się usunąć na bok. Wychodzę – powiedział. Strażnik cofnął się. Karim zachłysnął się światłem, które było jak eliksir życia. Pokazał swoją trójkolorową legitymację.

– Karim Abdouf, z komisariatu w Sarzac. Czy to pan odkrył tę profanację?

Mężczyzna milczał. Taksował go swymi bezbarwnymi, wodnistymi oczami.

– Nie ma pan prawa tam wchodzić.

Karim zgadzał się z nim w duchu. Dzięki świeżemu powietrzu poczuł się już lepiej.

– Dobrze, nie mówmy o tym. Wie pan, że policjanci zawsze mają rację.

Strażnik wydął wargi nad nastroszoną brodą. Cuchnął wódką i wilgotną gliną.

– No, co pan o tym wie? – ciągnął Karim. – O której godzinie pan to zauważył?

Stary westchnął.

– Przyszedłem o szóstej rano. Mamy dziś pogrzeb.

– Kiedy pan tu był ostatni raz?

– W piątek.

– Można więc było otworzyć grobowiec o każdej porze w ciągu weekendu?

– No tak. Tylko że ja uważam, że stało się to tej nocy.

– Dlaczego?

– Bo w niedzielę po południu padało, a w środku grobowca nie ma śladu wilgoci… No więc drzwi musiały być wtedy zamknięte.

– Pan gdzieś tu mieszka? – zapytał Karim.

– Nie, w pobliżu nie ma żadnego domu.

Porucznik rozejrzał się po małym cmentarzu, tchnącym spokojem i ciszą.

– Pojawiali się w okolicy jacyś włóczędzy?

– Nie.

– Proszę mi opowiedzieć o tym grobowcu.

Strażnik splunął na żwirowaną alejkę.

– Nie ma nic do opowiadania.

– Grobowiec przeznaczony tylko dla dziecka to chyba dziwne, nieprawdaż?

– Może i dziwne.

– Zna pan rodziców?

– Nie, nigdy ich nie widziałem.

– Nie było tu pana w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku?

– Nie. No i mój poprzednik umarł – zachichotał. – My też kiedyś tam się znajdziemy…

– Grób wygląda na zadbany.

– Nie mówiłem, że nikt nie przychodził. Mówiłem, że nie znam ludzi. Mam doświadczenie. Wiem, jak szybko zużywają się kamienie. Nauczyłem się, jak długo trwa życie kwiatów, nawet tych plastikowych. Wiem, jak rosną jeżyny, chwasty i wszelkie paskudztwo. Mogę powiedzieć, że ktoś przychodzi tu często i dogląda tego grobu. Ale nigdy nikogo nie widziałem.

Karim zamyślił się. Uklęknął ponownie i przyjrzał się jeszcze raz małej ramce w kształcie kamei. Nie podnosząc oczu, powiedział do strażnika:

– Mam wrażenie, że rabusie ukradli portret chłopca.

– Co? No tak, to możliwe.

– Pamięta pan twarz tego chłopca?

– Nie.

Karim podniósł się, zdejmując rękawiczki.

– Specjalistyczna ekipa przyjedzie w ciągu dnia, żeby zdjąć odciski i ewentualnie zabezpieczyć ślady. Musi pan odwołać dzisiejszy pogrzeb. Powie pan, że będą prowadzone jakieś roboty, że jest awaria wodociągu, cokolwiek. Nikt nie może się tu dziś kręcić, zrozumiał pan? A zwłaszcza dziennikarze.

Stary strażnik przytaknął głową, gdy Karim już szedł w stronę bramy.

Gdzieś daleko dzwony donośnie wybijały godzinę dziewiątą.

9

Przed udaniem się do komisariatu i napisaniem raportu Karim postanowił jeszcze raz zajrzeć do szkoły. Słońce rzucało złotą poświatę na ściany domów. Po raz drugi Karim stwierdził w duchu, że zapowiada się wspaniały dzień, i ta banalna myśl przyprawiła go o mdłości.

– Czy chłopiec o nazwisku Jude Itero uczęszczał do tej szkoły w latach osiemdziesiątych? – zapytał dyrektorkę.

Zrobiła kokieteryjną minę, bawiąc się szerokimi rękawami żakietu.

– Ma pan już jakiś ślad, inspektorze?

– Proszę mi odpowiedzieć.

– Musiałabym zajrzeć do archiwów.

– Chodźmy tam od razu.

Dyrektorka zaprowadziła znowu Karima do małego gabinetu pełnego kwiatów.

– Chodzi panu o lata osiemdziesiąte? – zapytała, wodząc palcem po długim szeregu segregatorów stłoczonych za szybą.

– Rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi, pierwszy i lata wcześniejsze – odpowiedział Karim.

Nagle wyczuł niepokój kobiety.

– Co się stało?

– To dziwne. Nie zauważyłam tego rano…

– Co takiego?

– Dokumenty z lat tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden i dwa zniknęły.

Karim odsunął ją i uważnie obejrzał półki z brązowymi segregatorami. Na każdym z nich była nalepka z oznaczeniem roku – 1979, 1980… Dwóch następnych rzeczywiście brakowało.

– Co się w nich znajdowało? – zapytał Karim.

– Listy uczniów wszystkich klas. Oceny za wyniki w nauce. To są dzienniki klasowe.

Porucznik wziął segregator z 1980 roku i sprawdził wykaz uczniów.

– Jeśli dziecko w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku miało osiem lat, to w której było klasie?

– W drugiej albo w pierwszej.

Karim na żadnej z list nie znalazł nazwiska Jude Itero.

– Czy są jakieś inne dokumenty dotyczące klas z lat tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden i dwa?

Dyrektorka zastanowiła się.

– Tak… Na przykład dokumenty dotyczące stołówki. Albo raporty z kontroli lekarskich. Pełno tam tego wszystkiego na górze.

Weszli szybko po schodach pokrytych linoleum. Dyrektorka wydawała się podekscytowana całą tą sprawą. Przy żelaznych drzwiach na końcu korytarza stanęła zaskoczona.

– To nie do wiary… – powiedziała. – Tutaj też się włamano…

Karim obejrzał zamek. I ten otwarto bardzo fachowo. Porucznik wszedł do środka. Był to duży mansardowy pokój bez okien, jeśli nie liczyć zakratowanego okienka w dachu. Na metalowych półkach leżały stosy papierów. W powietrzu unosił się zapach kurzu.

– Gdzie są akta z lat tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden i dwa? – zapytał.

Dyrektorka bez słowa podeszła do grubych segregatorów spoczywających w podcieniu i zaczęła je przeglądać. Po chwili oznajmiła:

– Te dokumenty także zniknęły.

Karim poczuł dreszcz emocji. Szkoła. Cmentarz. Lata 1981/82. Nazwisko chłopca: Jude Itero. Te elementy składały się w jedną całość.

– Czy pracowała pani w tej szkole w osiemdziesiątym pierwszym roku?

– No wie pan, inspektorze, byłam jeszcze studentką… – odparła, mizdrząc się.

– Nic szczególnego nie wydarzyło się w szkole w tym czasie? Coś poważnego, o czym by mówiono?

– Nie. Co ma pan na myśli?

– Śmierć ucznia.

– Nie, o niczym takim nigdy nie słyszałam. Mogę się jednak dowiedzieć.

– Gdzie?

– W tutejszym kręgu akademickim. Ja…

– Może pani dowiedzieć się, czy w tamtych latach uczęszczał do tej szkoły chłopiec o nazwisku Jude Itero?

– Oczywiście, panie inspektorze – odpowiedziała z ciężkim westchnieniem.

– Proszę zrobić to jak najszybciej. Wrócę niedługo.

Karim, będąc już na schodach, odwrócił się.

– Jeszcze jedno. Musi pani pamiętać, że obecnie nie mówi się do policjanta „inspektorze”, lecz „poruczniku”. Jak u Amerykanów.

Zdążył jeszcze zauważyć jej szeroko otwarte oczy.

Ze wszystkich policjantów w komisariacie komendant Crozier był tym, którym Karim pogardzał najmniej. I nie dlatego, że był jego zwierzchnikiem, ale dlatego, że znał dobrze teren i dawał często dowody prawdziwej policyjnej intuicji.

Urodzony w departamencie Lot, pięćdziesięcioczteroletni Henri Crozier, dawny żołnierz, pracował w policji od lat dwudziestu. Miał nos jak kartofel i wypomadowane włosy zaczesane do góry. Surowy i twardy, potrafił jednak być zaskakująco poczciwy. Crozier był typem samotnika. Nie miał żony ani dzieci, w ogóle trudno było wyobrazić go sobie na łonie rodziny. Upodobanie do samotności zbliżało go do Karima, ale nic więcej nie mogło ich łączyć. Poza tym komendant miał wszystkie cechy tępego policjanta i przeciętnego Francuza. Typ ogara, który chętnie w ramach reinkarnacji wcieliłby się w owczarka niemieckiego.

Karim zapukał i wszedł do gabinetu. Zapach aromatycznego tytoniu. Wystawa medali. Plakaty głoszące chwałę francuskiej policji – sztywne, źle ujęte sylwetki, które znowu przyprawiły go o mdłości.

– Co to za burdel? – zapytał siedzący za biurkiem Crozier.

– Włamanie i profanacja. Jedno i drugie dokonane bardzo fachowo.

Crozier skrzywił się.

– Co ukradziono?

– W szkole kilka segregatorów z dokumentami, co na cmentarzu, jeszcze nie wiem. Trzeba przeprowadzić dokładne przeszukanie w środku grobowca, gdzie…

– Uważasz, że te dwa zdarzenia są ze sobą powiązane?

– Na to wygląda. Dwa włamania podczas tego samego weekendu. To znacznie podwyższa statystykę przestępstw w Sarzac.

– Czy znalazłeś jakieś powiązania między tymi dwiema sprawami?

Crozier wyczyścił wnętrze poczerniałej fajki. Karim uśmiechnął się w duchu – karykatura komisarza z czarnej serii kryminałów z lat

pięćdziesiątych.

– Mam pewne przypuszczenie – mruknął.

– Słucham.

– W sprofanowanym grobowcu pochowano chłopca o dziwnym nazwisku Jude Itero. Umarł w wieku dziesięciu lat, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku. Może pan sobie coś przypomina?

– Nie. Mów dalej.

– Ukradzione segregatory dotyczą lat tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden i dwa. Pomyślałem, że być może mały Jude uczęszczał do tej szkoły i że dotyczy to właśnie tych lat, kiedy…

– Czy masz jakieś fakty, na których opierasz tę hipotezę?

– Nie.

– Czy sprawdziłeś w innych szkołach?

– Jeszcze nie.

Crozier przedmuchał fajkę. Karim podszedł bliżej i najbardziej pokornym tonem, na jaki potrafił się zdobyć, powiedział:

– Proszę mi pozwolić prowadzić to śledztwo, komisarzu. Przeczuwam w tej sprawie coś ponurego. Domyślam się związku między tymi dwoma włamaniami. Choć wydaje się to nieprawdopodobne, mam wrażenie, że dokonali tego zawodowcy. Najwyraźniej czegoś szukali. Najpierw odnajdę rodziców chłopca, a potem przeszukam dokładnie grobowiec.

Komisarz, nie podnosząc oczu, napychał starannie fajkę.

– To robota skinów – mruknął.

– Co takiego?

Crozier spojrzał na Karima.

– Powiedziałem: cmentarz to robota golonych łbów.

– Jakich golonych głów?

Komisarz wybuchnął śmiechem.

– Widzisz, musisz się jeszcze dużo nauczyć o naszym regionie. Jest ich tutaj ze trzydziestu. Mieszkają w jakimś opuszczonym magazynie niedaleko Caylus. To stary hangar, w którym składowano wodę mineralną. Dwadzieścia kilometrów stąd.

Abdouf zamyślił się, obserwując Croziera. Jego tłuste włosy lśniły w słońcu.

– Sądzę, że popełnia pan błąd.

– Sélier powiedział mi, że to żydowski grób.

– Ależ nic podobnego! Mówiłem tylko, że Jude to imię pochodzenia żydowskiego. To jeszcze nic nie znaczy. Na grobowcu nie ma żadnych symboli religii żydowskiej. Komisarzu, ten chłopiec umarł w wieku dziesięciu lat. Na grobach żydowskich w takim wypadku jest jakiś rysunek, motyw nawiązujący do gwałtownie przerwanego życia. Jak na przykład złamana kolumna lub powalone drzewo. To grób chrześcijański.

– Prawdziwy z ciebie specjalista. Skąd to wszystko wiesz?

– Czytałem o tym.

Crozier, niewzruszony, powtórzył:

– To robota skinów.

– Absurd. Tego nie zrobili rasiści. To nie jest nawet akt wandalizmu. Rabusie szukali tam czegoś innego…

– Karim – przerwał mu Crozier tonem przyjaznym, w którym jednak wyczuwało się lekkie napięcie – doceniam zawsze twoje rady, ale to ja na razie tu dowodzę. Zaufaj staremu gliniarzowi. Trzeba pójść tropem golonych łbów. Myślę, że twoja wizyta u nich wyjaśni całą sprawę.

Karim podniósł się i przełknął ślinę.

– Mam iść tam sam?

– Nie powiesz mi, że boisz się kilku młodzików z ostrzyżonymi zbyt krótko włosami.

Karim nie odpowiedział. Crozier lubował się w takich scenkach. W ten sposób wymuszał szacunek. Karim zacisnął dłonie na kancie biurka. Nie zamierzał ustępować.

– Chcę panu coś zaproponować, komisarzu.

– Mów.

– Załatwię sprawę ze skinami sam. Potrząsnę nimi trochę i przekażę panu raport przed trzynastą. W zamian za to pozwoli mi pan wejść do grobowca i przeprowadzić tam rutynowe przeszukanie. Porozmawiam także z rodzicami małego. Jeszcze dziś.

– A jeśli to skini są winni?

– To nie oni.

Crozier zapalił fajkę. Zaskwierczał podgrzany tytoń.

– Zgoda – westchnął.

– Ale czy po załatwieniu sprawy w Caylus będę mógł poprowadzić śledztwo?

– Pod warunkiem, że przed trzynastą dostanę twój raport. Tak czy owak zaraz będziemy mieli na karku tych facetów z brygady specjalnej.

Karim skierował się do drzwi. Położył już rękę na klamce, kiedy komisarz zawołał:

– Przekonasz się, że skinom spodoba się twój styl.

Karim trzasnął drzwiami, za którymi słychać było rechot Croziera.

10

Dobry policjant powinien dogłębnie znać wroga. Jego wizerunek, jego obyczaje. Jeśli chodziło o skinów, Karim wiedział o nich wszystko i żadnym pytaniem na ich temat nie można go było zaskoczyć. Gdy mieszkał i działał w Nanterre, wiele razy stykał się z nimi w bezpardonowych bójkach. W czasie studiów w szkole dla inspektorów opracował obszerny raport o nich. Jadąc do Caylus, robił w myślach przegląd tego, co o nich wiedział. Jedyny sposób, żeby być górą w bezpośrednim starciu z tymi łobuzami.

Przede wszystkim trzeba pamiętać, że w ich ubiorze widoczne są dwie tendencje. Nie wszyscy skini reprezentowali skrajną prawicę. Byli wśród nich również Czerwoni Skini, stanowiący część skrajnej lewicy. Pochodzący z różnych ras i narodowości, wytrenowani, stosujący swoisty kodeks honorowy, byli w równym stopniu niebezpieczni jak neonaziści, jeśli nie bardziej. Karim miał pewne szanse w spotkaniu z nimi twarzą w twarz. Odtworzył w pamięci atrybuty obu odłamów. Faszyści nosili wojskowe bluzy w stylu angielskim, z jasnozielonym pasem po prawej stronie. Czerwoni natomiast mieli pas jaskrawopomarańczowy z lewej strony. Faszyści chodzili w ciężkich buciorach z białymi lub czerwonymi sznurowadłami, lewacy – z żółtymi.

Około jedenastej Karim zatrzymał się przed zniszczonym hangarem z napisem: „Wody mineralne z doliny”. Wysokie ściany z falistego plastiku wtapiały się w czysty błękit nieba. Przed drzwiami stał zaparkowany czarny DS. Karim szybko się przygotował i wyskoczył z wozu. Skini zapewne byli w środku i trzeźwieli po piwie.

Szedł w kierunku hangaru, powtarzając sobie w duchu: bluzy zielone, sznurowadła białe lub czerwone – faszyści; bluzy pomarańczowe, sznurowadła żółte – czerwoni.

Miał niewiele szans, żeby wyjść cało z tej opresji.

Odetchnął głęboko i otworzył przesuwane drzwi. Nie musiał szukać wzrokiem sznurowadeł, żeby wiedzieć, gdzie się znalazł. Na ścianach

widniały wymalowane czerwoną farbą swastyki. Nazistowskie symbole towarzyszyły zdjęciom obozów koncentracyjnych i powiększonym fotografiom torturowanych Algierczyków. Grupa ogolonych typów w zielonych bluzach utkwiła w nim wzrok. Skrajna, brutalna prawica. Karim wiedział, że wszyscy oni mieli wytatuowane na wewnętrznej stronie dolnej wargi słowo SKIN.

Karim skupił się w sobie, jak ryś szykujący się do skoku, i poszukał wzrokiem ich broni. Wiedział, że najchętniej używają kijów baseballowych, ale mają też gdzieś ukryte strzelby na kule kauczukowe.

To, co zauważył, wydało mu się jeszcze gorsze.

Dziewczyny. Skini w kobiecym wydaniu, z wygolonymi głowami, na których pozostały tylko grzywki opadające na czoło i długie kosmyki na skroniach. Zdeprawowane, przesiąknięte alkoholem, bez wątpienia groźniejsze od swoich kumpli. Karim przełknął ślinę. Zdał sobie sprawę, że ma do czynienia nie z jakimiś bezrobotnymi próżniakami, ale z prawdziwą bandą, mającą tu swoją kryjówkę, czekającą na okazję do rozróby.

Jedna z kobiet wypiła łyk piwa i głośno czknęła. Specjalnie na cześć Karima. Reszta wybuchnęła śmiechem. Wszyscy byli jego wzrostu.

Karim skoncentrował się, żeby mówić głośno i dobitnie:

– Dobra, chłopaki. Jestem glina. Przyszedłem, żeby zadać wam kilka pytań.

Bandziory podeszły bliżej. Glina, nie glina, Karim był dla nich przede wszystkim Arabem. Co wart jest jakiś Arab w tym hangarze? A nawet w oczach Croziera i innych policjantów? Karim na moment poczuł się tak, jakby ziemia usuwała mu się spod nóg. Miał wrażenie, że przeciw niemu jest całe miasto, cały kraj, może nawet świat.

Wyciągnął broń i wycelował w sufit. Ten gest powstrzymał osaczających go skinów.

– Powtarzam: jestem gliną i chcę z wami grać zgodnie z regułami.

Powoli położył pistolet na pordzewiałej beczce. Golone łby obserwowały go uważnie.

– Zostawiam gnata tutaj. Niech nikt go nie rusza, gdy będziemy rozmawiać.

Pistolet automatyczny glock 21 – jeden z najnowocześniejszych modeli, w siedemdziesięciu procentach z polimerów, niezwykle lekki. Piętnaście kul w magazynku plus jedna w lufie, z laserowym celownikiem. Był

pewien, że ci kolesie takiego nigdy nie widzieli na oczy. Trzymał ich w garści.

– Kto tu jest szefem?

Odpowiedziała mu cisza. Karim zrobił kilka kroków i powtórzył:

– Chcę wiedzieć, kto jest szefem, do cholery. Nie traćmy czasu.

Do przodu wysunął się największy z nich, który mógłby go staranować własną masą. Miał chropawy akcent tego regionu.

– Czego od nas może chcieć taki afrykański szczur?

– Zapomnę, że tak mnie nazwałeś, koleś. Pogadamy tylko przez chwilkę.

Skin zbliżył się, potrząsając przecząco głową. Był wyższy i tęższy od Karima. Porucznik pomyślał o swoich warkoczykach – bardzo łatwo byłoby za nie chwycić podczas bójki.

Skin wciąż się zbliżał. Miał potężne łapska. Karim nie cofnął się ani o milimetr. Kątem oka zauważył, że pozostali szli w kierunku jego pistoletu.

– No więc, czarnuchu, czego sobie…

W tej sekundzie błyskawiczny cios głową rozkwasił nos skina, który aż zgiął się wpół. Karim obrócił się w miejscu i kopnął go obcasem w krtań. Skin runął dwa metry dalej, skręcając się z bólu.

Jeden z bandziorów rzucił się do pistoletu i pociągnął za spust. Nic. Tylko głuchy stuk. Spróbował przeładować broń, ale magazynek był pusty. Karim wyciągnął drugi pistolet, berettę, schowany za paskiem na plecach. Trzymając oburącz broń, wycelował w golone łby. Przygważdżając butem do ziemi swoją ofiarę, krzyknął:

– Naprawdę uwierzyliście, że zostawię naładowaną broń w zasięgu takich zboczeńców jak wy?

Skini stali jak osłupiali. Na pół uduszony szef bandy wysyczał:

– Ty skurwielu, to ma być „zgodnie z regułami”, tak?

Karim kopnął go w podbrzusze. Bandzior jęknął. Porucznik przyklęknął i wykręcił mu ucho. Pod jego palcami chrupnęły chrząstki.

– Zgodnie z regułami? Z takimi jak wy śmierdzielami? – Karim roześmiał się nerwowo. – Odwrócić się tyłem, wy tam! Łapy oprzeć o ścianę, kretyni! Wy też, kurwy!

Strzelił w lampę neonową. Błysnęło niebieskawe światło, blaszana obudowa obiła się o sufit, żeby po sekundzie roztrzaskać się na podłodze

w eksplozji iskier. Przerażeni skini odskoczyli na wszystkie strony. Karim wrzasnął, omal nie zdzierając sobie głosu:

– Opróżniajcie kieszenie! Jeden niepotrzebny ruch, a strzelam w kolana! – Karim przyłożył lufę do skroni szefa i zapytał ciszej: – Czym się szprycujecie?

Tamten splunął krwią.

– O co ci chodzi?

Karim wbił mocniej lufę.

– Co zażywacie, żeby się wprawić w trans?

– Amfa… speed… klej…

– Jaki klej?

– Dissoplast…

– Klej do łatek na opony? – Ogolony przytaknął, choć nic nie rozumiał. – Gdzie to trzymasz?

– W koszu na śmieci, koło lodówki… – wskazał przekrwionymi oczyma.

– Rusz się tylko, a cię zabiję.

Karim szedł tyłem, omiatając pomieszczenie wzrokiem, celując pistoletem w rannego skina i w nieruchome sylwetki pozostałych, którzy stali do niego plecami. Lewą ręką przewrócił kosz. Na podłogę wysypały się pigułki i tubki z klejem. Zebrał tubki, otworzył je i ruszył na ukos przez salę. Rysował lepkie serpentyny na podłodze, tuż za opartymi o ścianę skinami. Przechodząc obok, rozdawał im kopniaki w pięty, w łydki, w nerki i odrzucał na bezpieczną odległość ich noże oraz inne tego rodzaju utensylia.

– Odwróćcie się. Teraz będziecie robić pompki za moje zdrowie, kolesie. I wy, dziwki, też. Celujcie w smugi kleju.

Wszyscy na komendę padli w dissoplast, który wytrysnął spomiędzy ich palców. Za trzecim razem dłonie przykleiły im się na amen. Skini leżeli brzuchami na podłodze, wykręcając ręce w nadgarstkach, żeby oderwać je od kleju.

Karim wrócił do pierwszej ofiary. Usiadł w pozycji kwiatu lotosu i odetchnął głęboko, żeby dojść do siebie.

– Gdzie byliście wczoraj? – zapytał spokojnie.

– To… to nie my.

Karim nadstawił ucha. Zadał to pytanie tylko dla formalności. Był pewien, że te śmiecie nie miały nic wspólnego z profanacją na cmentarzu.

Tymczasem ten skin już coś wiedział. Nachylił się nad nim:

– O czym ty mówisz?

Skin oparł się na łokciu.

– Cmentarz… to nie my.

– A skąd o tym wiesz?

– Przechodziliśmy tamtędy…

W tym momencie Karim zdał sobie sprawę, że Crozier miał jakiegoś świadka. Rano ktoś mu powiedział, że skini kręcili się w pobliżu cmentarza. Komisarz wysłał go tutaj, nic mu o tym nie mówiąc. Karim ureguluje z nim swoje rachunki potem.

– Opowiedz mi, jak to było.

– Kręciliśmy się w tamtej okolicy…

– O której godzinie?

– Nie wiem… Może o drugiej…

– W jakim celu?

– Chcieliśmy się powygłupiać… porozrabiać… Mieliśmy zamiar rozwalić baraki na placu budowy…

– No i co dalej?

– Przechodziliśmy blisko cmentarza… Cholera… Brama była otwarta… Zauważyliśmy jakieś cienie… jakieś typy wychodziły z grobowca…

– Ilu ich było?

– Chyba dwóch…

– Mógłbyś ich opisać?

Karim rąbnął go w zmiażdżone ucho. Skin wydał okrzyk, który przeszedł w cichy syk.

– Mógłbyś powiedzieć, jak wyglądali?

– Nie! Było bardzo ciemno…

Karim nabrał pewności, że włamywacze byli profesjonalistami.

– Co się stało potem?

– Boże… Zwialiśmy… Baliśmy się, że nas posądzą… z powodu tego, co było w Carpentras…

– To wszystko? Nic innego nie zauważyliście?

– Nie… nic… O drugiej nad ranem w takim miejscu…

Karim wyobraził sobie pustą drogę, z jedną tylko latarnią, wokół której latają ćmy zwabione białym światłem. I bandę golonych łbów, nieźle naćpanych, ryczących nazistowskie hymny.

– Dobrze się zastanów.

– Wydaje mi się, że widziałem wóz wschodniej marki, łada czy coś w tym rodzaju, który jechał w przeciwnym kierunku, od strony cmentarza… na drogę D sto czterdzieści trzy…

– Jakiego koloru?

– Bia… Biały…

– Coś szczególnego?

– Był zabłocony…

– Zauważyłeś tablicę rejestracyjną?

– Kurwa… nie jesteśmy gliniarzami, szczurze, ja…

Karim kopnął go obcasem w śledzionę. Skin skręcił się, charcząc z bólu. Porucznik wstał, otrzepując z kurzu dżinsy. Niczego się tu więcej nie dowie. Usłyszał za plecami jęki pozostałych. Mieli z pewnością na rękach oparzenia trzeciego lub czwartego stopnia.

– Pójdziesz grzecznie na posterunek w Sarzac – rozkazał. – Jeszcze dziś. Podpiszesz zeznanie. Powołaj się na mnie, wtedy potraktują cię ze specjalną życzliwością.

Skin, ledwie żywy, pokiwał potakująco głową, potem spojrzał na niego wzrokiem skopanego psa.

– Dlaczego, człowieku, dlaczego… mi to zrobiłeś?

– Żebyś mnie zapamiętał – mruknął Karim. – Gliniarz to zawsze problem. A gliniarz arabski to problem znacznie gorszy. Nie próbuj więcej rozrabiać, bo wtedy dopiero poznasz prawdziwe kłopoty. – Karim kopnął go po raz ostatni.

Wycofał się, zabierając swojego glocka 21. Ruszył jak meteor i zatrzymał się kilka kilometrów dalej, w małym lasku, żeby odzyskać równowagę i pozbierać myśli. Włamanie do grobu nastąpiło przed drugą nad ranem. Rabusiów było dwóch i prawdopodobnie mieli wóz z jakiegoś wschodniego kraju. Spojrzał na zegarek. Zostało mu niewiele czasu na napisanie raportu. Sprawa zaczynała być poważna. Trzeba wyznaczyć kierunek poszukiwań, przejrzeć karty wozów, przepytać ludzi mieszkających przy drodze D143…

Duchem jednak był już gdzie indziej. Wykonał swoje zadanie. Teraz Crozier musi mu dać wolną rękę. Będzie prowadził śledztwo na swój sposób. W pierwszej kolejności zajmie się zniknięciem w 1982 roku tego małego chłopca.

Część III

11

– „W wyniku oględzin klatki piersiowej stwierdzono długie, podłużne rany cięte, zadane bez wątpienia jakimś ostrym narzędziem. Podobne nacięcia, wykonane tym samym narzędziem, zauważyliśmy także na barkach, ramionach…”

Lekarz sądowy, młody mężczyzna o ostrych rysach twarzy i roztargnionym spojrzeniu, był w pogniecionym płóciennym fartuchu i miał małe okularki. Nazywał się Marc Costes. Niémansowi spodobał się od pierwszego wejrzenia, gdyż rozpoznał w nim pasjonata, prawdziwego badacza, któremu brakuje na pewno doświadczenia, ale nie zapału. Czytał swój raport dobitnym głosem.

– „…Liczne oparzenia: na tułowiu, ramionach, bokach, na rękach. Naliczyliśmy około dwudziestu pięciu śladów tego typu, z których wiele nakłada się na opisane powyżej rany cięte…”

Niémans przerwał mu:

– O czym to świadczy?

Lekarz spojrzał nieśmiało sponad okularów.

– Przypuszczam, że zabójca przypalał rany ogniem. Wygląda na to, że polewał nacięcia niewielką ilością benzyny i potem ją podpalał. Sądzę, że użył benzyny w aerozolu.

Niémans przeszedł się przez salę ćwiczeń, w której zainstalował swoją kwaterę główną na pierwszym piętrze budynku wydziału psychologii i socjologii. W tym właśnie ustronnym miejscu postanowił spotkać się z lekarzem sądowym. Obecni byli także kapitan Barnes i porucznik Joisneau, siedzący bez słowa na studenckich krzesłach.

– Proszę mówić dalej – powiedział.

– „Stwierdziliśmy także liczne krwiaki, obrzęki, złamania. Na samym tylko tułowiu naliczyliśmy osiemnaście krwiaków. Złamane są cztery żebra. Dwa obojczyki strzaskane. Trzy palce lewej dłoni i dwa prawej są zmiażdżone. Genitalia potłuczone jakimś ciężkim narzędziem. Najprawdopodobniej żelaznym lub ołowianym drągiem, grubości około

siedmiu centymetrów. Niektóre rany mogły powstać podczas transportu ciała i umocowywania go w skalnej niszy…”

Niémans zerknął na swoich towarzyszy – mieli spłoszone spojrzenia i krople potu na skroniach.

– „…Jeśli chodzi o górne partie ciała, to twarz jest nietknięta. Nie ma widocznych śladów wylewów na szyi…”

– Nie bito go po twarzy? – zapytał komisarz.

– Nie. Wydaje się nawet, że zabójca starał się jej w ogóle nie dotykać.

Costes opuścił wzrok na swój raport, chcąc czytać dalej, ale Niémans ponownie mu przerwał:

– Chwileczkę. Przypuszczam, że to potrwa jeszcze długo.

Lekarz zamrugał nerwowo, przerzucając kartki raportu.

– Zostało kilka stron…

– Dobrze. Każdy z nas sam to przeczyta. Proszę nam podać przyczynę zgonu. Czy te rany spowodowały śmierć ofiary?

– Nie. Został zabity przez uduszenie. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Metalową linką, o średnicy około dwóch milimetrów. Linką hamulcową od roweru, struną fortepianową, czymś w tym rodzaju. Linka przecięła skórę na długości piętnastu centymetrów, zmiażdżyła tchawicę, rozerwała mięśnie krtani i przecięła tętnicę szyjną, wywołując krwotok.

– O której godzinie nastąpił zgon?

– Trudno orzec z powodu skurczonej pozycji ciała. Proces stężenia pośmiertnego został zakłócony przez tę gimnastykę…

– Proszę podać godzinę w przybliżeniu.

– Sądzę, że… o zmierzchu, w sobotę wieczorem, między dwudziestą a dwudziestą czwartą.

– Czy Caillois został zaskoczony, gdy wracał z wycieczki?

– Raczej nie. Moim zdaniem tortury trwały długo. Myślę, że Caillois został schwytany rano i męczono go cały dzień.

– Czy uważa pan, że ofiara się broniła?

– Niemożliwe, wziąwszy pod uwagę liczne rany. Jedno jest pewne: nie został ogłuszony. Był związany, ale przytomny podczas całego seansu tortur – świadczą o tym ślady więzów na rękach i nadgarstkach. Z drugiej strony, w sytuacji, gdy ofiara nie ma żadnych śladów kneblowania, można wnioskować, że jej dręczyciel nie obawiał się, iż ktoś usłyszy krzyki torturowanego.

Niémans usiadł na parapecie okna.

– Co pan sądzi o tych torturach? Czy to dzieło profesjonalisty?

– Profesjonalisty?

– Na przykład kogoś z wojskowych sił specjalnych.

– Nie znam się na tym. Powiedziałbym raczej, że zrobił to jakiś szaleniec. Psychopata, który chciał otrzymać odpowiedzi na swoje pytania.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Zabójca zamierzał zmusić Caillois do mówienia i osiągnął swój cel.

– Skąd pan wie?

Costes skłonił się z pokorą. Mimo ciepła panującego w sali nie zdjął swojej kurtki.

– Gdyby zabójca chciał tylko sprawić mu ból, torturowałby go aż do samego końca. Tymczasem, jak już wspomniałem, zabił go w inny sposób. Udusił linką.

– Nie ma śladów seksualnego znęcania?

– Nie. Nic, co by o tym świadczyło. Nie o to chodziło zabójcy.

Niémans znowu przeszedł kilka kroków po sali. Próbował sobie wyobrazić potwora zdolnego do takiego znęcania się nad drugim człowiekiem. Usiłował zobaczyć tę scenę, ale na próżno. Nie widział w swej wyobraźni ani twarzy, ani sylwetki. Pomyślał więc o tym skazanym na męki człowieku. Zastanawiał się, co mógł widzieć, poddany takim cierpieniom, świadomy czekającej go śmierci. Przed jego oczami przesuwały się brązowe, pomarańczowe, czerwone plamy. Czuł ból nie do zniesienia, wywołany gradem uderzeń, przypalaniem ran, widział krew. Jakie mogły być ostatnie myśli Caillois?

– Proszę powiedzieć nam o oczach ofiary – powiedział komisarz.

– O oczach?

To Barnes wyrwał się z tym pytaniem. W jego ochrypłym głosie słychać było zdziwienie. Niémans wyjaśnił mu:

– Tak, o oczach. Zwróciłem na nie uwagę w szpitalu. Morderca wydłubał ofierze oczy. Ale oczodoły wydawały się wypełnione wodą…

– To prawda – powiedział Costes.

– Proszę zacząć od początku – polecił mu Niémans. Costes zagłębił się w swoje notatki.

– Zabójca podniósł powieki ofiary, wsunął ostre narzędzie, odciął mięśnie gałek ocznych i ich nerwy, potem wyrwał same gałki. Następnie

starannie oczyścił oczodoły.

– Czy w czasie tej operacji ofiara już nie żyła?

– Tego nie wiadomo. Odkryłem jednak oznaki krwotoku w tym miejscu, co mogłoby świadczyć, że Caillois jeszcze żył.

Po tych słowach zapadła cisza. Barnes był trupio blady, Joisneau siedział zdrętwiały z przerażenia.

– Co dalej? – zapytał Niémans, żeby przerwać atmosferę grozy narastającą z każdą sekundą.

– Kiedy ofiara już nie żyła, zabójca napełnił oczodoły wodą. Pewnie wodą z rzeki. Potem zamknął powieki. Dlatego oczy były zamknięte i wypukłe, jakby ich wcale nie ruszano.

– Wróćmy do wydłubania oczu. Czy zabójca posiadał wiedzę z dziedziny chirurgii?

– Nie. Ewentualnie bardzo niewielką. Mogę powiedzieć, że jeśli chodzi o tortury, to wykazał się niezwykłą starannością.

– Jakich narzędzi użył? Czy tych samych co do ran ciętych?

– W każdym razie tego samego typu.

– To znaczy?

– Przecinaki, noże rzeźnicze.

– Czy to już wszystko, co może nam pan powiedzieć? Żadnej wskazówki? Czy w raporcie nie ma czegoś, co mogłoby nas naprowadzić na ślad mordercy?

– Niestety nic. Ciało zostało zmasakrowane, zanim je umieszczono w skale. Ten trup nie może nam pomóc w ustaleniu miejsca zbrodni, tym bardziej w zidentyfikowaniu mordercy. Należy przypuszczać, że jest to mężczyzna silny, zręczny. I to wszystko.

– Niewiele – mruknął Niémans z niezadowoleniem. Costes zajrzał do swego raportu.

– Jest jeden szczegół, o którym jeszcze nie wspomniałem… Ale nie ma on nic wspólnego z samym zabójstwem.

– Co takiego? – spytał komisarz.

– Rémy Caillois nie miał linii papilarnych.

– Proszę to wyjaśnić.

– Dłonie miał tak zniszczone, że na palcach nie było najmniejszych śladów linii papilarnych. Może uległ poparzeniu w jakimś wypadku. Ale wypadkowi musiał ulec dawno temu.

Niémans rzucił pytające spojrzenie Barnesowi, który zrobił minę świadczącą, że nic mu o tym nie wiadomo.

– Sprawdzimy to – mruknął pod nosem komisarz. Podszedł do lekarza i stanął tuż obok niego.

– Jakie jest pana osobiste zdanie na temat tego morderstwa? Co podpowiada panu intuicja lekarza?

Costes zdjął okulary i potarł powieki. Kiedy nałożył z powrotem szkła, jego oczy wydały się jaśniejsze, jakby umyte. Tym razem odpowiedział pewnym głosem:

– Morderca działał zgodnie z jakimś ponurym rytuałem, który miał się zakończyć ułożeniem ciała w niszy skalnej, w pozycji embrionalnej. Wszystko zostało zrobione w sposób przemyślany i z wielką precyzją. Dopełnieniem tego miało być wykipienie oczu. No i jeszcze ta woda. Woda pod powiekami, w miejscu oczu. Wygląda to tak, jakby zabójca chciał, żeby oczodoły były całkowicie czyste. Jesteśmy w trakcie badania tej wody. Nigdy nie wiadomo, może znajdziemy w niej coś… jakąś chemiczną substancję.

Niémans skwitował te ostatnie słowa lekkim skinieniem głowy. Oczyszczająca rola wody? Komisarz od czasu swojej bytności nad jeziorem również myślał o katharsis, o wyciszeniu i stanie zupełnego spokoju. Tam, w wodzie jeziora, zabójca mógł chcieć oczyścić się z brudów swojej zbrodni.

Nikt z obecnych nie śmiał się poruszyć. W końcu Niémans powiedział cicho:

– Wracamy do pracy. Czas nagli. Nie wiemy, co wyznał Rémy Caillois. Mam nadzieję, że nie spowoduje to następnych zabójstw.

12

Niémans i Joisneau ponownie znaleźli się w bibliotece. Przed wejściem komisarz spojrzał z ukosa na porucznika – miał on bardzo niewyraźną minę. Niémans klepnął go plecach. Éric zareagował na to słabym uśmiechem.

Weszli obaj do dużej sali z książkami. Ujrzeli tam zadziwiający spektakl. Dwaj funkcjonariusze policji śledczej, z udręczonymi minami, jak również kilku posterunkowych w samych koszulach, pogrążeni byli bez reszty w przeszukiwaniu zbiorów biblioteki. Przed nimi leżały stosy książek. Zaskoczony tym widokiem Joisneau zapytał:

– Co się tu dzieje?

Odpowiedział mu jeden z funkcjonariuszy:

– Robimy, co nam kazano… Szukamy książek, których tematem jest zło, religijne rytuały i…

Joisneau spojrzał na Niémansa. Wydawał się bardzo zdenerwowany obrotem całej sprawy.

– Mówiłem, żebyście sprawdzili w komputerze, a nie szperali po półkach! – krzyknął na policjantów.

– Przeprowadziliśmy selekcję tematyczną. Teraz przeglądamy książki, szukając wskazówek, punktów zaczepienia w sprawie o morderstwo…

Niémans przerwał mu:

– Prosiliście o pomoc studentów z internatu?

Policjant najwyraźniej poczuł się urażony.

– To są filozofowie. Zaczęli z nami dyskutować. Pierwszy powiedział nam, że pojęcie zła ma mieszczańskie znaczenie, że wszystko to trzeba oceniać pod kątem społecznym i w duchu filozofii marksistowskiej. Zrezygnowaliśmy więc z jego usług. Drugi opowiadał nam o ograniczeniach i przekraczaniu prawa… Dodał przy tym, że granica tkwi w nas samych… że nasze sumienie nieustannie prowadzi rokowania z najwyższym sędzią i… Nic z tego nie zrozumieliśmy. Trzeci rozprawiał o absolucie i poszukiwaniu tego, co niemożliwe… Mówił nam

o mistycznym doświadczeniu, które może zrealizować się zarówno poprzez zło, jak i dążenie… Naprawdę, panie komisarzu, nie wiadomo było, jak to traktować…

Niémans wybuchnął śmiechem.

– Mówiłem ci – popatrzył na Joisneau – że trzeba się wystrzegać intelektualistów. – Po czym zwrócił się do osłupiałego policjanta: – Szukajcie dalej. Kluczowe słowa to: „zło”, „przemoc”, „tortury”, „rytuały”, „woda”, „oczy”, „czystość”. Zajrzyjcie do komputera. Szukajcie zwłaszcza nazwisk studentów, którzy wypożyczali te książki, którzy interesowali się tego rodzaju tematyką, na przykład w pracach doktorskich. Kto siedzi przy głównym komputerze?

– Ja, panie komisarzu – odpowiedział młody policjant o szerokich barach.

– Co pan znalazł w kartotece Caillois?

– Wykaz książek zniszczonych, zamawianych i tym podobne. Listę studentów, którzy zamówili książki, i wykaz miejsc, jakie zajmują w czytelni.

– Każdy miał swoje miejsce?

– Tak. Caillois przydzielał im miejsca – ruchem głowy wskazał na oszklone przedziały – w tych małych boksach. Zapisywał w komputerze, gdzie który z nich siedzi.

– Nie natrafił pan na jego pracę dyplomową?

– Owszem. To tysiącstronicowa rozprawa o antyku i… – rzucił okiem na kartkę, na której coś nabazgrał – Olimpii. Opisuje w niej pierwsze igrzyska olimpijskie i związane z nimi święte rytuały.

– Wydrukujcie i przeczytajcie.

– Słucham?

– Oczywiście pobieżnie – dodał Niémans ironicznym tonem. Policjant był najwyraźniej zbity z tropu, ale komisarz zadał już kolejne pytanie: – Nic więcej nie było w komputerze? Gry wideo? Poczta elektroniczna?

Policjant pokiwał przecząco głową. Ta informacja nie zdziwiła wcale Niémansa. Domyślał się, że Caillois żył tylko książkami. Wzorowy bibliotekarz, który nie pozwalał sobie na żadne rozrywki podczas wykonywania pracy. Jakiego wyznania można było oczekiwać od takiego ascety?

Pierre Niémans odwrócił się do Joisneau.

– Chodźmy. Chcę teraz usłyszeć, co tobie udało się zdziałać.

Stanęli w przejściu między półkami uginającymi się od książek. Na samym jego końcu któryś z agentów, w czapce na głowie, przeglądał książkę. Komisarz z trudem zachował powagę na ten widok. Porucznik otworzył swój notatnik.

– Rozmawiałem z kilkoma studentami z internatu i dwoma kolegami Caillois w bibliotece. Rémy nie był zbytnio lubiany, ale go szanowano.

– Co mu zarzucano?

– Nic szczególnego. Mam wrażenie, że inni czuli się przy nim skrępowani. Był skryty i zamknięty w sobie. Nie robił najmniejszego wysiłku, żeby nawiązać kontakt z innymi. W pewnym sensie wynikało to z jego pracy. – Joisneau rozejrzał się dokoła. – Niech pan tylko pomyśli… cały dzień siedzieć w tej bibliotece, w całkowitym milczeniu…

– Dowiedziałeś się czegoś o jego ojcu?

– Wie pan, że on także był bibliotekarzem? Owszem, coś niecoś mi powiedziano. Podobny typ: milczący, nieprzenikniony. Taka nieustanna atmosfera konfesjonału musiała odbić się na układzie nerwowym.

Niémans przysiadł na książkach.

– Czy powiedziano ci, że zginął w górach?

– Oczywiście. Nie ma w tym jednak nic podejrzanego. Staruszka zaskoczyła lawina i…

– Wiem. Czy twoim zdaniem obaj Caillois nie mieli wrogów?

– Komisarzu, zamordowany chodził do magazynu po zamówione książki, wypełniał rewersy i przydzielał studentom numer stolika. Kto mógłby chcieć mścić się na nim w ten sposób? Jakiś student za to, że nie dano mu właściwej książki?

– Co wiesz o jego zamiłowaniu do alpinizmu?

Joisneau znowu przekartkował swój notes.

– Caillois wspinał się i chodził po górach. W ostatnią sobotę, jak zeznali świadkowie, wybierał się na wycieczkę pieszą. Zamierzał wejść na wysokość mniej więcej dwóch tysięcy metrów. Bez żadnego sprzętu.

– Czy czasem ktoś mu towarzyszył?

– Nigdy. Nawet nie brał żony. Caillois był samotnikiem. Na granicy autyzmu.

Niémans podzielił się swoimi informacjami.

– Wróciłem nad rzekę. Odkryłem ślady haków w skale. Myślę, że zabójca zastosował technikę wspinaczkową, żeby wciągnąć ciało.

– A niech to! – wykrzyknął Joisneau. – Ja też tam się wspiąłem i…

– Wydrążenia są od wewnętrznej strony uskoku. Zabójca umocował bloczki w niszy, potem sam się spuścił, żeby uzyskać przeciwwagę dla ciała ofiary.

– Cholera! – Na twarzy Joisneau odmalowało się zaskoczenie i podziw.

Niémans uśmiechnął się.

– Nie wpadłem na to sam, pomogła mi Fanny Ferreira, nasz świadek. Prawdziwa z niej profesjonalistka – mrugnął okiem. – No i niezła laska… Musisz poszperać pod tym kątem. Sporządź dokładną listę znanych alpinistów i tych wszystkich, którzy dysponują sprzętem wspinaczkowym.

– Ależ to tysiące nazwisk!

– Popytaj swoich kolegów. Zapytaj Barnesa. Nigdy nie wiadomo, może coś z tego wyniknie. Zajmij się także oczami.

– Oczami?

– Słyszałeś, co mówił lekarz sądowy? Zabójca wydłubał je niezwykle starannie. Nie mam pojęcia, co to ma znaczyć. Może ma to związek z fetyszyzmem? Może chodzi o specyficzny rodzaj oczyszczenia? Te oczy prawdopodobnie przypominają mordercy scenę, którą musiała widzieć ofiara. A może chodzi o samo spojrzenie, które obsesyjnie towarzyszyło zabójcy przez całe życie. Nie wiem. Wszystko to dosyć mętne i zagmatwane, a ja nie cierpię takiej psychologicznej paplaniny. Przetrząśnij całe miasto i zbierz wszystkie informacje dotyczące oczu.

– Jakie?

– Czy na przykład nie było na tej uczelni albo w mieście wypadków, gdzie coś działo się z oczami. Przejrzyj także sprawozdania z rozpraw sądowych z ostatnich lat i miejscowe gazety. Szukaj w nich opisów bójek, w których kogoś zraniono, albo przypadków znęcania się nad zwierzętami. Sam nie wiem, co może nam się przydać. Dowiedz się, czy w tym regionie nie występują jakieś choroby oczu.

– Spodziewa się pan, że znajdę…

– Nie wiem, co mam myśleć i czego się spodziewać – westchnął Niémans. – Zrób, co ci powiedziałem.

Na końcu przejścia policjant w mundurze cały czas popatrywał na nich z ukosa. W końcu zostawił książki i zniknął. Niémans mówił dalej,

ściszając głos:

– Potrzebny mi też dokładny rozkład zajęć Caillois z ostatnich tygodni. Chcę wiedzieć, z kim się spotykał, z kim rozmawiał. Przygotuj także biling jego rozmów telefonicznych, prywatnych i służbowych. Nie zapomnij o wykazie listów, jakie dostawał. Może Caillois znał swego mordercę? Może nawet umówił się z nim na wycieczkę?

– Niczego się pan nie dowiedział od jego żony? – Ponieważ komisarz nie odpowiadał, Joisneau dodał: – Wydaje się, że nie jest skłonna do współpracy. – Porucznik zamknął swój notes. Odzyskał już równowagę. – Nie wiem, czy powinienem to mówić… biorąc pod uwagę tego zamęczonego trupa… zabójcę psychopatę, który gdzieś tu się kręci…

– No więc?

– Chyba się przy panu naprawdę niemało nauczę.

Niémans kartkował zdjętą z półki książkę *Topografia i ukształtowanie powierzchni departamentu Isère*. Podał ją porucznikowi i powiedział:

– Módl się, żebyśmy jak najprędzej poznali mordercę.

13

Sylwetka ofiary. Mięśnie pod skórą skręcone jak powrozy. Plamy czarne, fioletowawe, widoczne na bladej, miejscami niebieskawej skórze.

Po powrocie do sali, gdzie pracował, Niémans oglądał polaroidowe zdjęcia ciała Rémy'ego Caillois.

Twarz ofiary. Powieki półotwarte nad czarnymi oczodołami.

Nie zdjąwszy nawet płaszcza, komisarz rozmyślał o tym, jak bardzo musiał cierpieć ten człowiek. O potwornej grozie, która nagle zapanowała w tym spokojnym górskim zakątku. Nie przyznając się do tego przed samym sobą, spodziewał się najgorszego, nawet kolejnego morderstwa. Może w grę wchodzi jakaś niepomszczona i zapomniana z powodu upływu czasu zbrodnia, do której nikt nie chce wracać pamięcią.

Dłonie ofiary. Zdjęcia od góry i od dołu. Piękne, smukłe, z lekka rozchylone. Najmniejszego śladu linii papilarnych. Ślady nożyc na nadgarstkach.

Niémans odwrócił krzesło i oparł się o ścianę. Skrzyżował ręce na karku i zamyślił się: „Każdy element śledztwa jest jak lustro, a zabójca kryje się gdzieś w ciemnym kącie". Chyba jednak Caillois nie został wybrany przez przypadek. Ta śmierć była związana z jego przeszłością. Z osobą, którą znał. Z czynem, który popełnił. Albo z tajemnicą, którą poznał.

Od najmłodszych lat Caillois spędzał czas w bibliotece uniwersyteckiej. I w każdy weekend znikał, by szukać samotności w nierealnej wręcz atmosferze gór wznoszących się nad doliną. Co takiego mógł zrobić lub odkryć, żeby zasłużyć na tego rodzaju egzekucję?

Niémans postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o przeszłości ofiary. Odruchowo, a może wiedziony intuicją, zaczął od szczegółu, który go uderzył w czasie rozmowy z Sophie Caillois.

Po kilku próbach udało mu się w końcu dodzwonić do 14. pułku piechoty stacjonującego w pobliżu Lyonu, gdzie młodzi poborowi z regionu Isère przez trzy dni byli poddawani badaniom lekarskim. Kiedy się przedstawił i powiedział, dlaczego dzwoni, połączono go z archiwum. Poprosił

o wydostanie teczki dotyczącej Rémy’ego Caillois, który został uznany za niezdolnego do służby wojskowej w latach osiemdziesiątych. Usłyszał cichy stuk klawiatury, jakieś oddalone kroki, szelest papieru.

– Proszę mi przeczytać końcowe orzeczenie – poprosił archiwistę.

– Nie wiem, czy mogę… Jaką mam pewność, że jest pan rzeczywiście komisarzem?

Niémans westchnął.

– Niech pan zadzwoni do komendantury żandarmerii w Guernon. Poprosi pan kapitana Bernesa i…

– W porządku. To mi wystarczy. – Przerzucił kilka stron. – Pominę szczegóły, odpowiedzi na pytania testów i tym podobne. Wniosek jest taki, że pański człowiek został uznany za niezdolnego do służby wojskowej z kategorią P cztery, z powodu „ostrej schizofrenii”. Psychiatra dopisał odręcznie na marginesie: „wskazane leczenie” i podkreślił te słowa. Potem jeszcze dodał: „Skontaktować się ze szpitalem uniwersyteckim w Guernon”. Wygląda mi na to, że ten pański typ to wyjątkowy wariat, bo zazwyczaj…

– Może mi pan podać nazwisko tego lekarza?

– Oczywiście, to doktor major Yvens.

– Czy pracuje jeszcze w waszym garnizonie?

– Tak. Jest na górze.

– Proszę mnie z nim połączyć.

– Dobrze. Niech pan nie odkłada słuchawki.

W słuchawce rozległa się nagrana melodyjka, a po chwili Niémans usłyszał niski, basowy głos doktora Yvensa. Komisarz przedstawił się i wyjaśnił, o co mu chodzi.

– Jak się nazywa ten młodzieniec? – zapytał z pewną nieufnością Yvens.

– Rémy Caillois. Pięć lat temu dał mu pan kategorię P cztery po wykryciu ostrej schizofrenii. Pamięta pan ten przypadek? Czy na pewno wtedy nie symulował?

– Takie informacje są poufne – odparł niechętnie Yvens.

– Właśnie znaleziono jego ciało umocowane do skały. Otwarta rana szyjna. Wyłupione oczy. Liczne ślady torturowania. Sędzia śledczy Bernard Terpentes przysłał mnie z Paryża, bym zajął się sprawą tego morderstwa. Może się z panem skontaktować, ale czas nagli. Czy pamięta pan…

– Tak, przypominam sobie – przerwał mu Yvens. – To chory psychicznie chłopak. Nie miałem najmniejszej wątpliwości.

Choć Niémans właśnie tego się spodziewał, powtórzył pytanie:

– Nie symulował?

– Nie. Co roku mam do czynienia z symulantami. Zdrowi na umyśle mają o wiele więcej wyobraźni niż ci, którzy są naprawdę chorzy. Wygadują głupstwa, wymyślają nieprawdopodobne rzeczy. Naprawdę chorzy są łatwo rozpoznawalni. Tkwią głęboko w swoim szaleństwie, osaczeni nim, bezsilni. Nawet szaleństwo ma swoją logikę. Rémy Caillois był chory. Klasyczny przypadek.

– Jakie były oznaki jego szaleństwa?

– Ambiwalencja myśli. Utrata kontaktu ze światem zewnętrznym. Mutyzm – narzucone sobie milczenie. Klasyczne symptomy schizofrenii.

– Doktorze, ten człowiek był bibliotekarzem na uniwersytecie w Guernon. Każdego dnia miał kontakt z setkami studentów i…

Lekarz roześmiał się.

– Szaleństwo potrafi ukrywać się przed oczyma innych, przybierać nieszkodliwą postać. Powinien pan to wiedzieć lepiej ode mnie.

– Przed chwilą jednak mówił pan, że jego choroba od razu rzucała się w oczy.

– Mam w tym doświadczenie. A Caillois od tamtej pory mógł nauczyć się panować nad sobą.

– Dlaczego napisał pan „wskazane leczenie”?

– Poradziłem mu, żeby poddał się leczeniu. To wszystko.

– Czy skontaktował się pan ze szpitalem uniwersyteckim w Guernon?

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam. Przypadek był interesujący, lecz nie sądzę, żebym uprzedził szpital.

– Użył pan słowa „interesujący”, dobrze usłyszałem?

Lekarz westchnął.

– Ten człowiek żył w wyizolowanym, wyjątkowo surowym świecie, gdzie jego własna osobowość podlegała wielu zmianom. Wobec innych udawał prawdopodobnie pewną elastyczność, ale w rzeczywistości jego obsesją były porządek i precyzja. Każda z jego emocji krystalizowała się w konkretnej postaci, tworząc całą masę innych osobowości. To przypadek fascynujący.

– Czy był niebezpieczny?

– Bez wątpienia.

– I pozwolił mu pan tak po prostu odejść?

– Wie pan, szaleńcy na wolności… – Yvens urwał, nie kończąc swojej myśli.

– Panie doktorze – Niémans ściszył nieco głos – on był żonaty.

– No cóż… Współczuję jego żonie.

Komisarz odłożył słuchawkę. Te rewelacje pogłębiły jego niepokój.

– Pani mnie okłamała!

Sophie Caillois usiłowała zamknąć z powrotem drzwi, ale komisarz blokował je łokciem.

– Dlaczego nie powiedziała mi pani, że mąż był chory?

– Chory?

– Na schizofrenię. Zdaniem specjalistów powinien był przebywać w szpitalu psychiatrycznym.

– Łajdak.

Zacisnąwszy usta, szarpnęła drzwi, ale Niémans bez trudu je przytrzymał. Ta gładko uczesana, ubrana w podniszczony sweter kobieta podobała mu się jak nigdy dotąd żadna inna.

– Czy nie rozumie pani – krzyknął – że szukamy zabójcy?! Szukamy motywu. Może Rémy Caillois zrobił coś, co tłumaczyłoby, dlaczego zadano mu tak okrutną śmierć. Może o tym sam nie pamiętał. Błagam panią… tylko pani może mi pomóc!

Z oczu Sophie Caillois wyzierał strach. Jej piękna twarz, z cudownie zarysowanymi brwiami, drżała nerwowo.

– Pan oszalał.

– Muszę poznać jego przeszłość…

– Pan oszalał.

Kobieta drżała na całym ciele. Niémans mimo woli opuścił oczy. Spojrzał na jej wystające obojczyki, na przekręcone ramiączko stanika. Nagle, pod wpływem impulsu, chwycił ją za nadgarstek i podciągnął rękaw. Na przedramieniu ujrzał niebieskawe siniaki. Wzburzony zawołał:

– On panią bił!

Oderwał wzrok od czarnych plam i spojrzał w oczy Sophie Caillois.

– Bił panią! Pani mąż był chory. Lubił zadawać ból. Jestem tego pewien. Popełnił jakieś przestępstwo. Jestem przekonany, że pani się czegoś domyśla. Nie mówi pani nawet części tego, co pani wie!

Kobieta plunęła mu w twarz. Niémans cofnął się odruchowo.

Wykorzystała to, żeby zatrzasnąć drzwi. Szczęknęły zamki. W korytarzu ukazały się głowy zaniepokojonych studentów. Niémans kopnął nogą we framugę drzwi Sophie Caillois.

– Jeszcze tu wrócę! – krzyknął. Odpowiedziała mu cisza.

Walnął jeszcze raz pięścią, aż zadudniło głuche echo. Zza zamkniętych drzwi, jak z głębokiej piwnicy, doszedł go głos kobiety przerywany łkaniem:

– Pan oszalał.

14

– Chcę, żeby policjant w cywilu stale miał na nią oko. Poproście o kilku dodatkowych funkcjonariuszy z policji śledczej w Grenoble.

– Sophie Caillois? Ale… dlaczego?

Niémans popatrzył na Barnesa. Byli w głównym budynku żandarmerii w Guernon. Kapitan miał na sobie regulaminowy sweter: granatowy, z poprzecznym białym pasem. Przypominał w nim marynarza.

– Ta kobieta coś przed nami ukrywa – wyjaśnił Niémans.

– Chyba nie myśli pan, że to ona…

– Nie, ale nie mówi nam tego, co wie.

Barnes przytaknął skinieniem głowy, choć bez przekonania, potem wręczył komisarzowi gruby kartonowy segregator, pełen faksów i różnych dokumentów poczerniałych od kalki.

– To pierwsze rezultaty śledztwa – powiedział. – Jak na początek to całkiem nieźle.

Nie zwracając uwagi na ogólny rozgardiasz, Niémans, idąc wolno do przydzielonego mu pokoju, otworzył segregator. Przejrzał pobieżnie sprawozdania z dochodzeń, które przeprowadzili ludzie Barnesa i Vermonta. Wyroki sądowe, przesłuchania, rewizje, wywiady w okolicy… nie było w tym nic, na czym można by oprzeć konstruktywną hipotezę. Niémans wszedł do gabinetu z oszklonymi ścianami. Takie małe miasto, tak spektakularna zbrodnia… a on wciąż nie miał żadnej wskazówki, żadnego tropu.

Wziął krzesło i usadowiwszy się za metalowym biurkiem, jeszcze raz uważnie wszystko przeczytał.

Obserwacja włóczęgów nie przyniosła żadnych rewelacji. Wizyty w więzieniach, prefekturach, w sądach prowadziły w ślepy zaułek. Żadna z kradzieży samochodów, dokonanych w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin, nie mogła mieć powiązania z morderstwem. Bezowocne okazało się też sprawdzenie popełnionych w minionych dwudziestu latach przestępstw i drobnych wykroczeń. Nikt nie przypominał sobie tak okrutnej, dziwnej

zbrodni ani niczego, co by się z nią łączyło. Protokoły policyjne z tych dwudziestu lat ograniczały się do paru akcji ratunkowych w górach, kilku drobnych kradzieży, wypadków samochodowych, pożarów.

Niémans wziął do ręki następną koszulkę z segregatora. Śledztwa przeprowadzone w hotelach za pomocą faksu nie dostarczyły żadnej cennej informacji.

Przeszedł do materiału zebranego przez Vermonta. Jego ludzie nadal przeszukiwali teren wokół rzeki. Do tej pory sprawdzili pięć schronisk z siedemnastu zaznaczonych na mapie regionu, przy tym niektóre z nich znajdowały się na wysokości ponad trzech tysięcy metrów. Czy morderstwo popełnione na takiej wysokości było w ogóle możliwe? Funkcjonariusze przepytywali także okolicznych wieśniaków. Niektóre raporty zostały napisane w typowym żargonie policyjnym, z błędami ortograficznymi, inne musiały wyjść spod ręki wojskowych. Ludzie Vermonta złożyli wizyty w stacjach obsługi, na dworcach, na parkingach. Nie natrafili na nic istotnego. Zaczęły się jednak plotki na ulicach, w domach. Mieszkańcy zastanawiali się, dlaczego zadają tyle pytań, dlaczego kręci się tylu policjantów.

Niémans położył na biurku segregator z teczkami. Przez okno zobaczył wracających z patroli policjantów z zaczerwienionymi od zimna policzkami. Kapitan Vermont dał mu znak, że nic nie znaleźli.

Komisarz jeszcze przez chwilę patrzył na nich, ale myślami już był daleko. Myślał o dwóch kobietach. Jedna była wysportowana, silna i opalona, z matową, aksamitną cerą. Kojarzyła mu się z zapachem wina z dodatkiem żywicy, z zapachem ziół. Druga była krucha, wątła i zgorzkniała. Emanowały z niej brak pewności siebie i agresywność, zmieszane ze strachem, co niezwykle fascynowało Niémansa. Co kryło się za tą szczupłą, tak niepokojąco piękną twarzą? Jaka była tajemnica tej kobiety? I do jakiego stopnia żałowała męża, którego zwłoki nosiły ślady takich cierpień?

Niémans wstał i podszedł do jednego z okien. Ponad górami, zza chmur, słońce rzucało jasne promienie, które długimi smugami przecinały ciemne niebo. Pod nimi widział identyczne jak w Guernon szare domy ze stromymi dachami, zapobiegającymi gromadzeniu się śniegu, ich ciemne okna, małe i kwadratowe, jak obrazy tonące w półmroku. I rzekę, która płynęła przez miasto w pobliżu budynku żandarmerii.

Przed jego oczyma pojawił się znowu obraz dwóch kobiet. Przy każdej sprawie doznawał tego samego uczucia. Nie wiedział, co to miłość, kochał jednak tę atmosferę pościgu za przestępcą: świadkowie, podejrzani, dziwki, kelnerki…

Brunetka czy blondynka?

Rozległ się sygnał jego telefonu komórkowego. Dzwonił Antoine Rheims.

– Wracam ze szpitala Hôtel-Dieu.

Niémans spędził cały ranek, ani razu nie wspominając o Paryżu. Wydarzenia w Parc des Princes powróciły teraz w jego pamięci jak bumerang.

– Lekarze robią piąty przeszczep, żeby uratować mu twarz – powiedział Rheims. – Facet nie ma już praktycznie skóry na udach od tych pobierań. To nie wszystko. Trzy urazy czaszki. Jedno oko stracone. Siedem złamań na twarzy. Siedem, Niémans! Dolna szczęka wciśnięta głęboko w krtań. Odłamki kości przerwały struny głosowe. Ten człowiek jest jeszcze w stanie śpiączki, ale kiedy z niej wyjdzie, nie będzie już mógł mówić. Według lekarzy nawet wypadek samochodowy nie mógłby wywołać takich spustoszeń. Co mam im powiedzieć? Jak to wytłumaczyć ambasadzie Wielkiej Brytanii? Albo mediom? Znam cię wiele lat. Sądzę, że jesteśmy przyjaciółmi. Myślę jednak także, że jesteś stukniętym brutalem.

Niémans poczuł, że drżą mu ręce.

– Ten typ to morderca – rzekł.

– Jasna cholera! A ty kim jesteś?

Komisarz nie odpowiedział. Przełożył do drugiej ręki słuchawkę mokrą od potu.

– Jak posuwa się twoje śledztwo? – zapytał Rheims.

– Powoli. Brak wskazówek. Brak świadków. Okazało się to bardziej skomplikowane, niż przypuszczałem.

– Uprzedzałem cię! Kiedy media dowiedzą się, że jesteś w Guernon, dopadną cię tam jak parchy wyłysiałego psa. Co za pomysł miałem, żeby cię tam wysyłać!

Rheims rzucił gwałtownie słuchawką. Niémans przez kilka minut siedział nieruchomo, z zamkniętymi oczami, czując suchość w gardle. Jak w oślepiającym przebłysku światła ujrzał znowu wczorajszy wieczór.

Nerwy mu puściły. Tłukł zabójcę w przystępie wściekłości, która pozbawiła go zdrowego rozsądku.

Pierre Niémans zawsze żył w świecie przemocy i deprawacji, świecie okrucieństwa i brutalności, i nigdy nie bał się grożącego mu niebezpieczeństwa. Przeciwnie, zawsze go szukał, żeby stawić mu czoło. Teraz jednak nie był już pewien, czy potrafi kontrolować sam siebie. Przemoc w końcu nim zawładnęła, głęboko go osaczyła, pozostawiając tylko słabość i mroczną niepewność. Nie zdołał przezwyciężyć własnych lęków. Gdzieś, w zakamarkach jego mózgu, wciąż wyły psy.

Nagle aż podskoczył. Znowu zadzwonił telefon. Tym razem był to Marc Costes, lekarz sądowy, który triumfalnym głosem oznajmił:

– Mam coś nowego dla pana, komisarzu. Zdobyliśmy pewną wskazówkę. Solidną. Dotyczy to wody pod powiekami ofiary. Właśnie otrzymałem wyniki analizy.

– No i co?

– To nie jest woda z rzeki. Pracuję nad tym z Patrickiem Astierem, chemikiem z laboratorium policji w Grenoble. To wybitny fachowiec. Jego zdaniem płyn z oczodołów nie ma nic wspólnego z wodą ze strumienia.

– Proszę wyjaśnić mi to dokładniej.

– Woda pobrana z oczodołów ofiary zawiera H_2SO_4 oraz HNO_3, to znaczy kwas siarkowy i kwas azotowy. Jej współczynnik pH wynosi 3, a to oznacza wysoki poziom kwasowości. Jest jak ocet. Daje nam to bardzo precyzyjną informację.

– Nic z tego nie rozumiem. Co to znaczy?

– Nie będę wdawał się w techniczne szczegóły, ale kwas siarkowy i kwas azotowy są pochodnymi SO_2, dwutlenku siarki, i NO_2, dwutlenku azotu. Astier uważa, że taką mieszankę dwutlenków emitują w powietrze kotłownie opalane węglem brunatnym. Są to zakłady bardzo starego typu. Wniosek Astiera jest następujący: ofiara została zabita w pobliżu takiego zakładu lub tam przetransportowana. Znajdzie pan kotłownie na węgiel brunatny w tym regionie, a będzie pan miał miejsce zbrodni.

Niémans spojrzał w niebo oświetlone jaskrawymi promieniami słońca. Może wreszcie pojawił się istotny element w tej sprawie.

– Proszę przesłać na telefaks Barnesa skład chemiczny tego płynu – polecił.

W drzwiach gabinetu pojawił się Éric Joisneau.

– Szukam pana wszędzie, mam chyba ważną informację.

Czyżby śledztwo nabrało wreszcie tempa? Joisneau wertował nerwowo swój notes.

– Odkryłem, że koło miejscowości Sept-Laux znajduje się zakład dla niewidomych dzieci i młodzieży. Wielu jego pensjonariuszy pochodzi z Guernon. Cierpią na różne choroby oczu – kataraktę, barwnikowe zwyrodnienie siatkówki, daltonizm. Na tym terenie te choroby występują częściej niż w innych rejonach kraju.

– Jaki jest powód?

– Są to choroby genetyczne. Przechodzą z pokolenia na pokolenie. Zdarzają się częściej w tak odizolowanych miejscach jak ta dolina.

Porucznik wyrwał kartkę z notesu.

– Proszę, to adres tego zakładu. Dyrektor, doktor Champelaz, zbadał to zjawisko bardzo dokładnie. Myślę, że…

Niémans wskazał palcem na Joisneau.

– Ty tam pojedziesz.

Twarz młodego policjanta rozjaśniła się.

– Pan mi ufa?

– Ufam ci. Zmykaj.

– Panie komisarzu… przepraszam, ale… dlaczego pan sam nie porozmawia z dyrektorem? To może być interesujący trop. Znalazł pan coś ciekawszego? Uważa pan, że powiedzie mi się lepiej, bo jestem z tych stron? Nie kapuję.

Niémans oparł się o framugę drzwi.

– Masz rację, jestem na innym tropie. Przy okazji jednak, Joisneau, udzielę ci małej lekcji. Bywają czasami przy śledztwie powody uboczne.

– Jakie powody?

– Osobiste. Nie pojadę do tego zakładu, bo cierpię na pewną fobię.

– Boi się pan niewidomych?

– Nie, psów.

Twarz porucznika wyrażała niedowierzanie.

– Nie rozumiem.

– Niewidomy kojarzy mi się z psem przewodnikiem. Nie ma więc mowy, żebym postawił tam nogę.

Komisarz wyszedł, zostawiając zakłopotanego porucznika.

Zapukał do drzwi gabinetu Barnesa i otworzył je, nie czekając na zaproszenie. Kapitan układał w oddzielne pliki wciąż wypadające z faksu odpowiedzi z hoteli, restauracji i stacji obsługi samochodów. Wyglądał jak sprzedawca ustawiający towar w sklepie.

– To pan, komisarzu? – Barnes spojrzał w jego kierunku. – Proszę, to dla pana, właśnie otrzymałem…

– Wiem.

Niémans chwycił wydruk przesłany przez Costesa i przebiegł go pobieżnie wzrokiem. Była to lista cyfr i skomplikowanych nazw składników chemicznych wody z oczodołów ofiary.

– Panie kapitanie, czy wie pan o jakiejś znajdującej się w tym regionie kotłowni opalanej węglem brunatnym?

Barnes zrobił niepewną minę.

– Nie, o niczym takim nie słyszałem. Może bardziej na zachód… Strefa przemysłowa jest bliżej Grenoble…

– Gdzie mógłbym uzyskać informacje na ten temat?

– W federacji zakładów przemysłowych w Isère – odrzekł Barnes – ale chwileczkę. Mam coś lepszego. Chodzi panu o kotłownię, która powoduje duże zanieczyszczenie powietrza, tak?

Niémans uśmiechnął się i wskazał ręką na faks upstrzony cyframi.

– Duże ilości kwasów.

Barnes już notował coś na kartce.

– Musi pan porozmawiać z tym człowiekiem, Alainem Derteaux. To ogrodnik, który ma szklarnie z roślinnością tropikalną przy wjeździe do Guernon. To specjalista od zanieczyszczenia powietrza. Walczący ekolog. Wie, skąd pochodzi każdy gaz emitowany w naszym regionie, zna jego skład i konsekwencje dla środowiska.

Niémans już zabierał się do wyjścia, gdy żandarm ponownie się odezwał. Podniósł ręce, ukazując wewnętrzną stronę dłoni z grubymi, sękatymi palcami.

– Zasięgnąłem języka w sprawie tych linii papilarnych na rękach Caillois. Kiedy był małym chłopcem, miał wypadek. Pomagał ojcu czyścić należący do ich rodziny jacht na jeziorze d’Annecy. Poparzył sobie obie dłonie żrącym detergentem. Skontaktowałem się z kapitanatem portu. Pamiętają ten wypadek. Erka, szpital i całe zamieszanie… Można by to jeszcze sprawdzić, ale moim zdaniem nie warto w tym grzebać.

Niémans odwrócił się, trzymając klamkę.

– Dziękuję, kapitanie. Powodzenia.

– To panu trzeba życzyć powodzenia – odrzekł Barnes. – Ten ekolog Derteaux jest cholernie upierdliwy.

15

– …Cały nasz region jest zatruty, skazany na śmierć! Zakłady przemysłowe są we wszystkich zakątkach doliny, na zboczach gór, w lasach, powodując zatrucie wód gruntowych, skażenie gleby, zanieczyszczenie powietrza, którym oddychamy. Departament Isère – gazy i trucizna na wszystkich wysokościach!

Alain Derteaux był chudym mężczyzną z wąską, pomarszczoną twarzą. Nosił rozłożystą brodę i okulary w metalowej oprawie, które nadawały mu wygląd mormona po ucieczce z więzienia. Komisarz znalazł go w jednej z jego szklarni, gdzie zajęty był sadzeniem aplegierek bawełny w małe pojemniczki z ziemią. Niémans przerwał tę tyradę, którą Derteaux wygłosił, jak tylko się sobie przedstawili.

– Proszę mi wybaczyć, ale potrzebuję od pana pewnej informacji, i to bardzo pilnie.

– Co takiego? A tak, prawda… – Derteaux przybrał łagodniejszy ton. – Pan jest z policji…

– Czy zna pan jakąś działającą w tym regionie kotłownię opalaną węglem brunatnym?

– Węglem brunatnym? To trucizna w czystej postaci…

– Czy zna pan usytuowanie tego rodzaju zakładu?

Derteaux zaprzeczył ruchem głowy, cały czas nie przerywając swego zajęcia.

– Nie. Dzięki Bogu, nie ma kotłowni na węgiel brunatny w naszym regionie. Tego rodzaju zakłady zostały zlikwidowane w latach siedemdziesiątych we Francji i w krajach ościennych. Powodowały znaczne zanieczyszczenie środowiska. Emitowane przez nie gazy przekształcały każdą chmurę w bombę chemiczną…

Niémans sięgnął do kieszeni i wyciągnął faks od Marca Costesa.

– Mógłby pan rzucić okiem na te składniki chemiczne? To wyniki analizy próbki wody znalezionej niedaleko stąd.

Kiedy Derteaux czytał uważnie dokument, komisarz rozglądał się po miejscu, gdzie się znajdowali. Była to duża szklarnia z popękanymi, pełnymi brudnych zacieków ścianami. Liście szerokie jak okna, maleńkie pędy, z których nie wiadomo co wyrośnie, zwisające i splątane liany – wszystkie te rośliny sprawiały wrażenie, że walczą między sobą zażarcie o miejsce do życia. Derteaux podniósł wzrok, był najwyraźniej zaskoczony.

– Twierdzi pan, że ta próbka pochodzi z naszego regionu?

– Ręczę za to.

Derteaux poprawił okulary.

– Mogę wiedzieć, gdzie ją pobrano?

– Znaleźliśmy ją na zwłokach zamordowanego człowieka.

– No tak… Powinienem się domyślić… przecież jest pan z policji. – Zadumał się z coraz bardziej niepewną miną. – Morderstwo tu, w Guernon?

Komisarz zignorował to pytanie.

– Potwierdza pan, że takie zanieczyszczenie związane jest ze spalaniem węgla brunatnego?

– Emisje z dużą zawartością kwasów zawsze powodują zanieczyszczenie środowiska. Uczęszczałem na wykłady o tej tematyce. – Przeczytał jeszcze raz sprawozdanie. – Zawartość H_2SO_4 i HNO_3 jest zdumiewająco duża. Powtarzam jednak, że w tym regionie nie ma już kotłowni tego typu. Ani we Francji, ani w innym kraju Europy Zachodniej.

– Czy takie zatrucie powietrza mogły spowodować inne zakłady przemysłowe?

– Nie sądzę.

– Gdzie więc należałoby szukać źródła takich zanieczyszczeń?

– Ponad osiemset kilometrów stąd, w Europie Wschodniej.

Niémans zacisnął szczęki. Nie mógł się pogodzić z tym, że pierwszy trop tak szybko okazał się fałszywy.

– Może jest inne rozwiązanie tej zagadki… – mruknął Derteaux.

– Jakie?

– Być może ta woda przebyła daleką drogę z Czech, Słowacji, Rumunii, Bułgarii… – I dodał szeptem w poufnym tonie: – To prawdziwi barbarzyńcy, jeśli chodzi o problemy środowiska.

– Ma pan na myśli kontenery, które…

Derteaux parsknął śmiechem.

– Znacznie prostszym sposobem. Taka woda mogła do nas dotrzeć poprzez chmury.

– Niech mi pan to wyjaśni – poprosił Niémans.

– Proszę sobie wyobrazić wielką elektrociepłownię, usytuowaną gdzieś w Europie Wschodniej. Potężne kominy, które przez cały boży dzień wypluwają dwutlenek siarki i dwutlenek azotu… Kominy te wznoszą się na trzysta metrów w górę. Gęste kłęby dymu idą do góry i tam mieszają się z chmurami… Jeśli nie ma wiatru, trucizna zostaje nad danym terytorium. Jeśli jednak powieje wiatr ze wschodu, dwutlenek siarki i dwutlenek azotu wędrują z chmurami, które szybko docierają do naszych gór i tam przekształcają się w obfite deszcze. Są to właśnie kwaśne deszcze, które niszczą nam lasy. Jakbyśmy sami nie produkowali dość różnych trucizn! Zapewniam pana, że my także emitujemy niemało związków toksycznych i przekazujemy je innym za pośrednictwem własnych chmur…

W tym momencie Niémans odtworzył sobie w myśli, jasno i wyraźnie, całą scenę. Zabójca gdzieś w górach, pod otwartym niebem, torturował, dręczył swą ofiarę, podczas gdy ulewa zraszała miejsce kaźni. Puste oczodoły napełniły się wodą deszczową. Taką właśnie zatrutą wodą. Zabójca zamknął oczy zmarłego, wypełnione kwaśną wodą, kończąc tym aktem makabryczną operację.

A więc musiało padać, kiedy ten potwór popełniał swoją zbrodnię.

– Jaka była pogoda w ostatnią niedzielę? – zapytał nagle Niémans.

– Słucham?

– Czy padało w tym regionie w niedzielę pod koniec dnia lub w nocy?

– Nie, raczej nie. Była piękna, słoneczna pogoda. Prawdziwa słoneczna, niemal jak w sierpniu…

Jedna szansa na tysiąc. Kwaśny deszcz mógł mieć lokalny zasięg. Żeby odnaleźć miejsce zbrodni, trzeba prześledzić trasę chmur.

– Gdzie jest najbliższa stacja meteorologiczna? – zapytał.

– Trzydzieści kilometrów stąd, niedaleko przełęczy La Mine-de-Fer. Chce pan sprawdzić, czy padało? Dobry pomysł. Sam chciałbym wiedzieć, czy ci barbarzyńcy posyłają nam nadal takie toksyczne bomby. Toczy się prawdziwa wojna chemiczna, panie komisarzu, i to przy ogólnej obojętności społeczeństwa.

Niémans podał mu kartkę.

– Numer mojego pagera. Jeśli przyjdzie panu do głowy jakiś pomysł na ten temat, proszę mnie powiadomić.

Niémans odwrócił się i poszedł przez szklarnię, a liście hebanowca smagały go po twarzy.

16

Komisarz jechał szybko. Zanosiło się na to, że mimo pochmurnego nieba będzie ładna pogoda. Jaskrawe promienie słońca przebijały się przez czarne chmury. Aż po horyzont ciągnęła się ciemnozielona ściana lasu sosnowego. Korony drzew gięły się, poruszane wiatrem. Jadąc krętą drogą, Niémans zachwycał się radosną i tajemniczą atmosferą roztaczającej się wokół przyrody.

Pomyślał o chmurach, które przyniosły ze sobą truciznę znalezioną w pustych oczodołach ofiary. Gdy ubiegłej nocy opuszczał Paryż, nie podejrzewał, iż czeka go taka sprawa.

Po czterdziestu minutach dotarł do przełęczy La Mine-de-Fer. Bez najmniejszego trudu odnalazł stację meteorologiczną, której kopuła sterczała nad zboczem górskim. Wjechał na dróżkę prowadzącą do głównego budynku. Jego uwagę zwrócił od razu niezwykły spektakl. W odległości stu metrów od stacji pracownicy instytutu usiłowali napełnić ciepłym powietrzem ogromny balon z przezroczystego plastiku. Komisarz zaparkował i wysiadł z wozu. Podszedł do ubranych w nieprzemakalne kurtki ludzi z zaczerwienionymi twarzami i pokazał swoją legitymację. Meteorolodzy popatrzyli na niego, nie pojmując, o co mu chodzi. Długa, pomarszczona płachta balonu przypominała srebrną rzekę. Od spodu podgrzewał ją palnik dający strumień błękitnego płomienia. Cała scena miała w sobie coś zachwycającego, przypominającego czary.

– Komisarz Niémans – przedstawił się, przekrzykując huk płomienia. Wskazał ręką betonową kopułę. – Chciałbym, żeby któryś z panów poszedł ze mną do stacji.

– O co chodzi? – zapytał jeden z nich, widocznie kierownik.

– Muszę wiedzieć, czy w ostatnią niedzielę padał deszcz. Informacja ta jest potrzebna dla śledztwa w sprawie morderstwa.

Meteorolog patrzył na niego zaskoczony. Kaptur kurtki przeciwdeszczowej ocierał się o jego twarz. Wskazał na ogromną powłokę, która stopniowo się wypełniała.

– Balon poczeka – powiedział Niémans. Meteorolog ruszył w kierunku laboratorium, mrucząc pod nosem:

– W niedzielę nie padało.

– Sprawdzimy to.

Meteorolog miał rację. Gdy zasięgnęli informacji w centralnym biurze meteorologicznym, nie natrafili nawet na cień turbulencji, opadów atmosferycznych ani żadnej burzy nad Guernon w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin. Obraz na mapach satelitarnych widocznych na ekranie był jednoznaczny – ani w dzień, ani w nocy z soboty na niedzielę nie spadła kropla deszczu w tym regionie. W rogu ekranu ukazały się inne dane: poziom wilgotności powietrza, wysokość ciśnienia atmosferycznego, temperatura powietrza… Naukowiec od niechcenia dodatkowo wyjaśnił, że antycyklon spowodował pewną stabilność w zmianach na niebie w ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin.

Mimo to Niémans poprosił inżyniera, aby poszerzył pole poszukiwań na ranek niedzielny, a potem na popołudnie. Żadnej burzy, żadnej ulewy. Sprawdzono więc rejon w promieniu stu kilometrów. Nic. Dwieście kilometrów. Nadal nic. Komisarz uderzył ręką w biurko.

– To niemożliwe – powiedział. – Gdzieś w okolicy był deszcz, mam na to dowód. W jakimś zagłębieniu doliny. Na szczycie jakiegoś wzgórza.

Meteorolog wzruszył ramionami, klikając myszą. Na ekranie, ponad mapami gór, migały różnokolorowe cienie, faliste wykresy, cienkie spirale, pokazując, jak rodzi się kolejny pogodny i bezchmurny dzień w samym sercu departamentu Isère.

– Musi być jakieś wytłumaczenie… – mruknął do siebie Niémans. – Mój Boże, przecież ja…

Zadzwonił telefon komórkowy.

– Czy to pan, komisarzu? Mówi Alain Derteaux. Przemyślałem tę sprawę z węglem brunatnym. Przeprowadziłem na własną rękę małe dochodzenie. Przykro mi, ale się myliłem.

– Mylił się pan?

– Tak. To niemożliwe, żeby deszcz o takiej kwasowości spadł tutaj w ostatni weekend. Zresztą nie mógł spaść w żadnym momencie.

– Dlaczego?

– Sprawdziłem informacje na temat elektrociepłowni na węgiel brunatny. Nawet w krajach Europy Wschodniej nakładane są specjalne filtry na

kominy. Krótko mówiąc, od lat sześćdziesiątych bardzo obniżył się poziom zanieczyszczenia powietrza. Od trzydziestu pięciu lat nigdzie nie odnotowano takiego trującego deszczu. Na szczęście! Wprowadziłem pana w błąd, za co najmocniej przepraszam.

Niémans milczał. Derteaux zapytał z niedowierzaniem:

– Jest pan pewien, że pański trup nosi ślady takiej wody?

– Całkowicie – odrzekł komisarz.

– A więc, choć trudno w to uwierzyć, pochodzi on z przeszłości. Leżał na deszczu, który spadł tutaj przeszło trzydzieści lat temu…

Komisarz podziękował mu i wyłączył telefon. Ciężkim krokiem wrócił do samochodu. Przez krótki moment wierzył, że wpadł na trop, ale rozpłynął się on w jego rękach, jak ta woda zatruta kwasami, i cała sprawa okazała się kompletnym absurdem.

Niémans podniósł wzrok ku niebu. Słońce rzucało ukośne promienie, które tworzyły fantazyjne arabeski wokół chmur. Refleks światła odbił się na szczytach Grand Pic de Belledonne, pokrytych lodowcem. Jak mógł on – zawodowy policjant, człowiek myślący racjonalnie – wierzyć choć przez chwilę, że jakieś obłoki wskażą mu miejsce popełnienia zbrodni?

Jak w ogóle mógł…

Nagle, naśladując gest Fanny Ferreira, młodej alpinistki, podniósł ręce ku niebu płonącemu od słonecznego blasku. Zrozumiał wreszcie, gdzie Rémy Caillois został zabity. Domyślił się, gdzie można znaleźć wodę pochodzącą sprzed trzydziestu pięciu lat.

Nie na ziemi.

I nie w niebie.

Na lodowcu.

Egzekucja Rémy’ego Caillois miała miejsce na lodowcu, na wysokości trzech tysięcy metrów. Tam, gdzie każdego roku woda deszczowa zamarza i pozostaje na wieczność.

To było miejsce zbrodni. Wreszcie miał coś konkretnego.

Część IV

17

Godzina trzynasta. Karim Abdouf wszedł do gabinetu Henriego Croziera i położył przed nim swój raport. Komisarz, zajęty pisaniem listu, nie podnosząc wzroku, zapytał:

– No i co odkryłeś?

– Skini nie włamywali się, ale tej właśnie nocy widzieli dwie osoby wychodzące z grobowca.

– Potrafili je opisać?

– Nie, bo było za ciemno.

Crozier raczył spojrzeć na Karima.

– Pewnie kłamią.

– Nie kłamią. I to nie oni sprofanowali grób.

Zapadła cisza.

– Pan ma świadka, komisarzu – podjął znowu Karim, zwracając się do siedzącego za biurkiem Croziera – i nie powiedział mi pan o tym. Doniesiono panu wcześniej, że skini kręcili się koło cmentarza, i pan wyciągnął z tego wniosek, że to oni są winni. Rzeczywistość jest jednak bardziej skomplikowana. Jeśli pozwoli mi pan przepytać tego świadka, ja…

Crozier podniósł rękę w uspokajającym geście.

– Nie podniecaj się, przyjacielu. Tutejsi ludzie ufają tylko tym, których od dawna znają, ludziom pochodzącym z naszego miasta. Tobie nie powiedzą nawet części tego, z czym mimowolnie wygadali się już przede mną. Czy to wszystkie rewelacje, jakie przekazały ci te golone łby?

Karim spojrzał na afisze głoszące chwałę „agentów pokoju”. Na jednej z metalowych szafek lśniły puchary, które Crozier otrzymał w konkursach strzeleckich.

– Skini widzieli także wyjeżdżający z tego miejsca biały samochód około drugiej nad ranem. Skręcił na drogę D sto czterdzieści trzy.

– Co to za samochód?

– Łada albo jakiś inny wóz marki wschodnioeuropejskiej. Trzeba kogoś tam posłać. Takie samochody nie pojawiają się często w naszym regionie

i…

– Może ciebie?

– Komisarzu, pan dobrze wie, na czym mi zależy. Wypytałem skinów. Teraz chciałbym zbadać dokładnie grób.

– Strażnik mówił mi, że już wchodziłeś do środka.

– Co przyniosło śledztwo na cmentarzu? – zapytał Karim, ignorując tę uwagę.

– Absolutnie nic. Żadnych odcisków palców, najmniejszej wskazówki. Przeczeszemy teren wokół. Jeśli to byli wandale, zachowali wyjątkową ostrożność, sukinsyny.

– Tego nie zrobili wandale. To zawodowcy. W każdym razie wiedzieli, czego konkretnie szukają. Ten grób kryje jakąś tajemnicę i chcieli ją zbadać. Powiadomił pan rodzinę? Czy rodzice zgodzą się, żebyśmy…

Karim urwał, widząc niepewną minę Croziera. Oparłszy dłonie na blacie biurka, czekał na odpowiedź komisarza.

– Nie odnaleźliśmy rodziny. W mieście nie ma nikogo o tym nazwisku. Ani w innych miejscowościach departamentu.

– Pogrzeb odbył się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku, z pewnością są jakieś dokumenty.

– Na razie nie mamy nic.

– Świadectwo zgonu?

– W Sarzac nie ma świadectwa zgonu.

Karim rozpromienił się. Przeszedł kilka kroków po gabinecie.

– Coś się kryje za tym grobem. Jestem tego pewien. I wiąże się z tym włamanie w szkole.

– Ponosi cię wyobraźnia, Karim. Istnieje tysiąc sposobów wyjaśnienia tej tajemnicy. Mały Jude zginął w wypadku drogowym. Może trafił do szpitala w którymś z sąsiednich miasteczek, a pochowano go tutaj, bo tak było najwygodniej. Może jego matka żyje dotąd, ale nosi inne nazwisko. Może…

– Rozmawiałem ze strażnikiem na cmentarzu. Grób jest utrzymany w doskonałym stanie, ale on nigdy nikogo przy nim nie widział.

Crozier nie odpowiedział. Otworzył szufladę biurka i wyjął butelkę złotawobrązowej wódki. Zdecydowanym ruchem napełnił kieliszek.

– Jeśli nie odnajdziemy tej rodziny – mówił dalej Karim – to czy dostaniemy pozwolenie na wejście do grobowca?

– Nie.

– Proszę mi więc pozwolić na odnalezienie rodziców chłopca.

– A biały wóz? Szukanie śladów wokół cmentarza?

– Przyjadą posiłki z krajowej policji śledczej. Dadzą sobie z tym doskonale radę. Niech mi pan da, komisarzu, kilka godzin na przeprowadzenie tej części śledztwa. I chcę być sam.

Crozier podniósł kieliszek.

– Napijesz się?

Kiedy ten pokręcił przecząco głową, Crozier wysączył kieliszek do dna i mlasnął językiem.

– Masz czas do osiemnastej, łącznie ze sporządzeniem raportu.

Karim niezwłocznie opuścił gabinet komisarza.

18

Po rozmowie z komisarzem zadzwonił ponownie do dyrektorki szkoły imienia Jeana Jaurèsa, żeby się dowiedzieć, czy zebrała jakieś informacje o Jude Itero. Powiedziała mu, że robiła, co mogła, ale nie udało jej się niczego osiągnąć – nie znalazła żadnego dokumentu ani żadnej wzmianki w archiwach departamentu. „Może obrał pan złą drogę – zasugerowała. – Może ten chłopiec nie mieszkał w naszym regionie”.

Karim odłożył słuchawkę i spojrzał na zegarek. Trzynasta trzydzieści. Przeznaczył sobie dwie godziny na przejrzenie archiwów w innych szkołach i list nazwisk uczniów z klas odpowiadających wiekiem chłopcu.

Po niecałej godzinie zakończył obchód po szkołach. Nigdzie nie natrafił na ślad Jude’a Itero. Wrócił znowu do szkoły Jeana Jaurèsa. Kiedy przeglądał udostępnione mu dokumenty, przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Cały czas pracowałam dla pana, poruczniku – powiedziała dyrektorka.

– I czego pani dokonała?

– Szukałam nazwisk i adresów nauczycieli, którzy u nas pracowali w interesującym pana okresie.

– I co z tego wynika?

– Niestety, poprzednia dyrektorka jest już na emeryturze.

– Mały Jude miał dziewięć lat w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku, dziesięć w osiemdziesiątym drugim. Czy dałoby się odszukać wychowawczynie tych klas?

Dyrektorka zajrzała do swoich notatek.

– Mam. Szczęśliwie się składa, że klasy CM jeden w osiemdziesiątym pierwszym roku i CM dwa w osiemdziesiątym drugim roku miały tę samą wychowawczynię. Często się zdarza, że wychowawczyni prowadzi klasę w następnym roku…

– Gdzie ona jest teraz?

– Nie wiem. Odeszła po zakończeniu roku szkolnego w osiemdziesiątym drugim.

Karim nie ukrywał rozczarowania.

– Jest pewna rzecz, o której wcześniej nie pomyśleliśmy – powiedziała dyrektorka z powagą na twarzy.

– Co takiego?

– Zdjęcia szkolne. Zachowujemy zdjęcia każdego dziecka. Ze wszystkich klas.

Porucznik zagryzł usta. Dlaczego sam o tym nie pomyślał?

Dyrektorka mówiła dalej:

– Zajrzałam więc do naszych archiwów fotograficznych. Klisze ze zdjęciami uczniów z klas CM jeden i CM dwa także zniknęły. To nieprawdopodobne…

Ta informacja nieoczekiwanie pomogła Karimowi. Pomyślał o owalnej srebrnej ramce na grobie. Zrozumiał, że usuwając nazwisko chłopca i jego zdjęcie, zatarto wszelki ślad po nim, jakby w ogóle nie istniał.

– Dlaczego pan się uśmiecha? – zdziwiła się dyrektorka.

– Przepraszam. Czekałem na taką sprawę od dawna. – Karim się zamyślił. – Mnie także przyszedł do głowy pewien pomysł. Czy zachowujecie państwo dzienniki klasowe z dawnych lat?

– Dzienniki klasowe?

– Za moich czasów każda klasa miała taki dziennik, notowano w nim nieobecności uczniów i zadane prace domowe na dzień następny.

– My też mamy taki zwyczaj.

– Zachowujecie je?

– Tak, ale nie ma w nich listy nazwisk uczniów całej klasy.

– Wiem, tylko nazwiska nieobecnych.

Twarz kobiety rozjaśniła się.

– Przypuszcza pan, że Jude był nieobecny któregoś dnia?

– Mam nadzieję, że włamywacze nie wpadli na ten pomysł.

Dyrektorka znowu otworzyła oszkloną szafę z archiwami.

Karim powiódł palcem po ciemnozielonych grzbietach, aż odnalazł dzienniki z interesujących go lat. Spotkało go jednak kolejne rozczarowanie. Nazwisko Jude Itero nie pojawiło się ani razu.

Poszedł zdecydowanie złym tropem. Mimo iż był prawie tego pewien, nic nie wskazywało na to, że chłopiec uczęszczał do tej szkoły. Karim jednakże nadal wertował dzienniki, szukając jakiegoś szczegółu, który potwierdziłby, że jest na dobrej drodze.

Niespodziewanie zauważył, że w jednym z dzienników, którego strony ponumerowane były starannym dziecinnym pismem, brakowało kilku kartek. Kiedy otworzył szerzej dziennik klasy CM2, okazało się, że wyrwano kartki datowane od 8 do 15 czerwca 1982 roku. Mogło to nie mieć żadnego znaczenia, ale Karim już oczyma wyobraźni zobaczył na tych stronach nazwisko chłopca, napisane tym samym starannym charakterem pisma.

– Proszę mi dać książkę telefoniczną.

Kilka minut później Karim wydzwaniał do wszystkich lekarzy w Sarzac, całkowicie już teraz pewien, że Jude Itero musiał być nieobecny w szkole między ósmym a piętnastym czerwca, a więc prawdopodobnie był chory.

Każdego z lekarzy prosił o sprawdzenie, czy wśród kart pacjentów nie ma nazwiska chłopca, za każdym razem dyktując litera po literze. Bez skutku. Żaden z nich nawet nie przypominał sobie takiego nazwiska. Karim zaklął pod nosem. Zaczął wydzwaniać do sąsiednich miejscowości: Cailhac, Thiermons, Valuc. Wreszcie w Cambuse, mieście oddalonym o trzydzieści kilometrów od Sarzac, usłyszał wypowiedzianą obojętnym tonem odpowiedź lekarza:

– Jude Itero. Tak, oczywiście, bardzo dobrze pamiętam.

Karim nie wierzył własnym uszom.

– Tak dobrze pan pamięta po czternastu latach?

– Proszę do mnie przyjechać. Wszystko panu wyjaśnię.

19

Stéphane Macé był typowym wiejskim lekarzem, tyle że nowoczesnym i eleganckim. Miał ogorzałą twarz, szczupłe białe dłonie i nosił drogi garnitur. Doskonały wzór lekarza, cierpliwego i zawsze gotowego służyć pomocą. Karim natychmiast poczuł niechęć do tego człowieka, do jego eleganckich manier i wyszukanej uprzejmości.

Usiadł w fotelu, nie zdejmując skórzanej kurtki. Dzieliło ich biurko z drewna pokrytego politurą. Stało na nim kilka niezbyt cennych bibelotów, komputer, książka z wykazem leków. Gabinet lekarza był urządzony w prosty sposób, lecz w dobrym stylu.

– Proszę mi powiedzieć, co pan wie – polecił Karim bez żadnych wstępów.

– Czy mógłby mi pan wyjaśnić, do czego to panu potrzebne?

– Nie. – Karim uśmiechnął się, by złagodzić ostry ton swojej odpowiedzi. – Bardzo mi przykro, ale nie mogę.

Lekarz postukał palcami w blat biurka, po czym wstał. Najwyraźniej zaskoczony był widokiem tego Araba w kolorowym berecie. Rozmawiając przez telefon, nie spodziewał się kogoś takiego.

– Było to w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. Wezwano mnie do chorego. Do małego chłopca… z wysoką gorączką. Miałem wtedy dwadzieścia osiem lat i pierwszy raz wyjechałem w teren.

– Dlatego pamięta pan tę wizytę?

Lekarz uśmiechnął się szeroko, czym zirytował ostatecznie Karima.

– Nie. Zaraz panu wyjaśnię… Przekazano mi to wezwanie z centrali. Zanotowałem adres, nie mając pojęcia, gdzie jadę. Dojechałem do małego domu, na uboczu, piętnaście kilometrów stąd… Mam ten adres… Dam go panu.

Porucznik, bez słowa, kiwnął potakująco głową.

– Krótko mówiąc – podjął znowu lekarz – był to dość nędzny dom z kamienia, stojący na całkowitym pustkowiu. Słońce prażyło niemiłosiernie, w wysuszonych krzakach brzęczały komary… Kiedy drzwi

otworzyła mi kobieta, doznałem dziwnego wrażenia. Jakby nie pasowała do tego wiejskiego otoczenia…

– Dlaczego?

– Nie wiem. W dużym pokoju błyszczało pianino i…

– Wieśniacy nie mają prawa lubić muzyki?

– Tego nie powiedziałem… – Lekarz zawiesił głos. – Mam wrażenie, że nie wydałem się panu sympatyczny.

– To nie ma żadnego znaczenia.

Lekarz przyjął do wiadomości tę uwagę, nie zmieniając uprzejmego wyrazu twarzy. Uśmiech nie schodził z jego warg, ale z oczu wyzierał lęk. Zauważył grubą kolbę glocka 21 wystającą z kabury. A może nawet ślady zaschniętej krwi na rękawie skórzanej kurtki Karima. Chodził po gabinecie, coraz bardziej spięty.

– Kiedy wszedłem do pokoju chłopca, wydał mi się on naprawdę dziwny.

– Dlaczego?

Doktor wzruszył ramionami.

– Pokój był pusty. Żadnej zabawki, żadnego obrazka, nic.

– Jak wyglądał chory? Jaką miał twarz?

– Nie wiem.

– Nie wie pan?

– Nie. I to właśnie jest najbardziej dziwne. Wszystkie okiennice były zamknięte. W całym domu panował mrok. W pierwszej chwili pomyślałem, że zasłonili okna, żeby było chłodniej, ale zaraz potem dostrzegłem pokrowce na wszystkich meblach. To było… bardzo tajemnicze.

– Co powiedziała kobieta?

– Że jej dziecko jest chore i że światło razi je w oczy.

– Zbadał pan małego?

– Tak. W tym półmroku.

– Co mu było?

– Zwykła angina. Ale to nie wszystko, przypominam sobie pewien fakt. – Doktor konfidencjonalnie ściszył głos w sposób, który zapewne robił wrażenie na jego pacjentach. Karim pozostał jednak obojętny. – Kiedy wyjąłem latareczkę, żeby oświetlić gardło małego, kobieta gwałtownie chwyciła mnie za rękę. Był to bardzo mocny uchwyt. Najwyraźniej nie chciała, żebym zobaczył twarz dziecka.

Karim się zamyślił. Pusta ramka na grobie, skradzione zdjęcie.

– Chwyciła pana za rękę?

– Tak, bardzo mocno. Była niezwykle silna. Musiała mieć ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Prawdziwa olbrzymka.

– Czy widział pan jej twarz?

– Nie. Powtarzam panu, że wszystko odbywało się w półmroku.

– I co się działo potem?

– Wypisałem receptę i odjechałem.

– Jak zachowywała się ta kobieta? To znaczy, jak odnosiła się do dziecka?

– Wydawała się bardzo ugrzeczniona i zarazem zachowująca dystans… Kiedy o tym myślę… dochodzę do wniosku, że wszystko tam było naprawdę nienormalne…

– Czy pojechał pan tam jeszcze raz, żeby zobaczyć chłopca?

Lekarz, wciąż chodząc po pokoju, spojrzał na Karima z ponurą miną. Poprzednia jowialność zniknęła z jego twarzy. Porucznik zrozumiał nagle, dlaczego Macé tak dokładnie pamiętał tę wizytę. Dwa miesiące po ich spotkaniu mały Jude umarł. I doktor musiał o tym wiedzieć.

– Były wakacje… – podjął znowu swoją opowieść. – Pojechałem do tego domu na początku września. Nie zastałem nikogo. Sąsiad mieszkający obok powiedział mi, że wyjechali…

– Wyjechali? Nikt pana nie powiadomił, że chłopiec umarł?

Lekarz pokręcił przecząco głową.

– Nie. Sąsiedzi o niczym nie wiedzieli. Dowiedziałem się o tym znacznie później, i to przez przypadek.

– W jaki sposób?

– Na cmentarzu, w czasie pogrzebu.

– Innego pańskiego pacjenta?

– Robi się pan niemiły, inspektorze, ja…

Karim wstał. Lekarz cofnął się.

– Od tamtej pory zadaje pan sobie pytanie, czy nie przeoczył pan oznak poważniejszej choroby. Od tamtej pory żyje pan dręczony wyrzutami sumienia. Z pewnością próbował pan na własną rękę dowiedzieć się czegoś więcej. Czy wie pan, na co umarł chłopiec?

Lekarz rozpiął kołnierzyk koszuli. Na skroniach ukazały się kropelki potu.

– Nie. To prawda… próbowałem czegoś się dowiedzieć, ale na próżno. Rozmawiałem z kolegami, w szpitalach… Nic. Nie mogłem o tym zapomnieć, rozumie pan?

– I w dalszym ciągu usiłuje pan poznać prawdę.

– O czym? – Lekarz był blady jak płótno.

– Wkrótce się pan dowie – odrzekł krótko Karim.

– Mój Boże, co ja takiego panu zrobiłem?

– Nic. Tyle tylko, że spędziłem młodość, kradnąc gabloty takim facetom jak pan…

– Skąd pan pochodzi? Kim pan w ogóle jest? Nie pokazał mi pan nawet swojej legitymacji…

Karim uśmiechnął się z przymusem.

– Niech się pan uspokoi, żartuję…

Wyszedł na korytarz. Poczekalnia pełna była czekających pacjentów. Doktor chwycił go za rękaw.

– Proszę poczekać – powiedział z trudem. – Czy jest coś, o czym nie wiem? Czy zna pan przyczynę śmierci chłopca?

– Niestety nie.

Porucznik trzymał już rękę na klamce, ale lekarz przytrzymał drzwi. Widać było, że drży na całym ciele.

– Co się dzieje? Dlaczego wszczęto dochodzenie po tylu latach?

– Ostatniej nocy ktoś włamał się do grobu chłopca. Włamano się też do szkoły.

– Kto to zrobił? Co pan o tym myśli?

– Nie wiem – odpowiedział porucznik. – Przestępstwa popełnione tej nocy to wielka niewiadoma.

20

Jechał długo zupełnie pustymi drogami. W tym regionie drogi krajowe podobne były do departamentowych, a te z kolei przypominały trakty wiejskie. Pod błękitnym, upstrzonym obłoczkami niebem ciągnęły się nieuprawne pola i łąki. Od czasu do czasu wyłaniały się nieprzystępne, ostre szczyty, spoglądające z góry na srebrzyste doliny. Jazda przez tę okolicę była jak podróż w przeszłość, w czasy, gdy rolnictwo jeszcze nie istniało.

Karim najpierw pojechał zobaczyć mały domek rodziny Jude’a. Adres dał mu Macé. Kamiennej budowli już nie było, a na jej miejscu zostały tylko ruiny ledwo widoczne pośród zwiędłych traw, porozrzucane kamienne bloki. Porucznik mógłby się przedtem udać do urzędu katastralnego i dowiedzieć się tam nazwiska właściciela, wolał jednak pojechać do Cahors, żeby porozmawiać z Jeanem-Pierre’em Cau, fotografem wynajętym przez szkołę imienia Jeana Jaurèsa. To on właśnie zrobił zdjęcia, których odbitki zniknęły ze szkolnego archiwum.

Miał nadzieję obejrzeć u Cau negatywy zdjęć klas, które go interesowały. Pomiędzy anonimowymi twarzami musi być zdjęcie tego chłopca. Karim odczuwał nieodpartą potrzebę ujrzenia jego twarzy, chociaż nie miał żadnych podstaw, żeby go rozpoznać. W głębi duszy spodziewał się, że oglądając klisze, odczuje jakieś wewnętrzne drżenie, że pomoże mu jakiś drobny znak.

Dochodziła szesnasta, kiedy zatrzymał samochód w Cahors, przed pasażem zarezerwowanym tylko dla pieszych. Kamienne przedsionki, balkony z żelaznymi balustradkami i gargulce tryskające wodą. Piękno tego pyszniącego się długą historią miasteczka nie robiło żadnego wrażenia na Karimie, dziecku przedmieścia wielkiego miasta.

Idąc wąską uliczką, znalazł atelier Jeana-Pierre’a Cau, specjalisty od „ślubów i chrzcin”.

Fotograf był na pięterku, w swoim studiu.

Karim wszedł po kilku stopniach na górę. Pusty pokój tonął w półmroku. Porucznik dojrzał rozwieszone dużego formatu zdjęcia, na których śmiały się odświętnie ubrane pary, ze szczęściem, odpowiednim do okoliczności, wypisanym na twarzach, utrwalonym na błyszczącym papierze.

Karim natychmiast zganił się w myślach za pogardę, którą odczuł na ten widok. Kimże on był, żeby osądzać tych ludzi? Co miał im do zaoferowania w zamian, on, gliniarz na wygnaniu, który nigdy nie umiał odgadnąć prawdziwych uczuć żadnej dziewczyny i który zdolność do miłości ukrył głęboko w zakamarkach duszy, byle dalej od cudzych spojrzeń i czyjejś serdeczności? Jego zdaniem miłość wymagała uległości i cierpienia, a to poniżałoby jego godność i dlatego uparcie się przed tym bronił. W tej dziedzinie zawsze grzeszył zbytnią pychą. I żył tak w swej zimnej samotni.

– Czy zamierza pan się żenić?

Karim odwrócił się w stronę, skąd doszedł go głos.

Jean-Pierre Cau miał twarz szarą i dziobatą jak pumeks. Nosił gęste, potargane faworyty, które śmiesznie podrygiwały, stanowiąc kontrast z podkrążonymi i zmęczonymi oczami. Gospodarz zapalił światło.

– Nie, pan, jak się domyślam, nie zamierza się żenić – powiedział, szacując wzrokiem Karima.

Miał schrypnięty głos palacza z długim stażem. Podszedł bliżej. Spod przywiędłych powiek, zakrytych okularami, widać było znużone, nieufne spojrzenie. Karim uśmiechnął się. Nie miał nakazu ani żadnej władzy w tym mieście. Musiał zachowywać się uprzejmie.

– Nazywam się Karim Abdouf. Jestem porucznikiem policji. Potrzebuję kilku informacji dotyczących sprawy, którą prowadzę…

– Pan jest z Cahors? – zapytał fotograf, bardziej zaintrygowany niż zaniepokojony.

– Z Sarzac.

– Ma pan legitymację czy coś w tym rodzaju?

Karim sięgnął do kieszeni kurtki i pokazał mu legitymację. Fotograf oglądał ją kilka sekund. Porucznik westchnął po cichu. Był pewien, że ten człowiek nigdy nie widział z bliska legitymacji gliniarza, co nie przeszkadzało mu odgrywać sprytnego szpicla. Cau zwrócił mu dokument z wymuszonym uśmiechem i zmarszczonym czołem.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Szukam zdjęć klasowych.

– Z której szkoły?

– Imienia Jeana Jaurèsa w Sarzac. Chodzi o zdjęcia uczniów klas CM jeden z osiemdziesiątego pierwszego roku i CM dwa z osiemdziesiątego drugiego, jak również o listę ich nazwisk, jeśli przypadkiem ma pan ją u siebie. Czy przechowuje pan tego rodzaju dokumentację?

– Przechowuję wszystko – odpowiedział, ponownie się uśmiechając.

– Mógłbym rzucić okiem na te fotografie? – zapytał porucznik najłagodniejszym tonem, na jaki potrafił się zdobyć.

– Żaden problem, proszę za mną.

Drugi pokój był znacznie większy niż studio. Na długim blacie stała skomplikowana aparatura do obróbki zdjęć. Na ścianach widniały dużego formatu zdjęcia z chrztu. Noworodki, jak zawsze, na biało. Wszyscy radośnie uśmiechnięci.

Karim szedł za fotografem, aż znaleźli się przed ustawionymi w szeregu szafkami. Cau schylił się, czytając metalowe etykietki, po czym otworzył masywną szufladę. Przewertował pliki kopert z grubego papieru.

– Jest, szkoła imienia Jeana Jaurèsa.

Cau wydobył jedną kopertę, w której znajdowały się liczne koszulki z przezroczystego papieru. Przerzucił je dwukrotnie. Zmarszczki na jego czole pogłębiły się.

– Mówi pan klasy CM jeden z osiemdziesiątego pierwszego i CM dwa z osiemdziesiątego drugiego roku?

– Tak.

– To dziwne, ale tych zdjęć nie ma.

Karim zadrżał. Czy to możliwe, że złodziejaszki wpadły na ten sam pomysł co on?

– Kiedy pan dziś rano przyszedł do atelier, wszystko było w porządku? – zapytał.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Czy na przykład nie było śladów włamania?

Cau wybuchnął śmiechem, pokazując czujniki fotokomórek zainstalowane w czterech kątach pokoju.

– Ci, którzy by tu weszli, mieliby się z pyszna, może mi pan wierzyć. Zainwestowałem w system bezpieczeństwa…

– Mimo wszystko sprawdźmy – poprosił łagodnym tonem Karim. – Znam wielu speców, którzy poradziliby sobie z pańskim systemem w parę

sekund. Ma pan negatywy?

Cau spoważniał.

– Negatywy? Po co?

– Może zachował pan te szczególnie interesujące…

– Nie. Przykro mi, ale to poufne…

Porucznik zauważył pulsującą żyłkę na szyi fotografa.

– Pokazuj negatywy, tatusku, albo się zdenerwuję – powiedział już zupełnie innym tonem.

Fotograf spojrzał na Karima, zawahał się na moment, po czym poddał się. Podeszli do drugiej metalowej szafki, zamkniętej na zamek szyfrowy. Cau otworzył ją i wyciągnął jedną szufladę. Jego ręce drżały. Porucznik, oparłszy się na łokciach, wpatrywał się w twarz fotografa. Wyczuwał narastający w nim z każdą minutą coraz większy, niewytłumaczalny lęk. Jakby Cau w trakcie szukania przypomniał sobie coś, co zaprzątało mu myśli.

Fotograf przejrzał jeszcze raz koperty. Mijały kolejne sekundy. W końcu podniósł wzrok. Po twarzy przebiegał mu nerwowy tik.

– Naprawdę nic nie rozumiem. Negatywów też nie ma.

Karim przymknął gwałtownie szufladę. Fotograf jęknął z bólu, mając ręce uwięzione w metalowej pułapce. Karim zapomniał już o uprzejmości. Chwycił fotografa za gardło i uniósł nad podłogą.

– Bądź rozsądny, Cau. Czy było u ciebie włamanie, czy nie?

– Nnnie… Przysięgam…

– No to co zrobiłeś z tymi przeklętymi zdjęciami?

– Sprzedałem je…

Zdumiony Karim puścił swą ofiarę. Fotograf pojękiwał, rozmasowując nadgarstki.

– Sprzedałeś? Kiedy? – wychrypiał porucznik.

– Boże, to stara historia – odpowiedział Cau. – Mam prawo robić, co mi się podoba, z moimi…

– Kiedy je sprzedałeś?

– Nie pamiętam… Chyba z piętnaście lat temu…

W głowie Karima panował zamęt. Pchnął znowu fotografa na szafkę. Wokół nich fruwały przezroczyste koszulki na zdjęcia.

– Opowiadaj od początku, tatusku. Bo to wszystko nie trzyma się kupy.

Cau skrzywił się z bólu i strachu.

– Było to wieczorem, w lecie… Przyszła jakaś kobieta… Pytała o fotografie… te same, które pana interesują… Teraz sobie przypominam…

Te nowe okoliczności zburzyły całkowicie hipotezę Karima. Już w 1982 roku ktoś szukał fotografii małego Jude’a.

– Czy pytała o Jude’a Itero? Czy podała to nazwisko?

– Nie. Po prostu zabrała wszystkie zdjęcia i negatywy.

– Dała ci za nie forsę?

Fotograf kiwnął głową potakująco.

– Ile?

– Dwadzieścia tysięcy franków… Wtedy to była fortuna… za kilka klisz ze zdjęciami dzieciaków…

– Do czego potrzebne jej były te zdjęcia?

– Nie wiem. Nie pytałem.

– Oglądałeś chyba te fotografie. Czy był na nich chłopiec z jakimś defektem na twarzy, który chciano by ukryć?

– Nie. Nic nie widziałem… Nic więcej nie wiem.

– A ta kobieta? Jak wyglądała? Wysoka i silnie zbudowana? Czy była to jego matka?

Nagle fotograf zaniemówił, po czym wybuchnął głośnym śmiechem. Nie miał się już czego bać.

– Wykluczone – wykrztusił w końcu.

– A to z jakiego powodu?

– Bo była to katolicka zakonnica! – odpowiedział ze złością Cau.

21

W Sarzac były trzy kościoły. Jeden właśnie remontowano, drugi był pod opieką umierającego starego księdza, trzecim zawiadywał młody proboszcz, o którym krążyły przeróżne plotki. Szeptano, że popijał po kryjomu w zakrystii, razem z matką. Porucznik, który nie cierpiał w ogóle wszystkich mieszkańców Sarzac, a szczególnie ich zamiłowania do plotek, musiał przyznać im, że akurat tutaj mają rację. Wezwano go kiedyś, żeby rozdzielił matkę i syna, którzy urządzili straszliwą awanturę.

Właśnie do tego księdza wybrał się Karim po informacje.

Zatrzymał wóz przed plebanią – jednopiętrową, betonową budowlą bez wdzięku, przylegającą do nowoczesnego kościoła z niesymetrycznie usytuowanymi witrażami. Napis na niewielkiej tabliczce głosił: „Moja parafia”. Przed wejściem gęsto rosły cierniste krzaki jeżyn i pokrzywy. Karim zadzwonił do drzwi. Odpowiedziała mu cisza. Po chwili usłyszał przytłumione krzyki. Zaklął w duchu. Tylko tego brakowało.

W końcu otworzono mu drzwi.

Karim doznał wrażenia, że ma przed sobą człowieka, którego już nic nie może uratować od katastrofy. Mimo wczesnego popołudnia od księdza czuć było alkohol. Jego wychudzoną twarz okalała niestarannie przystrzyżona broda i potargane, jakby przysypane popiołem włosy. Oczy miał czerwone od dymu papierosowego. Podniesiony kołnierz marynarki wpijał mu się w szyję. Na koszuli widoczne były tłuste plamy. Jako ksiądz ten człowiek był skończony, zeszmacony, załatwiony. Jego religijne przeznaczenie ulatniało się tak szybko jak opary wonnego kadzidła.

– Czego sobie życzysz, mój synu? – spytał chrypiącym, lecz stanowczym głosem.

– Jestem Karim Abdouf, porucznik policji. My się już znamy.

– Chyba tak. – Poprawił poszarzały kołnierzyk koszuli, spoglądając spłoszonym wzrokiem na wszystkie strony. – Czy to sąsiedzi pana wezwali?

Karim uśmiechnął się.

– Nie. Potrzebuję pańskiej pomocy w sprawie pewnego śledztwa.

– Ach tak. Proszę wejść.

Porucznik wszedł do środka i natychmiast poczuł, że buty kleją mu się do podłogi. Spojrzał w dół i zobaczył na linoleum błyszczące plamy.

– To moja matka – szepnął ksiądz. – Nic innego nie robi, tylko brudzi wszystko konfiturami. – Potarł blade czoło. – To idiotyczne, ale ona poza konfiturami niczego nie chce jeść.

Ściany wytapetowano przyklejonymi krzywo kawałkami czegoś, co miało imitować drewno, ceramikę lub materiał. Porucznikowi rzuciły się w oczy drzwi bez framugi, ze sterczącymi z nich kawałkami żółtej gąbki, pociętej nożem do papieru, źle dobrane poduszki na kanapie. Wszystko to składało się na karykaturę salonu. Na podłodze leżały porzucone narzędzia ogrodnicze. W głębi widoczne było pomieszczenie ze stołem ze sztucznego tworzywa, zastawionym brudnymi talerzami, i rozbebeszone łóżko.

Ksiądz skierował się do salonu. Po drodze potknął się i z pewnym trudem odzyskał równowagę.

– Niech pan sobie naleje szklaneczkę – powiedział Karim. – Dobrze to panu zrobi.

Ksiądz odwrócił się i spojrzał na niego z wrogością.

– Niech pan popatrzy na siebie, mój synu. Trzęsie się pan cały.

Karim przełknął ślinę. Nadal był w szoku. Nie zebrał jeszcze myśli po trudnej wizycie u fotografa, nie nabrał do niej dystansu. W głowie miał zamęt. Machinalnie otarł twarz rękawem kurtki, jak jakiś smarkacz.

Ksiądz nalał sobie wódki do kieliszka.

– Co mogę panu zaproponować? – zapytał z krzywym uśmiechem.

– Nie piję.

Ksiądz upił duży łyk. W jego wychudzonej twarzy zaczęła krążyć krew, oczy zabłysły.

– Mahometanin, co? – zachichotał.

– Nie. W pracy muszę mieć jasny umysł. To wszystko.

– A więc za pańską pracę – powiedział ksiądz, podnosząc do góry kieliszek.

Karim dostrzegł matkę, która chodziła po korytarzu tam i z powrotem. Była mocno zgarbiona, przyciskała do piersi słoik z konfiturami. Karim pomyślał o otwartym grobie, o skinach, o siostrze zakonnej, która kupiła szkolne zdjęcia. Teraz miał przed sobą tych dwoje, przypominających

postacie z pociągu widma. Jakby otworzył puszkę Pandory, z której wydobywały się nieustające koszmary.

Ksiądz zauważył jego spojrzenie.

– Niech się pan nie przejmuje, mój synu, to nic takiego. – Usiadł na materacu z gąbki. – Więc o co chodzi?

– Najpierw mam małą prośbę, niech pan nie mówi do mnie „mój synu” – zaczął miłym tonem Karim.

– Ma pan rację – roześmiał się ksiądz. – Skrzywienie zawodowe. – Wypił kolejny łyk z ironiczną miną. Odzyskiwał pewność siebie. – Jakiego rodzaju dochodzenie pan prowadzi?

Karim z zadowoleniem stwierdził, że ksiądz nie został jeszcze poinformowany o profanacji na cmentarzu. Crozierowi udało się więc uniknąć przecieku.

– Przykro mi, ale nie mogę nic więcej powiedzieć. Szukam klasztoru w okolicach Sarzac i Cahors. Ewentualnie gdzieś dalej, w tym regionie. Liczę, że pan mi w tym pomoże.

– O jaki konkretnie panu chodzi?

– Nie wiem.

Ksiądz napełnił ponownie swój kieliszek. Złote refleksy odbijały się w szkle.

– Jest ich tutaj kilka. – Znowu zachichotał. – W tym regionie jest gdzie pomedytować.

– Ile ich jest?

– W naszym departamencie przynajmniej z dziesięć.

Karim zrobił szybki rachunek w myśli. Wizyty w tych klasztorach, rozrzuconych z pewnością po całym regionie, zabrałyby mu, lekko licząc, cały dzień. Tymczasem była już godzina szesnasta. Zostały mu zaledwie dwie godziny. Znalazł się w impasie.

Ksiądz wstał i zaczął szukać w szafie ściennej.

– Mam.

Kiedy przerzucał strony czegoś w rodzaju książki telefonicznej z cienkimi jak w Biblii kartkami, do pokoju weszła jego matka i podreptała prosto do butelki. Nalała sobie do kieliszka, nie patrząc w stronę Karima. Ptasimi oczyma spoglądała z nieukrywaną nienawiścią na syna. Ksiądz, nie przerywając czytania książki telefonicznej, powiedział:

– Nie przeszkadzaj nam, mamo.

Kobieta nie odpowiedziała. Trzymała kieliszek oburącz w chudych, kościstych dłoniach. Nagle spostrzegła Karima.

– Kim pan jest? – zapytała piskliwie ostrym tonem.

– Wyjdź – polecił po raz drugi ksiądz i zwrócił się do Karima: – Proszę, zaznaczyłem strony z adresami dziesięciu klasztorów, może je pan zanotować… Ale znajdują się w znacznej odległości jeden od drugiego…

Karim przejrzał zaznaczone stronice. Nazwy miejscowości niewiele mu mówiły. Wyjął notes i zapisał dokładnie wszystkie adresy.

– Kim pan jest? – powtórzyła matka.

– Wracaj do swojego pokoju! – krzyknął na nią ksiądz. Podszedł bliżej do Karima i zapytał:

– Czego dokładnie pan szuka? Może mógłbym pomóc…

– Szukam pewnej siostry zakonnej, która interesuje się zdjęciami.

– Jakimi zdjęciami?

Choć trwało to tylko krótką sekundę, Karim zauważył coś dziwnego w spojrzeniu księdza.

– Ksiądz już słyszał o czymś takim?

– Nie… ja nie… – ksiądz podrapał się nerwowo w głowę.

– Ile ma ksiądz lat? – zapytał Karim.

– Ja? Ale… mam… dwadzieścia pięć lat.

Matka nalała sobie kolejny kieliszek, nasłuchując, o czym mówią.

– Ksiądz urodził się w Sarzac?

– Tak.

– I tutaj chodził ksiądz do szkoły?

– Tak, ukończyłem gimnazjum, a potem wstąpiłem do…

– Do jakiej szkoły? Jeana Jaurèsa?

– Tak, ale po co…

Karim szybko zestawił w myśli fakty.

– Ona tu była.

– Kto taki?

– Zakonnica, której szukam… Przyszła po zdjęcia klasowe. Ksiądz był w tej samej klasie co Jude Itero? Czy to nazwisko coś księdzu mówi?

Ksiądz zbladł jak ściana.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

– Co to znowu za historia? – wtrąciła się matka.

– Zacznę od początku – powiedział Karim. – Jeśli ksiądz uczył się normalnym trybem, to w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku musiał być w klasie CM dwa, prawda?

– Ależ minęło od tamtej pory prawie piętnaście lat!

– I w klasie CM jeden w osiemdziesiątym pierwszym roku.

Ksiądz stał nieruchomo z opuszczonymi rękoma. Palce zacisnął na oparciu krzesła. Mimo iż był młody, jego dłonie były prawie takie same jak u matki, postarzałe, z widocznymi na nich niebieskawymi żyłkami.

– Tak… daty się chyba pokrywają…

– A więc był ksiądz w tej samej klasie co chłopiec o nazwisku Jude Itero. To niecodzienne nazwisko. Proszę się zastanowić. To bardzo ważne dla mnie.

– Nie, naprawdę nie…

– Pamięta jednak ksiądz zakonnicę, która przyszła po zdjęcia, prawda?

– Ja nie…

– Ty draniu, czy to prawda, co mówi ten Arab? Dałeś jej zdjęcia? – wtrąciła się matka, która najwyraźniej nie uroniła ani jednego słowa z ich rozmowy. Po czym odwróciła się i ruszyła szybko ku drzwiom.

Karim, korzystając z tego, chwycił księdza za ramiona i szepnął mu w ucho:

– Niech ksiądz powie wszystko!

Ksiądz opadł ciężko na materac.

– Do dziś nie pojmuję, co się wydarzyło tego wieczoru… – odezwał się głuchym głosem. – Przyszła tu… w pewien letni wieczór.

– W lipcu osiemdziesiątego drugiego roku?

Ksiądz kiwnął potakująco głową.

– Zapukała do naszych drzwi… Był potworny upał… Słońce prażyło niemiłosiernie… Nie wiem, dlaczego byłem sam… Otworzyłem drzwi… Boże! Czy pan sobie zdaje sprawę? Miałem zaledwie dziesięć lat i nagle ujrzałem w półmroku tę zakonnicę ubraną na czarno…

– Co powiedziała?

– Najpierw mówiła o szkole, o moich stopniach, o przedmiotach, które lubiłem najbardziej. Miała słodki głos… Potem chciała zobaczyć zdjęcia moich kolegów… – Ksiądz otarł spocone czoło. – Przyniosłem jej zdjęcie klasowe, na którym byliśmy wszyscy razem… Byłem dumny, pokazując jej tę fotografię. Dopiero po chwili zrozumiałem, że ona czegoś na niej szuka.

Oglądała ją długo, a potem zapytała, czy może ją zatrzymać. Na pamiątkę… jak mi wyjaśniła.

– Czy prosiła o inne zdjęcia?

Ksiądz zwiesił głowę.

– Chciała także zdjęcie klasy CM jeden, z poprzedniego roku – powiedział jeszcze ciszej.

Karim wiedział już, że nigdzie nie znajdzie zdjęć grupowych uczniów tych klas. Ale po co zakonnicy były te zdjęcia? Karim miał wrażenie, że znalazł się w ciemnym labiryncie, z którego nie ma wyjścia.

W drzwiach pokoju pojawiła się znowu matka. Do piersi przyciskała pudło na buty.

– Ty draniu. Oddałeś nasze zdjęcia. Oddałeś zdjęcia klasowe, kiedy byłeś taki uprzejmy, taki milutki…

– Zamilcz, mamo! – Ksiądz spojrzał na Karima. – Właśnie wtedy poczułem powołanie, rozumie pan? Byłem jak zahipnotyzowany przez tę wysoką kobietę…

– Wysoką?

– No, nie wiem… Miałem dziesięć lat… Ale jak dziś widzę ją w tym czarnym płaszczu z kapturem… Mówiła tak spokojnym głosem… Chciała tych zdjęć, a ja oddałem je bez wahania. Pobłogosławiła mnie i zniknęła. Uważałem, że był to znak…

– Drań!

Karim rzucił okiem na rozłoszczoną matkę. Kiedy wrócił spojrzeniem do księdza, zrozumiał, że zamknął się on w swych wspomnieniach.

– Czy powiedziała, dlaczego chce mieć te zdjęcia? – zapytał łagodnie.

– Nie.

– Czy mówiła coś o Judzie Itero?

– Nie.

– Czy zapłaciła za zdjęcia?

– Ależ skąd! – skrzywił się z oburzeniem ksiądz. – Poprosiła mnie o dwa zdjęcia, to wszystko! Boże! Uwierzyłem, że jej wizyta była znakiem, boskim objawieniem! – Zaszlochał. – Nie wiedziałem wtedy, że nie nadaję się do niczego. Jestem skończonym alkoholikiem. Synem tej… Jak można ofiarować coś, czego się samemu nie ma? – Mówił błagalnym tonem, chwyciwszy kurczowo skórzaną kurtkę Karima. – Jak przynosić innym światło, skoro samemu jest się pogrążonym w ciemnościach? Jak?

Matka opuściła pudełko, z którego wysypały się na podłogę fotografie. Rzuciła się na syna, bijąc go wściekle po plecach i ramionach.

– Drań! Drań! Drań!

Karim cofnął się przerażony. Czuł jakieś wibracje w tym pokoju. Jeżeli zaraz stąd nie wyjdzie, sam zwariuje. Ale miał jeszcze kilka pytań. Odepchnął kobietę i nachylił się do księdza.

– Ksiądz widział potem tę zakonnicę, prawda?

Przytaknął, wstrząsany łkaniem.

– Jak się nazywa?

Ksiądz pociągnął nosem. Jego matka kręciła się po pokoju, mamrocząc coś niewyraźnie.

– Jak ona się nazywa?

– Siostra Andrée.

– W jakim jest klasztorze?

– U karmelitanek w Saint-Jean-de-la-Croix.

– Gdzie to jest?

Ksiądz wtulił głowę w ramiona. Karim szarpnął go.

– Gdzie?

– Między Sète i przylądkiem Agde, blisko morza. Odwiedzałem ją kilka razy, kiedy nachodziły mnie wątpliwości. Ona jest dla mnie ratunkiem, wsparciem, ja… Czy pan to rozumie?

Drzwi kołysały się na wietrze, gdy porucznik biegł do swego samochodu.

Część V

22

Niebo znowu pociemniało. Grand Pic de Belledonne wznosił się ku górze czarny, olbrzymi, znieruchomiały wśród skał. Jego zbocza, porośnięte karłowatymi drzewami, kryły się gdzieś wysoko w białej mgle. W poprzek stoków ciągnęły się przewody kolejki linowej, które z daleka wyglądały jak kreski na śniegu.

– Myślę, że zabójca dostał się na szczyt razem z Rémym Caillois, kiedy on jeszcze żył – powiedział Niémans. – Wjechali pewnie kolejką linową. Doświadczony alpinista potrafi z łatwością uruchomić ją o każdej porze dnia i nocy.

– Dlaczego jest pan przekonany, że udali się na szczyt?

Fanny Ferreira, profesor geologii, prezentowała się wspaniale w nieprzemakalnej kurtce z kapturem. Z jej opalonej twarzy biły świeżość i młodość. Wokół skroni wiły się niesforne kosmyki włosów, oczy jaśniały blaskiem. Niémans poczuł, iż ma szaloną ochotę na tę tryskającą życiem osóbkę.

– Mamy dowód, że ciało znajdowało się na lodowcach którejś z tych gór – odpowiedział na jej pytanie. – Mój instynkt podpowiada mi, że tą górą jest Grand Pic de Belledonne i kocioł lodowca Vallernes. Bo ta właśnie góra wznosi się nad uniwersytetem i miastem. Bo z tego lodowca bierze początek rzeka, która opływa kampus uniwersytecki. Sądzę, że zabójca spłynął do doliny strumieniem w pontonie lub czymś w tym rodzaju, wioząc ze sobą ciało ofiary. Potem dopiero umieścił je w skalnej niszy, aby jego odbicie widoczne było w wodzie…

Fanny rozglądała się wokoło z niecierpliwością. Przy wagonikach kolejki linowej kręcili się żandarmi. Ich broń, ich mundury tworzyły atmosferę napięcia.

– W dalszym ciągu nie rozumiem – powiedziała niechętnym tonem – co ja tu właściwie robię.

Komisarz uśmiechnął się do niej. Po niebie przesuwały się z wolna, niczym orszak żałobny, chmury, za którymi chowało się słońce. On także

miał na sobie kurtkę z goreteksu, długie spodnie z wodoszczelnego kevlaru, wyłożone na buty do wspinaczki.

– To bardzo proste. Mam zamiar dostać się na szczyt w poszukiwaniu jakichś śladów. Potrzebuję doświadczonej osoby, która będzie moim przewodnikiem. To chyba oczywiste, że pomyślałem o pani – uśmiechnął się do niej ponownie. – Pani sama powiedziała mi, że zna te góry na pamięć.

– Odmawiam.

– Niech pani będzie rozsądna. Mógłbym panią zmusić jako świadka. Dowiedziałem się, że ma pani patent przewodnika górskiego. Proszę nie utrudniać mi sytuacji. Polecimy helikopterem na zbocze i obejrzymy lodowiec. To potrwa tylko kilka godzin.

Dał znak żandarmom, którzy czekali przy kolejce. Wyładowali z niej wielkie plecaki z nieprzemakalnego brezentu i ustawili na ziemi kilka metrów od nich.

– Sprowadziłem sprzęt potrzebny do takiej ekspedycji. Jeśli chce pani sprawdzić…

– Ale dlaczego właśnie ja? – upierała się nadal. – Każdy żandarm poradziłby sobie z tym… – wskazała na ludzi krzątających się za nimi. – Wie pan, że są ratownikami górskimi?

Komisarz pochylił się do niej.

– No dobra, powiedzmy, że panią podrywam.

Fanny spiorunowała go wzrokiem.

– Panie komisarzu, nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny od czasu, gdy odkryłam rozpiętego na skale trupa. Odpowiedziałam na mnóstwo pytań i spędziłam sporo czasu na posterunku żandarmerii. Na pańskim miejscu byłabym ostrożniejsza z takimi numerami w stylu macho!

Niémans przyglądał się swojej rozmówczyni. Mimo morderstwa i związanej z nim ponurej atmosfery czuł, jak ulega czarowi tej silnej, niezależnej kobiety.

– Pytam pana jeszcze raz: dlaczego wybrał pan mnie? – powtórzyła Fanny, skrzyżowawszy ręce na piersi.

Komisarz podniósł z ziemi suchą gałąź pokrytą mchem i zaczął ją nerwowo wyginać.

– Bo jest pani geologiem.

Fanny uniosła brwi ze zdziwieniem. Niémans wyjaśniał dalej:

– Z analizy wody, którą znaleziono na ciele ofiary, wynika, że pochodzi ona z lat sześćdziesiątych. Woda ta zawiera zanieczyszczenia, które już nie występują. Ślady deszczów, które padały w tym regionie ponad trzydzieści pięć lat temu. Rozumie pani, co to znaczy?

Fanny wydawała się zaintrygowana, ale nic nie odpowiedziała. Niémans przykląkł i narysował patykiem na ziemi granice terenu, który brał pod uwagę.

– Zasięgnąłem informacji. W każdym roku woda deszczowa zamarza, tworząc warstwę lodu grubości do dwudziestu centymetrów w najwyższych partiach gór, gdzie nie podlega topnieniu. – Mówiąc to, pokazał palcem różne miejsca na swoim rysunku. – Ten lód pozostaje tam na zawsze. W jednym z tych lodowców musiało przebywać ciało ofiary i stąd ślady wody sprzed tylu lat. – Spojrzał uważnie na Fanny. – Chcę dotrzeć do miejsca, gdzie sięga warstwa tej tak dawno zamarzniętej wody. Bo tam właśnie zabójca pozbawił życia swoją ofiarę. A może ją tam przetransportował. Potrzebny mi ktoś, kto będzie umiał znaleźć szczeliny z lodem takiej grubości.

Fanny przyklękła na ziemi, oglądając z uwagą szkic Niémansa. Jej oczy błyszczały jak gwiazdy. Trudno było zgadnąć, co myśli w tym momencie.

– A jeśli to pułapka? – mruknęła. – Może zabójca użył kryształków lodu, żeby pana zwabić na szczyt? Warstwy, o których pan mówi, znajdują się na wysokości ponad trzech tysięcy pięciuset metrów. To nie jest taki sobie spacerek. Tam wysoko będzie pan narażony…

– Myślałem o tym – przyznał Niémans. – Ale to oznaczałoby, że zamierza nam coś przekazać, że morderca chce, abyśmy tam weszli. I dlatego wejdziemy. Czy zna pani w lodowcu Vallernes szczeliny, gdzie moglibyśmy znaleźć lód z tamtego okresu?

Fanny przytaknęła głową.

– Ile jest tam takich szczelin?

– Na samym lodowcu jest jedna, wyjątkowo głęboka.

– Doskonale. Czy mamy szansę, żeby zejść w tę przepaść razem?

Nagle na niebie rozległ się terkot helikoptera. Odgłos rotorów śmigłowca zbliżał się, zafalowały trawy, zmarszczyła się powierzchnia strumienia płynącego kilka metrów dalej.

– Czy może nam się udać, Fanny?

Spoglądając na maszynę, która wydawała coraz bardziej ogłuszające dźwięki, zanurzyła rękę w swoje gęste, kręcone włosy. Niémans, patrząc na jej profil, zadrżał wewnętrznie.

– Trzeba będzie zaczepić pana na haku, panie komisarzu – odpowiedziała ze śmiechem.

23

Z nieba widać było pola uprawne, skały i drzewa, szczyty i doliny, światło i półmrok. Lecąc helikopterem, Niémans obserwował z zachwytem te zmiany pejzażu, który oglądał po raz pierwszy w życiu. Podziwiał połacie ciernistej tarniny, morenowe pagórki, niesamowity układ skał. Miał wrażenie, że w tym rozległym pustkowiu kryje się głęboka prawda o naszej planecie. Naga, jaskrawa, nieskazitelna, która zawsze opierała się woli człowieka.

Helikopter leciał coraz wyżej. Kierując się ku szczytom gór, trzymał się głównego koryta rzeki, której dopływy tworzyły jeden skrzący się strumień. Fanny, siedząc obok pilota, spoglądała w dół i obserwowała pojawiające się znienacka, to tu, to tam, spienione wody potoków. Od tej pory to ona kierowała całą operacją.

Skończyła się już jednolita zieleń lasów. W dole za nimi zostały drzewa, które skryły się we własnym cieniu, jakby już nie chciały dosięgać nieba. Teraz przyszła kolej na czarne, nieurodzajne tereny, zmrożone pewnie przez cały rok. Pokrywające je poczerniałe mchy, szare porosty, widoczne gdzieniegdzie zakrzepłe trzęsawiska wywoływały uczucie nieprzepartego smutku. Wkrótce pojawiły się szare zbocza z kamienistymi graniami, wypiętrzonymi w paroksyzmach epoki tworzenia się pokrywy ziemi. A potem znowu jakieś zagłębienia, przywodzące na myśl czarne fosy opasujące niedostępne fortece. To już były góry. Roztaczały się przed nimi nagie zbocza i przepastne otchłanie.

I w końcu olśnienie. Nieskalana biel. Szczyty pokryte śniegiem. Szczeliny w lodzie, których krawędzie zaczynały się zamykać jesienią. Niémans dostrzegł strumyczki z zamarzającą wodą. Mimo szarości nieba w jej lustrze odbijało się jaskrawe, niemal rozpalone do białości światło. Komisarz włożył ciemne okulary i przyglądał się rzece, w której, na samym dnie, uwiecznione były niebieskawe plamy, wspomnienie po pogodnym niegdyś niebie. Śnieg przytłumił terkot rotorów.

Siedząca z przodu Fanny wciąż spoglądała na swój GPS, odbiornik z małym kwarcowym ekranem, który pozwalał ustalić pozycję względem danych z satelity. Wzięła mikrofon przypięty do kasku i powiedziała do pilota:

– Lodowiec jest tam, na północny zachód.

Pilot kiwnął głową i skręcił śmigłowcem z taką łatwością, jakby to była zabawka, w kierunku wielkiego krateru w kształcie bumerangu, mającego przynajmniej trzysta metrów długości. Z jego wnętrza piął się ku górze monstrualny jęzor lodowca, lśniący jaskrawo w swojej górnej części i ciemniejszy w głębi krateru, tam gdzie lody gromadziły się, twardniały, pękały, tworząc ostre krawędzie.

Fanny krzyknęła do pilota:

– Tutaj, poniżej, jest ta wielka szczelina!

Helikopter skierował się na skraj lodowca, którego przezroczyste krawędzie, uformowane w stopnie, tworzyły długi uskok, przypominający kształtem jaszczurkę śmigającą wesoło po śniegu. Śmigłowiec wylądował, wzbijając śnieżny pył.

– Macie dwie godziny! – krzyknął pilot. – Muszę wrócić przed zmrokiem!

Fanny nastawiła swój GPS i pokazała mu punkt, gdzie miał ich odnaleźć. Po czym oboje z Niémansem zeskoczyli na ziemię, każde z nich z ogromnym plecakiem z nieprzemakalnego materiału.

Helikopter natychmiast wzleciał w górę i zniknął na niebie, pozostawiając dwie sylwetki ludzkie wśród ciszy wiecznych śniegów.

Krótka chwila skupienia. Niémans ogarnął spojrzeniem lodowe urwisko, na którego skraju się znaleźli – dwie małe ludzkie istoty pośrodku białej pustyni. Był zachwycony. Miał wrażenie, że w tym bezmiernym pustkowiu słyszy cichy, tajemniczy szmer kryształków śniegu chrzęszczących na mrozie.

Zwrócił wzrok na swą młodą towarzyszkę. Wysoka, wyprostowana, oddychała pełną piersią, niemal zachłystując się zimnym, czystym powietrzem. Widać było, że góry przywracają jej dobry nastrój, że czuje się szczęśliwa tylko w tym świecie światła i rozrzedzonej atmosfery. Przywodziła mu na myśl wróżkę, czarodziejkę z gór. Patrząc na szczelinę, zapytał:

– Dlaczego właśnie ta, a nie inna?

– Bo tylko ta jest na tyle głęboka, że może zawierać warstwy, które pana interesują. Jej głębokość sięga stu metrów.

Niémans podszedł bliżej.

– Stu metrów? Przecież musimy zejść w dół tylko kilka metrów, żeby dotrzeć do warstw z lat sześćdziesiątych. Policzyłem, że jeśli corocznie przybywa dwadzieścia centymetrów, to…

Fanny uśmiechnęła się.

– To tylko teoria. Nie pasuje ona do tego lodowca. Warstwy lodu w tej szczelinie ułożyły się ukośnie, inaczej mówiąc, rozszerzają się i wydłużają ku górze. I dlatego każdego roku głębokość tej szczeliny powiększa się o mniej więcej jeden metr. Proszę więc policzyć jeszcze raz, panie komisarzu. Żeby dotrzeć do warstw sprzed trzydziestu pięciu lat, musimy zejść…

– Około trzydziestu pięciu metrów w dół?

Fanny kiwnęła potakująco głową.

Z którejś niszy dochodził cichy szmer wody.

– Wybrałam ten właśnie uskok z jeszcze jednego powodu – powiedziała. – Niecałe osiemset metrów stąd znajduje się ostatnia stacja kolejki linowej. Jeśli pana przypuszczenia są słuszne, zabójca właśnie w to miejsce przyprowadził swą ofiarę, bo tu najłatwiej dojść piechotą od kolejki.

Fanny przykucnęła i otworzyła swój plecak. Wyjęła z niego dwie pary raków z hartowanej stali. Jedną z nich podała Niémansowi ze słowami:

– Niech je pan przymocuje do butów.

Komisarz dopasował starannie raki do podeszew butów, a następnie zapiął od góry gumowe paski. Przypomniały mu się wrotki, które miał w dzieciństwie.

Fanny tymczasem wydostała z plecaka gwintowane rurki zakończone podłużnym zaczepem.

– Haki do wbijania w lód – wyjaśniła lakonicznie.

Jej oddech krystalizował się w błyszczący obłoczek pary. W następnej kolejności wydobyła niklowany czekan z grubym, ruchomym uchwytem. Potem podała kask Niémansowi, który przyglądał się tym wszystkim przedmiotom z ciekawością. Wydawały mu się bardzo skomplikowane, choć były zapewne całkiem proste, wykonane z jakichś nieznanych mu, najnowocześniejszych tworzyw w jaskrawych kolorach.

– Niech pan podejdzie do mnie.

Fanny zręcznie zapięła mu wokół bioder miękko wyścielany pas z mnóstwem przeróżnych rzemyków i sprzączek. Cofnęła się kilka kroków i przyglądając się mu jak stylistka modelce, powiedziała z uśmiechem:

– Wygląda pan wspaniale.

Następnie wyjęła z plecaka lampę z wielkim reflektorem. Niémans zdążył przejrzeć się w nim jak w lustrze. W masce tlenowej i w kasku, z pasem na biodrach i rakami na butach wyglądał jak futurystyczny yeti. Fanny umocowała lampę na kasku komisarza i połączyła ją przewodem z pojemnikiem przyczepionym do jego pasa.

– To jest lampa acetylenowa. Na karbid. W odpowiednim momencie pokażę panu, jak działa. – Spojrzała uważnie na Niémansa i mówiła dalej poważnym tonem: – Lodowiec to całkowicie inny świat. Niech pan zapomni o swoich odruchach, nawykach, pańskim sposobie dedukcji. Niech pan niczemu nie ufa: ani odblaskom światła, ani pozornej twardości skalnej ściany. – Wskazała na szczelinę, jednocześnie zapinając własny pas. – W głębi tej szczeliny wszystko wyda się panu niezwykłe, zdumiewające, wszędzie jednak kryją się tu zasadzki. Nie ma pan pojęcia, czym jest lodowiec. Jest twardszy od betonu, ale pod jego kilkumetrową warstewką może znajdować się przepaść. Proszę robić to, co panu powiem.

Fanny przerwała, dając mu czas na zrozumienie wagi jej słów. Ściągnęła włosy w węzeł i nałożyła maskę tlenową.

– Wejdziemy tędy, gdzie zaczyna się spadek. To łatwy odcinek. Pójdę pierwsza i będę wbijać haki. Hałas może spowodować długie, ponad dziesięciometrowe, poziome lub pionowe pęknięcie ściany. I dlatego niech się pan do niej zanadto nie zbliża. Towarzyszący temu huk podobny do grzmotu grozi oderwaniem się stalaktytów. Musi pan mieć oczy z tyłu głowy, komisarzu. Niech pan będzie cały czas czujny i niczego nie dotyka.

Niémans słuchał pilnie pouczeń młodej przewodniczki. Po raz pierwszy w życiu trafił pod rozkazy takiej energicznej osóbki o kręconych włosach. Wyglądało na to, że jest z tego powodu dumna.

– Stracimy poczucie czasu i odległości – ciągnęła tonem wesołym i jednocześnie autorytatywnym. – Naszym jedynym punktem odniesienia będzie lina. Mam kilka zwojów, w każdym po sto metrów liny, i tylko ja będę odmierzać przebyty przez nas dystans. Pan podąża moim śladem

i słucha moich poleceń. Żadnej własnej inicjatywy, żadnych nieprzewidzianych ruchów. Jasne?

– Jasne – westchnął Niémans. – Czy to już wszystko?

– Nie. – Fanny spojrzała w niebo nadal spowite chmurami. – Zgodziłam się na tę eskapadę tylko dlatego, że jest pochmurno. Jak pojawi się słońce, natychmiast wracamy.

– Dlaczego?

– Bo lód zacznie się topić. Ruszą potoki wody o temperaturze nieprzekraczającej dwóch stopni powyżej zera. Dla naszych rozgrzanych wysiłkiem ciał będzie to szok termiczny, który może spowodować zawał serca. To nie są żarty. W ciągu kilku minut zesztywniejemy na kamień i zostaniemy w takiej pozycji na zawsze, zawieszeni na linie. I dlatego, cokolwiek się zdarzy, bez względu na to, co znajdziemy, przy pierwszych promieniach słońca wracamy na górę.

Niémans zamyślił się nad tym, co Fanny powiedziała na końcu.

– Czy to znaczy, że zabójca też potrzebował złej pogody, żeby zejść do szczeliny?

– Tak. Mógł to także zrobić w nocy.

Kiedy komisarz zbierał informacje o opadach, powiedziano mu, że w sobotę cały dzień świeciło tu słońce. Jeśli morderca rzeczywiście razem ze swą ofiarą zszedł do lodowej szczeliny, musiał czekać z tym do zmroku. Dlaczego piętrzył tyle trudności? Po co wracał z ciałem do doliny?

Niémans doszedł niezgrabnie na rakach do skraju uskoku. Kiedy odważył się spojrzeć w dół, przepaść nie wydała mu się tak straszna. Pięć metrów niżej ściany prawie się ze sobą stykały. Przypominało to raczej wąski rów.

Fanny dołączyła do niego i zawieszając na pasie karabińczyki i haki, kontynuowała wyjaśnienia:

– Potok wciska się w szczelinę i wypływa kilka metrów poniżej. Dlatego ten otwór jest o wiele szerszy za pierwszym uskokiem. Przepływająca nim woda nieustannie drąży jego ściany. Musimy przecisnąć się tamtędy do wnętrza szczeliny.

Niémans spoglądał na dwie lodowe ściany zamykające drogę do przepaści.

– Czy zobaczylibyśmy wodę z ubiegłych stuleci, gdybyśmy zeszli bardzo głęboko do lodowca?

– Oczywiście. W strefie arktycznej można dotrzeć aż do najdawniejszych epok. Na głębokości wielu tysięcy metrów znajduje się ta sama woda, która zmusiła Noego do skonstruowania arki. Zresztą powietrze, którym oddychał, też tam ocalało.

– Powietrze?

– Tak, w postaci pęcherzyków tlenu uwięzionych w lodzie. –Niémans nie posiadał się ze zdumienia. Fanny włożyła plecak i przykucnęła nad krawędzią szczeliny. Przykręciła pierwszy hak i umocowała na nim karabińczyk, przez który przeciągnęła linę. Spojrzała jeszcze raz w zachmurzone niebo i powiedziała z figlarną miną:

– Zapraszam do wehikułu czasu, panie komisarzu.

24

Zeszli techniką podwójnej liny.

Komisarz został zawieszony na linie. Przy zejściu musiał tylko naciskać uchwyt, który łagodnie zwalniał linę. Kiedy przestawał naciskać, system blokował się samoczynnie. W dole widział przepaść.

Niémans, skoncentrowany na wykonywaniu tych prostych czynności, słuchał poleceń Fanny, która, będąc kilka metrów niżej od niego, mówiła mu, kiedy ma się zsuwać. Gdy dotarł do następnego haka, zabezpieczył się na długiej lince, podczas gdy krótka, gruba lina była cały czas przymocowana do jego pasa. Ta plątanina linek przywiodła mu na myśl ośmiornicę i jej macki, które pobrzękiwały niczym dzwonki w saniach Świętego Mikołaja.

W trakcie zsuwania się wisiał wyżej od swej młodej przewodniczki i choć tracił ją z oczu, instynktownie ufał jej doświadczeniu. Nie myślał o niczym. Uczucia, których doznawał, były trudne do określenia. Chłód bijący od skalnej ściany. Ucisk pasa utrzymującego jego ciało nad przepaścią. Piękno ciemnoniebieskiego lodowca, przypominającego firmament nocnego nieba.

Szybko zostawili za sobą światło dnia. Przecisnęli się między wypukłymi ścianami uskoku i byli teraz w samym sercu szczeliny. Niémans miał wrażenie, że wpada do brzucha monstrualnej kamiennej bestii. Pod tym lodowym kloszem, gdzie wilgotność powietrza sięgała stu procent, odczuwał wszystko z większą ostrością i intensywnością. Podziwiał mimo woli ciemne, przezroczyste ściany, które pod wpływem światła i ciepła wydawały z siebie przykre, chropawe dźwięki. W tym skalnym zamknięciu każdy ich ruch wywoływał echo.

Wreszcie Fanny postawiła nogę na czymś w rodzaju półki, biegnącej poziomo wzdłuż ściany. Niémans dotarł tam wkrótce po niej. W tym miejscu boki szczeliny znowu się do siebie zbliżyły na kilka metrów.

Fanny nacisnęła jakiś guziczek na jego kasku – mógłby przysiąc, że był to trzask zapalanej zapałki – i wtedy nagle rozbłysło jaskrawe światło.

W reflektorze na jej kasku znowu dojrzał odbicie swojej sylwetki. Szczególnie wyraźnie widział jaskrawy acetylenowy płomień w kształcie odwróconej szyszki. Fanny po omacku zapaliła swoją lampę i szepnęła:

– Jeśli pański zabójca wszedł do tej szczeliny, to musiał dotrzeć do tego miejsca. – Żółty, chwiejący się płomień zniekształcał twarz Fanny, nadając jej ostre, niepokojące rysy. – Jesteśmy na interesującej nas głębokości – dodała, widząc niezrozumienie na twarzy Niémansa, i wskazała na gładką powierzchnię ściany. – Ponad trzydzieści metrów od górnej krawędzi są skrystalizowane śniegi z lat sześćdziesiątych.

Fanny wyjęła nowy zwój liny i kolejny hak. Kilkoma uderzeniami czekana wbiła go w ścianę, przeciągnęła karabińczyk przez zaczep i wkręciła weń gwintowaną rurkę jak korek do butelki. Siła tej kobiety oszałamiała Niémansa. Patrząc na wydrążony w lodowcu otwór, pomyślał, że niewielu znanych mu mężczyzn zdolnych byłoby to wykonać.

Ruszyli dalej. Przywiązani jedno do drugiego posuwali się nad przepaścią wzdłuż błyszczącej półki. Ich sylwetki odbijały się niewyraźnie na przeciwległej ścianie. Co dwadzieścia metrów Fanny wbijała kolejny hak i przeciągała przezeń linę.

Powtórzyła ten manewr kilkakrotnie, aż pokonali w ten sposób sto metrów.

– Schodzimy dalej? – zapytała.

Komisarz spojrzał na nią. Na jej twarzy, zmienionej w jaskrawym świetle lampy, pojawił się złowróżbny wyraz. Kiwnął głową, wskazując na lodowy przesmyk, który niknął tam, gdzie kończyło się światło lampy. Fanny wyciągnęła następny zwój liny. Hak, lina, dwadzieścia metrów, a potem od nowa – hak, lina, dwadzieścia metrów…

Przebyli w ten sposób czterysta metrów. Nie zauważyli żadnego śladu bytności zabójcy. Nagle ściany szczeliny zaczęły chwiać się przed oczami Niémansa. Słyszał jakieś ciche stuki, szyderczy śmiech dochodzący z oddali. Wszystko wokół niego tonęło w dziwnym świetle, rezonowało, stawało się niewyraźne. Czy to zawrót głowy wywołany przez pobyt w lodowcu? Popatrzył na Fanny, która wyciągała następny zwój liny. Wyglądało na to, że ona niczego nie zauważyła.

Opanował go niepokój. Zaczynał chyba majaczyć. Jego ciało i mózg zdradzały objawy krańcowego zmęczenia. Trząsł się z zimna, które przenikało go aż do szpiku kości. Z trudem poruszał nogami. Łzy napłynęły

mu do oczu. Usiłował zbliżyć się do Fanny. Nagle poczuł, że zaraz spadnie, że nogi już dłużej go nie utrzymają. Majaczył. Wydawało mu się, że niebieskawe ściany falują coraz bardziej w świetle lampy, a echo odpowiada cichym śmieszkiem. Czuł, że za sekundę spadnie w tę przepaść. Dusząc się, zdołał wychrypieć:

– Fanny…

Odwróciła się i wtedy Niémans zrozumiał, że jeszcze nie oszalał.

Twarzy dziewczyny nie przesłaniał już cień od lampy. Jej rysy były wyraźnie widoczne w świetle, którego źródła nie mógł określić. Fanny odzyskała swoją olśniewającą i władczą urodę. Niémans rozejrzał się wokół siebie. Lodowa ściana połyskiwała tysiącem ogni, a spływające po niej strumienie wody tworzyły fantazyjne ścieżki.

Nie, nie oszalał. Przeciwnie, spostrzegł to, na co nie zwróciła uwagi Fanny zajęta manipulacjami przy linie. Słońce! Tam na górze niebo się wypogodziło i wyszło słońce. I stąd to rozproszone, przenikające przez lód światło. Stąd też te dziwne refleksy i tajemnicze dźwięki.

Zrobiło się cieplej. Lód na ścianach zaczynał się topić.

– Cholera! – jęknęła Fanny, gdy wreszcie zobaczyła, co się dzieje.

Spojrzała na najbliższy hak. Przytrzymująca go śruba błyszczała na tle ściany, wilgotnej od ściekającej po niej wody. Za chwilę oboje odpadną od ściany i runą na samo dno przepaści.

– Niech się pan odsunie! – zawołała Fanny. Niémans zrobił krok do tyłu. Usiłując ustać na jednej nodze, poślizgnął się i szarpnął gwałtownie linę, żeby utrzymać równowagę. W tym samym momencie usłyszał trzask wypadającego haka i zgrzyt własnych raków ocierających się o ścianę. Fanny złapała go w ostatniej sekundzie. Przycisnęła do ściany. Na twarzy poczuł lodowatą wodę.

– Niech się pan nie rusza – szepnęła Fanny. Niémans znieruchomiał skulony, ciężko dysząc. Czuł na twarzy jej oddech, zapach potu, słodką woń włosów. Przewiązała go od nowa liną i z imponującą szybkością wbiła dwa haki.

Gdy wykonywała te czynności, pomruki rozlegające się nad przepaścią przybrały na sile. Po ścianach spływały z hukiem rwące kaskady wody, kawały lodu rozpryskiwały się o skały na dnie. Niémans zamknął oczy. Poczuł, że traci przytomność, osaczony wśród tych migoczących przed oczyma ścian, których końca nie widać.

Krzyk Fanny przywrócił go do rzeczywistości.

Odwrócił głowę w lewo i zobaczył, że trzymając się liny, usiłuje odepchnąć się od ściany. Niémans zrobił nadludzki wysiłek, żeby zbliżyć się do niej pod strumieniami wody spływającej z ogromną siłą. Zacisnąwszy palce na swojej linie, okręcił się na niej i przeleciał przez płynący pionowo potok.

Dlaczego Fanny chce oddalić się od ściany, kiedy grozi im, że zostaną tu uwięzieni? Fanny pokazała palcem na lodową ścianę.

– Tam. On jest tam – szepnęła.

Niémans spojrzał we wskazanym przez nią kierunku.

Na lśniącej ścianie, pokrytej ściekającą wodą, widoczna była uwięziona w lodzie sylwetka człowieka w pozycji embrionalnej. Usta miał otwarte jak do krzyku. Spływająca nieustannie woda zniekształcała obraz jego ciała, zsiniałego z zimna i sparaliżowanego bólem od zadanych mu ran.

Mimo oszołomienia, mimo zimna, które mogło zabić ich oboje, komisarz zorientował się, że to, co widzi, jest lustrzanym odbiciem. Stanął pewniej na półce i powoli się obrócił ku przeciwległej ścianie.

– Nie, on jest tu – powiedział cicho.

Nie mógł oderwać oczu od tego rzeczywistego ciała, zamrożonego w lodowej ścianie, którego krwawe kontury mieszały się z ich odbiciem z naprzeciwka.

25

Niémans odłożył raport na biurko i zwrócił się do kapitana Barnesa:

– Skąd ma pan pewność, że ten człowiek jest naszą ofiarą?

Stojący przed nim żandarm odpowiedział z przekonaniem w głosie:

– Przed chwilą była u nas jego matka. Mówi, że jej syn zniknął tej nocy…

Komisarz znowu znajdował się na pierwszym piętrze biura żandarmerii. Stopniowo się rozgrzewał, ubrany w gruby wełniany sweter z golfem. Godzinę temu dzięki Fanny udało im się wydostać bez szwanku z tej niebezpiecznej szczeliny. Mieli szczęście – wracający po nich helikopter przyleciał w tym samym momencie, kiedy znaleźli się na górze.

Od tej pory dwie ekipy ratownictwa górskiego pracowały nad wydobyciem ciała z lodowego sanktuarium. Komisarz i Fanny Ferreira wrócili do miasta i zostali poddani rutynowemu w takiej sytuacji badaniu lekarskiemu.

Tymczasem Barnes otrzymał informację o kolejnym zaginionym człowieku, którego opis mógł pasować do znalezionego ciała. Był nim dwudziestosześcioletni Philippe Sertys, kawaler, pielęgniarz ze szpitala w Guernon. Niémans powtórzył pytanie, popijając gorącą jak wrzątek kawę:

– Skoro jeszcze nie ustalono tożsamości ofiary, dlaczego jest pan pewien, że chodzi właśnie o tego człowieka?

Barnes, szukając czegoś w kartonowej teczce, odpowiedział:

– Z powodu podobieństwa.

– Podobieństwa?

Kapitan położył przed Niémansem zdjęcie młodego mężczyzny o szczupłej twarzy i krótko ostrzyżonych włosach, z łagodnym spojrzeniem i uśmiechem. Miał młodzieńczą, niemal dziecinną twarz, z której wyczytać można było jakiś niepokój. Komisarz zrozumiał, o co chodziło Barnesowi. Ten człowiek rzeczywiście był podobny do Rémy’ego Caillois, pierwszej ofiary. Ten sam wiek. Taka sama szczupła twarz. Nawet tak samo krótko

ostrzyżone włosy. Dwaj młodzi mężczyźni, przystojni i dobrze zbudowani, których twarze zdradzały wewnętrzny niepokój.

– Mamy do czynienia z seryjnym mordercą, panie komisarzu.

Niémans upił łyk kawy parzącej jego zziębnięte gardło.

– Słucham? – zapytał, podnosząc oczy na kapitana. Barnes przestępował z nogi na nogę. Słychać było skrzypienie jego butów, przypominające trzask pokładu na okręcie.

– Nie mam pańskiego doświadczenia, ale… Jeśli tą drugą ofiarą jest Philippe Sertys, to nie ulega wątpliwości, że chodzi o seryjnego zabójcę. Wybiera swoje ofiary według ich wyglądu. Ich twarze musiały mu się kojarzyć z jakimś przeżytym urazem i…

Kapitan urwał, widząc wściekłe spojrzenie Niémansa. Komisarz spróbował zatrzeć to wrażenie miłym uśmiechem.

– Kapitanie, nie wolno nam snuć żadnych domysłów na podstawie tego podobieństwa. Zwłaszcza teraz, gdy nie jesteśmy jeszcze pewni tożsamości ofiary.

– Ja sądzę… Ma pan rację, komisarzu.

Przekładał nerwowo teczki, które zawierały dokumenty dotyczące chyba całego miasta. Wydawał się zmieszany i zarazem zły. Niémans odgadywał jego stan ducha. Barnes zapewne zachowa do niego urazę aż do emerytury, a może nawet dłużej, przekonany, że w Guernon działa seryjny morderca.

– Gdzie są ratownicy? – zapytał komisarz.

– Już niedługo wydobędą ofiarę. W tym lodzie ciało zamarzło na kamień. Według nich ten człowiek został tam umieszczony poprzedniej nocy. Musiała być bardzo niska temperatura, żeby lód…

– Kiedy wydobędą ciało?

– Niestety potrzeba im jeszcze minimum godziny.

Niémans wstał i otworzył okno. Do pokoju wtargnął chłód. Była godzina osiemnasta.

Nad miastem zapadała już noc. Mrok powoli obejmował dachy pokryte łupkami i czubki drzew. Rzeka wiła się w ciemnościach jak wąż po kamienistym dnie.

Komisarz zadrżał z zimna mimo ciepłego swetra. Nie przepadał za prowincją, a zwłaszcza za regionem takim jak ten, położonym u stóp gór, nękanym przez zimno i wiatry, gdzie człowiek albo nurza się w błocie śniegowym, albo słyszy ohydny odgłos spadających stalaktytów. Nie dla

niego był ten ponury, pełen tajemnic i wrogi świat, który potrafił zamrozić na kamień w swojej lodowej ciszy.

– Do czego właściwie doszliśmy po dwunastu godzinach śledztwa? – odwrócił się do Barnesa.

– Do niczego. Wszystkie nasze wysiłki nie przyniosły dotąd rezultatu. Nie znaleźliśmy żadnego podejrzanego włóczęgi ani ostatnio zwolnionego więźnia, który pasowałby do naszego mordercy. Nic nie dały też wywiady przeprowadzone w hotelach, na dworcach autobusowych, na stacjach kolejowych. Zresztą zapory na drogach też nam nie pomogły.

– A co się dzieje w bibliotece?

– W bibliotece?

Po odnalezieniu drugiego ciała trop książkowy wydawał się mieć drugorzędne znaczenie, ale komisarz chciał wyjaśnić wszystko do końca. I dlatego powiedział:

– Funkcjonariusze z wydziału bezpieczeństwa policji śledczej sprawdzają książki wskazane przez studentów.

– Ach tak… – wzruszył ramionami kapitan. – To nie należy do nas. Trzeba zapytać o to Joisneau.

– A gdzie on jest?

– Nie mam pojęcia.

Niémans spróbował od razu skontaktować się przez telefon komórkowy z młodym porucznikiem, ale nie było połączenia.

– A co z Vermontem? – zapytał ze złością.

– Jest nadal w górach ze swoimi ludźmi. Przeszukują schroniska, zbocza górskie. Jak nigdy dotąd…

Niémans westchnął ciężko.

– Niech pan poprosi w Grenoble o posiłki. Potrzebuję tu przynajmniej pięćdziesięciu ludzi. Trzeba przeszukać teren lodowca Vallernes i trasę kolejki linowej, która tam jeździ. Cała góra, aż do samego szczytu, musi być dokładnie przeczesana.

– Zajmę się tym.

– Ile jest zapór na drogach?

– Osiem. Przy bramce na autostradzie, na dwóch krajowych drogach i na pięciu departamentowych. Guernon jest pod wyjątkową obserwacją, komisarzu. Ale, jak już panu mówiłem, to…

– Kapitanie, w tej chwili jedno tylko wiemy na pewno: zabójca jest wytrawnym alpinistą. Przepytajcie w Guernon i w okolicy wszystkich, którzy są zdolni wejść na lodowiec.

– Będzie to raczej trudne. Alpinistyka jest tu sportem powszechnie uprawianym i…

– Mówię o takich, którzy potrafiliby zejść trzydzieści metrów w głąb lodowca i przetransportować tam ciało. Prosiłem już o to Joisneau. Proszę go odnaleźć.

– Dobrze – zgodził się Barnes. – Ale powtarzam panu, że jesteśmy ludźmi gór. W każdym miasteczku, w każdym domu, wszędzie znajdzie pan doświadczonych alpinistów. To u nas tradycja. Niektórzy tutejsi ludzie są szlifierzami kryształów, inni hodowcami… ale wszyscy mają zamiłowanie do chodzenia po górach. Prawdę mówiąc, tylko w Guernon, w miasteczku uniwersyteckim, wspinaczka jest mniej popularna.

– Do czego pan zmierza?

– Chcę powiedzieć, że trzeba rozszerzyć nasze poszukiwania na wsie położone wyżej, a to zajmie mnóstwo czasu.

– Poproście o wsparcie. Zainstalujcie w każdej mieścinie jednego żandarma z komendy głównej. Sprawdzajcie rozkład zajęć mieszkańców, jaki mają sprzęt alpinistyczny, gdzie ostatnio chodzili w góry. I, na Boga, znajdźcie mi podejrzanych!

Komisarz otworzył drzwi i zakończył:

– Przyprowadźcie mi matkę.

– Czyją matkę?

– Matkę Philippe’a Sertysa. Chcę z nią porozmawiać.

26

Niémans zszedł na parter. Tutejszy posterunek żandarmerii podobny był do każdego innego posterunku we Francji i pewnie na świecie. Przez oszklone ścianki widział metalowe szafki z półkami, podniszczone biurka z plastikowymi blatami, marne linoleum na podłodze, z wypalonymi dziurami po papierosach. Lubił takie bezbarwne miejsca oświetlone jarzeniówkami. Oddawały bowiem prawdziwy charakter zawodu policjanta i atmosferę ulicy. Policjanci z powołania czuli się dobrze właśnie w takich ponurych lokalach, z których co pewien czas wyjeżdżały z rykiem syren wozy patrolowe.

W tym momencie zauważył ją. Siedziała w korytarzu, owinięta polarowym kocem, ubrana w granatowy sweter któregoś z żandarmów. Zadrżał, gdyż w jednej sekundzie znowu poczuł się więźniem lodowca, i czuł jej ciepły oddech na swoim karku. Poprawił nerwowo okulary.

– Jeszcze nie wróciła pani do domu?

Fanny Ferreira podniosła na niego swe jasne oczy.

– Muszę podpisać zeznanie. To już zaczyna mi wchodzić w nawyk. Ale niech pan na mnie nie liczy za trzecim razem.

– Za trzecim razem?

– Kiedy zostanie znalezione trzecie ciało.

– Sądzi pani, że będą następne morderstwa?

– A pan nie? – Musiała zauważyć zdenerwowanie na jego twarzy, gdyż dodała: – Przepraszam pana. Ironia to mój sposób na nerwy. – Mówiąc to, pokazała mu ręką miejsce obok siebie. Niémans usiadł z głową wciśniętą w ramiona, ręce skrzyżował na piersi.

– Chciałbym pani podziękować – powiedział cicho. – Bez pani zginąłbym w tych lodach…

– Wykonywałam swój zawód przewodnika.

– To prawda. Nie tylko uratowała mi pani życie, ale też doprowadziła mnie dokładnie tam, gdzie chciałem…

Fanny spoważniała. Obok nich przechodzili korytarzem żandarmi.

– Do czego pan doszedł? – zapytała. – Mam na myśli śledztwo. Skąd się bierze takie przerażające okrucieństwo?

Niémans usiłował się uśmiechnąć, ale mu się to nie udało.

– Nie posunęliśmy się ani na krok do przodu. Wszystko, co wiem, opieram na domysłach.

– To znaczy?

– Czuję, że to nie koniec tych zabójstw. Ale nie mam pojęcia, z której strony oczekiwać następnego. To nie jest zabójca, który uderza przypadkowo, pod wpływem chwilowej emocji. Musi mieć jakiś motyw, konkretny i racjonalny.

– Jakiego rodzaju motyw?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedział, przyglądając się jej twarzy tonącej w cieniu.

Zamilkli oboje. Fanny zapaliła papierosa i po chwili niespodzianie zapytała:

– Od jak dawna jest pan w policji?

– Od dwudziestu lat.

– Czym się pan kierował, wybierając ten zawód? Marzył pan o przymykaniu przestępców?

Niémans uśmiechnął się, tym razem szczerze. Kątem oka zauważył, że wróciła kolejna grupa żandarmów w pelerynach ociekających wodą. Z ich min wywnioskował, że niczego nie odkryli. Spojrzał ponownie na Fanny, która zaciągała się głęboko papierosem.

– Taki jest cel naszej pracy i sama pani wie, że niełatwo go osiągnąć. Zresztą sprawiedliwość i cała gadanina z tym związana nigdy mnie nie pociągały.

– A więc co? Dobra pensja? Bezpieczna posada?

– Ma pani dziwne poglądy – nie krył zaskoczenia Niémans. – Nie, myślę, że wybrałem tę pracę, bo wiążą się z nią silne wrażenia.

– Wrażenia? Takie, jakie dopiero co przeżyliśmy?

– Na przykład.

– Rozumiem – powiedziała z ironią, wydmuchując biały obłoczek dymu. – „Człowiek, który lubi ekstremalne sytuacje”. Ryzykując każdego dnia, gotów zapłacić za to życiem…

– A dlaczego nie?

Fanny zgarbiła się, złożyła ręce jak do modlitwy. Już się z niego nie śmiała. Chyba odgadła, że Niémans, odpowiadając na jej pytania ogólnikami, odsłonił częściowo swoje najgłębsze myśli. Z papierosem w ustach szepnęła:

– Rzeczywiście, dlaczego nie…

Komisarz spojrzał sponad okularów na jej rękę. Nie miała obrączki. Widoczne były tylko ślady ran i zadrapań. Ta alpinistka robiła wrażenie, jakby związała się na zawsze z przyrodą, od której oczekiwała mocnych wrażeń.

– Nikt nie może zrozumieć gliniarza – podjął poważnym tonem. – A tym samym nie może go osądzać. Obracamy się w brutalnym, irracjonalnym i zamkniętym świecie. Jest to świat niebezpieczny, z konkretnie zaznaczonymi granicami. Kto znajduje się poza nimi, nie jest w stanie go naprawdę poznać. Szczelnie odgrodzony drutem kolczastym od innych, niezrozumiały dla nikogo świat gliniarzy. Jedna rzecz jest pewna: nie uczą nas, jak nadskakiwać urzędasom, którzy nie ryzykują nawet tego, że mogliby przyciąć sobie palce drzwiczkami własnych samochodów.

Fanny wyprostowała się i rękami zaczesała włosy do góry.

Niémans zadrżał. Czuł, jak z podniecenia pulsuje mu w żyłach krew.

– Co ma pan zamiar zrobić? – zapytała cicho. – Jaki jest następny etap pańskiego działania?

– Będę dalej szukać i czekać.

– Na co? – zapytała napastliwym tonem. – Na kolejną ofiarę?

Niémans wstał, ignorując to prowokacyjne pytanie.

– Poczekam, aż sprowadzą ciało z gór. Zabójca wyznaczył nam spotkanie. Przy pierwszym trupie zostawił znak, który zawiódł mnie na lodowiec. Przypuszczam, że przy tym nowym trupie też zostawił znak, który ma nas skierować do trzeciego… I tak dalej. To rodzaj gry, w której za każdym razem my przegrywamy.

Fanny też się podniosła i wzięła kurtkę, która suszyła się na oparciu ławki.

– Musi się pan zgodzić na wywiad dla mnie.

– Dla pani?

– Jestem redaktorem naczelnym naszego uniwersyteckiego pisma „Tempo”.

Niémans poczuł, jak napinają mu się pod skórą nerwy.

– Nie chce pani chyba powiedzieć, że…

– Proszę się nie obawiać, nic mnie nie obchodzi to pismo. Nie mam zamiaru panu szkodzić, ale i tak, ze względu na to, co się dzieje, wkrótce pojawią się tutaj dziennikarze z całego kraju. Oni dopiero nie dadzą panu żyć.

Komisarz zbył te słowa lekceważącym wzruszeniem ramion.

– Gdzie pani mieszka? – zapytał nieoczekiwanie.

– Na terenie uniwersytetu.

– Gdzie dokładnie?

– W budynku głównym. Mam mieszkanie w sąsiedztwie internatu dla studentów.

– Tam gdzie mieszkał Caillois?

– Tak.

– Co pani myśli o Sophie Caillois?

– To dziwna kobieta. Milcząca. I niezwykle piękna. Oboje byli bardzo zamknięci. Jakby łączyła ich jakaś tajemnica.

– Zgadzam się z panią. Być może motyw zabójstw kryje się w tej tajemnicy. Jeśli pani pozwoli, zaszedłbym do pani później wieczorem.

– Chce mnie pan dalej podrywać?

– Jeszcze bardziej niż przedtem – przyznał komisarz. – I rezerwuję dla pani pisma pierwsze informacje.

– Już mówiłam, że nie zależy mi na tym piśmie.

– A więc do wieczora – powiedział, odchodząc.

27

Upłynęła następna godzina, a ciało drugiej ofiary nie zostało jeszcze wydobyte z lodowca.

Niémans wściekał się. Wysłuchał zeznania matki Philippe’a Sertysa, starej kobiety, która zrobiła na nim wrażenie trochę obłudnej. Poprzedniego dnia, jak w każdy wieczór, jej syn wyjechał około dwudziestej pierwszej swoim samochodem – kupioną okazyjnie ładą. Philippe pracował w nocy w uniwersyteckim szpitalu w Guernon i zaczynał dyżur o godzinie dwudziestej drugiej. Matka zaczęła się niepokoić dopiero nazajutrz rano, kiedy stwierdziła, że wóz stoi w garażu, a Philippe’a nie ma w jego pokoju. To oznaczało, że wrócił i ponownie wyszedł. Zaskoczenie pani Sertys jeszcze wzrosło, kiedy po skontaktowaniu się ze szpitalem dowiedziała się, że jej syn uprzedził, iż nie będzie mógł przyjść na dyżur tej nocy. Pojechał gdzieś indziej, po czym wrócił i znowu gdzieś się udał, tym razem pieszo. Co to znaczy? Stara kobieta, przerażona, potrząsała rękawem Niémansa. Niepokoiła się, bo syn nie miał przyjaciółki, nigdzie nie bywał i zawsze spędzał noce w domu.

Niémans rozważał wszystkie te dane bez entuzjazmu. A jednak, jeśli w lodowcu został uwięziony Sertys, to informacje uzyskane od matki pozwoliłyby określić ewentualną porę morderstwa. Zabójca zaskoczył młodego sanitariusza późną nocą, zabił go, z pewnością przedtem torturując, a potem przetransportował do szczeliny w lodowcu Vallernes. Mróz poranny ściął lodowe ściany, które zamknęły się wokół ciała ofiary. Jednak wszystko to było nadal tylko hipotezą.

Komisarz odprowadził panią Sertys do dyżurnego żandarma, aby podpisała szczegółowe zeznanie. Sam zaś, z aktami pod pachą, postanowił wrócić do swojego pokoiku, przydzielonego mu na uniwersytecie.

Przebrał się i rozłożył na biurku dokumenty, którymi dysponował. Zaczął szukać jakiegoś istotnego elementu łączącego te dwie ofiary – Rémy’ego Caillois i Philippe’a Sertysa.

W rubryce wspólnych elementów znalazło się bardzo niewiele danych. Obaj mieli około dwudziestu pięciu lat. Obaj byli wysocy, szczupli, z twarzami o regularnych rysach, zdradzającymi wewnętrzny niepokój, z krótko ostrzyżonymi włosami. Obaj nie mieli już ojców. Ojciec Philippe’a Sertysa umarł dwa lata temu na raka wątroby. Rémy Caillois nie miał też matki, która zmarła, gdy miał osiem lat. I ostatni wspólny punkt: obaj wykonywali ten sam zawód co ich ojcowie: Caillois pracował w bibliotece, Sertys w szpitalu.

W rubryce różnic można by wpisać znacznie więcej faktów. Caillois i Sertys nie uczęszczali do tych samych szkół. Nie dorastali w tej samej dzielnicy ani nie należeli do tej samej klasy społecznej. Wywodzący się z inteligenckiej rodziny Rémy Caillois znalazł się między intelektualistami i dojrzewał w środowisku uniwersyteckim. Philippe Sertys, syn niewykształconego posługacza szpitalnego, idąc w ślady ojca, w wieku piętnastu lat także zaczął pracować w szpitalu. Był prawie analfabetą i mieszkał nadal w małym skromnym domku na przedmieściu Guernon.

Rémy Caillois żył wśród książek, Philippe Sertys spędzał noce w szpitalu. Wyglądało na to, że ten ostatni nie miał żadnego hobby. Przebywał głównie w podziemnych korytarzach przesiąkniętych zapachem środków dezynfekujących albo w barze naprzeciw szpitala, gdzie po południu jego rozrywką były gry komputerowe. Caillois został zwolniony z wojska. Sertys odbył służbę wojskową w piechocie. Jeden był żonaty, drugi kawalerem. Jeden uwielbiał wycieczki w góry, drugi chyba nigdy nie wychylił nosa poza swoją mieścinę. Jeden był schizofrenikiem i bez wątpienia brutalem, drugi, zdaniem wszystkich, którzy go znali, był „łagodny jak anioł”.

Z tego wszystkiego wynikał oczywisty wniosek: łączył ich jedynie wygląd fizyczny. Podobne twarze o wyostrzonych rysach, krótko ostrzyżone włosy i smukłe sylwetki. Barnes uważał, że zabójca wybrał te dwie ofiary z powodu istniejącego między nimi podobieństwa.

Niémans przez chwilę zastanawiał się nad morderstwem na tle seksualnym. Zabójca mógłby być ukrywającym swoje skłonności homoseksualistą, którego pociągał ten typ urody. Komisarz jednak w to nie wierzył, tym bardziej że lekarz sądowy orzekł kategorycznie: „W tym przypadku nic za czymś takim nie przemawia”. Doktor zwrócił uwagę, że charakter ran i tortur, widocznych na ciele pierwszej ofiary, świadczy

o chłodzie, okrucieństwie, staranności, które nie pasują do gwałtowności perwersyjnego pożądania. Zresztą nie zauważono u pierwszej ofiary śladów przemocy seksualnej.

A więc co?

Szaleństwo zabójcy może być innego rodzaju. W każdym razie pewne podobieństwo między ofiarami i prawdopodobieństwo, iż jest to początek serii – wszak w ciągu dwóch dni wydarzyły się już dwa morderstwa – przemawiają za tezą o ogarniętym obłędem maniaku, który będzie dalej zabijał. Istniały jeszcze inne argumenty potwierdzające to przypuszczenie – znak zostawiony na ciele pierwszego zabitego, który doprowadził do drugiego, pozycja embrionalna, wykipienie oczu i pragnienie umieszczenia trupów w odludnych miejscach – nisza w skale nad rzeką, przezroczyste więzienie w lodowcu…

Niémans jednakże nie skłaniał się do tej tezy.

Po pierwsze, z powodu swego długoletniego doświadczenia w zawodzie policjanta. Chociaż *serial killers*, importowani ze Stanów Zjednoczonych, byli bohaterami licznych powieści i filmów, we Francji takie wypadki w rzeczywistości nie miały miejsca. W czasie dwudziestu lat pracy Niémans ścigał pedofili, którzy w chwili załamania dopuszczali się morderstwa, gwałcicieli, którzy w brutalny sposób zabijali swoje ofiary, sadomasochistów, którzy dali się ponieść okrutnej grze, nie mówiąc już o wielu mordercach, którymi nie powodował żaden motyw i którzy niczym szczególnym się nie odznaczali. Seryjne zabójstwa to nie jest specjalność francuska. Komisarz kpił z siebie w duchu, że w ogóle zastanawia się nad tym. Było bezspornym faktem, że we Francji ostatni zabójcy, którzy popełnili kilka morderstw, to Landru i doktor Petiot i że w ich przypadku chodziło o drobne kradzieże lub mizerny spadek. Nie miało to nic wspólnego z krwawymi zboczeńcami, którzy straszą Amerykanów.

Komisarz jeszcze raz przyjrzał się fotografiom Philippe’a Sertysa i Rémy’ego Caillois. Z kartonowej teczki wysunęły się też zdjęcia pierwszego trupa. Patrząc na nie ze zgrozą, pomyślał, że nie powinien tak siedzieć z założonymi rękami. Może w chwili, gdy on ogląda te zdjęcia, trzecia osoba poddawana jest najokrutniejszym torturom. Może zabójca rękami w gumowych rękawiczkach znowu wyłupuje komuś oczy.

Była już godzina dziewiętnasta. Zapadły całkowite ciemności. Niémans wstał i zapalił światło. Postanowił pogrzebać dokładniej w życiorysie

Philippe’a Sertysa. Może coś się znajdzie, jakaś wskazówka, jakiś znak. Albo po prostu inny wspólny punkt łączący te dwie ofiary.

28

Philippe Sertys i jego matka mieszkali w małym domku na obrzeżach miasta, na pustej uliczce, niedaleko starej dzielnicy z odrapanymi z tynków domami. Spadzisty brązowawy dach, brudnobiała fasada, koronkowe pożółkłe firanki, zasłaniające brzydotę wnętrza. Niémans wiedział, że pani Sertys składała jeszcze szczegółowe zeznanie w żandarmerii. W domu nie widać było żadnego światła, ale mimo to zadzwonił na wszelki wypadek.

Nikt się nie odezwał.

Obszedł dom od tyłu. Wiał silny, lodowaty wiatr, niosący pierwsze oznaki zimy. Do domu, od lewej strony, przylegał niski garaż. Komisarz zajrzał do środka i zobaczył zabłoconą ładę nie pierwszej młodości. Poszedł dalej. Za budynkiem był niewielki ogród ze strzyżonym trawnikiem o powierzchni kilku metrów kwadratowych.

Niémans rozejrzał się jeszcze raz, czy nie ma jakichś niepożądanych świadków. Nikogo nie zauważył. Wszedł po trzech stopniach i obejrzał zamek w drzwiach. Bardzo zwyczajny, kupiony okazyjnie. Otworzył go bez żadnych trudności, wytarł buty o wycieraczkę i wszedł do domu człowieka, który prawdopodobnie był drugą ofiarą.

Z przedpokoju przeszedł do niedużego salonu i zapalił kieszonkową latarkę. W wąskim strumieniu światła ukazała się zielonkawa wykładzina, pokryta dywanikami w ciemnych barwach, rozkładana kanapa i wiszące nad nią myśliwskie strzelby, źle dobrane meble, brzydkie drobiazgi, bez żadnego stylu. Panowała tu stęchła atmosfera ubóstwa.

Komisarz nałożył gumowe rękawiczki i zabrał się do przeszukiwania szuflad. Nie znalazł w nich nic ciekawego. Platerowane srebrne sztućce, haftowane chusteczki, osobiste dokumenty – kwity podatkowe, formularze ubezpieczeniowe… Przejrzał pobieżnie te papierzyska, po czym szukał dalej. Bezskutecznie. Był to salon rodziny bez żadnej przeszłości.

Niémans wszedł po schodach na piętro.

Z łatwością odnalazł pokój Philippe’a Sertysa. Plakaty z fotografiami zwierząt, stosy ilustrowanych pism na kufrze, programy telewizyjne.

Wyzierało z tego wszystkiego ubóstwo intelektualne, graniczące z niedorozwojem umysłowym. Niémans przystąpił do szczegółowej rewizji. Nie znalazł nic poza kilkoma detalami świadczącymi, że Sertys wiódł nocne życie. Na etażerce stały najprzeróżniejsze lampy, z żarówkami różnej mocy, jakby ich właściciel pragnął w ten sposób odtworzyć światło charakterystyczne dla każdej z pór roku. Okna przesłaniały solidne, szczelne żaluzje, które miały chronić przed światłem dziennym. Niémans znalazł też maski, jakich używa się w samolotach, żeby osłonić oczy przed najmniejszymi promieniami światła. Albo Sertys miał trudności z zasypianiem, albo miał naturę wampira.

Niémans szukał pod kocami, prześcieradłami i materacem. Sprawdzał pod dywanem, a także palcami obmacał tapetę na ścianie. Nie znalazł nic, a zwłaszcza nie natrafił na żaden ślad jakiegoś związku z kobietą.

Rzucił okiem na pokój matki, nie zatrzymując się w nim na długo. Atmosfera tego domu zaczynała go dusić swą beznadziejnością. Zszedł na dół i sprawdził kuchnię, łazienkę, piwnicę. Była to tylko strata czasu.

Na dworze wiał nieprzerwanie silny wiatr, od którego lekko drżały szyby w oknach.

Kiedy zgasił latarkę, poczuł nagle znajomy, miły dreszczyk, przeczucie skrywanej tajemnicy.

Zamyślił się. Nie mógł się mylić. Musi odnaleźć jakiś ważny dla dochodzenia znak. Im mniej miał na to dowodów, tym bardziej był przekonany, że istniała nieodkryta jeszcze więź między Caillois i Sertysem.

Wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

W szatni szpitalnej panował półmrok. Było cicho i pusto. Niémans szedł bezszelestnie wzdłuż równych rzędów szafek pracowników i odczytywał umieszczone na małych metalowych tabliczkach nazwiska, aż znalazł szafkę Philippe’a Sertysa.

Znowu nałożył gumowe rękawiczki i zabrał się do kłódki. Nieoczekiwanie odżył we wspomnieniach czas, gdy w kominiarce na twarzy brał udział w nocnych akcjach oddziału do walki z gangami. Nie tęsknił wcale za tamtą epoką. Niémans najbardziej lubił działać w godzinach nocnych, ale sam, w ciszy, po kryjomu.

Kilka szczęknięć i drzwi szafki się otworzyły. Bluzy szpitalne, opakowania ze słodyczami, stare pisma. I znowu latarki i maski. Niémans, uważając, żeby nie wywołać hałasu, obmacał ścianki i obejrzał dokładnie

wnętrze szafki. Stwierdził, że nie miała podwójnego sufitu ani żadnej skrytki.

Przyklęknął na podłodze i zaklął w duchu. Wyglądało na to, że poszedł fałszywym tropem. Młody sanitariusz najwyraźniej nie miał nic do ukrycia. Poza tym nie było jeszcze pewności, że zamrożony wysoko w górach trup to właśnie Philippe Sertys. Może pojawi się za kilka dni po pierwszej w swym życiu randce z jakąś przystojną pielęgniarką.

Komisarz uśmiechnął się do siebie na tę myśl. Zdecydował, że trzeba się zwijać, zanim ktoś go zaskoczy w tej pozycji. W momencie, kiedy się podnosił, zauważył odklejone linoleum pod szafką. Uniósł je ostrożnie dwoma palcami. Wymacał na cementowej podłodze jakiś przedmiot, który szczęknął przy dotyku. Sięgnął jeszcze dalej ręką, a gdy z powrotem ją cofnął, trzymał w dłoni zaczepiony na kółku klucz, który był starannie schowany pod szafką.

Na kluczu Niémans rozpoznał charakterystyczne nacięcia, stosowane przy zamkach szyfrowych.

Jeśli Sertys miał jakąś tajemnicę, to znajdowała się za drzwiami, które otwierał ten klucz.

W merostwie złapał w ostatniej chwili zbierającego się już do wyjścia urzędnika z wydziału nieruchomości. Na dźwięk nazwiska Sertysa nawet nie mrugnął okiem. A więc nikt nie wiedział jeszcze o wypadku ani o przypuszczeniach co do tożsamości ofiary. Urzędnik, już w płaszczu, niechętnie spełnił życzenie komisarza.

Niémans rozważał po raz kolejny hipotezę, która przywiodła go tutaj. Philippe Sertys ukrył klucz do zamka szyfrowego pod swoją szafką w szpitalu. W drzwiach jego domu nie było żadnego dodatkowego zamka. A ten klucz mógł pasować do mnóstwa drzwi, szaf ściennych, różnych pomieszczeń. Tylko wtedy po co go chować? Intuicja kazała Niémansowi przyjść do merostwa, do wydziału nieruchomości, aby sprawdzić, czy Philippe Sertys nie posiadał jakiegoś mieszkania, domku, szopy, czegokolwiek, gdzie mógłby wieść drugie życie w ukryciu.

Urzędnik z wyraźnie niezadowoloną miną wydobył podniszczone kartonowe pudło. Z przodu widniała etykietka w brązowej ramce, z wypisanym atramentem nazwiskiem „Sertys”. Starając się zapanować nad podnieceniem, Niémans otworzył pudło i zaczął przeglądać znajdujące się w nim urzędowe dokumenty, akty notarialne, plan terenu. Sprawdził

położenie i numery parceli, zlokalizował je na mapie regionu dołączonej do akt. Kilka razy przeczytał adres działki.

Okazało się, że było to takie proste.

Philippe Sertys i jego matka wynajmowali domek na przedmieściu, ale istniał jeszcze jeden budynek, odziedziczony po jego ojcu, René Sertysie.

29

Budynek okazał się w rzeczywistości samotnie stojącym magazynem, usytuowanym u stóp Grand Doménon, otoczonym suchymi modrzewiami. Z jasnych ścian odpadał tynk, co świadczyło, że budowla przetrwała już niejeden sezon.

Niémans podjechał z zachowaniem wszelkiej ostrożności. Zakratowane okna, zaślepione workami z cementem. Duża brama z szyfrowym zamkiem. Można byłoby przechowywać tu beczki, rury, materiały budowlane, wszelkiego rodzaju sprzęt. Ale przecież ten magazyn należał do spokojnego sanitariusza, który właśnie został zabity w górach, na lodowcu.

Komisarz najpierw obszedł budynek dokoła, a potem wrócił do zamkniętej bramy. Włożył klucz do zamka. Usłyszał cichy szczęk zapadki zatrzasku.

Brama obróciła się na zawiasach. Niémans odetchnął głęboko, zanim wszedł do środka. Niebieskawe nocne światło przedostawało się do wnętrza przez szpary między workami wciśniętymi między framugi okien. Było to pomieszczenie o powierzchni kilkuset metrów kwadratowych, ciemne, zniszczone, z poziomymi smugami cienia, które rzucała metalowa konstrukcja dachu, wspierającego się na wysokich kolumnach.

Niémans wszedł dalej z zapaloną latarką. Hala była pusta. Musiano ją opróżnić całkiem niedawno. Zaśmiecona podłoga porysowana była ciężkimi sprzętami, które przesuwano do drzwi. Panowała tu dziwna atmosfera, w powietrzu wyczuwało się paniczny strach.

Niémans rozglądał się z wielką uwagą. Było to pomieszczenie przemysłowe, ale wyjątkowo czyste, przesiąknięte zapachem środków dezynfekujących, zmieszanym z wonią zwierząt.

Niémans zrobił kilka kroków po białym kredowym pyle. Przyklęknął, widząc maleńkie metalowe ogniwa. Pomyślał, że może to być resztka ogrodzenia z siatki lub filtrów powietrza. Włożył je do plastikowej torebki, potem zebrał także trochę białego pyłu, którego zapach nic mu nie mówił. Drożdże, a może gips. W każdym razie nie były to narkotyki.

Zauważył jednocześnie liczne znaki świadczące o tym, że przez wiele lat utrzymywano tu wysoką temperaturę. Uziemienia, zainstalowane w czterech kątach sali, mogły mieć związek z grzejnikami elektrycznymi, po których zostały czarne plamy na ścianach.

Niémansowi nasuwało się kilka sprzecznych wniosków. Mogło to być miejsce przeznaczone do hodowli zwierząt, co wymagało wysokiej temperatury. Unoszący się w hali szpitalny zapach świadczył jednak o tym, że były tu przeprowadzane doświadczenia laboratoryjne w sterylnych warunkach.

W dalszym ciągu nic nie wiedział, ale odczuwał niepokój. Znacznie większy niż przedtem na lodowcu.

Dwie rzeczy wiedział na pewno. Po pierwsze, Philippe Sertys, skromny, nierzucający się w oczy człowiek, oddawał się tutaj jakimś tajemniczym zajęciom. Po drugie, coś go skłoniło, na krótko przed tym, zanim został zabity, do oczyszczenia tego miejsca w wielkim pośpiechu.

Komisarz podniósł się z klęczek i obejrzał uważnie ściany, oświetlając je latarką. Może gdzieś jest nisza czy skrytka, gdzie pozostał jakiś zapomniany przez Sertysa przedmiot. Obmacał i opukał mury, sprawdzając, czy nie ukryto czegoś w ścianach, ocieplonych watą szklaną i obitych trwałym papierem pakunkowym. Ta izolacja też miała na pewno na celu utrzymanie ciepła w pomieszczeniu.

Niémans zbadał w ten sposób dwie ściany, aż na wysokości metra dwudziestu pięciu centymetrów wyczuł palcami prostokątne zagłębienie. Oderwał papier i zobaczył zawiasy. Z pewnym wysiłkiem, za pomocą paznokci, otworzył w końcu tę skrytkę. Przybite do ścian półki pokryte były kurzem i pleśnią.

W ciemności na jednej z półek wymacał coś płaskiego, w lepkiej plastikowej okładce. Był to kołonotatnik.

Niémans poczuł dreszcz emocji. Otworzył notes. Jego strony zapisane były maleńkimi, niewyraźnymi cyferkami. Ale na jednej ze stron, u góry, nad rzędami cyferek, ujrzał napisane dużymi, ukośnymi literami dwa dwuwiersze. Wydawało się, że litery są napisane krwią, i to z taką siłą, że papier przedarł się w kilku miejscach. Niémans pomyślał, że autor tego napisu musiał działać pod wpływem szalonej, nie do opanowania wściekłości:

JESTEŚMY PANAMI, JESTEŚMY NIEWOLNIKAMI.
JESTEŚMY WSZĘDZIE, NIGDZIE NAS NIE MA.

JESTEŚMY MIERNICZYMI.
UJARZMIAMY PURPUROWE RZEKI.

Komisarz oparł się o ścianę, z której sterczały strzępy brązowego papieru i waty szklanej. Zgasił latarkę, ale w jego umyśle zapaliło się inne światełko. Nie znalazł więzi między Rémym Caillois i Philippe'em Sertysem. Odkrył coś znacznie ważniejszego – jakiś ciemny sekret cichego, niezawadzającego nikomu młodego sanitariusza. Co oznaczały tajemnicze cyfry i zdania zapisane w tym notatniku? W co się bawił Sertys w swoim magazynie?

Niémans podsumował pokrótce wyniki dotychczasowego dochodzenia. Rémy Caillois był poważnie chorym na schizofrenię brutalem, który, być może, popełnił w przeszłości jakieś przestępstwo. Philippe Sertys z kolei oddawał się w tym dziwnym miejscu jakimś sekretnym czynnościom, których ślady chciał zatrzeć kilka dni przed śmiercią.

Komisarz nie miał jeszcze żadnego namacalnego dowodu, ale niewątpliwie ani Caillois, ani Sertys nie byli tak czyści, jak na to wskazywało ich oficjalne życie.

Ani bibliotekarz, ani sanitariusz nie byli niewinnymi ofiarami.

Część VI

30

Karim, napięty wewnętrznie do ostatnich granic, jechał od dwóch godzin.

Myślał o twarzy tego dziecka. Momentami wyobrażał ją sobie jako koszmarną, płaską, bez nosa i kości policzkowych, z dwoma białymi i żarzącymi się oczodołami. Innym razem widział twarz zwykłego dziecka, z łagodnymi rysami, nijaką, niewyraźną, tak pospolitą, że trudno byłoby ją zapamiętać. A potem przed oczyma Karima pojawiała się znowu twarz o nieprawdopodobnym wyglądzie, ze zmieniającymi się rysami, w której odbijało się oblicze tego, kto jej się przyglądał. Te nieustannie zmieniające się rysy mogłyby należeć do każdego, kryjąc pod uśmiechem pełnym hipokryzji sekrety duszy. Karim wzdrygnął się. Był całkowicie przekonany co do jednej rzeczy – ta twarz stanowiła klucz do odkrycia prawdy.

Zdecydował się na jazdę autostradą na Agen, w kierunku Tuluzy. Potem jechał równolegle do Kanału Południowego, minął Carcassonne i Narbonne. Jego samochód to było jedno wielkie nieszczęście – charkot cylindrów, zgrzytanie źle poskładanych do kupy części. Porucznik, cały czas pogrążony w zadumie, nie przekraczał nigdy stu trzydziestu kilometrów na godzinę, nawet przy wietrze wiejącym od tyłu. Skręcił na biegnącą nad morzem drogę do Sète i zbliżał się już do Saint-Jean-de-la-Croix. Szarawy, przymglony krajobraz morskiego wybrzeża wpływał nań kojąco. Dodając gazu, zestawił w myślach wszystkie zebrane dotąd elementy.

Wizyty u fotografa i księdza zburzyły jego pierwotne domysły. Karim zdał sobie sprawę, że dokumenty, które zniknęły ze szkoły Jeana Jaurèsa, zostały prawdopodobnie skradzione przed włamaniem dokonanym ostatniej nocy. Będąc już w drodze, zadzwonił do dyrektorki. Na pytanie: „Czy jest możliwe, aby dokumenty zniknęły w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku i żeby nikt nie zauważył tego przez te wszystkie lata?”, dyrektorka odpowiedziała: „Tak”. Na pytanie: „Czy jest możliwe, że odkryto ich zniknięcie właśnie dziś z powodu włamania?”, również odpowiedziała: „Tak”. Na pytanie: „Czy słyszała pani o zakonnicy, która

chciała zdobyć wszystkie szkolne zdjęcia z tamtych lat?”, odpowiedziała: „Nie”.

A jednak… Przed wyjazdem Karim sprawdził jeszcze jedną rzecz w Sarzac. Dzięki miejskiemu archiwum z danymi dotyczącymi dat urodzin i adresów udało mu się skontaktować telefonicznie z wieloma dawnymi uczniami klas CM1 i CM2 z lat 1981 i 1982. Nikt z nich nie miał szkolnych zdjęć grupowych. Ten fakt był światełkiem w tunelu. Z drugiej strony w szkole miała miejsce kradzież, ale złodzieje ukradli tylko kilka fotografii. Niewielu z byłych uczniów przypominało sobie zakonnicę, która prosiła o zdjęcia. Nie rozpoznaliby jej jednak, bo zawsze przychodziła, gdy było już ciemno. Wszystkie te wydarzenia dotyczą tego samego krótkiego okresu – lipca 1982 roku. Miesiąc przed śmiercią Jude’a.

Około godziny osiemnastej trzydzieści, jadąc brzegiem jeziora Thau, oddzielonego od morza mierzeją, Karim zatrzymał się przy budce telefonicznej i zadzwonił do Croziera. Musiał przyznać w głębi ducha, że postępował wbrew zasadom, przekroczył dopuszczalne granice.

– Mam nadzieję, Karim, że jesteś w powrotnej drodze – powiedział wściekły komisarz. – Umówiliśmy się na godzinę osiemnastą.

– Jestem na tropie, panie komisarzu.

– Na jakim tropie?

– Proszę mi pozwolić działać. Każdy krok potwierdza moje przypuszczenia. Czy ma pan coś nowego w sprawie cmentarza?

– Działasz samowolnie i jeszcze chcesz, żebym…

– Proszę mi odpowiedzieć. Czy odnalazł pan samochód?

Crozier westchnął.

– Zidentyfikowaliśmy właścicieli siedmiu ład, dwóch trabantów i jednej skody w departamentach Lot, Lot-et-Garonne, Dordogne, Aveyron i Vaucluse. Żaden z nich nie jest twoim samochodem.

– Czy były wówczas używane?

– Nie, ale znaleźliśmy odciski opon koło cmentarza. Właściciel tej gabloty jeździ na beznadziejnych oryginalnych oponach. Wszystkie samochody, które zidentyfikowaliśmy, mają opony marki Michelin lub Goodyear. Wymiana opon to pierwsza czynność kupującego tego typu pojazd. Szukamy dalej w innych departamentach.

– To wszystko?

– Na razie tak. A co u ciebie? Co masz do powiedzenia?

– Posuwam się do tyłu.

– Do tyłu?

– Im mniej znajduję, tym większą mam pewność, że idę dobrą drogą. Za włamaniem z ubiegłej nocy kryje się znacznie poważniejsza sprawa, panie komisarzu.

– Jakiego rodzaju?

– Nie wiem. Coś, co dotyczy tego dziecka. Może chodzi o porwanie, a może o zabójstwo. Nie wiem. Zadzwonię do pana.

Karim odwiesił słuchawkę, nie dając komisarzowi czasu na zadanie kolejnego pytania.

W okolicy Sète przejechał przez małe miasteczko leżące nad samym morzem. Wody Zatoki Lwiej rozlewały się szeroko, tworząc ogromne trzęsawisko obrzeżone trzcinami. Porucznik zwolnił, posuwając się wzdłuż dziwnego portu, w którym nie widać było żadnej łódki, a tylko długie, czarne sieci rybackie, rozwieszone między domami z opuszczonymi żaluzjami.

Ani żywego ducha.

Powietrze przesiąknięte było nie tylko ciężkim zapachem morza, ale także kwaśnym smrodem nawozu i odchodów.

Karim zbliżał się do celu podróży. Tablice informujące wskazały mu drogę do klasztoru. W oczkach wodnych na trzęsawisku odbijały się jaskrawo ostre promienie zachodzącego słońca. Po dalszych pięciu kilometrach Karim zobaczył kolejny drogowskaz i skręcił w prawo na asfaltową szosę. Jadąc nią wśród trzcin i sitowia, pokonał jeszcze kilka zakrętów i kilka wiraży.

W końcu wyłoniły się budynki klasztorne, których wygląd wprawił Karima w zdumienie. Między piaszczystymi wydmami i łąką porosłą gęstą trawą wznosiły się dwa monumentalne kościoły. Jeden z nich miał strzeliste, misternie rzeźbione wieże, zwieńczone żłobkowanymi kopułami niczym ogromne babki z ciasta. Nad drugim, solidnym, zbudowanym z czerwonej cegły, wznosiła się szeroka wieża z płaskim dachem. Dwie bazyliki, widoczne na tle morskiego nieba, zdawały się dumać o nieszczęsnym losie statków wyrzuconych z morza na brzeg. Porucznik zastanawiał się, dlaczego wzniesiono je w tak odludnym, rozpaczliwie beznadziejnym miejscu.

Kiedy Karim podjechał bliżej, dostrzegł między nimi jeszcze trzeci jednopiętrowy budynek, z szeregiem wąskich okien. Bez wątpienia był to właśnie klasztor. Kamienna budowla, niezależna od dwóch świątyń.

Karim zaparkował wóz. Przyszło mu na myśl, że nigdy dotąd nie miewał tak bliskiego kontaktu z religią. Przypomniał sobie też, co w szkole dla inspektorów w Cannes-Écluse mówili komisarze policji, którzy przyjeżdżali podzielić się z nimi swoim doświadczeniem. Jeden z nich zrobił na Karimie szczególne wrażenie. Wysoki facet z krótko ostrzyżonymi włosami, w małych okularach w stalowej oprawie. Jego wykład zafascynował Karima. Twierdził, że zbrodnia zawsze zostawia ślady w umysłach świadków i krewnych, że trzeba potraktować je jak lustra, za którymi kryje się zbrodniarz.

Ten człowiek wyglądał jak nawiedzony, ale słuchacze byli nim urzeczeni. Mówił także o strukturach atomu. Jego zdaniem, gdy w trakcie dochodzenia regularnie powracają pewne elementy i szczegóły, nawet niemające specjalnego znaczenia, należy je zapamiętać, bo właśnie z nich może nagle wyłonić się prawda. Każda zbrodnia jest takim jądrem atomu, a powracające elementy, krążąc wokół niego, odsłaniają podskórną prawdę. Karim uśmiechnął się do siebie – policjant w okularach miał rację. Całkowicie pasuje to do jego śledztwa. Od samego rana religia była takim powracającym elementem i w niej musiał szukać rozwiązania zagadki.

Wszedł na niewielki kamienny ganek i zadzwonił. Po kilku sekundach w uchylonych drzwiach ukazała się uśmiechnięta twarz, okolona bielą i czernią kornetu. Zanim Karim zdążył otworzyć usta, zakonnica cofnęła się i powiedziała:

– Wejdź, mój synu.

Porucznik wszedł do pogrążonego w mroku przedsionka. Na białej ścianie, nad obrazem w ciemnej tonacji, wisiał drewniany krucyfiks. Po prawej stronie Abdouf zauważył szare światło, padające z kilkorga uchylonych drzwi. W szparze najbliższych zobaczył ustawione w szeregach politurowane krzesła, podłogę pokrytą jasnym linoleum – było to z pewnością surowe miejsce modlitwy.

– Proszę za mną – powiedziała zakonnica. – Właśnie jemy kolację.

– O tej godzinie? – zdziwił się Karim. Zakonnica zachichotała cichutko jak mała dziewczynka.

– Nie zna pan rozkładu zajęć karmelitanek? Codziennie musimy przystąpić do modlitwy o godzinie dziewiętnastej.

Karim podążył za nią. Ich cienie odbijały się w lśniącym linoleum jak na powierzchni jeziora. Weszli do obszernej sali, gdzie około trzydziestu zakonnic siedziało w półmroku przy kolacji, gawędząc ze sobą. Ich twarze i welony były jak wycięte z kartonu i przywodziły na myśl kruchość hostii. Kilka z nich zerknęło na porucznika, niektóre się uśmiechnęły, ale nie przerwały rozmowy. Karim rozróżnił kilka języków: francuski, angielski, jakiś język słowiański, być może polski. Usiadł posłusznie w drugim końcu stołu, na miejscu wskazanym przez zakonnicę. Podano mu talerz pełen po brzegi gęstej zupy.

– Jedz, mój synu. Taki wielki mężczyzna jak pan…

Znowu zwracano się do niego „mój synu”. Tym razem jednak Karim nie miał serca gniewać się na tę zakonnicę. Spojrzał na talerz i uświadomił sobie, że nic nie miał w ustach od poprzedniego dnia. Połknął szybko zupę, a potem zjadł z apetytem stos kanapek z serem. Całe jedzenie miało ten szczególny smak potraw zrobionych własnoręcznie, domowym sposobem. Nalał sobie wody z dzbanka z nierdzewnej stali i kiedy podniósł wzrok, stwierdził, że zakonnica go obserwuje, wymieniając jakieś uwagi ze swoimi towarzyszkami.

– Rozmawiamy o pana uczesaniu… – przyznała.

– Tak?

Zakonnica uśmiechnęła się nieznacznie.

– Jak pan robi te warkoczyki?

– To nic trudnego – odpowiedział. – Kręcone włosy, jeśli im na to pozwolić, same splatają się w warkoczyki. Na Jamajce nazywa się je dredami. Mężczyźni nigdy nie obcinają tam włosów ani się nie golą. Tak nakazuje im religia, podobnie jak w wypadku rabinów. Kiedy dredy są wystarczająco długie, wciera się w nie ziemię, żeby były cięższe i…

Karim urwał, przypomniał sobie cel swojej wizyty tutaj. Już otwierał usta, żeby wyjaśnić, jakie prowadzi dochodzenie, gdy zakonnica zapytała go poważnym tonem:

– Czego sobie życzysz, mój synu? Dlaczego nosisz pistolet pod kurtką?

– Jestem policjantem. Muszę zobaczyć się z siostrą Andrée.

Jest to absolutnie konieczne.

Pozostałe zakonnice nadal rozmawiały między sobą, ale porucznik zorientował się, że usłyszały jego prośbę.

– Zaraz ją zawołamy – powiedziała siostra, która go tu przyprowadziła. Dała dyskretnie znak jednej ze swoich sąsiadek i zwróciła się ponownie do Karima: – Proszę ze mną.

Porucznik wstał. Skinieniem głowy podziękował współbiesiadniczkom i jednocześnie się z nimi pożegnał. Facet z wyglądem zbója pozdrawiający istoty, które go tak gościnnie przyjęły. Poszli znowu błyszczącym czystością korytarzem. Ich kroki nie wywoływały żadnego dźwięku. Nagle zakonnica się odwróciła.

– Uprzedzono pana, prawda?

– O czym?

– Będzie pan mógł z nią porozmawiać, ale nie będzie pan mógł jej zobaczyć. I nie może pan się do niej zbliżyć.

Karim spojrzał na welon okalający kornet, którego łuki przypominały gotyckie sklepienie. W wyobraźni ujrzał nawę kościelną, kopułę lśniącą lazurowym światłem, dzwonnice górujące nad Rzymem. Takie obrazki przychodzą człowiekowi do głowy, kiedy styka się z Bogiem katolików.

– Siostra Andrée – szepnęła zakonnica – złożyła śluby, że będzie żyć w ciemnościach. Nie widziałyśmy jej od czternastu lat. Do tej pory już pewnie oślepła.

Ostatnie promienie słońca znikały za potężnymi murami klasztoru. Na wewnętrzne podwórze zaczął się wciskać niewidzialny chłód. Skierowali swe kroki ku kościołowi z wysokimi wieżami. W prawej ścianie budynku znajdowały się niewysokie drewniane drzwiczki. Zakonnica zagłębiła rękę w fałdy habitu. Karim usłyszał brzęk kluczy, a potem szczęk zamka.

Zakonnica zostawiła go przed uchylonymi drzwiami. W panującej za nimi ciemności wyczuwało się zapach wilgoci, dymu chybotliwego płomienia świec, starych cegieł. Karim przekroczył próg i podniósł wzrok. Z trudem dostrzegał ginące w mroku wysokie sklepienie. Rzadkie odbłyski światła z witraży tłumił zmierzch, nikłe płomyki świec robiły wrażenie osaczonych przez chłód i przytłaczający je ogrom kościoła.

Przeszedł obok kropielnicy w kształcie muszli, minął konfesjonały, potem szedł wzdłuż nisz, kryjących zapewne tajemnicze przedmioty kultu. Zauważył jeszcze jeden poczerniały świecznik z palącymi się świecami, z których kapał obficie wosk.

To miejsce wywołało w nim odległe wspomnienia. Mimo pochodzenia, mimo koloru skóry, jego podświadomość przesiąknięta była wiarą katolicką. Przypominał sobie zimne środowe popołudnia, kiedy to przed seansem telewizyjnym odbywały się w domu lekcje katechizmu. Męczeństwo Drogi Krzyżowej. Dobroć Chrystusa. Ból odkupienia. Takie tam głupstwa… Karim poczuł rodzącą się w nim nostalgię, zaskakującą czułość wobec tych, którzy go wychowywali. Był zły na siebie, bo nie chciał mieć żadnych wspomnień z przeszłości ani pozwalać sobie na chwile słabości. Liczyła się tylko teraźniejszość.

Szedł dalej wzdłuż muru. Za drewnianymi kratami, w głębi nisz, zauważył ciemne dywany, jasne ściany, obrazy połyskujące złotymi ramami. Przy każdym kroku towarzyszył mu zapach kurzu. Nagle usłyszał jakiś dźwięk i odwrócił głowę. W ułamku sekundy dostrzegł w mroku czyjś cień i instynktownie położył rękę na kolbie swojego glocka.

W głębi jednej z nisz stała nieruchomo siostra Andrée.

31

Odchyliła głowę i wtedy zza welonu ukazała się cała jej twarz. Karim nie spodziewał się tego. Może ta siostra i mały chłopiec mieli ze sobą coś wspólnego. Może jakiś szczegół na twarzy świadczy o ich pokrewieństwie. Ta myśl tak go zaabsorbowała, że nie usłyszał pierwszych słów zakonnicy.

– Co siostra powiedziała? – zapytał.

– Pytałam, czego pan ode mnie chce.

Głos miała poważny, melodyjny, jakby ktoś delikatnie przeciągnął smyczkiem po strunach skrzypiec.

– Jestem z policji. Przyjechałem, żeby porozmawiać o Judzie.

Czarny welon nie poruszył się.

– Czternaście lat temu – mówił dalej Karim – w małym miasteczku Sarzac siostra zabrała lub zniszczyła wszystkie fotografie, na których był mały chłopiec, Jude Itero. W Cahors przekupiła siostra fotografa. Omamiła dzieci. Wywołała pożary. Dopuściła się kradzieży. A wszystko po to, aby ludzie zapomnieli, jak wyglądało dziecko uwiecznione na kilku zdjęciach. Dlaczego?

Zakonnica nie poruszyła się. W ciemności widoczny był łuk jej welonu.

– Wykonywałam polecenia – powiedziała w końcu.

– Polecenia? Czyje?

– Matki tego dziecka.

Karim poczuł dreszcz na całym ciele. Nie wątpił, że kobieta mówi prawdę. W jednej sekundzie zrezygnował z hipotezy zakładającej powiązanie: siostra – matka – syn.

Zakonnica otworzyła drewnianą barierkę oddzielającą ją od Karima. Minęła go i pewnym krokiem podeszła do plecionych z wikliny krzeseł. Uklękła na klęczniku przy jednej z kolumn i pochyliła głowę. Karim usiadł naprzeciw niej. Czuł zapach wikliny, popiołu, kadzidła.

– Proszę mi wszystko opowiedzieć – poprosił, wpatrując się w cień, gdzie powinna znajdować się jej twarz.

– Przyszła do mnie pewnej niedzieli, wieczorem, w ostatnich dniach czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku.

– Czy siostra ją znała?

– Nie. Nie widziałam jej twarzy. Nie podała mi swojego nazwiska ani żadnej innej informacji o sobie. Powiedziała po prostu, że potrzebuje mojej pomocy. Do wykonania szczególnej misji… Chciała, bym zniszczyła szkolne zdjęcia jej dziecka. Chciała zatrzeć po nim wszelki ślad.

– Dlaczego?

– Była szalona.

– Dlaczego siostra tak uważa?

– Mówiła, że jej dziecko było prześladowane przez diabły.

– Diabły?

– Tak się właśnie wyraziła. Mówiła, że chodzi im o twarz jej dziecka…

– Niczego więcej nie wyjaśniła?

– Twierdziła, że jej dziecko jest skazane na potępienie, a jego twarz jest istotnym znakiem, dowodem na zło wyrządzone przez diabły. Mówiła także, że oboje zyskali dwa lata, uciekając przed nieszczęściem, ale że diabły znowu krążą wokół nich. Jej słowa nie miały żadnego sensu. Była szalona.

Karim łowił każde słowo siostry Andrée. Nie rozumiał, co miała oznaczać ta historia z „dowodem”, ale niewątpliwie dwa lata wytchnienia to lata spędzone w Sarzac w całkowitej anonimowości. Skąd więc pochodzili matka i syn?

– Jeśli mały Jude rzeczywiście był ścigany przez groźne istoty, to dlaczego ta tajemnicza misja została powierzona zakonnicy, którą każdy mógł zapamiętać?

Nic nie odpowiedziała.

– Proszę mi odpowiedzieć, siostro – poprosił cicho Karim.

– Mówiła, że próbowała już wszystkiego, żeby ukryć swoje dziecko, ale diabły okazały się potężniejsze. Powiedziała, że nie pozostaje jej nic innego, jak tylko egzorcyzmowanie twarzy dziecka.

– Co takiego?

– Mówiła, że muszę zdobyć te zdjęcia, a potem je spalić. Miało to spełnić rolę egzorcyzmów.

– Nic z tego nie rozumiem, siostro.

– Mówiłam panu, że ta kobieta była szalona.

– Ale dlaczego wybrała właśnie siostrę? Przecież wasz klasztor znajduje się w odległości dwustu kilometrów od Sarzac!

– Bo szukała właśnie takiej osoby jak ja – odparła zakonnica po chwili wahania.

– Co chce siostra przez to powiedzieć?

– Nie zawsze byłam karmelitanką. Zanim poczułam powołanie, miałam rodzinę. Opuściłam męża i małego synka. Ta kobieta uznała, że z tego powodu ulegnę jej prośbie. Miała rację.

Karim, wpatrując się w słabo widoczny cień kornetu, nie ustępował:

– Siostra nie mówi mi całej prawdy. Jak można było ulec tak szalonej kobiecie? Dlaczego przebyła siostra tyle kilometrów dla kilku fotografii? Po co były te kłamstwa, kradzieże, zniszczenia?

– Z powodu dziecka. Pomimo szaleństwa tej kobiety, pomimo absurdalności jej słów czułam, że dziecku naprawdę zagraża niebezpieczeństwo. I że jedynym sposobem, żeby mu pomóc, było wykonanie poleceń matki. Choćby tylko po to, żeby wyciszyć jej szaleństwo.

Abdouf przełknął ślinę. Nachylił się do zakonnicy i powiedział najspokojniej, jak potrafił:

– Proszę mi opowiedzieć o matce. Jak wyglądała?

– Była bardzo wysoka, silna. Miała przynajmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i była barczysta. Nie widziałam jej dokładnie, ale przypominam sobie, że jej twarz okalały gęste, kręcone czarne włosy. Nosiła okulary w grubej oprawie. Zawsze ubrana była na czarno – w bawełniane lub wełniane swetry…

– A ojciec Jude’a? Nic o nim nie mówiła?

– Nigdy.

Karim chwycił drewniane oparcie klęcznika i jeszcze bardziej się pochylił. Kobieta instynktownie się cofnęła.

– Ile razy tu przychodziła? – zapytał.

– Cztery, może pięć razy. Zawsze w niedzielę rano. Dawała mi listę nazwisk i adresy – fotografa, rodzin, które mogły mieć zdjęcia. W ciągu tygodnia musiałam je zdobyć. Odnajdywałam więc te rodziny. Kłamałam. Kradłam. Fotografa przekupiłam pieniędzmi, które ona mi dała…

– Czy zabierała od siostry te fotografie?

– Nie. Już panu mówiłam. Chciała, żebym to ja je paliła… Kiedy tu przyjeżdżała, zaznaczała na swojej liście nazwiska… Kiedy już wszystkie zostały wykreślone, widać było, że się uspokoiła. I wtedy zniknęła na zawsze. A ja pogrążyłam się w ciemnościach. Wybrałam ciemność i odosobnienie. Znoszę tylko spojrzenie Boga. Od tamtej pory nie przestaję codziennie modlić się za tego małego chłopca. Ja…

Urwała, jakby nagle domyśliła się prawdy.

– Dlaczego pan tu przyjechał? Po co te wszystkie pytania? Boże, czy coś złego stało się z Jude’em?

Karim wstał z krzesła. Dusiła go woń kadzidła i oddychał głośno otwartymi ustami. Przełknął ślinę i spojrzał na siostrę Andrée.

– Zrobiła siostra, co uznała za swoją powinność – powiedział głuchym głosem. – Ale na nic się to nie zdało. Miesiąc później chłopiec zmarł. Nie wiem jak. Nie wiem dlaczego. Ta kobieta nie była tak szalona, jak siostra myślała. Grób Jude’a został sprofanowany wczoraj w nocy na cmentarzu w Sarzac. Jestem teraz prawie pewien, że tego aktu dokonały diabły, których wtedy tak się bała. Ta kobieta, siostro, żyła w jakimś koszmarze. I ten koszmar właśnie się odrodził.

Zakonnica jęknęła, opuściwszy głowę okrytą czarno-białym jedwabnym welonem. Karim mówił coraz głośniej, a echo jego słów roznosiło się po całym kościele. Sam już nie wiedział, do kogo się zwraca – do niej, do siebie czy do małego Jude’a.

– Jestem policjantem bez doświadczenia, siostro. Jestem draniem i działam w samotności. Ale ci zbóje z ubiegłej nocy nie mogli gorzej trafić. – Znowu chwycił poręcz klęcznika. – Bo złożyłem obietnicę temu małemu, rozumie siostra? Bo przychodzę znikąd i nic ani nikt nie zdoła mnie zatrzymać. Chadzam własnymi drogami, mam swoje sposoby!

Karim pochylił się. Poczuł, że poręcz pęka pod naciskiem jego palców.

– Teraz nadszedł moment, żeby siostra dobrze się zastanowiła. Proszę znaleźć coś, cokolwiek, co naprowadzi mnie na właściwy ślad. Muszę odtworzyć trasę matki i dziecka.

Zakonnica, nie zmieniając pozycji, pokręciła przecząco głową.

– Ja nic nie wiem.

– Proszę się zastanowić! Gdzie mógłbym odnaleźć tę kobietę? Gdzie się udała po opuszczeniu Sarzac? A przede wszystkim, skąd pochodziła?

Proszę mi podać jakiś szczegół, jakąś wskazówkę, która pozwoli mi kontynuować dochodzenie!

– Przypuszczam, że przyjeżdżała tu z nim – powiedziała siostra Andrée, powstrzymując łkanie.

– Z nim?

– Z dzieckiem.

– Widziała je siostra?

– Nie. Zostawiała je w mieście, koło dworca, w wesołym miasteczku. Istnieje ono do dzisiaj, ale nigdy nie miałam odwagi, żeby pójść i popytać tamtejszych kupców i cyrkowców… Może któryś z nich pamięta tego chłopca… To wszystko, co wiem…

– Dziękuję siostrze.

Karim odszedł szybkim krokiem. Na wielkim dziedzińcu kościelnym jego podkute obcasy stukały głośno. Powietrze było lodowate. Zatrzymał się na moment i spojrzał w niebo. Zdenerwowany, ogarnięty lękiem, wyszeptał do siebie:

– A niech to jasna cholera! Co mam z tym zrobić? Co to wszystko znaczy?

32

Wesołe miasteczko rozłożyło się przy torach kolejowych. Z oświetlonych bud jarmarcznych rozlegała się głośna muzyka, której nikt nie słuchał, bo nie było ani jednego gapia, żadnej rodziny, która chciałaby się tu pofatygować w ten poniedziałkowy wieczór. W oddali, na ciemnej powierzchni morza, z bryzgiem białej piany rozbijały się wysokie fale.

Karim podjechał bliżej. Wielkie koło karuzeli obracało się powoli. Przystrojone było małymi lampkami, z których tylko połowa zapalała się na przemian, jak wówczas, gdy coś nie kontaktuje. Małe samochodziki pędziły na oślep, zderzając się ze sobą. Targane wiatrem namioty oferowały zawsze te same atrakcje: loterię fantową, przeróżne gry, przedziwne spektakle… Abdouf nie umiałby powiedzieć, co go bardziej przygnębiało – kościół czy to wesołe miasteczko.

Bez przekonania zaczął wypytywać właścicieli bud. Pytał o chłopca nazwiskiem Jude Itero, podawał datę – lipiec 1982, ale na większości z nich nie zrobiło to żadnego wrażenia. Niektórzy niechętnie odburkiwali przecząco. Jeszcze inni pytali z odcieniem nieufności:

– Co można pamiętać po czternastu latach?

Karima ogarniało coraz większe przygnębienie. Kto mógłby tu coś pamiętać? Ile niedziel spędził tu Jude? Trzy, cztery, pięć?

Nie rezygnował jednak i obszedł cały teren, przekonując sam siebie, że chłopak mógł zainteresować się szczególnie którąś z atrakcji albo nawet zaprzyjaźnić się z jednym z właścicieli straganów.

Nie dało to żadnego rezultatu. Spojrzał na morze. Fale toczyły nadal języki piany, opływając fundament nabrzeża. Wydało mu się, że dotarł do ziemi niczyjej, gdzie nie było nic do odkrycia. Niespodziewanie odżyło jedno wspomnienie z dzieciństwa – tajemnicze miasto Pinokia, w którym niegrzeczne dzieci wpadły w pułapkę, zwabione bajkowymi atrakcjami, zanim zostały przemienione w osiołki.

W co przemienił się Jude?

Porucznik już zamierzał wrócić do samochodu, gdy w odległym kącie pustego placu zauważył niewielki namiot cyrkowy.

Powiedziawszy sobie, że dla dobra dochodzenia musi zbadać każdy szczegół, niechętnie ruszył w tamtym kierunku. Nie był to cyrk z prawdziwego zdarzenia, raczej ustawiony prowizorycznie namiot, w którym prezentowano jarmarczne atrakcje. Nad wejściem, na tablicy z plastiku napisano fantazyjnymi literami: „Połykacze ognia”. Porucznik odchylił płótno, które spełniało rolę drzwi.

Stanął jak wryty, oślepiony tym, co ujrzał wewnątrz. Płomienie. Głuche trzaski. Unoszący się w powietrzu zapach nafty. Jakby znalazł się w piekielnej maszynie zionącej ogniem. Zaraz jednak zrozumiał, że w anemicznym świetle lamp odbywa się po prostu pokaz połykaczy ognia. Mężczyźni z nagimi torsami, ociekającymi potem i naftą, dmuchali na pochodnie, które zapalały się od ich oddechów. Ustawieni byli w ten sposób, że tworzyli złowrogie, płonące koło. Kolejny łyk nafty – kolejne płomienie. Jedni z połykaczy robili skłony, inni przewroty, w ogóle nie przerywając przedziwnego widowiska.

Porucznik pomyślał o diabłach prześladujących matkę Jude’a. Wszystko w tym koszmarze miało tę samą złowróżbną atmosferę niepokoju. „Każda zbrodnia jest jak jądro atomu” – mawiał ostrzyżony na jeża komisarz.

Karim usiadł na drewnianych stopniach i przyglądał się przez kilka chwil praktykantom udającym smoki. Czuł, że powinien tu zostać i porozmawiać z tymi ludźmi. Sam nie wiedział dlaczego. Wreszcie jeden z połykaczy ognia raczył go zauważyć. Przerwał swoje sztuczki i skierował się do porucznika, trzymając w ręce czarny pręt, z którego strzelały do góry małe płomyczki. Chyba był jeszcze młody i nie miał trzydziestu lat, ale przeżycia pobruździły mu twarz. Bez wątpienia nie miał łatwego życia. Rozczochrane czarne włosy, poczerniała skóra, czarne źrenice. I mina faceta zawsze gotowego uskoczyć przed niespodziewanym ciosem.

– Jesteś z naszych? – zapytał.

– Z waszych?

– No tak. Jesteś akrobatą? Szukasz roboty?

Karim złożył dłonie jak do modlitwy.

– Nie, jestem policjantem.

– Policjantem?

Połykacz ognia podszedł bliżej i oparł nogę o stopień poniżej tego, na którym siedział Karim.

– Chłopie, nie masz gęby policjanta.

– To zależy od tego, jak go sobie wyobrażasz.

– Czego chcesz? W każdym razie nie jesteś stąd.

Karim nie odpowiedział. Objął spojrzeniem płócienną połataną kopułę, akrobatów pośrodku areny i pomyślał, że ten facet w 1982 roku miał pewnie około piętnastu lat. Czy istniała jakaś szansa, że spotkał się z chłopcem o imieniu Jude? Raczej nie. Ale wewnętrzny impuls nie dawał mu spokoju. I dlatego zapytał:

– Czy byłeś już tutaj czternaście lat temu?

– Niewykluczone. Cyrk należy do moich starych.

Karim powiedział wprost:

– Prowadzę dochodzenie w sprawie małego chłopca, który być może był tutaj w tamtym czasie. W lipcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. Kilka niedziel z rzędu. Szukam ludzi, którzy go pamiętają.

Połykacz ognia spojrzał zdziwiony na Karima.

– Chłopie, mówisz poważnie?

– A jak ci się wydaje?

– Jak się nazywał ten dzieciak?

– Jude. Jude Itero.

– Naprawdę myślisz, że można pamiętać chłopaka, który czternaście lat temu odwiedzał nasz cyrk?

– Dobra, nie mówmy już o tym – powiedział Karim, wstając.

Młody mężczyzna chwycił go gwałtownie za kurtkę.

– Jude przychodził kilka razy. Stał bez ruchu i przyglądał się nam, gdy przygotowywaliśmy się do występów. Był jak zahipnotyzowany. Przypominał posąg z kamienia.

– Co takiego?

Połykacz ognia stanął na schodku obok Karima. Porucznik poczuł jego oddech przesiąknięty naftą.

– Chłopie, to było tak upalne lato, że niemal topiły się szyny. Jude przychodził cztery kolejne niedziele. Byliśmy prawie w tym samym wieku. Bawiliśmy się razem. Nauczyłem go, jak się połyka ogień. Jak to między dzieciakami. Zimą nie przyjeżdżaliśmy tu.

Karim utkwił wzrok w młodym połykaczu ognia.

– Przypominasz sobie tego chłopaka sprzed ponad czternastu lat?

– Tego właśnie oczekiwałeś, no nie?

– Pytam cię, jak to się stało, że o nim pamiętasz? – zapytał Karim ostrzejszym tonem.

Facet zeskoczył na ziemię i podniósł swój pręt do ust. Dmuchnął na pochodnię kilkoma kroplami śliny z naftą. Deszcz iskier trysnął w górę.

– Widzisz, chłopie, Jude miał w sobie coś specjalnego.

Karim zadrżał.

– Na twarzy? Było coś szczególnego w jego twarzy?

– Nie, nie chodzi o twarz.

– No więc co?

Młody połykacz wydmuchał jeszcze kilka płomieni i zaśmiał się.

– Chłopie, Jude to była dziewczynka.

33

Powoli konkretyzowała się prawda.

Według połykacza ognia dzieciak, którego widział cztery razy, to dziewczynka, przebrana starannie za chłopca. Krótko obcięte włosy, odpowiednie ubranie, zachowanie małego chłopca. Połykacz ognia powiedział kategorycznym tonem:

– Ona nigdy nie przyznała się przede mną, że jest dziewczynką… To był jej sekret, rozumiesz? Ale ja natychmiast zauważyłem, że coś w niej nie pasuje. Po pierwsze, była bardzo ładna. Prawdziwa piękność. Poza tym jej głos. Nawet figura. Miała chyba ze dwanaście lat i widać już było zmiany. I jeszcze coś. Nosiła szkła kontaktowe, które zmieniały kolor jej tęczówek. Były nienaturalnie czarne, jak atrament. Chociaż byłem młodym chłopakiem, zwróciłem na to uwagę. Cały czas skarżyła się, że bolą ją oczy. Mówiła, że czuje ból aż w głębi głowy.

Karim pozbierał wszystkie elementy. Matka Jude bała się przede wszystkim tego, że diabły zrobią krzywdę jej dziecku. Dlatego uciekła do Sarzac. Tam, jak przypuszczał Karim, przybrała inne nazwisko, a dziecku zmieniła płeć. Uznała zapewne, że dzięki temu nikt ich nie odnajdzie ani nie rozpozna. Mimo to dwa lata później diabły pojawiły się znowu, w nowym miejscu, w Sarzac. Szukały jej dziecka i były bardzo blisko celu.

Lada chwila mogły odnaleźć jej córeczkę.

Matka wpadła w panikę. Zniszczyła wszystkie dokumenty, wszystkie akta w archiwach szkolnych, wszystkie fotografie, na których można było rozpoznać jej córeczkę. Ważne były zwłaszcza zdjęcia, bo diabły nie znały nowego imienia dziecka, ale znały jego twarz. Twarz była dla nich jakimś istotnym elementem. I dlatego, żeby odnaleźć tę twarz, musiały się zainteresować w pierwszej kolejności zdjęciami klasowymi. Skąd jednak pochodzili ci prześladowcy? Kim byli?

– Czy mała nigdy nie mówiła o diabłach? – zapytał Karim młodego połykacza ognia.

– O diabłach? Nie. Sami wyglądamy jak diabły – wskazał na swoich kolegów. – Jude nie mówiła dużo. Byliśmy dzieciakami. Nauczyłem ją sztuczki z ogniem…

– To ją interesowało?

– Fascynowało. Mówiła, że chce się tego nauczyć, żeby się bronić. I żeby obronić mamusię… To była naprawdę bardzo dziwna dziewczynka.

– A nie powiedziała ci czegoś o matce?

– Nie. Nigdy jej nie widziałem. Jude zostawała ze mną na jakieś dwie godziny, a potem nagle znikała… Jak Kopciuszek… Znikała w ten sposób za każdym razem, aż kiedyś już się więcej nie pokazała.

– Nie przypominasz sobie jeszcze jakiegoś szczegółu, który mógłby mi pomóc?

– Nie.

– A jej imię… Czy nie zdradziła ci, jak się naprawdę nazywa?

– Nie. Ale kiedy o tym myślę, to muszę przyznać, że było coś, na czym jej bardzo zależało…

– Co takiego?

– Nazywałem ją „Jioude” z angielskim akcentem, jak w piosence Beatlesów. Ale ona się wtedy złościła. Chciała, żebym nazywał ją Ju-de, z akcentem francuskim. Jeszcze dziś widzę jej malutkie usta, jak wymawiała: „Ju-de”.

Młody cyrkowiec uśmiechnął się na to odległe wspomnienie. Karim pomyślał, że pewnie był zakochany do szaleństwa w tej dziewczynce.

– Prowadzisz dochodzenie? – z kolei on zapytał. – Dlaczego? Co się z nią stało? Dziś musi być dorosła i…

Karim go nie słuchał. Myślał o małej Jude, która przeżyła dwa szkolne lata jako chłopiec. W jaki sposób udało się jej matce sfałszować dokumenty przed zapisaniem do szkoły? Jakim sposobem wychodzi tej małej udawanie chłopca przed wszystkimi, a zwłaszcza przed wychowawczynią, która patrzyła na nią codziennie?

Nagle porucznikowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Podniósł wzrok na połykacza ognia.

– Czy jest tu gdzieś telefon? – zapytał.

– Za kogo nas masz? Za włóczęgów? Chodź ze mną.

Karim ruszył jego śladem.

Cyrkowiec zostawił go w małym drewnianym domku, znajdującym się na końcu toru wysypanego piaskiem. Telefon stał na stoliku. Porucznik wykręcił numer dyrektorki szkoły Jeana Jaurèsa. Wiatr szarpał płótnem namiotu. Widział z daleka połykaczy ognia. Po trzech sygnałach odezwał się męski głos.

– Chciałbym mówić z dyrektorką – wyjaśnił Karim, starając się zapanować nad podnieceniem.

– Kto mówi?

– Porucznik Karim Abdouf.

Minęło kilka sekund i w słuchawce usłyszał zdyszany głos dyrektorki.

– Czy pamięta pani wychowawczynię, która opuściła Sarzac pod koniec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku? – zapytał bez zbędnych wstępów.

– Oczywiście.

– Mówiła pani, że sprawowała ona opiekę nad klasą CM jeden w osiemdziesiątym pierwszym roku i CM dwa w osiemdziesiątym drugim.

– Tak.

– To znaczy, że zmieniała klasę razem z Jude Itero, tak?

– Tak. Można tak powiedzieć, ale często się zdarza, iż wychowawczyni…

– Jak ona się nazywała?

– Proszę chwileczkę poczekać, zajrzę do moich notatek… – Słychać było szelest przewracanych kartek. – Fabienne Pascaud.

To imię i nazwisko nie mówiły nic Karimowi. Nie było też żadnego wspólnego punktu, niczego, co by pasowało do pseudonimu dziecka. Porucznik rejestrował w pamięci każdą nową informację.

– Czy zna pani jej nazwisko panieńskie?

– Ależ to właśnie jest jej nazwisko panieńskie.

– Nie była mężatką?

– Była wdową. W każdym razie tak jest zapisane w jej ankiecie. To dziwne. Wróciła do nazwiska rodowego.

– Jak nazywał się jej mąż?

– Chwileczkę… Już mam: Hérault.

Kolejny impas. Karim znowu poszedł złą drogą.

– Bardzo pani dziękuję. Ja…

To był nagły przebłysk. Jeśli miał rację, jeśli ta kobieta była rzeczywiście matką Jude, to mała musiała początkowo nazywać się Hérault. A jej imię brzmiało…

Karim przypomniał sobie, co mówił cyrkowiec na temat wymowy imienia dziewczynki. Nalegała, żeby wymawiać je tak, jakby się je pisało po francusku. Dlaczego? Może dlatego, że podobne wtedy było do jej prawdziwego imienia?

– Proszę poczekać minutę – powiedział Karim. Uklęknął i napisał palcem na piasku oba nazwiska – drukowanymi literami jedno nad drugim:

FABIENNE HÉRAULT
JUDE ITERO

W ostatnich dwóch sylabach była zgodność spółgłosek i tonacji. Zastanowił się przez chwilę, potem starł dłonią to, co napisał na piasku. Następnie napisał jeszcze raz, oddzielając sylaby:

JU-DI-TE-RO

Potem:

JUDITH HÉRAULT

Ledwie powstrzymał krzyk triumfu. Jude Itero naprawdę nazywała się Judith Hérault. Mały chłopiec był dziewczynką. A matka wychowawczynią jej klasy. Wróciła do panieńskiego nazwiska, chcąc zatrzeć za sobą ślady, i przerobiła imię córeczki na imię chłopca w ten sposób, żeby nie utrudniać małej życia i uniknąć ryzyka, że popełni ona jakąś gafę w związku z nową osobowością.

Karim zacisnął pięści. Był przekonany, że wszystko tak właśnie się odbyło. Kobieta mogła sfałszować dane osobowe dziecka w szkole, bo była na miejscu. Ta hipoteza wyjaśniała całą sytuację: łatwość, z jaką zwiodła wszystkich ludzi w Sarzac, i to, że udało jej się potajemnie podmienić akta urzędowe. Z drżeniem w głosie zapytał dyrektorkę:

– Czy mogłaby pani zdobyć dokładniejsze informacje o tej wychowawczyni?

– Jeszcze dziś?

– Tak, jeszcze dziś.

– Owszem… mam znajomości… Co chce pan wiedzieć?

– Gdzie Fabienne Pascaud-Hérault zamieszkała po wyjeździe z Sarzac. Chciałbym też wiedzieć, gdzie uczyła przed przybyciem do waszego miasta. Proszę także odnaleźć ludzi, którzy ją znali. Czy ma pani telefon komórkowy?

Dyrektorka podała mu swój numer. Wydawała się trochę zdezorientowana.

– Ile czasu potrzebuje pani, żeby zdobyć te informacje?

– Około dwóch godzin.

– Proszę zabrać ze sobą telefon. Za dwie godziny zadzwonię do pani.

Karim wyszedł z domku i pomachał ręką na pożegnanie połykaczom ognia, którzy podjęli od nowa swój taniec świętego Wita.

34

Dwie godziny czekania.

Karim nałożył z powrotem na głowę beret i skierował się do samochodu. Po ziemi i po asfalcie przesuwał się cień chmury, gnanej wiatrem niosącym zapach morza. Dwie godziny czekania i bezczynności. A może ta okolica nie zdradziła mu jeszcze wszystkiego?

Spróbował wyobrazić sobie Fabienne i Judith Hérault, dwie samotne istoty, które co tydzień przyjeżdżały tutaj latem. Oczyma wyobraźni widział dokładnie tę scenę, odtwarzając każdy jej szczegół, który mógłby naprowadzić go na nowy ślad. Jest poranek, matka i córka idą przez okolicę, gdzie nikt ich nie zna. Kobieta pełna determinacji, mająca obsesję na punkcie twarzy swojego dziecka. I ta mała dziewczynka, przebrana za chłopca, przeżywająca jeszcze większy strach.

Abdouf wyobrażał sobie tę dziwną parę, dręczoną tymi samymi obawami. Widział je, jak idą w milczeniu, trzymając się za ręce. Jak tu docierały? Pociągiem? A może pieszo?

Porucznik postanowił, że odwiedzi wszystkie stacje kolejowe w okolicy, parkingi przy autostradzie i posterunki żandarmerii w poszukiwaniu jakiegoś śladu, wspomnienia, protokołu policyjnego…

Miał na to dwie godziny.

Kiedy ruszył z miejsca, niebo nad nim poczerwieniało w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Zaczynały się już wczesne noce październikowe.

Karim podjechał do przydrożnej budki telefonicznej i najpierw zadzwonił na komisariat policji w Rodez, pytając o samochód zarejestrowany w departamencie Lot w 1982 roku na nazwisko Fabienne Pascaud lub Fabienne Hérault. Na próżno. Nie było dowodu rejestracyjnego na te nazwiska. Wsiadł z powrotem do swojego wozu i postanowił zasięgnąć informacji na okolicznych dworcach kolejowych, nie porzucając całkowicie hipotezy, że kobieta z dzieckiem jeździły własnym autem.

Sprawdził cztery stacje kolejowe i za każdym razem odchodził z niczym. Abdouf pokonywał kilometry, objeżdżając całą okolicę wokoło klasztoru i wesołego miasteczka. W świetle reflektorów widział przesuwające się niczym duchy cienie drzew, skał, tuneli… Był w dobrym nastroju. Podniecenie dodawało mu energii. Znowu był w swoim żywiole, w atmosferze nocy i strachu. Takich właśnie uczuć doznał po raz pierwszy, gdy zaczynał okradać samochody na parkingach. Karim nie bał się ciemności – był to jego świat, w którym czuł się bezpieczny i spokojny, jak drapieżca.

Na piątej stacji była tylko bocznica towarowa, zatłoczona starymi wagonami i lokomotywami spalinowymi. Skręcił w bok, ale po kilkunastu metrach zatrzymał się na wiadukcie nad autostradą Sète-Ouest. Spojrzał na bramkę wjazdową, znajdującą się jakieś trzysta metrów dalej. Instynkt podpowiadał mu, żeby sprawdzić to miejsce.

Nigdy niczego nie wolno zaniedbywać.

Wjechał na drogę dojazdową i skręcił zaraz na prawo, mijając żywopłot z krzaków ligustru. W kilku budynkach z prefabrykatów mieściły się biura zarządu autostrady. W żadnym z okien nie paliło się światło. Przy pobliskich barakach porucznik zauważył jakiegoś człowieka. Zatrzymał samochód i poszedł w kierunku mężczyzny, który krzątał się przy wysokiej ciężarówce.

Dokuczliwy wiatr przybierał na sile. Wszystko wokoło było wysuszone, zakurzone, pokryte białym pyłem. Karim przeszedł przez leżące na ziemi znaki drogowe, łopaty, plastikowe zbiorniki. Stuknął w skrzynię ciężarówki, którą pewnie przewożono sól. Blacha kabiny zadzwoniła głucho.

Mężczyzna podskoczył przestraszony. Całą twarz oprócz oczu zasłaniała mu kominiarka. Uniósł ze zdziwieniem posiwiałe brwi.

– Co się dzieje? Kim pan jest?

– Diabłem.

– Co takiego?

Karim uśmiechnął się, opierając się o kabinę.

– Żartowałem. Jestem z policji, staruszku. Potrzebuję pewnych informacji.

– Informacji? Od rana nie ma tu nikogo, a ja…

– Bramki na autostradzie działają przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, tak?

– Inkasent siedzi w swojej kabinie, a ja pracuję tutaj…

– Tak właśnie myślałem. Pójdziemy obaj do biura. Ty napijesz się kawy, a ja w tym czasie zajrzę do informacji centralnej.

– Ale zaraz… Czego pan właściwie szuka?

– Wyjaśnię ci wszystko tam, w cieple.

Biuro wyglądało tak jak cała reszta – było ciasne, prowizoryczne. Niskie ściany, byle jakie drzwi, biurka z laminatu. Wszystko było wyłączone, panowała śmiertelna cisza, tylko z półmroku dochodziło brzęczenie komputera. Stanowisko informacji centralnej działało na okrągło przez cały rok, zapewniając sprawne funkcjonowanie sieci drogowej regionu. Zarejestrowany tu był każdy wypadek, każda awaria, każdorazowa interwencja policji drogowej.

Stary wolał sam usiąść do komputera. Zdjął kominiarkę. Karim szepnął mu do ucha:

– Lipiec tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. Tym się pobaw. Interesuje mnie wszystko: wypadki, awarie, liczba użytkowników autostrady. Każdy najmniejszy drobiazg ma dla mnie znaczenie.

Stary ściągnął rękawice i chuchnął na palce, żeby je rozgrzać. Kilka sekund stukał palcami po klawiaturze. Pojawiła się plansza z listą dotyczącą lipca 1982 roku. Różne cyfry, dane. Nic ciekawego.

– Czy możesz poszukać według nazwisk? – zapytał Karim, pochyliwszy się nad nim.

– Podaj je.

– Jude Itero, Judith Hérault, Fabienne Pascaud, Fabienne Hérault.

– Ile ich jeszcze masz? – burknął stary, wklepując nazwiska.

Odpowiedź pojawiła się po kilku sekundach. Karim pochylił się nad komputerem.

– Co się dzieje?

– Jest coś w komputerze, co dotyczy jednego z tych nazwisk, ale nie z lipca osiemdziesiątego drugiego roku.

– Szukaj dalej.

Mężczyzna znowu postukał w klawisze. Na ciemnym ekranie pojawiły się napisane świetlistymi literami nowe informacje. Porucznik zamarł. W oczy rzuciła mu się data: 14 sierpnia 1982 roku. Data z grobu Jude.

I właśnie na to imię i nazwisko – Jude Itero – ukazała się zarejestrowana w komputerze informacja.

– Nie pamiętałem nazwiska – westchnął stary – ale przypominam sobie wypadek. To było straszne. Samochód wpadł w poślizg koło Héron-Cendré. Przełamał barierę i wjechał na osłonę dźwiękoszczelną. W rozbitym doszczętnie wozie znaleziono matkę i syna. Dzieciak zginął na miejscu. Matka wyszła z tego tylko ze stłuczeniami. Spod wozu strumień krwi rozlał się na wszystkie pasma szosy. Wyobrażasz sobie?

Karim nie mógł powstrzymać drżenia. W taki oto sposób zakończyła się ucieczka Fabienne i Judith Hérault. Przy szybkości stu trzydziestu kilometrów na godzinę, na osłonie dźwiękoszczelnej. Absurdalna historia, a zarazem jaka prosta. Porucznik zdusił w sobie krzyk złości. Nie mógł pogodzić się z tym, że wszystkie wysiłki tej kobiety skończyły się w jednym poślizgu.

A przecież wiedział od samego początku, że Judith zmarła 14 sierpnia 1982 roku, bo tak głosił napis na grobie. Teraz tylko odkrył, w jakich się to stało okolicznościach. Łzy napłynęły mu do oczu, jakby dowiedział się o śmierci kogoś bardzo bliskiego. Kogoś, kogo kochał wprawdzie tylko kilka godzin, ale za to z wielką siłą. Żadne słowa nie były w stanie tego wyrazić i nie miało znaczenia, jak długo to trwało.

– Jak wyglądało ciało chłopca?

– Zostało całkowicie zmiażdżone przez silnik. Makabra. Przez sześć godzin nie można było go wydostać… Nigdy nie zapomnę tego widoku… Jego twarz była… Zresztą… nic nie zostało z twarzy ani z głowy, po prostu nic.

– A matka?

– Matka? Nie wiem, czy to była matka. W każdym razie miała inne nazwisko…

– Wiem. Czy była ranna?

– Nie. Wyszła z wypadku prawie bez szwanku. Tylko krwiaki, zadrapania… I nic więcej. Dlatego, że samochód okręcił się dokoła i uderzył o ścianę od strony pasażera. Na tym zakręcie to klasyczny przypadek…

– Opisz ją.

– Kogo?

– Kobietę.

– Nie ma mowy, żebym ją zapomniał. Olbrzymka. Brunetka o dużej twarzy. W grubych okularach. Ubrana skromnie, cała na czarno. Dziwne było to, że wcale nie płakała. Wyglądała na bardzo opanowaną. Może pod wpływem szoku, nie wiem…

– Jaką miała twarz?

– Śliczną.

– To znaczy?

– Taką okrągłą… nie potrafię tego opisać… z bardzo jasną cerą, prawie przezroczystą.

Abdouf zaczął zadawać pytania od innej strony.

– Macie zarejestrowany opis każdego wypadku, prawda? Kosztorys powypadkowy, świadectwo zgonu i całą resztę, tak?

Stary spojrzał na Karima, nie kryjąc zdziwienia.

– Czego ty właściwie szukasz, wielkoludzie?

– Pokaż mi akta.

Pracownik punktu kontrolnego otarł ręce o kurtkę i otworzył szafę z harmonijkowymi drzwiami. Karim widział, jak odczytuje, mrucząc do siebie, nazwiska ofiar wypadków.

– Jude Itero. Jest, to ta teczka. Mówiłem ci już, że…

Karim wyjął mu z ręki akta i zaczął przeglądać kolejne strony. Zeznania świadków, zaświadczenia, protokoły, dokumenty ubezpieczenia. Opis całego zdarzenia. Fabienne Pascaud prowadziła samochód, który wynajęła w Sarzac. Adres zamieszkania był taki sam, jaki dał mu doktor Macé – stojąca samotnie rudera w kamienistej dolince. Nic nowego od tej strony. Zaskakujące natomiast było to, że matka podpisała akt zgonu swego dziecka, które uznano za chłopca o nazwisku Jude Itero.

– Nic nie rozumiem – powiedział porucznik. – Ten dzieciak to był chłopiec?

– No tak… – Stary spojrzał w akta ponad ramieniem Karima. – W każdym razie ona tak podała…

– Nie pamiętasz, czy były w związku z tym jakieś problemy?

– Problemy? O co ci chodzi?

Porucznik starał się panować nad swoim głosem:

– Po prostu pytam, czy było możliwe ustalenie płci dziecka?

– Nie jestem lekarzem! Ale szczerze mówiąc, to nie. Ciało dzieciaka było w strzępach. – Przeciągnął dłonią po twarzy. – Nie będę ci tego opisywał,

wielkoludzie… Pracuję tu od dwudziestu pięciu lat, widziałem dość wypadków… To zawsze jest straszne… Tak jak na wojnie, która od czasu do czasu wybucha z wielką siłą i zabiera tyle ofiar.

Karim uświadomił sobie, że stan ciała dziecka pozwolił kobiecie podtrzymać kłamstwo, aż po napis na grobie. Dlaczego jednak dalej kłamała? Czy nadal czuła się zagrożona? Nawet po śmierci córeczki?

Porucznik jeszcze raz przejrzał akta i trafił na zdjęcia z wypadku. Krew. Pogięte blachy. Fragmenty ciała wymieszane z kawałkami karoserii. Trudno było na to patrzeć. Następnie znalazł akt zgonu, opis lekarza i nabrał pewności, że zmasakrowanych zwłok dziecka nie dało się zidentyfikować.

Poczuł zawrót głowy i oparł się o ścianę. Potem spojrzał na zegarek. Minęły dwie godziny.

Te dwie godziny go wykończyły.

Z wielkim wysiłkiem rzucił jeszcze raz wzrokiem na akta. Na kartonowej fiszce zarejestrowane zostały niebieskim tuszem odciski palców. Przyglądał się im kilka sekund, po czym zapytał:

– To są na pewno odciski dziecka?

– O co ci chodzi?

– Czy to na pewno odciski tego dziecka?

– Nie rozumiem tych pytań. Oczywiście, że tak… Ja trzymałem kałamarz z tuszem. Resztki ciała owinięte były w koc. Lekarz przytrzymał zakrwawioną rękę małego. Makabra. Trzeba się było spieszyć. Jeszcze dziś nie mogę spać, kiedy o tym pomyślę, więc…

Karim schował teczkę z dokumentami do kieszeni skórzanej kurtki.

– No dobra. Zabieram te dokumenty.

– Zabieraj i pomyślnych wiatrów.

Porucznik wyszedł z biura. Był oszołomiony. Ze zmęczenia mąciło mu się w oczach. Stary mężczyzna, który wyszedł na schody przed barakiem, krzyknął do niego:

– Uważaj na siebie!

Karim odwrócił się. Mężczyzna obserwował go, stojąc na wietrze i przytrzymując ramieniem oszklone drzwi. Jego sylwetka odbijała się podwójnie w złotawobrązowej szybie.

– Co mówisz? – zapytał porucznik.

– Mówię, żebyś miał się na baczności. I uważaj, żebyś nie pomylił własnego cienia z kimś innym.

Karim zmusił się do uśmiechu.
– Dlaczego?
Stary nałożył z powrotem kominiarkę.
– Bo czuję, że wchodzisz między zmarłych.

35

– Czego to ja nie zrobię dla pana, poruczniku… Odnalazłam kolegę w szkolnych władzach okręgowych…

Głos kobiety drżał radosnym podnieceniem. Karim zatrzymał się przed kolejnym automatem, żeby zadzwonić na telefon komórkowy dyrektorki.

– Strażnik chciał nas…

– Co pani odnalazła?

– Kompletne dossier Fabienne Hérault, z domu Pascaud. Ale pojawił się nowy problem. Po dwóch latach pracy w Sarzac ta kobieta zniknęła. Wygląda na to, że przestała uczyć.

– Nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, gdzie potem zamieszkała?

– Niestety nie. Wydaje się, że w tamtym roku zerwała kontrakt z państwowym szkolnictwem. Nie podjęła nowej pracy. To wszystko. Władze szkolne nie miały z nią więcej kontaktu.

Karim znajdował się w pobliżu osiedla mieszkaniowego na przedmieściach Sète. Poprzez szybę budki obserwował zaparkowane samochody, których karoserie połyskiwały w świetle latarń. Informacja usłyszana od dyrektorki nie zdziwiła go. Fabienne Pascaud zamknęła za sobą wszystkie drzwi. Została sama ze swoją tajemnicą, swoją tragedią i swoimi diabłami.

– Skąd przybyła ta kobieta, gdy podejmowała pracę w Sarzac?

– Z Guernon, miasta uniwersyteckiego w departamencie Isère, niedaleko Grenoble. Uczyła w tamtejszej szkole zaledwie kilka miesięcy. Jeszcze wcześniej prowadziła małą szkołę podstawową w Taverlay, osadzie położonej w górach, u podnóża Pelvoux.

– Czy zdobyła pani jej dane osobowe?

– Fabienne Pascaud urodzona w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku w Corivier, w dolinie Isère – przeczytała obojętnym głosem dyrektorka. – Wyszła za mąż za Sylvaina Hérault w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku i w tym samym roku otrzymała pierwszą nagrodę

w konserwatorium w Grenoble w klasie fortepianu. Mogła więc zostać nauczycielką muzyki, ale…

– Proszę mówić dalej.

– W siedemdziesiątym drugim roku wstąpiła do szkoły pedagogicznej. Dwa lata później dostała pracę w szkole podstawowej w Taverlay, także w departamencie Isère. Uczyła tam sześć lat. W osiemdziesiątym roku szkołę zamknięto. Wybudowano nową drogę, która nawet zimą umożliwiła dzieciom uczęszczanie do większej szkoły w sąsiednim mieście. Fabienne została więc przeniesiona służbowo do Guernon. Miała szczęście, bo Guernon znajduje się pięćdziesiąt kilometrów od Taverlay. Jest to znane w środowisku nauczycieli miasto uniwersyteckie, bardzo ładne, z intelektualną atmosferą.

– Mówiła pani, że była wdową. Czy wie pani, kiedy umarł jej mąż?

– Właśnie do tego dochodzę, młody człowieku! W osiemdziesiątym roku, kiedy Fabienne przyjechała do Guernon, występowała pod nazwiskiem męża i wygląda na to, że nie było z tym żadnych problemów. Natomiast pół roku później, w Sarzac, powiedziała, że jest wdową. Coś musiało się stać z jej mężem w czasie, gdy pracowała w Guernon.

– To znaczy, że nie znalazła pani nic o nim. Ile miał lat? Kim był z zawodu?

– Te dane pochodzą z archiwum władz szkolnych, a nie z agencji detektywistycznej.

Karim westchnął

– Proszę kontynuować.

– Wkrótce po przybyciu do Guernon Fabienne poprosiła o przeniesienie. Było jej wszystko jedno gdzie, byle daleko od tego miasta. Ciekawe, prawda? Otrzymała wtedy pracę w Sarzac. Nie dziwię się, że akurat tu było wolne miejsce, bo nikt nie chce przyjeżdżać do naszego pięknego regionu… Powróciła wtedy do nazwiska panieńskiego. Można by powiedzieć, że chciała zacząć zupełnie nowe życie.

– Nic pani nie wspomniała o jej dziecku.

– Rzeczywiście, miała jedno dziecko. Była to dziewczynka, urodzona w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku.

– Tak jest zapisane w dokumentach?

– Tak…

– Jak się nazywała?

– Judith Hérault. Ale nie ma o niej żadnej wzmianki w Sarzac.

Każda informacja potwierdzała przypuszczenia Karima.

– Czy skontaktowała się pani z ludźmi, którzy ją znali w Sarzac?

– Tak. Rozmawiałam z Mathilde Sarman, ówczesną dyrektorką. Doskonale pamięta Fabienne. Wydawała jej się kobietą dziwną, tajemniczą, zamkniętą w sobie. Była bardzo piękna, niezwykle silna i wysoka, z barczystymi ramionami. Często grała na pianinie. Była wirtuozem. Powtarzam panu, co mi powiedziano…

– Czy w Sarzac Fabienne mieszkała sama?

– Mathilde mówiła, że mieszkała sama. W odległej dolinie, dziesięć kilometrów od miasta.

– I nikt nie wie, dlaczego tak nagle opuściła Sarzac?

– Nikt.

– Ani dlaczego wyjechała z Guernon dwa lata wcześniej?

– Nie. Trzeba by było zasięgnąć informacji wstecz… – Dyrektorka westchnęła, po czym odważyła się zapytać: – Czy mógłby mi pan, poruczniku, przynajmniej wyjaśnić, jaki jest związek między tym dochodzeniem a włamaniem do mojej szkoły…

– Wyjaśnię to pani potem. Czy wraca pani do siebie?

– No… tak, oczywiście…

– Proszę zabrać ze sobą wszystkie papiery dotyczące Fabienne Pascaud i czekać na mój telefon.

– Ja… dobrze. Kiedy zamierza pan do mnie zadzwonić?

– Nie wiem. Wkrótce. Wtedy wszystko wyjaśnię.

Karim odwiesił słuchawkę i jeszcze raz rzucił okiem na samochody stojące na parkingu. Były tam audi, bmw, mercedesy, błyszczące, szybkie, zaopatrzone w systemy alarmowe. Spojrzał na zegarek – minęła dwudziesta pierwsza… Nadszedł czas, żeby stawić czoło staremu lisowi. Porucznik wykręcił bezpośredni numer do Henriego Croziera. Natychmiast usłyszał wściekły głos komendanta:

– A niech cię szlag, gdzie jesteś?

– Prowadzę moje dochodzenie.

– Mam nadzieję, że jesteś w drodze na posterunek.

– Nie. Muszę pojechać w jeszcze jedno miejsce. W górach.

– W górach?

– Do małego miasta uniwersyteckiego Guernon, niedaleko Grenoble.

Zapadła cisza, a po chwili Crozier powiedział:

– Życzę ci, żeby to był poważny powód…

– Bardzo poważny, komisarzu. Mój trop prowadzi do tego miasta. Myślę, że odnajdę tam ślad, który zaprowadzi mnie do profanatorów.

Crozier milczał, zaskoczony pewnością siebie Karima. Korzystając z tego, porucznik zapytał:

– Jest coś nowego w sprawie samochodu?

Komisarz zawahał się.

– Ma pan coś nowego? Tak czy nie? – nalegał Karim.

– Wiemy już, co to za wóz i kto jest jego właścicielem.

– Jak to?

– Mamy świadka. Jest nim chłop, który wracał do domu traktorem drogą D sto czterdzieści trzy. Widział o drugiej nad ranem mijającą go białą ładę. Zapamiętał z tablicy rejestracyjnej numer departamentu. Sprawdziliśmy i okazało się, że niedawno została tam zarejestrowana łada. Podczas kontroli technicznej wóz miał nadal oryginalne opony. To nasz samochód na osiemdziesiąt procent.

Karim zamyślił się. Ta informacja wydała mu się podejrzana, przyszła w zbyt dobrym momencie.

– Dlaczego ten świadek się zgłosił?

Crozier roześmiał się.

– Bo całe Sarzac jest wzburzone. Chłopcy z policji śledczej zachowują się z charakterystyczną dla nich dyskrecją, jakby chodziło o profanację na dużą skalę. Prasa i telewizja oczywiście też tu są. A niech ich cholera!

Karim zacisnął szczęki.

– Niech mi pan poda nazwisko i adres. Szybko.

– Do mnie się tak nie mówi, Karim, ja…

– Nazwisko, komisarzu. Czy pan nie rozumie, że to moje śledztwo? Że tylko ja mam w ręku elementy, dzięki którym można się rozeznać w tym galimatiasie?

Crozier milczał przez chwilę, zapewne zastanawiał się, jak utrzymać swój autorytet. Gdy się w końcu odezwał, w jego głosie brzmiała stanowczość.

– Karim, podczas całej mojej służby nikt ze mną tak nie rozmawiał. Chcę usłyszeć, do czego doszedłeś w „twoim” śledztwie. I to natychmiast. Bo inaczej dobiorę ci się do tyłka.

Ton komisarza wskazywał, że nie było już czasu na dyskusje. Karim przedstawił pokrótce rezultaty swoich poszukiwań. Opowiedział historię Fabienne i Judith Hérault, uciekających przed jakimś niebezpieczeństwem. Opisał ich absurdalną ucieczkę, zmianę nazwiska i przebranie, wypadek samochodowy, w którym zginęło dziecko.

– Historia jak z jakiegoś romansidła – podsumował Crozier z zakłopotaniem.

– Śmierć ma w sobie coś z kiepskiej powieści, komisarzu.

– Taak… W każdym razie nie widzę żadnego związku między twoją historią i naszym nocnym zdarzeniem…

– Oto co myślę, komisarzu. Fabienne Hérault nie jest szalona. Jacyś ludzie rzeczywiście ją prześladują. Przypuszczam, że ci sami, którzy byli w nocy na cmentarzu w Sarzac.

– Co takiego?

Karim nabrał głęboko powietrza.

– Przypuszczam, że przyszli tam sprawdzić coś, o czym już wiedzieli. Ale skłoniło ich do tego jakieś inne nagłe zdarzenie.

– Gdzie masz zamiar szukać? I, przede wszystkim, kim mieliby być ci ludzie?

– Nie mam pojęcia. Moim zdaniem jednak, komisarzu, diabły znów się pojawiły.

– To wszystko czyste wymysły.

– Być może, ale fakty są takie: było włamanie do szkoły Jeana Jaurèsa i okradziono grób Jude Itero. Proszę więc podać mi nazwisko profanatora i jego adres, komisarzu. Chciałbym wiedzieć, czy chodzi tu o Guernon. Według mnie klucz do tego koszmaru znajduje się właśnie tam…

– Notuj. Nazwisko: Philippe Sertys. Adres: ulica Maurice’a Blascha siedem.

– A jakie miasto, komisarzu? – z drżeniem w głosie zapytał Karim. – Czy to Guernon?

Crozier zrobił wymowną pauzę.

– Tak, Guernon. Nie wiem, jakim cudem na to wpadłeś, ale, jak widać, idziesz gorącym tropem.

36

Obraz ze zdjęć niemieckiej reporterki przybrał realny kształt.

Zawodnicy z krótko ostrzyżonymi głowami biegli po bieżni stadionu w przedwojennym Berlinie. W ich ruchach były lekkość, siła, dostojność. Poruszali się w rytmie przypominającym kadry migające na starej taśmie filmowej, upstrzonej rysami niczym kamień nagrobny. Widział, jak ci ludzie biegną, słyszał stukot ich butów na bieżni. Czuł chrapliwy, przerywany oddech.

Zaraz jednak szczegóły obrazu się wymieszały. Twarze stały się ciemne, niewyraźne. Arkady stadionu za potężne, za wysokie. Co się kryło za spojrzeniami zawodników? Z ław stadionu podniósł się głośny, histeryczny krzyk. Nagle okazało się, że zawodnicy mają puste oczodoły z wyrwanymi gałkami ocznymi, co nie przeszkadzało im nadal widzieć i nawet biec. Przeciwnie, wydawało się, że w głębi ich ziejących ran coś odżywa na nowo… słyszało się mlaskania językiem… migały zwierzęce ślepia…

Niémans obudził się zlany lodowatym potem. Natychmiast poraziło jego oczy białe światło komputera, jak lampa podczas przesłuchania. Usiadł prosto, poprawił kołnierzyk koszuli. Rozejrzał się ukradkiem wokoło, ale nikt nie zauważył, że zasnął i że ze snu wyrwał go strach, który przybrał kształt fotografii wiszących na ścianach u Sophie Caillois. Fotografii faszystowskiej reporterki, której nazwiska nie pamiętał.

Dwudziesta pierwsza trzydzieści.

Spał zaledwie czterdzieści pięć minut. Po wizycie w magazynie natychmiast przesłał to, co tam znalazł – notesik, resztki drucianej siatki, próbki białego proszku – inżynierowi z Grenoble, Patrickowi Astierowi, za pośrednictwem Marca Costesa, który wciąż czekał na przewiezienie do szpitala trupa zamrożonego w lodowcu.

Potem Niémans przybył tu, do uniwersyteckiej biblioteki, żeby na wszelki wypadek poprowadzić poszukiwanie pod kątem haseł: „rzeki” i „purpurowe”. Najpierw obejrzał mapy z siecią hydrograficzną. Potem przejrzał indeks informatyczny, szukając w nim jakiejś książki, katalogu,

dokumentu, które zawierałyby te terminy. Nic jednak nie znalazł, natomiast podczas tej lektury niespodzianie zasnął przy komputerze. Czterdzieści godzin bez snu i napięte przez cały czas nerwy dały o sobie znać – poczuł się jak marionetka, od której odcięto poruszające ją sznurki.

Komisarz jeszcze raz rozejrzał się po obszernej sali czytelni. Przy stolikach w oszklonych boksach kilkunastu policjantów ubranych po cywilnemu kontynuowało poszukiwania, przeglądając książki, których tematem było zło, czystość lub oczy… Dwóch z nich miało przed sobą listę studentów, którzy w ostatnim okresie zaglądali do tych „podejrzanych” książek. Inny z kolei czytał w dalszym ciągu pracę dyplomową Rémy’ego Caillois.

Niémans jednakże nie wierzył w trop literacki, nie bardziej niż ci policjanci, którzy czekali teraz na mających ich zmienić kolegów. Od dwóch godzin wszyscy wiedzieli, że ze względu na słabe rezultaty zespołu Niémans – Barnes – Vermont dochodzenie przejęła policja śledcza z Grenoble.

Bo faktycznie, mimo iż przydzielono więcej ludzi do tej sprawy, dochodzenie nie posunęło się ani na krok. Aby wesprzeć ekipy kapitana Vermonta w przetrząsaniu terenu na szczycie grzbietu Muret, a następnie zachodniego zbocza masywu Belledonne, przysłano trzystu żołnierzy, których zakwaterowano w koszarach w Romans-sur-Isère. Przyjechali ciężarówkami około godziny dziewiętnastej i bezzwłocznie przystąpili pod dowództwem Vermonta do nocnego przeczesywania terenu. Oprócz nich kapitan sprowadził także dwie kompanie z republikańskich oddziałów bezpieczeństwa stacjonujących w Valence.

Przeszukano już obszar ponad trzystu hektarów. Jak do tej pory to systematyczne szukanie nie dało nic i nic nie da, jak przypuszczał Niémans. Gdyby zabójca zostawił tam jakieś ślady, to byłyby już odkryte. Mimo to komisarz za pośrednictwem VHF pozostawał w stałym kontakcie z Vermontem, a nawet wyznaczył mu trasę, wskazując na mapie różne punkty, ważne dla śledztwa: miejsce znalezienia pierwszego i drugiego ciała, położenie uniwersytetu, magazynu Sertysa oraz wszystkich schronisk…

Wzmocniono również kontrolę dróg, ustawiając na nich osiem zapór, pilnowanych przez dwadzieścia cztery godziny. Kontrola obejmowała teraz

ogromny teren wokół Guernon. Wszystkie miasta i miasteczka. Wjazdy i wyjazdy z autostrad, drogi krajowe i departamentowe.

Za robotę papierkową, niezbędną w takich akcjach, odpowiadał kapitan Barnes. Zakres poszukiwań stale się powiększał. Faks nie przestawał pracować, wypluwając kolejne zeznania, odpowiedzi na ankiety, komentarze… Wysyłano zapytania do okolicznych stacji narciarskich. Redagowano informacje, okólniki, a centrala telefoniczna brygady została zaopatrzona nawet w kilka nowych telekopiarek.

Od godzin przedpołudniowych przesłuchiwano tych, którzy w ostatnich tygodniach mieli kontakt z pierwszą ofiarą. Inna ekipa przepytywała najlepszych w regionie alpinistów, zwłaszcza tych, którzy wchodzili na lodowiec Vallernes. Przeprowadzano rozmowy z odludkami mieszkającymi wysoko w górach, w domkach przyczepionych do skalistych zboczy wznoszących się nad Guernon. Cała brygada miała pełne ręce roboty.

Jeszcze inna grupa, należąca do ekipy Vermonta, odtwarzała z wielką dokładnością ewentualną trasę ostatniej wyprawy Rémy’ego Caillois, podczas gdy ich koledzy mieli za zadanie zrekonstruowanie trasy drugiej ofiary, jak również mordercy, aż do samego szczytu lodowca. Trasy zostały ponumerowane, zapisane w pamięci komputera, porównane ze znanymi szlakami.

W trakcie tej gorączkowej krzątaniny, przypominającej działania wojenne, Niémans uparcie rozmyślał nad psychologicznym aspektem sprawy. Bardziej niż kiedykolwiek był przekonany, że odnajdzie zabójcę, gdy odkryje motyw. A tym motywem mogła być zemsta. Musiał jednak być wyjątkowo ostrożny, przyjmując taką hipotezę. Ani władze, ani opinia publiczna nie doceniają paradoksu w sprawach kryminalnych. Przyjęło się sądzić, że morderca zabija niewinnych ludzi. Tymczasem Niémans próbował dowieść, że ofiary miały także coś na sumieniu.

Jak postępować w takiej sytuacji? Caillois i Sertys żyli, chroniąc ściśle swoje tajemnice. Sophie Caillois nie powie ani słowa, a śledzenie jej nie dało dotąd żadnego rezultatu. Co się tyczy matki Sertysa i jego kolegów ze szpitala, których już przesłuchano, to znali oni konwencjonalny wizerunek Philippe’a Sertysa. Jego matka nie wiedziała nawet o istnieniu magazynu, który wcześniej należał do jej męża, René Sertysa.

No więc co?

Niémans musiał najpierw rozwiązać inną zagadkę. Podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do Barnesa.

– Czy macie jakieś wiadomości o Joisneau?

Młody porucznik, doskonały policjant, który chciał stać się mistrzem w tym zawodzie, ciągle nie dawał znaku życia.

– Wysłałem moich chłopców – odparł Barnes, trochę grasejując – do instytutu dla ociemniałych, żeby się dowiedzieli, gdzie stamtąd się udał.

– No i co?

W głosie kapitana słychać było zmęczenie:

– Joisneau opuścił instytut około godziny dziewiętnastej.

Wygląda na to, że pojechał do Annecy, żeby złożyć wizytę pewnemu okuliście, profesorowi wydziału oftalmologii na uniwersytecie w Guernon, który zajmuje się leczeniem chorych z instytutu.

– Dzwonił pan do niego?

– Oczywiście. Próbowaliśmy się z nim połączyć przez telefon służbowy i domowy. Żaden z tych numerów nie odpowiada.

– Ma pan jego adres?

Barnes podał Niémansowi nazwę ulicy. Lekarz mieszkał w willi, w której znajdował się też jego gabinet przyjęć.

– Pojadę tam – postanowił Niémans.

– Ale… po co? Joisneau wkrótce wróci i…

– Czuję się odpowiedzialny za niego.

– Odpowiedzialny?

– Jeśli ten chłopak zrobił jakieś głupstwo, jeśli naraził się na niepotrzebne ryzyko, jestem pewien, że zrobił to, żeby mi zaimponować, rozumie pan?

– Joisneau zaraz wróci – odpowiedział żandarm uspokajającym tonem. – Jest młody i pewnie nabił sobie głowę jakimiś głupstwami…

– Zgadzam się z panem. Ale jeśli grozi mu niebezpieczeństwo?

– Niebezpieczeństwo?

Niémans nie odpowiedział. Przez kilka sekund obaj milczeli. Nagle Barnes zawołał:

– Aha, byłbym zapomniał! Joisneau dzwonił także do szpitala. Miał zamiar pójść do archiwum.

– Do archiwum?

– W podziemiach szpitala mieści się ogromne archiwum zawierające całą historię tego regionu, od narodzin mieszkańców poprzez ich choroby aż po śmierć.

Niémans poczuł narastający wewnętrzny niepokój. Chłopak zaczął działać na własną rękę. Poszedł tropem zaczynającym się w instytucie, który doprowadził go do okulisty, a następnie do archiwum szpitalnego.

– Nikt go jednak nie widział w szpitalu? – zapytał.

Barnes odpowiedział przecząco. Niémans odwiesił słuchawkę. Niemal natychmiast rozległ się dzwonek telefonu. Nie było już potrzebne przekazywanie wiadomości drogą radiową ani szyfrowanie nazwiska, ani ostrożność. Wszyscy pracowali nagleni pośpiechem. Głos Costesa drżał z podniecenia:

– Właśnie przywieźli do nas ciało.

– Czy to Sertys?

– To on, nie ma żadnej wątpliwości.

Komisarz westchnął. Wszystkie elementy zbierane od trzech godzin na temat Philippe’a Sertysa ułożyły się w jedną całość. Mógł teraz oficjalnie wysłać ekipę, która przeszuka dokładnie magazyn. Costes mówił dalej:

– Jest zdecydowana różnica między okaleczeniami zadanymi jemu i pierwszej ofierze.

– Jaka?

– Morderca tym razem nie tylko wyłupił oczy, ale odciął także dłonie. Nie zauważył pan tego, bo ciało było ułożone w pozycji embrionalnej, a kikuty wsunięte zostały między kolana.

Oczy. Dłonie. Niémans dostrzegał jakiś tajemniczy związek między tymi anatomicznymi elementami. Nie umiałby jednak wyjaśnić, jaka szatańska logika kryje się za okaleczeniami tych dwóch ofiar.

– Czy to wszystko? – zapytał.

– Na razie tak. Zabieram się zaraz do sekcji zwłok.

– Kiedy będziesz gotów?

– Najwcześniej za jakieś dwie godziny.

– Zacznij od oczodołów i zadzwoń do mnie, kiedy już będziesz coś konkretnego wiedział. Sądzę, że jest tam dla nas jakaś wskazówka.

– Czuję się jak posłaniec piekieł, komisarzu.

Niémans przeszedł przez salę biblioteczną.

W pobliżu drzwi zauważył krępego policjanta, pochylonego nad pracą dyplomową Rémy’ego Caillois. Zawrócił i usiadł naprzeciw niego w jednej z przeszklonych kabinek.

– Jak leci?

Policjant podniósł na niego wzrok.

– Jakoś brnę przez to.

Komisarz uśmiechnął się, wskazując na grubą pracę.

– Nic ciekawego?

– Cały czas o Grecji, o igrzyskach olimpijskich, o zawodach sportowych i tym podobne: biegi, rzut oszczepem, pankration… Caillois opowiada o świętym charakterze ćwiczeń fizycznych, rekordów. – Policjant wydął wargi na znak niedowierzania. – Jakiś rodzaj wspólnoty z siłami wyższymi. Według niego rekord olimpijski był w tamtej epoce pomostem umożliwiającym obcowanie z bogami… Na przykład *athlon*, zawodnik z dawnych czasów, pokonując własne ograniczenia, wyzwalał potęgę ziemi, jej urodzajność, płodność. Coś w tym jest. Oglądając współczesne mecze piłki, rzeczywiście można dojść do wniosku, że sport wyzwala jakieś potężne siły…

– Na co jeszcze zwróciłeś uwagę?

– Caillois pisze, że w starożytności zawodnicy byli jednocześnie poetami, muzykami, filozofami. I na to ten bibliotekarz kładzie szczególny nacisk. Wydaje się, że tęskni on za czasami, kiedy duch i ciało były tak ściśle zespolone, zrośnięte wewnątrz istoty ludzkiej. Świadczy o tym tytuł jego pracy: *Tęsknota za Olimpią*. Tęsknota za epoką ludzi niezwykłych, którzy byli jednocześnie intelektualistami i odznaczali się siłą fizyczną. Caillois przeciwstawia tej wymagającej epoce nasze czasy, kiedy to intelektualiści nie potrafią podnosić ciężarów, a sportowcy mają pustkę w głowach. Widzi w tym znak upadku, rozdziału ducha od ciała.

Nagle Niémans ujrzał znowu zawodników ze swego koszmarnego snu. Ślepców z rzeczywistości utrwalonej na kliszy fotograficznej. Sophie Caillois mówiła mu, że według opinii jej męża sportowcy z Berlina odnowili tę wspólnotę ducha i myśli.

Komisarz pomyślał także o czempionach uniwersytetu, dzieciach profesorów tej uczelni, o których opowiadał mu Joisneau, najlepszych w nauce i sporcie. Na swój sposób ci nieprzeciętni młodzi ludzie zbliżali się do wzorca starożytnego zawodnika. Kiedy Niémans oglądał fotografie

medalistów uniwersyteckich w holu przed gabinetem rektora, spostrzegł na ich twarzach niepokojącą pewność siebie, wynikającą z połączenia siły ciała i siły ducha. A może z takiej filozofii? Uśmiechnął się do młodego policjanta, który obserwował go z niepewną miną.

– Masz mnie pewnie za niezbyt rozgarniętego – stwierdził.

– Czytam to pobieżnie. Rozumiem co drugie zdanie. Ale wierzę swojemu węchowi. Faszystów rozpoznaję z daleka – powiedział młody policjant.

– Uważasz, że Caillois był faszystą?

– Nie potrafiłbym tego wyjaśnić… To wygląda na coś bardziej skomplikowanego… Jego mit o nadczłowieku, zawodniku o niezwykłych zdolnościach intelektualnych, przywodzi mi na myśl odwieczne szalone idee o wyższej rasie i tym podobne bzdury…

Niémans znowu ujrzał w wyobraźni zdjęcia z olimpiady w Berlinie, wiszące w przedpokoju mieszkania Caillois. Za tymi zdjęciami i za rekordami sportowymi studentów Guernon kryła się jakaś tajemnica. Wszystko to razem tworzyło jakąś niepokojącą całość.

– Nie ma żadnych wzmianek o purpurowych rzekach? – zapytał na koniec.

– O czym?

Pierre Niémans wstał.

– Nieważne.

Młody policjant odprowadził wzrokiem wysokiego mężczyznę w niebieskim prochowcu, a potem powiedział:

– Szczerze mówiąc, panie komisarzu, powinien pan porozmawiać z którymś ze studentów, z kimś bardziej wykształconym niż ja… – Na jego twarzy pojawił się grymas wyrażający niepewność. – Naprawdę pan przypuszcza, że ta cała paplanina może odegrać jakąś rolę w naszej sprawie?

Niémans oparł się ręką o szklaną przegrodę.

– W dochodzeniu każdy element odgrywa rolę. Nic nie dzieje się przypadkowo, nie ma niepotrzebnych szczegółów. Wszystko to jest jak struktura atomu, rozumiesz? Czytaj dalej.

Niémans zostawił młodego policjanta jeszcze bardziej zbitego z tropu.

Na terenie kampusu dostrzegł w oddali światła reflektorów ekip telewizyjnych. Zmrużył oczy i rozpoznał szczupłą sylwetkę Vincenta Luyse’a, rektora, który stojąc na schodach przed budynkiem, dukał

uspokajające oświadczenie. Rozpoznał też charakterystyczne logo sieci telewizyjnych – regionalnych, krajowych, a nawet ze Szwajcarii romańskiej… Dziennikarze przepychali się łokciami, zalewali potokiem pytań. Zabawa się zaczęła: zainteresowanie mediów zogniskowało się na Guernon. Informacja o morderstwach rozchodziła się na całą Francję. Nad tym małym miastem gęstniała atmosfera strachu.

A był to dopiero początek.

37

Będąc już w drodze, Niémans zadzwonił do Antoine’a Rheimsa.

– Są wiadomości o Angliku?

– Jestem w szpitalu Hôtel-Dieu. W dalszym ciągu nie odzyskał przytomności. Lekarze są nastrojeni raczej pesymistycznie. Ambasada Wielkiej Brytanii przysłała cały pluton adwokatów. Przyjechali prosto z Londynu. Są również dziennikarze. Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, co się tu dzieje.

Łączność satelitarna działała doskonale. Głos Rheimsa brzmiał bardzo czysto.

Niémans wyobraził sobie dyrektora na Île de la Cité, wyspie na Sekwanie w najstarszej części Paryża, natychmiast ujrzał siebie samego chodzącego po szpitalach, wypytującego prostytutki z opuchniętymi twarzami, rozciętymi łukami brwiowymi, ofiary brutalności alfonsów. Widział także zakrwawione twarze podejrzanych, którym sam nieźle dołożył. Widział ręce przykute kajdankami do łóżka i światła neonów rozbłyskujące w grobowym półmroku pokoju.

Zobaczył brukowany dziedziniec katedry Notre Dame, gdy o trzeciej nad ranem wychodził ze szpitala Hôtel-Dieu, wyczerpany, przybity. Pierre Niémans był wojownikiem. Jego wspomnienia opromieniał blask broni, ognie pola walki. Poczuł gwałtowną tęsknotę za tym szczególnym rodzajem egzystencji, która odpowiada bardzo niewielu ludziom, a która dla niego zawierała w sobie jedyną rację bytu na Ziemi.

Jego ton był już mniej agresywny niż na początku rozmowy. Przeważyły koleżeńska solidarność, lata wspólnej pracy, wspomnienie starej przyjaźni.

– Mamy już dwa morderstwa. I żadnego tropu. Prowadzę cały czas dochodzenie. I wiem, że jestem na dobrej drodze.

Rheims nie odzywał się, ale Niémans czuł, że jest to dowód jego zaufania. Teraz z kolei on zapytał:

– A co z moją sprawą?

– Co masz na myśli?

– Czy wszczęto dochodzenie w sprawie tego chuligana?

Rheims zaśmiał się ponuro.

– Chodzi ci o wydział kontroli wewnętrznej? Od dawna oczekiwali czegoś takiego. Mogą więc jeszcze poczekać.

– Czekać na co?

– Aż delikwent odwali kitę. Wtedy oskarżą cię o zabójstwo.

Niémans dotarł do Annecy około dwudziestej trzeciej. Wjechał w długie, jasne aleje, obsadzone gęsto drzewami. W świetle latarń ich liście przypominały postrzępione kawałki błyszczącego jedwabiu. W głębi każdej alei Niémans dostrzegał pojawiające się niespodzianie kioski, fontanny, posągi. Maleńkie z odległości kilkuset metrów budowle przywodziły na myśl figurki z pozytywek. Na placach i skwerach miasto skrywało swoje skarby w szkatułkach z kamienia, marmuru i liści.

Jechał wzdłuż kanałów, dzięki którym Annecy przypominało trochę Amsterdam, nieco dalej wpływających do jeziora o tej samej nazwie, i z których był widok na oświetlony lampami drugi brzeg. Aż trudno było uwierzyć, że zaledwie kilkadziesiąt kilometrów stąd leży Guernon – z trupami i groźnym mordercą. Komisarz dojechał do dzielnicy willowej. Aleja des Ormes.

Bulwar Vauvert. Zaułek des Hautes-Brises. Nazwy, które dla mieszkańców brzmiały zapewne poetycko i może trochę tajemniczo.

Zaparkował samochód przy wjeździe do stromego zaułka. Wysokie domy, bogate i zarazem przytłaczające, stały ciasno jeden obok drugiego, przedzielone pokrytymi śniedzią parkanami, za którymi znajdowały się ogrody. Numer, jakiego szukał, widniał na okazałej rezydencji z ciosanego kamienia, z długą markizą nad wejściem. Komisarz nacisnął dwa razy dzwonek w kształcie rombu, którego przycisk udawał źrenicę. Poniżej, na tabliczce z czarnego marmuru, widniał napis: „Dr Edmond Chernecé. Okulistyka. Chirurgia oczu”.

Nikt nie zareagował. Niémans spojrzał na zamek. Nie przedstawiał dla niego żadnego problemu, nie musiał się włamywać. Wcisnął zręcznie zatrzask i wszedł do holu z kamienną posadzką. Świetlne napisy wskazywały drogę do poczekalni, korytarzem, na lewo, ale komisarz zauważył po prawej stronie drzwi obite skórą.

Gabinet przyjęć. Przekręcił gałkę i znalazł się w długim pokoju, a raczej na werandzie z sufitem i ścianami ze szkła. Z głębi, z półmroku, dochodził

szum wody.

Dopiero po upływie kilku sekund Niémans dostrzegł sylwetkę mężczyzny stojącego przy umywalce.

– Doktor Chernecé?

Niémans podszedł bliżej. Pierwszym szczegółem, który zauważył, były opalone, błyszczące ręce pod strumieniem wody. Ręce starszego człowieka z brązowymi cętkami i siecią żyłek, biegnących aż do silnych nadgarstków.

– Kim pan jest?

Jego głos był niski, spokojny. Niewysokiego wzrostu, krępej budowy ciała, wydawał się mieć ponad sześćdziesiąt lat. Siwe, kręcone włosy nad wysokim, ogorzałym czołem, także pokrytym ciemnymi plamkami. Grube rysy twarz, potężny tors – przywodzące na myśl kolumnę z monolitu. Dziwne wrażenie potęgowało jeszcze to, że lekarz miał na sobie tylko podkoszulek i białe kalesony.

– Pierre Niémans, komisarz policji. Dzwoniłem, ale nikt nie odpowiadał.

– Jak pan tu wszedł?

Niémans poruszył palcami jak magik w cyrku.

– Umiejętność zawodowa.

Doktor uśmiechnął się uprzejmie, nie zwracając uwagi na mało eleganckie maniery komisarza. Zamknął łokciem kran i przeszedł przez pokój z rękami do góry, szukając ręcznika. Z cienia wyłaniały się przyrządy do badania wzroku, mikroskopy, plansze anatomiczne ukazujące wnętrze oka.

– Był tu już dziś po południu jeden policjant. Czego pan chce? – zapytał obojętnym tonem Chernecé.

Niémans stał kilka metrów od doktora. Uświadomił sobie, że dopiero teraz dostrzegł w tym człowieku coś, co go wyróżniało spośród wielu innych ludzi – jego oczy. Doktor Chernecé miał szare, bez wyrazu źrenice, których spojrzenie przypominało wzrok węża. Te źrenice były niczym maleńkie akwaria, w których pływały mordercze istoty, okryte żelazną łuską.

– Chciałbym zadać panu parę pytań na jego temat – wyjaśnił Niémans.

Lekarz uśmiechnął się wyrozumiale.

– To zaskakujące. Teraz policjanci śledzą innych policjantów?

– O której godzinie był tutaj?

– Chyba około osiemnastej.

– Tak późno? Czy pamięta pan, o co pytał?

– Oczywiście. Pytał mnie o pensjonariuszy instytutu w Guernon. Jest to zakład, w którym przebywają dzieci cierpiące na choroby oczu. Odwiedzam je regularnie.

– O co konkretnie pana pytał?

Chernecé otworzył mahoniową szafę. Wyjął białą koszulę z drobnymi pliskami i zręcznie ją na siebie włożył.

– Chciał poznać przyczynę chorób u tych dzieci. Wyjaśniłem mu, że chodzi tu o choroby dziedziczne. Zapytał, czy którąś z tych chorób może spowodować zatrucie lekami.

– Co mu pan odpowiedział?

– Że to absurdalne. Te dolegliwości genetyczne wynikają z odizolowania naszego miasta, z tego, że związki małżeńskie zawierają osoby zbyt blisko ze sobą spokrewnione. Jest to zjawisko znane w społecznościach żyjących w odosobnieniu. Na przykład w regionie jeziora Saint-Jean w Quebecu albo we wspólnotach amiszów w Stanach Zjednoczonych. I tak właśnie jest w przypadku Guernon. Ludzie z tej doliny nigdzie nie wędrują… Po co szukać innego wyjaśnienia tego zjawiska?

Nie przejmując się wcale obecnością Niémansa, Chernecé wciągnął granatowe spodnie z gładkiego materiału. Ubierał się z rzadko spotykaną wyszukaną elegancją.

– Czy jeszcze coś innego go interesowało? – pytał dalej komisarz.

– Wspomniał także o przeszczepach.

– Przeszczepach?

Doktor włożył chusteczkę do butonierki.

– O przeszczepach chirurgicznych oczu. Nie wiem, po co mu to było.

– Nie wspomniał panu, że ma to jakiś związek ze śledztwem?

– Nie. Ale chętnie odpowiadałem na jego pytania. Chciał na przykład wiedzieć, czy jest możliwe wydłubanie oczu w celu dokonania przeszczepu rogówki.

A więc Joisneau brał pod uwagę trop chirurgiczny.

– No i co mu pan powiedział?

Chernecé przeciągnął wierzchem dłoni po podbródku, jakby sprawdzając szorstkość odrastającego zarostu. Na szklanych ścianach tańczyły cienie drzew.

– Wytłumaczyłem mu, że tego rodzaju operacje nie mają racji bytu. Bardzo rzadko stosuje się dziś przeszczep ludzkich rogówek. Dokonano wielkiego postępu w dziedzinie transplantacji sztucznych organów. Poza tym nie umiemy jeszcze przechowywać siatkówki oka, a więc nie ma co mówić o przeszczepach… – Na jego twarzy pojawił się drwiący uśmieszek. – Wie pan, te historie o handlu organami ludzkimi są mocno przesadzone.

– Czy jeszcze o coś pytał?

– Nie. Sprawiał wrażenie rozczarowanego.

– Czy poradził mu pan, by udał się gdzieś indziej? Nie dał mu pan jakiegoś innego adresu?

– To ci dopiero! Wygląda na to, że zgubiliście waszego kolegę.

– Proszę odpowiedzieć. Czy domyśla się pan, gdzie mógł się udać po wyjściu od pana? Czy powiedział, dokąd się wybiera?

– Nie, ani słowa. – Doktor spoważniał. – Chciałbym jednak wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Niémans wyjął z kieszeni płaszcza polaroidowe zdjęcia zwłok Caillois i położył je na biurku lekarza.

– Chodzi o to.

Chernecé nałożył okulary, zapalił małą stojącą lampkę i obejrzał uważnie fotografie. Otwarte powieki. Puste oczodoły.

– Boże… – szepnął.

Wyglądał na przerażonego i jednocześnie zafascynowanego tym, co zobaczył. Niémans dojrzał na drugim końcu stołu zestaw chromowanych narzędzi chirurgicznych, ułożonych w chińskim pudełku. Postanowił przejść do innych pytań. Ponieważ ma do czynienia ze specjalistą, to i pytania będą odpowiednio zadane.

– Są w tej chwili dwie ofiary. Nie sądzi pan, że tego rodzaju tortury to dzieło profesjonalisty?

Chernecé podniósł wzrok. Jego twarz pokrywały kropelki potu.

– Mój Boże, co pan chce przez to powiedzieć? – zapytał po kilku sekundach milczenia.

– Mówię o wyjęciu oczu. Mam tu zdjęcia w powiększeniu. – Niémans sięgnął po fotografie ukazujące puste oczodoły w zbliżeniu. – Czy zauważa pan jakieś szczegóły, które mogłyby świadczyć, że zrobił to ktoś dobrze znający się na rzeczy? Może te rany mają w sobie coś specyficznego?

Morderca wydłubał oczy, starając się bardzo, by nie naruszyć powiek. Czy to zwykła praktyka w takim wypadku? Czy wymaga to poważnej wiedzy anatomicznej?

Chernecé jeszcze raz obejrzał zdjęcia.

– Kto mógł zrobić coś takiego? Kim jest ten potwór? Gdzie to się stało?

– W okolicach Guernon. Doktorze, proszę odpowiedzieć na moje pytanie: czy pana zdaniem tej operacji dokonał zawodowiec?

Okulista wyprostował się.

– Niestety nie wiem…

– Jaką technikę zastosował morderca według pana?

Lekarz podniósł do oczu zdjęcia.

– Sądzę, że wsunął pod gałki płytkę… że odciął nerwy wzrokowe i mięśnie oczu, wykorzystując elastyczność powiek. Potem pewnie płaską częścią płytki odwrócił oko na drugą stronę. Jak drobną monetę.

Niémans zgarnął z powrotem zdjęcia i schował je do kieszeni. Doktor śledził wzrokiem każdy jego ruch, jakby chciał je dojrzeć jeszcze poprzez materiał płaszcza. Koszulę na plecach miał mokrą od potu.

– Chciałbym zadać panu pytanie natury ogólnej – powiedział cicho Niémans. – Proszę się dobrze zastanowić przed odpowiedzią.

Całą werandę wypełniały refleksy tańczących drzew.

– Jaki widzi pan wspólny punkt między oczami i rękami człowieka? Co może łączyć te dwie części ludzkiego ciała?

Okulista doszedł już do siebie i odzyskał dawną pewność naukowca.

– Odpowiedź jest całkiem prosta – powiedział. – Oko i dłoń są najbardziej charakterystycznymi, niepowtarzalnymi częściami naszego ciała.

Niémans drgnął. Od chwili, gdy wysłuchał sprawozdania Costesa, spodziewał się takiej odpowiedzi, lecz nie potrafił jej sprecyzować. Tym razem to on się spocił.

– Co pan przez to rozumie?

– Tęczówki w oku człowieka są jedyne w swoim rodzaju. Składają się z tysiąca włókienek, które tworzą rysunek unikatowy dla każdego z nas. To cecha biologiczna, zapisana w genach. Obraz tęczówki jest tak samo niepowtarzalny jak odciski palców. To stanowi wspólną właściwość naszych oczu i rąk. Jeśli pozbawi pan ciało oczu i rąk, zniszczy pan jego znaki szczególne. Kim jest człowiek, który umiera bez tych znaków?

Nikim, ponieważ utracił swą osobowość, może nawet duszę. W pewnym sensie nie można sobie wyobrazić gorszego końca życia. To jak wrzucanie do wspólnego grobu.

Promyki światła przechodzącego przez szklane szybki ścian werandy odbijały się w mętnych źrenicach doktora, podkreślając jeszcze bardziej ich przejrzystość. Plansze anatomiczne, sylwetka doktora widziana pod światło, cienie drzew – wszystko to jakby tańczyło w głębi jakiegoś lustra.

Komisarz doznał nagle olśnienia: pomyślał o dłoniach Caillois, którego palce nie mogły zostawiać odcisków i których morderca nie odciął. Nie ulega wątpliwości, że nie interesowały go właśnie dlatego, ponieważ były anonimowe.

Morderca odbierał swoim ofiarom ich znaki biologiczne.

– Moim zdaniem – odezwał się znowu lekarz – oczy pozwalają na dokładniejszą identyfikację człowieka niż odciski palców. Wasi specjaliści w policji powinni to wziąć pod rozwagę.

– Dlaczego pan tak uważa?

Chernecé uśmiechnął się w ciemnościach. Wrócił już do mentorskiego, profesorskiego sposobu mówienia.

– Niektórzy uczeni twierdzą, że z dna oka można odczytać nie tylko stan zdrowia człowieka, ale także historię całego jego życia. Te maleńkie plamki błyszczące wokół naszej źrenicy zawierają w sobie historię naszego pochodzenia… Czy nigdy pan nie słyszał o irydologach?

Niémans niespodziewanie poczuł, że słowa doktora Chernecé pozwalają mu spojrzeć na całe dochodzenie od zupełnie innej strony. Nie wiedział jeszcze, dokąd go to zaprowadzi, ale z pewnością zabójca podzielał opinię okulisty.

– To dyscyplina, która narodziła się pod koniec dziewiętnastego wieku – mówił dalej doktor. – Pewien niemiecki treser orłów zaobserwował dziwne zjawisko. Jeden z jego ptaków złamał nogę. Treser zauważył wówczas nowy szczególny znak na tęczówce ptaka. Małą złotą plamkę. Jakby wypadek zostawił ślad w oku ptaka. Takie echa fizyczne istnieją, proszę pana. Jestem tego całkowicie pewien. Kto wie, może wasz zabójca, wydłubując ofierze oczy, chciał zatrzeć ślad po jakimś wydarzeniu, które dałoby się odczytać z dna oka?

Niémans cofnął się, a cień doktora wydłużał się w miarę, jak się od niego oddalał. Komisarz zadał ostatnie pytanie:

– Dlaczego nie podnosił pan słuchawki telefonu dziś po południu?

– Bo wyłączyłem telefon – uśmiechnął się lekarz. – Nie udzielam porad w poniedziałki. Chciałem poświęcić całe popołudnie i wieczór na uporządkowanie mojego gabinetu…

Chernecé odwrócił się do szafy i wyjął z niej marynarkę. Włożył ją jednym zręcznym ruchem. Granatowe spodnie i marynarka tworzyły prostą, niewyszukaną całość. Jakby dopiero teraz odgadując powód wizyty Niémansa, zapytał:

– Chciał się pan ze mną skontaktować? Powiedziałbym panu to wszystko przez telefon. Bardzo mi przykro, że stracił pan przeze mnie czas.

Widać było, że sam nie wierzy w żadne swoje słowo. Z jego opalonej twarzy wiało egoizmem i obojętnością. Z pewnością już zapomniał o poranionych oczodołach Rémy’ego Caillois.

Niémans spojrzał na rysunki gałek ocznych i naczyń krwionośnych, zmienione przez cienie drzew, tańczące na suficie i ścianach werandy.

– Nie straciłem czasu – odparł.

Po wyjściu od doktora Niémansa spotkała kolejna niespodzianka. W świetle ulicznej latarni ujrzał jakiegoś człowieka, który najwyraźniej cierpliwie na niego czekał, oparty o jego samochód. Był tak samo wysoki jak on, w typie arabskim, z długimi warkoczykami niebieskiego ptaka, w kolorowym berecie na głowie i z kozią bródką jak u lucyfera.

Doświadczony policjant potrafi na pierwszy rzut oka rozpoznać niebezpiecznego człowieka. A ów chudy jak patyk wielkolud, mimo spokojnej postawy, z pewnością należał do tej kategorii ludzi. Przypominał mu dilerów narkotyków, których tak często ścigał pod osłoną paryskich nocy. Niémans gotów byłby założyć się o dużą stawkę, że typ miał gdzieś ukrytą broń. Gdy podszedł z ręką na swoim MR73, nie wierzył własnym oczom: Arab uśmiechał się do niego.

– Komisarz Niémans? – zapytał i wsunął rękę pod kurtkę. Niémans natychmiast wyciągnął rewolwer i odbezpieczywszy go, zawołał:

– Nie ruszaj się!

Mężczyzna z miną sfinksa uśmiechnął się spokojnie i trochę ironicznie, z taką pewnością siebie, jaką Niémans rzadko widywał nawet u najbardziej przebiegłych przestępców.

– Spoko, panie komisarzu – odezwał się cichym głosem. – Nazywam się Karim Abdouf. Jestem porucznikiem policji. Kapitan Barnes powiedział mi,

że tu pana znajdę.

W jednej sekundzie szybkim ruchem wyciągnął trójkolorową legitymację i pomachał nią w powietrzu. Niémans z pewnym wahaniem schował rewolwer. Przyjrzał się młodemu Arabowi o tak zaskakującym wyglądzie. Teraz zauważył kolczyki przebłyskujące spod jego warkoczyków.

– Jesteś z brygady w Annecy? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nie. Przyjechałem z Sarzac. Z departamentu Lot.

– Nie znam.

Karim schował swoją legitymację.

– Nie należymy do tych, których wtajemnicza się we wszystko.

Niémans uśmiechnął się, wciąż bacznie taksując wzrokiem drągala.

– Jakim więc jesteś policjantem?

Sfinks pstryknął palcem w antenę samochodu.

– Jestem policjantem, jakiego pan potrzebuje, komisarzu.

38

Obaj policjanci pili i kawę w małej kawiarence przy autostradzie N56, gdzie zatrzymali się w drodze powrotnej do Guernon. W oddali widać było światła zapory ustawionej przez żandarmów i reflektory samochodów zwalniających przed barierami z migającymi światłami.

Niémans słuchał z uwagą pospiesznej opowieści Abdoufa, gliniarza, który pojawił się znikąd i którego nieprawdopodobne śledztwo zdawało się mieć związek z zabójstwami w Guernon. Trudno było zrozumieć przedstawioną przez niego historię. Mówił o tajemniczej matce i jej ucieczce, o małej dziewczynce przebranej za chłopca, o diabłach, które chciały zniszczyć twarz dziecka, gdyż ich zdaniem była niebezpiecznym dowodem… Wszystko to przypominałoby długi, koszmarny sen, gdyby nie fakt, że Philippe Sertys w nocy z niedzieli na poniedziałek dokonał profanacji na cmentarzu małego miasteczka w departamencie Lot.

A ta informacja miała kluczowe znaczenie.

Philippe Sertys z pewnością włamał się do grobu. Oczywiście należało jeszcze porównać ślady znalezione przy cmentarzu w Sarzac z odciskami opon łady. Jeśli te odciski potwierdzą podejrzenia Karima, wówczas po raz pierwszy od rozpoczęcia śledztwa Niémans uzyska konkretny dowód winy swojej ofiary.

Z drugiej strony komisarz nie wiedział, jak dopasować do swojego dochodzenia pozostałe elementy dostarczone przez Karima Abdoufa – tę idiotyczną historię o dziewczynce i jej matce ściganych przez „diabły”.

– Jakie są twoje wnioski? – zapytał Karima. Młody Arab nerwowo obracał w ręce kostkę cukru.

– Myślę, że diabły z nieznanego mi powodu obudziły się ostatniej nocy i że Sertys zamierzał sprawdzić w szkole i na cmentarzu w mojej mieścinie coś, co miało związek z ucieczką kobiety i dziecka w osiemdziesiątym drugim roku.

– A więc Sertys byłby jednym z tych diabłów?

– Tak.

– Przecież to absurd – odparł Niémans. – W osiemdziesiątym drugim roku Philippe Sertys miał dwanaście lat. Naprawdę wyobrażasz sobie, żeby taki chłopak mógł terroryzować matkę z dzieckiem i w dodatku ścigać je po całej Francji?

Karim Abdouf sposępniał.

– Wiem, że to się nie trzyma kupy.

Niémans uśmiechnął się do niego i zamówił drugą kawę. Nie wiedział jeszcze, czy ma wierzyć we wszystkie rewelacje Karima Abdoufa. Nie wiedział także, czy powinien ufać temu niebieskiemu ptakowi, drągalowi z dredami i nieregulaminowym automatycznym pistoletem, podróżującemu bez wątpienia skradzionym audi. Jednak historia opowiedziana przez niego nie była mniej szalona niż jego własna hipoteza, że ofiary morderstwa też miały coś na sumieniu. Ponadto ten młody Arab miał w sobie pasję i zapał, cholernie się udzielające.

W końcu postanowił mu zaufać. Dał mu klucz do swojego biura na uniwersytecie, gdzie Karim będzie mógł zapoznać się z dossier całej sprawy, po czym wyjawił sekretny aspekt swojego dochodzenia.

Ściszonym głosem komisarz powiedział o swoim głębokim przekonaniu, że ofiary popełniły jakieś przestępstwo i że morderca działał z chęci zemsty. Zreasumował najdrobniejsze wskazówki podtrzymujące jego hipotezę. Schizofrenia i brutalność Rémy’ego Caillois. Magazyn na uboczu i notes Philippe’a Sertysa. Niémans wspomniał również o „purpurowych rzekach”, przyznając, że nie potrafi wyjaśnić znaczenia tych dziwnych słów. Potem przedstawił aktualną sytuację: należy poczekać na rezultaty sekcji, ponieważ może na ciele drugiej ofiary znajduje się nowa informacja dla nich.

Bez przekonania wyraził również nadzieję, że wielokierunkowe poszukiwania w regionie mogą dostarczyć jakiejś wskazówki. Na końcu, szeptem, powiedział o Éricu Joisneau i o swoich obawach z nim związanych.

Abdouf zadał kilka szczegółowych pytań dotyczących zniknięcia porucznika, którym zainteresował się najbardziej.

– Co o tym wszystkim sądzisz? – zapytał Niémans. Młody policjant uśmiechnął się ze znużeniem.

– Tak samo jak pan, komisarzu, sądzę, że pański chłopak ma kłopoty. Wpadł na trop czegoś bardzo ważnego i chciał to załatwić sam, żeby panu

zaimponować. Jednak nie dał rady. Mam nadzieję, że się mylę, ale pański Joisneau być może odgadł, kim jest morderca… i przypłacił to życiem.

Zamilkł na chwilę. Niémans obserwował odległe światła zapory policyjnej na drodze. Choć sam się przed sobą do tego nie przyznawał, podzielał te obawy, zwłaszcza po tym, co mu się przyśniło w bibliotece.

– Niech pan nie myśli, że jestem cyniczny, panie komisarzu – odezwał się ponownie Karim. – Od rana krążę między jednym koszmarem a drugim. Teraz znalazłem się tu, w Guernon, gdzie mam do czynienia z zabójcą, który wyłupuje oczy swoim ofiarom. Siedzę naprzeciw Pierre'a Niémansa, sławnego człowieka, jednego z najwybitniejszych w policji francuskiej, który, podobnie jak ja, czuje się zagubiony w całej tej sprawie… Uznałem więc, że nie będę się już niczemu dziwił. Według mnie te morderstwa łączą się bezpośrednio z moim dochodzeniem i proszę mi wierzyć, że nie złożę broni.

Wyszli razem z kawiarenki.

Była już północ. W powietrzu unosiła się lekka mgiełka.

W oddali żandarmi, mimo mżawki, pilnowali zapór. Kierowcy samochodów czekali cierpliwie na pozwolenie przejazdu. Niektórzy z nich wychylali się przez na pół otwarte okna, spoglądając nieufnie na karabiny maszynowe, połyskujące na deszczu.

Z nawyku komisarz spojrzał na swój pager. Jakąś wiadomość miał dla niego Costes. Natychmiast oddzwonił do szpitala.

– Co słychać? Zakończyłeś już sekcję zwłok?

– Niezupełnie, ale chciałbym coś panu pokazać, tu na miejscu.

– Nie możesz mi o tym powiedzieć przez telefon?

– Nie. Czekam na wyniki analiz, które mają nadejść lada moment. Proszę przyjechać. Będą gotowe, kiedy pan się zjawi.

Niémans wyłączył się.

– Coś nowego? – zapytał Karim.

– Może. Muszę się zobaczyć z lekarzem sądowym. A ty co zamierzasz?

– Przyjechałem, żeby przepytać Philippe'a Sertysa. Sertys nie żyje. Przechodzę więc do następnego etapu.

– To znaczy?

– Muszę poznać okoliczności śmierci ojca Judith. Zaginął tu, w Guernon, a jestem prawie pewien, że moje diabły maczały w tym palce.

– O czym myślisz? O morderstwie?

– Dlaczego nie?

Niémans pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Grzebałem w archiwach żandarmerii i komisariatów z całego regionu, w dokumentach z ostatnich dwudziestu pięciu lat. Nigdzie nie znalazłem wzmianki na ten temat. Poza tym Sertys był chłopakiem, kiedy…

– Sprawdzę to. W każdym razie jestem przekonany, że istnieje związek między tą śmiercią i śmiercią jednej z pańskich ofiar.

– Od czego chcesz zacząć?

– Od cmentarza – uśmiechnął się Karim. – To się już stało moją specjalnością, prawdziwą drugą naturą. Chcę się upewnić, że Sylvain Hérault jest rzeczywiście pochowany w Guernon. Skontaktowałem się z Taverlay i odnalazłem ślad narodzin Judith Hérault. Jedyna córka Fabienne i Sylvaina Hérault przyszła na świat w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku tu, w szpitalu uniwersyteckim. To tyle, jeśli chodzi o akt narodzin. Pozostaje do sprawdzenia akt zgonu.

Niémans podał numer swego telefonu komórkowego i pagera.

– W wypadku informacji poufnych korzystaj z pagera.

Karim schował karteczkę i wyrecytował przesadnie poważnym tonem:

– „W śledztwie każdy fakt, każdy świadek jest jak lustro, w którym odbija się prawda o przestępstwie…”

– Co ty pleciesz?

– Chodziłem na pańskie wykłady, komisarzu, kiedy byłem w szkole dla inspektorów.

– I co z tego?

Karim podniósł kołnierz kurtki.

– To mianowicie, że nasze dwa śledztwa pasują do pańskiej teorii luster. – Złożył dłonie razem. – Stanowią lustrzane odbicie. Jestem też pewien, że morderca czeka na nas gdzieś za węgłem.

– Jak będę mógł się z tobą skontaktować?

– To ja się odezwę. Prosiłem o telefon komórkowy, ale w budżecie na rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy w Sarzac nie przewidziano takiego wydatku.

Młody porucznik skłonił się na pożegnanie po arabsku i już go nie było.

Niémans poszedł do swojego samochodu. Jeszcze rzucił okiem na czerwone audi, które ruszyło z miejsca, rozbryzgując kałuże. Nagle poczuł

się stary, znużony, przytłoczony nocą, latami, niepewnością. Jednocześnie jednak czuł się silniejszy, gdyż zyskał sojusznika.

I to sojusznika niezwykłego.

39

Kawałki kryształków mieniły się kolorami tęczy – różowym, niebieskim, zielonym, żółtym. Pod szkiełkiem mikroskopu, w rozproszonym świetle, tworzyły się różnobarwne kształty jak w kalejdoskopie. Niémans podniósł oczy znad mikroskopu i zapytał Costesa:

– Co to jest?

Lekarz odpowiedział takim tonem, jakby sam nie wierzył we własne słowa.

– Szkło, panie komisarzu. Zabójca użył tym razem drobinek szkła.

– Gdzie je umieścił?

– Jak poprzednio, w oczodołach, pod powiekami. Wyglądały jak skamieniałe łzy przyklejone do tkanki.

Znajdowali się w szpitalnej kostnicy. Młody doktor miał na sobie zakrwawioną bluzę. Niémans widział go po raz pierwszy w takim stroju, na tle białych kafelków pokrywających ściany prosektorium. Jego ubiór i to miejsce dodawały mu mrożącej chłodem powagi. Lekarz spojrzał z uśmiechem zza swoich okularów.

– Woda, lód, szkło. Uderzające podobieństwo materii.

– Potrafię jeszcze dostrzegać rzeczy tak ewidentne – burknął Niémans, podchodząc do ciała, które, przykryte prześcieradłem, leżało na środku sali. – Co to oznacza? Na co ma nas naprowadzić? Czy te drobinki szkła wyróżniają się czymś szczególnym?

– Czekam na wyniki analizy, którą robi Astier. Udał się do laboratorium, żeby dokładnie zbadać i określić pochodzenie tych szklanych drobinek. Powinien dostarczyć także analizę proszku i opiłków, które pan znalazł w magazynie. Ma już odpowiedź dotyczącą atramentu z tego notesu. Będzie pan rozczarowany – to po prostu zwykły atrament i nic ponadto. Jeśli zaś chodzi o strony zapisane cyframi, sprawdzono charakter pisma i stwierdzono, że pisał to Sertys.

Niémans przeciągnął dłonią po włosach. Prawie zapomniał o tym, co znalazł w magazynie. Milczeli obaj dłuższy czas. Komisarz odwrócił się do

lekarza i spostrzegł na jego twarzy przebłysk zrozumienia, jakby nagle rozwiązał jakieś równanie matematyczne.

– O co panu chodzi? – zapytał poirytowany.

– Nic takiego. Po prostu woda, lód, szkło. Za każdym razem mamy do czynienia z kryształkami.

– Już mówiłem, że potrafię wyciągać wnioski…

– Ale mają one związek z różnymi temperaturami.

– Nie rozumiem.

Costes splótł dłonie i zaczął wyjaśniać:

– Struktury tych materii sytuują się na różnych szczeblach drabiny temperatur. Raz jest to chłód lodu, innym razem temperatura wody z danego środowiska i wreszcie gorąco piasku, z którego powstaje szkło.

Niémans machnął ręką ze złością.

– I co z tego wynika? Jaki to ma związek z naszymi morderstwami?

Costes wzruszył ramionami i jakby wycofując się znowu do swego cichego kąta, powiedział niezbyt pewnym tonem:

– Nic. Tylko głośno myślałem…

– Opowiedz mi raczej o ranach, jakie zauważyłeś na ciele.

– Poza obcięciem dłoni, reszta wygląda tak jak u Caillois, tyle że bez śladów tortur.

– Sertys nie był torturowany?

– Nie. Najwidoczniej zabójca działał według ustalonego schematu. Wykipienie oczu, obcięcie dłoni, uduszenie. Ale Sertys musiał znacznie bardziej cierpieć, bo zabójca zaczął od obcięcia rąk, potem wyłupił oczy i dopiero wtedy zabił swoją ofiarę.

– Technika uduszenia?

– Taka sama jak poprzednio, panie komisarzu. Użył metalowej linki. Tą samą udusił pierwszą ofiarę. Odciski linii papilarnych są identyczne.

– A jak odciął dłonie?

– Trudno powiedzieć. Mam wrażenie, że znowu użył cienkiego, mocnego drutu, okręcił nim nadgarstki i szarpnął mocno. Nasz poszukiwany to olbrzym, obdarzony przez naturę niezwykłą siłą.

Niémans pogrążył się w myślach. Mimo tak precyzyjnych szczegółów nadal nie mógł wyobrazić sobie zabójcy, nawet jego sylwetki. Coś go w tym krępowało. Myślał o nim i jego nadludzkich umiejętnościach raczej w kategoriach ogólnych.

– Godzina zabójstwa? – zapytał.

– Przy takim mrozie, jaki panuje w lodowcu, nie da się sformułować żadnych wniosków na ten temat.

Nagle drzwi kostnicy otworzyły się z rumorem. Pojawił się w nich wysoki dryblas o anemicznej twarzy, płaskim nosie i jasnych, wytrzeszczonych oczach. Costes dokonał prezentacji. Był to Patrick Astier, chemik, który położył małą plastikową torebkę na blacie stołu prosektoryjnego i tubalnym głosem powiedział:

– Zbadałem skład szkła. Piasek z Fontainebleau, soda, ołów, potas, boraks. Na podstawie proporcji składników można wydedukować jego pochodzenie. To ten rodzaj szkła, jakiego używa się do kamiennych posadzek, na przykład w basenach. Zabójca kieruje nas do miejsca pod szklaną kopułą…

Niémans przypomniał sobie nagle sufit i ściany gabinetu oftalmologa. Zaklął w duchu. To nie mógł być zbieg okoliczności. Edmond Chernecé miał być trzecią ofiarą.

– Gdzie pan idzie? – zawołał Marc Costes do komisarza, który był już przy drzwiach.

Niémans rzucił w odpowiedzi przez ramię:

– Chyba wiem, gdzie zabójca teraz uderzy. Oby nie było za późno.

Astier dogonił go na korytarzu i złapał za rękaw.

– Panie komisarzu, zbadałem także skład proszku z magazynu…

Pierre Niémans spojrzał na chemika przez zapocone okulary.

– Tak?

– Mówię o tym proszku, który pan zebrał w magazynie.

– No i co?

– To resztki kości, panie komisarzu, kości zwierząt.

– Jakich zwierząt?

– Szczurów. Choć to wygląda dziwnie, pański facet, ten Sertys, hodował po prostu gryzonie i…

Niémans wstrząsnął się wewnętrznie. Jakieś kolejne szaleństwo.

– Porozmawiamy o tym, jak wrócę – szepnął.

Niémans uderzał w kierownicę pięścią, pędząc szosą z szybkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Jeśli doktor Edmond Chernecé miał być trzecią ofiara, to oznacza, że był trzecim winnym.

Po Rémym Caillois.

Po Philippie Sertysie.

A jeśli Chernecé był winny, to znaczy, że zamordował Érica Joisneau.

A niech to szlag! Komisarz zagryzał wargi, żeby nie krzyczeć. Roztrząsał w myśli własne błędy, które popełniał od samego początku, analizował swą nieudolność. Nie chciał udać się do instytutu dla niewidomych z powodu idiotycznych uprzedzeń do psów. W ten sposób przegapił pierwszy ważny znak.

Od tego momentu zszedł z właściwej drogi.

Kiedy posuwał się w dochodzeniu powoli jak ślimak, kiedy bawił się na lodowcu w alpinizm i przesłuchiwał matkę Sertysa, Éric Joisneau odwiedził instytut i odkrył tam bardzo ważny element, co doprowadziło go do doktora Chernecé. Niestety młody porucznik działał zbyt gorączkowo i sprawa przybrała niepomyślny dla niego obrót. Chłopak nie przewidział, że jego odkrycie sprowadzi na niego nieszczęście. Nie zachował czujności i wypytywał lekarza o sprawy kluczowe dla śledztwa. Lekarz wyczuł zagrażające mu śmiertelne niebezpieczeństwo i dlatego, bez wątpienia, usunął porucznika.

W głowie Niémansa rodziło się nowe przypuszczenie, a raczej przerażająca pewność, choć nie miał na to jeszcze żadnych dowodów. Caillois, Sertys i Chernecé knuli coś razem. Łączyła ich wspólna wina. Czyjaś śmierć?

JESTEŚMY PANAMI, JESTEŚMY NIEWOLNIKAMI.
JESTEŚMY WSZĘDZIE I NIGDZIE NAS NIE MA.

JESTEŚMY MIERNICZYMI.
UJARZMIAMY PURPUROWE RZEKI.

Czy to możliwe, że „my” odnosi się do tych trzech mężczyzn? Czy to możliwe, że Caillois, Sertys i Chernecé są tymi, którzy ujarzmiają purpurowe rzeki? Że zawiązali spisek przeciwko całemu miastu i że ten spisek jest motywem dokonanych do tej pory zabójstw?

40

Tym razem drzwi były uchylone. Niémans od razu skierował się na prawo i wszedł do oszklonej werandy. Półmrok. Cisza. Instrumenty optyczne połyskiwały złowrogo. Komisarz wydobył rewolwer i z bronią w ręku obszedł całe pomieszczenie. Nikogo. Tylko cienie drzew, odbijając się od przezroczystych ścian, tańczyły po podłodze.

Wrócił do części mieszkalnej. Omiótł wzrokiem poczekalnię pogrążoną w ciemnościach, potem przeszedł przez marmurowy westybul, gdzie w koszu na parasole stały laski z gałkami z kości słoniowej i zwierzęcych rogów. Odnalazł salon zatłoczony masywnymi meblami i tapetami z ciężkich tkanin, następnie urządzone niemodnie sypialnie z królującymi drewnianymi łożami. Nikogo. Ani śladu walki. Żadnych oznak ucieczki.

Niémans, nadal trzymając swój MR73, schodami wszedł na pierwsze piętro. Zajrzał do małego gabinetu, w którym pachniało politurą do podłóg i cygarami. Na podniszczonym dywaniku stały walizki z miękkiej skóry ze złotymi zamkami.

Komisarz zrobił kilka kroków naprzód. Cuchnęło tu na odległość grozą i śmiercią. Przez owalne okno ujrzał wierzchołki drzew miotane wichurą. Po sekundzie namysłu doszedł do wniosku, że wychodzi ono na oszklony dach werandy. Otworzył gwałtownie okno i popatrzył w dół.

Krew zastygła mu w żyłach. Na zalanych deszczem szklanych płytkach dachu widoczne było lekko zamazane odbicie ciała doktora Chernecé. Ramiona rozłożone, nogi złączone jak u Chrystusa na krzyżu. Jak męczennik z obrazu namalowanego zielonym gwaszem.

Niémansowi krzyk uwiązł w gardle. Patrzył w ten obraz, zastanawiając się, gdzie może znajdować się ciało. Nagle dostrzegł załamujący się promień światła i wychylił się mocno przez okno. Spojrzał do góry i dostrzegł je zawieszone nad oknem dachowym.

Edmond Chernecé przytwierdzony był do ściany głównej fasady budynku. Obraz grozy w podmuchach słabnącego wiatru.

Komisarz dopadł drewnianych wąskich schodów i potykając się, wbiegł na strych. Kolejne okno. Otworzył je z pośpiechem i chwycił się rynny dachowej, przypatrując się z bliska zwłokom Edmonda Chernecé.

Twarz doktora pozbawiona była oczu. Otwarte, poranione oczodoły smagał wiatr z deszczem. Z szeroko rozpostartych ramion sterczały krwawe kikuty. Zwłoki podtrzymywała w tej pozycji plątanina błyszczących, poskręcanych kabli, które zostawiły na ciele głębokie szramy. Niémans, z głową wystawioną na ulewny deszcz, podliczał dotychczasowe ofiary.

Rémy Caillois.

Philippe Sertys.

Edmond Chernecé.

Utwierdzał się w swoim przekonaniu: te morderstwa nie zostały popełnione przez perwersyjnego homoseksualistę z powodu wyglądu fizycznego lub twarzy ofiar; nie był to też seryjny morderca, który w porywie szału zabijał niewinnych ludzi; to był racjonalnie myślący zabójca, który pozbawiał swoje ofiary najważniejszych biologicznych znaków, identyfikujących każdego człowieka; kierował nim konkretny motyw, a była to zemsta.

Niémans cofnął się do wnętrza strychu. W tym domu śmierci panowała taka cisza, że słyszał, jak krew pulsuje mu w żyłach. Wiedział, że to nie koniec jego poszukiwań i że ostatnim akcentem tego koszmaru będzie ciało Joisneau, znajdujące się gdzieś w tym domu.

Kilka godzin przedtem, zanim został zabity, Chernecé też popełnił morderstwo.

Niémans sprawdził każde pomieszczenie, zajrzał do wszystkich mebli, do każdej wnęki. Wrócił do kuchni, salonu, sypialni. Potem odkrył na parterze, pod schodami, drzwiczki obite tapetą. Szarpnął je z całej siły i wyrwał z zawiasów. Za nimi ukazało się zejście do piwnicy.

Zbiegając po stopniach w dół, odtwarzał w pamięci wydarzenia: jeżeli o godzinie dwudziestej trzeciej zaskoczył doktora w podkoszulku i kalesonach, oznaczało to, że dokonał on przed chwilą krwawej operacji – zabił Joisneau. Dlatego wyłączył telefon. Z tego samego powodu robił porządki w gabinecie, gdzie zapewne zranił śmiertelnie młodego porucznika jednym ze swych chromowanych noży chirurgicznych, które, jak komisarz wówczas zauważył, leżały równiutko ułożone w chińskim

pudełku. Z tej samej przyczyny przebierał się w nowy garnitur i przygotował bagaże do wyjazdu.

A on, głupi i ślepy, wypytywał kata, który właśnie zakończył swe ponure dzieło.

W piwnicy komisarz ujrzał żelazne półki pokryte pajęczyną, na których stały setki butelek z winem. Ciemne od spodu, zalakowane, z brunatnoczerwonymi etykietkami. Komisarz przeszukał każdy zakątek piwnicy, przesuwał beczki, zaglądał między żelazne półki, z których pospadało wiele butelek. Z rozlewających się na podłodze kałuż rozniósł się odurzający zapach wina.

Spocony, klnąc i spluwając, natrafił wreszcie na kanał zastawiony metalowymi ściankami. Szarpnięciem otworzył drzwiczki.

Ciało Joisneau leżało do połowy zanurzone w jakimś czarnym, żrącym płynie. Wokół niego pływały plastikowe zielone butelki. Chemikalia już dokonały częściowo straszliwego spustoszenia, wypierając z ciała gazy, wżerając się w nie i rozpuszczając tkanki, unicestwiając stopniowo istotę fizyczną, którą był Éric Joisneau, porucznik wydziału śledczego komendy policji w Grenoble. W otwartych oczach tego młodego chłopaka, które wydawały się wpatrzone w komisarza, połyskiwało odbite od ścian koszmarnego grobowca słabe światło.

Niémans cofnął się z krzykiem. Poczuł, jak wnętrzności podchodzą mu do gardła. Chwyciwszy się żelaznej półki, zwymiotował, wypluwając z siebie wściekłość i wyrzuty sumienia przy szczęku rozbijanych butelek i plusku rozlewającego się wina.

Nie potrafiłby powiedzieć, jak długo stał tutaj w oparach alkoholu i kwasu. Kiedy się ocknął, w jego umyśle z wolna, jak fala przypływu, czarna i groźna, zaczęła się krystalizować ostateczna prawda, która nie miała nic wspólnego z egzekucją Joisneau, ale rzucała nowe światło na serię morderstw w Guernon.

Marc Costes zwrócił mu uwagę na podobieństwo trzech materii: wody, lodu i szkła. Niémans pojął teraz, że najważniejsze było otoczenie, w którym znajdowano ciała.

Rémy Caillois został znaleziony poprzez odbicie w wodzie rzeki.

Philippe Sertys poprzez odbicie w lodzie.

Edmond Chernecé poprzez odbicie w szkle dachu.

Zabójca tak zaaranżował scenerię morderstw, żeby najpierw odkrywano odbicie, a dopiero potem zwłoki.

Co to miało znaczyć?

Dlaczego zabójca dokładał tylu starań, by uzyskać taki podwójny efekt?

Niémans nie umiał wyjaśnić motywów takiego działania, ale domyślał się związku między tą dwoistością, tymi odbiciami, odcinaniem rąk, wyłupywaniem oczu, co pozbawiało ciała ich jedynej, niepowtarzalnej osobowości. Domyślał się podwójnego mechanizmu, wspólnego dla tego samego wyroku, wydanego przez trybunał, który nie przewidywał prawa do apelacji – całkowita destrukcja osobowości skazanych.

Co zrobili ci ludzie, że uczyniono z nich tylko odbicia ich jestestw, że pozbawiono ich ciała wszelkich cech odróżniających je od innych?

Część VIII

41

Cmentarz w Guernon nie przypominał cmentarza z Sarzac. Stele z białego marmuru wyglądały jak małe góry lodowe, ustawione symetrycznie na gęstym trawniku. Na wszystkich pomnikach stały, niczym baletnice na puentach, różnorakiego rodzaju krzyże. Odrobinę nieregularności wprowadzały tylko zwiędłe, pożółkłe liście, rozsypane na szmaragdowej trawie. Karim Abdouf przemierzał każdą alejkę, metodycznie, cierpliwie, odczytując nazwiska, epitafia, wygrawerowane w marmurze, kamieniu lub żelazie.

Mijała już godzina, a on jeszcze nie odnalazł grobu Sylvaina Héraulta.

Idąc między rzędami grobów, myślał o swoim dochodzeniu i o nieoczekiwanych wydarzeniach ostatnich godzin. Przyjechał do tego miasta, jak mógł najszybciej. Bez żadnych skrupułów podwędził wspaniałe audi. Celem jego śledztwa było znalezienie i zatrzymanie włamywaczy cmentarnych, a tymczasem został wciągnięty w sprawę seryjnych morderstw. Kiedy przeczytał dossier śledztwa prowadzonego przez Niémansa, musiał przyznać, że jego dochodzenie miało dość złożony charakter. Włamanie do szkoły i do grobowca w Sarzac odsłoniły tragiczny los pewnej rodziny. A teraz okazywało się, że łączy się to z serią zabójstw w Guernon. Ponieważ Philippe Sertys odgrywał rolę elementu wiążącego obie sprawy, Karim postanowił szukać dalej na własną rękę, dopóki nie znajdzie następnych wspólnych punktów.

Jednak nie tajemnicza spirala wydarzeń fascynowała go najbardziej, lecz fakt, że znalazł się u boku Pierre’a Niémansa, komisarza, którego wykłady w Cannes-Écluse wywarły na nim tak wielkie wrażenie, policjanta z teorią luster i atomowej struktury przestępstwa. Człowieka doświadczonego, brutalnego, porywczego, zawziętego. Doskonałego dochodzeniowca, który w swoim środowisku zajmował szczególną pozycję, a mimo to został odsunięty z powodu nieopanowanego charakteru i aktów niemal chorobliwej brutalności. Karim nie przestawał myśleć o tej nowej znajomości. Był oczywiście z niej dumny i nią podekscytowany.

Jednocześnie odczuwał pewien niepokój, że myślał o tym człowieku właśnie dzisiaj, kilka godzin przed ich spotkaniem.

Karim kończył przegląd ostatniej alejki cmentarza. Jak dotąd nie odnalazł grobu Sylvaina Héraulta. Nie pozostawało mu nic innego, tylko złożyć wizytę w krematorium, budynku o wyglądzie kaplicy z podniszczonymi kolumnami. Trzeba zawsze badać każdy najmniejszy trop. Wewnątrz ujrzał szeroki korytarz z licznymi urnami, na których widniały wygrawerowane nazwiska i daty. Przeszedł do sali kremacji, rzucając ukradkowe spojrzenia na prawo i lewo. Zobaczył szereg małych drzwiczek, przypominających skrzynki na listy, z różnymi napisami i rysunkowymi motywami. W niektórych niszach leżały podwiędłe wiązanki kwiatów. Usłyszał monotonny szmer odmawianej gdzieś litanii. W głębi, na marmurowej tablicy, wyryty został tekst modlitwy.

Karim szedł dalej. Od ścian wiało wilgotnym chłodem. Czasami musiał omijać maleńkie kolumny z gipsu, obsypane zwiędłymi płatkami kwiatów.

I wtedy dostrzegł tę nagrobną płytkę. Podszedł bliżej i przeczytał: Sylvain Hérault. Urodzony w lutym 1951 roku. Zmarły w sierpniu 1980 roku. Karim nie podejrzewał, że ojciec Judith został poddany kremacji. Nie pasowało to do przekonań religijnych Fabienne.

Ale najbardziej zaskoczyły go leżące w okienku niszy kwiaty – czerwone, żywe, pokryte kropelkami rosy. Karim dotknął płatków – ten bukiet został tu dziś położony. Karim odwrócił się i pstryknął palcami.

Ciągle nowe tajemnice.

Opuścił cmentarz i poszedł wzdłuż okalającego go muru w poszukiwaniu stróża. Zobaczył mały, podniszczony domek przylegający do krematorium.

Karim bezszelestnie otworzył bramę i wszedł na teren ogrodu osłoniętego od góry kratą, co przypominało ogromną klatkę. Usłyszał dochodzące skądś gruchanie. A co to znowu za dziwy?

Zrobił kilka kroków – gruchanie stało się głośniejsze i dołączył się do niego trzepot skrzydeł. Porucznik zmrużył oczy i spojrzał na mur z wnękami, które przypominały mu krematorium. Gołębie. Setki szarych gołębi, które spały pod ciemnozielonym listowiem. Wszedł po trzech stopniach i zadzwonił do drzwi. Otworzyły się prawie natychmiast.

– Czego tu szukasz, łobuzie?

Jakiś mężczyzna trzymał wycelowaną w niego strzelbę.

– Jestem z policji – powiedział Karim spokojnym głosem. – Mogę pokazać panu moją legitymację…

– Jasne, ty przybłędo. A ja jestem Duch Święty. Nie ruszaj się!

Karim zaczął schodzić tyłem ze schodów. Obraźliwe słowo podziałało na niego jak prąd elektryczny. I bez tego miał ochotę kogoś zamordować.

– Ostrzegam cię, nie ruszaj się! – wrzasnął grabarz, mierząc ze strzelby w twarz porucznika. W kącikach jego warg ukazały się kropelki śliny.

Karim znowu powoli się cofnął. Grabarz zatrząsł się i zszedł także stopień niżej. Trzymał strzelbę jak dodający sobie animuszu chłop, który widłami zamierza się na wampira w jakimś kiczowatym filmie. Za nimi gołębie trzepotały skrzydłami, jakby wyczuwając napięcie wiszące w powietrzu.

– Rozwalę ci łeb, ty…

– Zdziwiłbym się bardzo, tatusku. Twoja broń jest nienaładowana.

Grabarz ryknął śmiechem, rozpryskując ślinę.

– Czyżby? Naładowałem ją dzisiaj wieczorem, ty wypierdku.

– Możliwe, ale nie wprowadziłeś naboju do lufy.

Grabarz spojrzał na swoją strzelbę. Karim wykorzystał ten moment. Jednym susem pokonał dwa stopnie i lewą ręką odsunął wycelowaną w niego broń, a prawą wydobył swojego glocka. Pchnął grabarza na futrynę drzwi i przycisnął jego dłoń do kantu muru.

Grabarz ryknął z bólu i wypuścił strzelbę z ręki. Kiedy podniósł wzrok, ujrzał czarny wylot lufy pistoletu wycelowanego w swoje czoło z odległości zaledwie kilku centymetrów.

– Słuchaj, ty pieprzony kretynie – wydyszał Karim. – Potrzebuję informacji. Odpowiesz mi na kilka pytań i spływam stąd, nie robiąc ci krzywdy. A jeśli wykręcisz jakiś numer, sprawa się skomplikuje, i to bardzo, zwłaszcza dla ciebie. No więc jak, skapowałeś?

Grabarz, nie na żarty przerażony, kiwnął potakująco głową. Ulotniła się z niego cała agresja, a na twarz wystąpił rumieniec, który Karim znał bardzo dobrze i nazywał „rumieńcem strachu”. Przydusił jeszcze mocniej grabarza.

– Sylvain Hérault. Sierpień tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Był skremowany. Gadaj.

– Hérault? – wybełkotał grabarz. – Nie słyszałem.

Karim przyciągnął go do siebie i pchnął ponownie na kant ściany. Grabarz jęknął. Krew z jego karku opryskała cegły. Przerażone gołębie wyfrunęły z wnęk w murze i uwięzione w żelaznej klatce miotały się na wszystkie strony. Karim powtórzył cicho:

– Sylvain Hérault. Jego żona jest bardzo wysoka. Brunetka. Kręcone włosy. Nosi okulary. Jest bardzo piękna. Podobnie jak jej córka. Zastanów się.

Grabarz zwiesił głowę, podrygując nerwowo.

– Dobra, przypominam sobie… to był bardzo dziwny pogrzeb… I nikt nie przyszedł.

– Jak to nikt?

– Tak jak mówię, nawet ta kobieta nie przyszła. Zapłaciła mi z góry za kremację i nikt więcej nie widział jej w Guernon. Spaliłem ciało. Byłem zupełnie sam.

– A ten człowiek jak umarł?

– Wypadek… Wypadek… samochodowy.

Karim przypomniał sobie autostradę i wstrząsające zdjęcia ciała dziecka. Wypadek na drodze – nowy lejtmotyw, kolejny powtarzający się element. Rozluźnił ucisk na szyi grabarza. Gołębie latały bezładnie w kółko, rozbijając się o kratę.

– Jak to się stało? Co o tym wiesz?

– To się zdarzyło na drodze departamentowej do Belledonne. Jechał rowerem… do pracy… Kierowca musiał być pijany…

– Było jakieś dochodzenie?

– Nie wiem… W każdym razie nie znaleziono sprawcy… Ciało leżało na szosie, kompletnie zmiażdżone.

– Twierdzisz, że jechał do roboty. – Karim czuł się zdezorientowany. – Do jakiej roboty?

– Harował ciężko wysoko w górach. Był poszukiwaczem kryształów…

– Co to znaczy?

– To faceci, którzy szukają drogocennych kryształów górskich… Był chyba najlepszy, ale bardzo ryzykował…

– Dlaczego nikt z Guernon nie przyszedł na pogrzeb? – zapytał Karim, wracając do poprzedniego wątku.

Grabarz rozcierał obolałą szyję. Od czasu do czasu rzucał wystraszone spojrzenie na swoje poranione gołębie.

– Oni byli tutaj nowi… Przyjechali z innej miejscowości… z Taverlay… w górach… Mało kto ich znał i pewnie dlatego nie było nikogo na pogrzebie.

Karim przeszedł do ostatniej sprawy.

– Przy urnie leży bukiet kwiatów. Kto je położył?

Grabarz powiódł dokoła wystraszonym wzrokiem. Na ramiona spadł mu umierający ptak.

– Zawsze są kwiaty przy… – wymamrotał przestraszony.

– Kto je położył? – powtórzył pytanie Karim. – Czy ta wysoka kobieta? Kobieta z gęstymi czarnymi włosami? Czy to sama Fabienne Hérault?

Stary zaprzeczył energicznie głową.

– No więc kto?

Grabarz zawahał się, jakby bojąc się wymówić słowa, które miał już na końcu języka. Piórka gołębie opadały jak szary śnieg.

– To Sophie… Sophie Caillois – wyjąkał w końcu.

Karim czuł się oszołomiony. Niespodziewanie pojawiło się nowe powiązanie między dwiema sprawami.

– Kto? – zapytał z niedowierzaniem.

– Przecież mówię… – czknął stary. – Żona Rémy’ego Caillois. Przychodzi tu w każdym tygodniu… Dwa albo więcej razy… Kiedy usłyszałem w radiu o morderstwie, chciałem powiedzieć o tym żandarmom… przysięgam… Może to ma jakiś związek z morderstwem…

Karim pchnął starego na kraty, między jego ptactwo. Kopnięciem otworzył żelazną furtkę i pobiegł do samochodu. Serce waliło mu jak dzwon.

42

Karim dojechał aż do samego budynku uniwersytetu. Natychmiast zauważył policjanta stojącego przed głównym wejściem. Zapewne miał pilnować Sophie Caillois. Karim, z obojętną miną, pojechał więc dalej, okrążył budynek i odnalazł wyjście zapasowe – brzydkie, oszklone dwuskrzydłowe drzwi pod obtłuczonym betonowym daszkiem, byle jak pokrytym arkuszami plastiku. Zatrzymał samochód sto metrów dalej i spojrzał na plan uniwersytetu, który wziął z kwatery głównej Niémansa. Pod numerem 34 zaznaczone było mieszkanie małżeństwa Caillois.

Wyszedł na deszcz i ruszył w kierunku drzwi. Przysłoniwszy ręką oczy, zajrzał przez szybę do środka. Drzwi były zaryglowane zakrzywioną wajchą, starego typu, zabezpieczającą przed kradzieżą motocykle. Deszcz przybrał na sile, bębniąc o plastik w rytmie muzyki techno. Taki hałas sprzyjał włamaniu. Karim cofnął się i rozbił szybę jednym uderzeniem obcasa.

Wszedł do wąskiego korytarza, a po chwili znalazł się w ogromnym, ciemnym holu. Zerknął przez okno i dostrzegł tego samego policjanta, który drżąc z zimna, pilnował budynku od frontu. Karim przemknął do klatki schodowej i wbiegł na schody, przeskakując po kilka stopni naraz. Dzięki lampkom bezpieczeństwa nie musiał zapalać światła. Starał się poruszać tak, żeby nie wywołać rezonansu w wiszących stopniach i metalowych tralkach poręczy.

Na ósmym piętrze, gdzie mieszkali studenci, panowała cisza. Karim zagłębił się w korytarz, posługując się cały czas planem z uwagami Niémansa. Odczytywał nazwiska nagryzmolone pod pięcioma dzwonkami. Pod stopami czuł miękkie linoleum.

Mimo iż była druga nad ranem, spodziewał się usłyszeć muzykę, radio, cokolwiek, co przypomniałoby mu atmosferę internatów. Ale nic takiego nie słyszał. Może studenci pochowali się w swoich pokoikach ze strachu, że zabójca przyjdzie wyłupać im oczy? Karim szedł dalej. Wreszcie odnalazł

drzwi, których szukał. Zawahał się, czy użyć dzwonka, potem lekko zapukał.

Żadnej odpowiedzi.

Zapukał cicho ponownie. Nikt się nie odzywał. Żadnego dźwięku wewnątrz. Nawet najmniejszego szmeru. Dziwne. Obecność funkcjonariuszy pilnujących wejścia na dole świadczyła, że Sophie Caillois powinna być u siebie.

Karim odruchowo wydobył swego glocka i obejrzał zamek. Drzwi nie były zaryglowane. Nałożył gumowe rękawiczki i wyciągnął z kieszeni zestaw wytrychów z polimeru. Wsunął jeden z nich pod zapadkę głównego zamka i jednocześnie naparł na drzwi, podciągając je do góry. Po kilku sekundach były otwarte. Bezszelestnie wszedł do środka.

Sprawdził wszystkie pomieszczenia. Nikogo. Szósty zmysł podpowiadał mu, że ta kobieta uciekła i nie ma zamiaru wrócić. Rozpoczął bardziej szczegółowe przeszukiwanie. Na ścianach zauważył niezwykłe czarno-białe zdjęcia, przedstawiające zawodników z twarzami faszystów, ćwiczących na kółkach lub biegnących wokół stadionu. Rzucał okiem na meble, sprawdzał szuflady. Nic. Sophie Caillois nie zostawiła żadnej informacji, niczego, co mogłoby zdradzić, iż uciekła, ale Karim czuł, że ta kobieta zabrała się stąd na dobre i że on nie może jeszcze opuścić tego mieszkania. Coś nie pozwalało mu stąd wyjść. Obrócił się dokoła, wytężając wszystkie zmysły.

W końcu znalazł coś interesującego.

Wyczuł ostry zapach kleju do tapet. Obszedł wszystkie ściany i dokładnie je obejrzał. Dlaczego Caillois zmienili tapety kilka dni przed morderstwem? Czy to zwykły przypadek? Karim odrzucił tę ewentualność. W tej sprawie nie było miejsca na przypadek, każdy najmniejszy element musiał pasować do koszmarnej całości.

Wiedziony impulsem odsunął kilka mebli i odkleił pierwszy z brzegu arkusz tapety. Nic. Karim zawahał się: to nie jego rejon i nie miał nakazu rewizji. Wtargnął do mieszkania kobiety, która była jedną z pierwszych na liście podejrzanych. Wahał się jeszcze przez sekundę, po czym oderwał kolejny kawałek tapety. Nic. Odwrócił się i zaczął zrywać tapetę ze ściany naprzeciw. Kiedy oderwał spory kawałek, odsłoniła się poprzednia warstwa.

Karim ujrzał na murze końcowy fragment jakiegoś napisu. Był w stanie odczytać tylko jedno słowo: PURPUROWY. Oderwał więc arkusz

zasłaniający resztę napisu. Pod smugami kleju pojawił się cały dwuwiersz:

WEJDĘ ZNOWU DO ŹRÓDŁA PURPUROWYCH RZEK

JUDITH

Pismo było dziecięce, a zamiast atramentu posłużono się krwią. Napis wyryto nożem w gipsie. Zabójstwo Rémy'ego Caillois. „Purpurowe rzeki". Judith. Już nie chodziło o związek, relacje, echa. Od tego momentu dwie sprawy stały się jedną.

Nagle usłyszał jakiś szmer za plecami. Karim odwrócił się natychmiast, trzymając glocka w obu rękach. Zdążył tylko dostrzec jakiś cień, który zniknął w uchylonych drzwiach. Krzyknął i wyskoczył za nim.

Sylwetka uciekającego rozpłynęła się w mroku korytarza. Odgłos szybkich kroków wzbudził panikę wśród mieszkańców internatu, którzy jakby tylko czekali na najmniejszą oznakę niebezpieczeństwa. Otwierali drzwi swych pokoi i rozglądali się ukradkiem po korytarzu.

Karim dopadł pierwszego zakrętu. Usłyszał tupot nóg na stopniach wiszących schodów.

Skoczył w tamtą stronę. Metalowe tralki wibrowały na całej wysokości klatki schodowej, gdy uciekający cień zbiegał po granitowych stopniach. Karim rzucił się w ślad za nim. Jego podkute buty ledwo dotykały stopni, gdy pokonywał kolejne piętra.

Był szybszy i od uciekającego dzieliło go już tylko kilka metrów. Znajdowali się obaj na tym samym piętrze, przedzielała ich tylko metalowa poręcz krętych schodów. Porucznik widział plecy zbiega ubranego w czarny, błyszczący kombinezon. Wyciągnął rękę i złapał go za ramię, ale nie dość mocno. Zbieg wyrwał mu się. Karim ścigał go dalej. Stracił jednak kilka sekund.

Dotarł do holu. Było tu pusto i cicho. Karim dojrzał na zewnątrz wartownika, który nie ruszył się z miejsca. Rzucił się w kierunku zapasowych drzwi, którymi się tu dostał. Nikogo. Ściana deszczu zasłaniała wszystko po horyzont.

Karim zaklął. Przecisnął się przez wybitą szybę i rozejrzał po kampusie, tonącym w szarych strugach ulewy. Ani jednego człowieka, ani jednego samochodu. Tylko zgrzyt plastikowej osłony na betonowym daszku,

szarpanej gwałtownym wiatrem. Karim opuścił broń i zawrócił. Pozostała mu tylko nadzieja, że cień był jeszcze wewnątrz budynku.

Nagle coś go pchnęło na oszklone drzwi. Przez krótki moment nie wiedział, co się z nim dzieje, i wypuścił broń z ręki. Zalała go lodowata fala. Kuląc się przy ziemi, spojrzał do góry i zrozumiał, że betonowy daszek pod ciężarem wody oberwał się i spadł na niego.

Uznał to za przypadek.

Jednak za kawałkiem plastiku, zwisającym z daszku na dwóch cienkich linkach, pojawił się czarny, błyszczący cień.

Postać ubrana w obcisły, lśniący kombinezon z polikarbonu, w czapce narciarskiej zakrywającej twarz i szyję, trzymając w obu rękach glocka Karima, mierzyła prosto w niego.

Zaskoczony porucznik aż otworzył usta, nie mogąc wydobyć z nich ani słowa.

Nagle nieznajomy zaczął strzelać. Karim skulił się i osłonił twarz rękami. Krzyczał bezdźwięcznym głosem, podczas gdy huk wystrzałów mieszał się z brzękiem tłuczonego szkła i szumem ulewy.

Karim machinalnie policzył szesnaście wystrzałów i gdy jeszcze na ziemię spadały ostatnie łuski, zdobył się na wysiłek, żeby otworzyć oczy. Zdążył zobaczyć, jak napastnik nagą ręką odrzuca broń i znika za kurtyną deszczu. Była to ręka opalona, silna, ze śladami zadrapań, z opatrunkiem i krótkimi paznokciami.

Ręka kobiety.

Karim popatrzył na swojego glocka, z którego lufy wydobywał się jeszcze dym. Potem spojrzał na chropowatą powierzchnię kolby. W głowie ciągle huczały mu odgłosy wystrzałów. Wyczuwał ostry zapach prochu. Kilka sekund później przybiegł z pistoletem w ręku policjant pilnujący głównego wejścia.

Karim nie słuchał jego rozkazów, nerwowych pokrzykiwań. Po całym tym koszmarze uświadomił sobie dwie rzeczy.

Po pierwsze – morderczyni darowała mu życie.

Po drugie – miał odciski jej palców.

43

– Co pan robił w mieszkaniu Sophie Caillois? Jest pan poza swoim rejonem, naruszył pan wszelkie elementarne prawa, moglibyśmy…

Karim przyglądał się łysej czaszce i szkarłatnej ze złości twarzy kapitana Vermonta. Powoli się uspokajał. Z trudem udając skruszonego, powiedział:

– Wyjaśniłem już wszystko kapitanowi Barnesowi. Morderstwa w Guernon łączą się ze śledztwem, które prowadzę w pewnej sprawie w moim mieście, Sarzac, departament Lot.

– Nic o tym nie wiem. To nie usprawiedliwia pańskiej obecności w mieszkaniu naszego ważnego świadka i włamania do budynku.

– Uzgodniłem z komisarzem Niémansem…

– Niech pan zapomni o Niémansie. – Vermont wskazał na leżący na biurku dokument z decyzją sądową. – Przed chwilą przybyli funkcjonariusze z policji śledczej w Grenoble.

– Naprawdę?

– Teraz wezmą pod lupę komisarza Niémansa. Poprzedniego wieczoru zmasakrował pewnego angielskiego chuligana po meczu w Parc des Princes. Sprawa przybrała dla niego zły obrót. Odwołują go z powrotem do Paryża.

Karim zrozumiał teraz, dlaczego Niémans prowadził dochodzenie w tym mieście. Żelazny komisarz wolał, żeby o nim zapomniano po kolejnym wybryku. Nie wyobrażał sobie jednak, żeby Niémans pokornie wrócił do Paryża jeszcze dziś w nocy. Na pewno nie pozostawi niewyjaśnionej do końca sprawy tylko po to, żeby stawić się w wydziale kontroli wewnętrznej lub w Palais Bourbon. Pierre Niémans najpierw musi znaleźć mordercę i poznać jego motywy. A on, Karim, pozostanie u jego boku. Zrobił jednak minę, jakby zgadzał się z miejscowym żandarmem.

– Chłopcy z policji śledczej już przejęli dochodzenie?

– Jeszcze nie – odparł Vermont. – Musimy ich dopiero wprowadzić w sprawę.

– Wygląda na to, że Niémans nie będzie wam potrzebny.

– Myli się pan. To chory człowiek, ale dobrze zna świat przestępczy. Czuje się w nim jak ryba w wodzie. Z tymi glinami z Grenoble trzeba będzie zacząć od zera. A dokąd dojdziemy, nie wiadomo.

Karim pochylił się nad biurkiem kapitana.

– Proszę zadzwonić do komisarza Henriego Croziera z komisariatu policji w Sarzac i sprawdzić to, co powiedziałem. Czy to mój rejon, czy nie, ale prowadzone przeze mnie śledztwo wiąże się z zabójstwami w Guernon. Jedna z ofiar, Philippe Sertys, dokonała minionej nocy profanacji na cmentarzu w moim mieście, na krótko przed swoją śmiercią.

Vermont skrzywił się sceptycznie.

– Proszę napisać raport. Ofiary, które profanują cmentarze. Policjanci, którzy przybywają nie wiadomo skąd. Jeśli pan uważa, że ta sprawa nie jest już wystarczająco skomplikowana… ja…

– Morderca uderzył po raz trzeci.

Karim odwrócił się. W uchylonych drzwiach stał Niémans. Miał trupio bladą twarz i był wyraźnie przybity. Abdouf pomyślał o rzeźbach na grobowcach, które oglądał przed kilkoma godzinami.

– Edmond Chernecé – ciągnął Niémans. – Oftalmolog z Annecy. – Podszedł do biurka i spojrzał najpierw na Karima, a potem na Vermonta. – Uduszony kablem. Bez oczu. Bez rąk. Ta seria jeszcze się nie skończyła.

Vermont odsunął się z krzesłem pod ścianę.

– Przecież mówiono panu. Wszyscy to mówili… – powiedział cichym głosem.

– Co takiego?! Co mi mówiono?! – zawołał Niémans.

– Że to seryjny morderca. Psychopata. Jak w Ameryce! Trzeba zastosować tamtejsze metody. Ściągnąć specjalistów. Sporządzić portret psychologiczny… Nawet ja, żandarm z prowincji…

Niémans przerwał mu:

– To seria zabójstw, ale nie chodzi tu o seryjnego zabójcę! To nie jest wariat. On dokonuje zemsty. Ma racjonalny motyw, który wiąże się z ofiarami. Między tymi trzema mężczyznami musi istnieć jakiś związek, który stał się powodem ich śmierci!

Vermont milczał z wyrazem znużenia na twarzy. Karim skorzystał z chwili ciszy:

– Panie komisarzu, proszę mi pozwolić…

– To nieodpowiedni moment.

Niémans wyprostował się i wygładził nerwowym gestem zagniecenia na swoim płaszczu. Karim jednak nie dał za wygraną:

– Sophie Caillois zniknęła.

Komisarz spojrzał na niego sponad okularów.

– Co takiego? Przecież ustawiliśmy człowieka przed…

– Nic nie zauważył. Moim zdaniem ona jest już daleko.

Niémans patrzył na Karima tak, jakby zobaczył go po raz pierwszy.

– A co to znowu za historia? – zapytał. – Dlaczego uciekła?

– Bo miał pan od początku rację. – Karim mówił do komisarza, ale nie spuszczał oczu z Vermonta. – Ofiary miały wspólną tajemnicę, związaną z morderstwami. I być może Sophie Caillois stanie się następną ofiarą mordercy.

– A niech to szlag…

Niémans przetarł okulary. Chwilę się zastanawiał, po czym gestem nieznoszącym sprzeciwu kazał Karimowi iść za sobą.

– Mam nowe wieści, komisarzu. W mieszkaniu Caillois natrafiłem na napis wyryty na jednej ze ścian. Podpisany imieniem „Judith”, mówi o „purpurowych rzekach”. Szukał pan powiązania między ofiarami. Ma je pan: Caillois, Sertys i Judith – moja dziewczynka bez twarzy. Caillois otrzymał wiadomość podpisaną tym imieniem.

Komisarz skierował się ku drzwiom.

– Chodź ze mną.

Vermont zerwał się i krzyknął, pieniąc się ze złości:

– Pan już nie prowadzi tego śledztwa, Niémans! Zabrano je panu! Rozumie, pan? Pan już tu nic nie znaczy… Jest pan nikim! Jak powietrze, jak dym! Niechże pan sobie słucha teraz idiotyzmów tego opryszka… Przybłęda i złodziejaszek… Piękny zespół! Ja…

Niémans wszedł do pustego gabinetu kilka pokoi dalej. Pociągnął za sobą Karima, zapalił światło i zamknął drzwi, odgradzając się od perorującego żandarma. Wziął krzesło i podsunął drugie Karimowi.

– Teraz mogę cię wysłuchać.

44

Karim nie usiadł. Zaczął mówić podekscytowany:

– Napis na ścianie brzmiał następująco: „Wejdę znowu do źródła purpurowych rzek”. Zamiast atramentu użyto krwi, a w charakterze dłuta – noża. Takie coś może napędzić strachu na całe życie. Tym bardziej że pod tym ostrzeżeniem widniał podpis: „Judith”. Nie mam najmniejszej wątpliwości, że chodzi o Judith Hérault. Imię i nazwisko dziewczynki zmarłej w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku.

– Nic z tego nie pojmuję.

– Ja też nie – westchnął Karim. – Mogę sobie jednak wyobrazić kilka faktów, które miały miejsce w ten weekend.

Niémans, który również stał, pokiwał z wolna głową.

– Oto one – ciągnął Abdouf. – Zabójca najpierw eliminuje Rémy’ego Caillois. Załóżmy, że stało się to w sobotę. Torturuje swoją ofiarę, po czym przytwierdza ciało do skały. Po co ten cały teatr, nie mam pojęcia. Nazajutrz zajmuje stanowisko gdzieś w kampusie z zamiarem śledzenia Sophie Caillois. Dopiero koło południa dziewczyna wychodzi, być może zaniepokojona, że mąż nie wraca z gór. W tym czasie zabójca dostaje się do jej mieszkania i zostawia na ścianie świadectwo swojej winy: „Wejdę znów do źródła purpurowych rzek”.

– I co dalej?

– Po powrocie do domu Sophie Caillois znajduje ten napis. Domyśla się, co znaczą te słowa. Przypomina sobie jakieś wydarzenia z przeszłości i podejrzewa, że jej mąż został zabity. Wpada w panikę, łamie zakaz tajemnicy i dzwoni do Philippe’a Sertysa, który jest lub był wspólnikiem jej męża.

– Na czym opierasz swoje przypuszczenia?

Karim nachylił się do niego i powiedział cicho:

– Moja teoria jest taka, że Sertys, Caillois i jego żona są przyjaciółmi od dzieciństwa i że jako dzieciaki popełnili jakiś karygodny czyn. Musi to mieć związek z „purpurowymi rzekami” i z rodziną Judith.

– Karim, już ci mówiłem, że Caillois i Sertys mieli po dziesięć lat, więc jak według ciebie…

– Proszę pozwolić mi skończyć. Philippe Sertys przychodzi do mieszkania Caillois. Widzi ten napis. On także domyśla się, co znaczy aluzja do „purpurowych rzek”, i zaczyna na serio się bać. Nie zwleka ani chwili i postanawia ukryć ten napis odnoszący się do jakiegoś wydarzenia, które pod żadnym pozorem nie może wyjść na jaw. Jestem pewien, że – pomimo śmierci Caillois i groźby ze strony zabójcy, który podpisał się jako Judith – Sertys i Sophie Caillois myślą tylko o tym, żeby ukryć dowody ich winy. Posługacz szpitalny kupuje więc tapetę, którą zakleja groźną wiadomość. To dlatego w mieszkaniu czuć było klejem.

W spojrzeniu Niémansa pojawił się błysk. Karim zrozumiał, że komisarz także zwrócił uwagę na ten szczegół, zapewne w czasie rozmowy z żoną Caillois. Mówił więc dalej:

– Czekali całą niedzielę. A może usiłowali sami odnaleźć Rémy’ego? W końcu Sophie Caillois zdecydowała się pójść na posterunek żandarmerii. W tym też czasie odkryto trupa na skale.

– Domyślasz się dalszego ciągu?

– Tej samej nocy Sertys jedzie do Sarzac.

– Dlaczego?

– Ponieważ zabójca Rémy’ego Caillois podpisał się jako Judith, która zmarła prawie piętnaście lat temu i została pochowana w Sarzac. I Sertys o tym wiedział.

– To bardzo naciągane.

– Możliwe. Ale Sertys był w moim mieście poprzedniej nocy razem ze wspólnikiem, którym była prawdopodobnie nasza trzecia ofiara – Chernecé. To oni grzebali w archiwach szkolnych. To oni udali się na cmentarz i otworzyli grób Judith. Kiedy się szuka zmarłego, to gdzie się idzie? Na cmentarz, do jego grobu.

– Masz rację.

– Nie wiem, co Sertys i ten drugi znaleźli w Sarzac. Nie wiem, czy otworzyli trumnę. Nie pozwolono mi przeszukać grobu. Przypuszczam jednak, że nie znaleźli niczego, co dałoby im całkowitą pewność. Przerażeni wracają więc do Guernon. Czy może pan sobie to wyobrazić, komisarzu? Pojawił się duch, który eliminuje po kolei tych, którzy mu kiedyś wyrządzili krzywdę…

– Nie masz na to żadnych dowodów.

Karim zlekceważył tę uwagę.

– W poniedziałek rano po powrocie Sertys daje się zaskoczyć duchowi. Mamy drugie morderstwo. Żadnych tortur. Duch już wie, co chciał wiedzieć. Teraz chodzi mu tylko o zemstę. Wsiada do kolejki linowej, transportuje trupa w góry. Wszystko ma przemyślane. Zostawił już wiadomość przy pierwszej ofierze. Zostawia inną przy drugiej. I nie zatrzyma się, będzie działać dalej zgodnie z pańską teorią o zemście.

Komisarz usiadł, czując nagle straszliwe zmęczenie. Oblewał się potem.

– Zemsta za co? I kto jest zabójcą?

– Judith Hérault. A może raczej osoba, która podaje się za Judith.

Komisarz, zwiesiwszy głowę, milczał.

– Odnalazłem miejsce pochówku Sylvaina Héraulta – podjął znowu Karim. – W krematorium, na cmentarzu. O samej śmierci nie dowiedziałem się niczego szczególnego. Hérault został przejechany przez jakiegoś pijanego kierowcę. Może trzeba tu jeszcze poszperać, nie wiem… Ale dziś w nocy na cmentarzu przybył mi nowy element. W niszy z urną leżał bukiet świeżych kwiatów. I wie pan, kto tam składa kwiaty co tydzień od wielu lat? Sophie Caillois.

Niémans pokręcił z niedowierzaniem głową.

– I jak to możesz wyjaśnić?

– Moim zdaniem ona to robi, bo ma wyrzuty sumienia.

Komisarz nic na to nie odpowiedział. Karim zerwał się z krzesła i zawołał:

– Przecież to wszystko pasuje jak ulał! Nie potrafię sobie wyobrazić Sophie Caillois jako zbrodniarki. Ale znała tajemnicę męża i zawsze go ochraniała – z miłości, ze strachu albo z jakiegoś innego powodu. Jednocześnie od lat składała kwiaty przed urną z prochami Sylvaina Héraulta, jako zadośćuczynienie dla rodziny, którą skrzywdził jej mąż.

Karim uklęknął na podłodze przed komisarzem.

– Niech się pan zastanowi. Znaleziono ciało jej męża. Podpis „Judith” świadczy ewidentnie o zemście koleżanki z dawnych lat. Mimo to ta kobieta idzie dziś złożyć kwiaty na grobie jej ojca. Te morderstwa nie wywołują nienawiści w sercu Sophie Caillois, a tylko umacniają jej wspomnienia i żal. Jestem pewien, że mam rację. Przed ulotnieniem się ta kobieta chciała ostatni raz złożyć hołd rodzinie Hérault.

Komisarz nie odzywał się. Rysy jego twarzy wyostrzyły się. Mijały sekundy. Wreszcie Karim podniósł się i powiedział chrapliwym tonem:

– Panie komisarzu, przeczytałem uważnie całą dokumentację pańskiego śledztwa. Są tam jeszcze inne wskazówki, inne szczegóły, które prowadzą do Judith Hérault.

Niémans westchnął.

– Słucham cię. Nie wiem, co na tym zyskam, ale słucham.

Porucznik zaczął chodzić po pokoju jak lew w klatce.

– Z dokumentów dochodzenia wynika, że wie pan o mordercy tylko jedno: jest doskonałym alpinistą. A jaki był zawód Sylvaina Héraulta? Był poszukiwaczem kryształów górskich. Wspinał się po nie na szczyty. Był wytrawnym alpinistą. Całe życie spędził na chodzeniu po górach, na lodowcach. Bywał i tam, gdzie odnaleźliście ciała pierwszych dwóch ofiar.

– Jak setki innych doświadczonych alpinistów w tym regionie. Czy to wszystko?

– Nie. Jest jeszcze problem ognia.

– Ognia?

– Zwróciłem uwagę na jeden szczegół w raporcie z pierwszej sekcji zwłok. Myślę o tym cały czas od chwili, gdy o tym przeczytałem. Ciało Rémy’ego Caillois nosiło ślady oparzeń. Costes zanotował, że morderca oblał benzyną rany pierwszej ofiary. Wysunął przypuszczenie, że mógł to być pojemnik z aerozolem.

– I co z tego?

– Istnieje inne wyjaśnienie. Zabójcą mógł być połykacz ognia, który wydmuchuje z ust rozpaloną naftę.

– Nie nadążam za tobą.

– Bo nie wie pan o pewnej drobnej sprawie, że Judith Hérault znała sztuczki połykaczy ognia. Brzmi to niewiarygodnie, ale to prawda. Rozmawiałem z cyrkowcem, który nauczył ją tego kilka tygodni przed jej śmiercią. Mówiła mu, że chce się tym posłużyć, żeby obronić swoją mamę.

Niémans nerwowo potarł kark.

– Na Boga, Karim! Judith nie żyje!

– Jest jeszcze jeden element, komisarzu. Jeszcze bardziej dziwny, ale pasuje do tej skomplikowanej sprawy. W pierwszym raporcie z sekcji zwłok lekarz sądowy, opisując technikę uduszenia ofiary, użył sformułowania:

„Struna metalowa. Coś w rodzaju linki hamulcowej lub struny fortepianowej”. Czy Sertys został zabity w ten sam sposób?

Komisarz kiwnął głową potakująco.

– Może to nic nie znaczy – ciągnął Karim – ale Fabienne Hérault była pianistką wirtuozem. Załóżmy, że rzeczywiście zabito tych trzech ludzi za pomocą struny fortepianowej. Czy wówczas nie dostrzegłby pan w tym jakiegoś symbolicznego związku? Czy ta struna nie łączy teraźniejszości z przeszłością?

Pierre Niémans wstał i powiedział ze złością:

– Do czego ty zmierzasz, Karim? Czego mamy szukać, ducha?

Karim skulił się w swojej skórzanej kurtce, jak skarcony smarkacz.

– Nie wiem.

Teraz Niémans zaczął chodzić po pokoju.

– Brałeś pod uwagę matkę? – zapytał.

– Oczywiście – odpowiedział Karim. – Ale to nie ona. – Ściszył głos. – Niech pan posłucha, komisarzu. Najciekawsze zachowałem na koniec. Kiedy byłem w mieszkaniu Caillois, zaskoczył mnie tam nasz duch. Goniłem za nim, ale mi się wymknął.

– Co takiego?

– Przyznaję się do tego ze wstydem – odparł Karim ze skruszoną miną.

– Do kogo był podobny? – zapytał Niémans.

– Raczej podobna, bo to kobieta. Widziałem jej ręce, słyszałem jej oddech. Nie mam cienia wątpliwości. Ma około metra siedemdziesięciu wzrostu. Silnie zbudowana, ale to nie matka Judith. Jej matka była olbrzymką. Miała ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i bary dokera. Wielu świadków potwierdza ten szczegół.

– A więc kto to był?

– Nie wiem. Miała na sobie czarny, błyszczący kombinezon, kask cyklisty i kominiarkę. To wszystko, co mogę o niej powiedzieć.

– Trzeba rozesłać jej opis – orzekł Niémans. Karim chwycił go za ramię.

– Jaki opis? Cyklistki znikającej w mrokach nocy? – Karim uśmiechnął się. – Mam coś lepszego.

Wyciągnął z kieszeni swojego glocka zapakowanego w foliową torebkę.

– Na kolbie są odciski jej palców.

– Miała w rękach twojego gnata?

– Opróżniła nawet cały magazynek nad moją głową. To niezwykła zabójczyni, komisarzu. Mści się jak psychopata, ale jestem pewien, że nie chce zrobić krzywdy nikomu poza swoimi ofiarami.

Niémans gwałtownie otworzył drzwi.

– Biegnij na pierwsze piętro. Chłopaki z policji śledczej przywieźli aparaturę do porównywania odcisków palców. Nowiutkie urządzenie, połączone bezpośrednio z centralną bazą danych. Nie potrafią jednak się tym posługiwać. Pomaga im facet z policyjnego laboratorium – Patrick Astier. Biegnij do niego. Jest z nim chyba Marc Costes, lekarz sądowy. Obaj współpracują ze mną. Weź ich na bok, wyjaśnij całą sprawę i porównajcie te odciski z fiszkami daktyloskopijnymi z centralnej bazy danych.

– A jeśli te odciski nic nam nie dadzą?

– Wtedy odszukasz matkę. Jej zeznanie będzie miało kapitalne znaczenie.

– Szukam tej kobiety od ponad dwudziestu pięciu godzin. Ona się ukrywa, i to dobrze się ukrywa.

– Zacznij od początku. Może coś przeoczyłeś.

– Niczego nie przeoczyłem – odrzekł z rozdrażnieniem Karim.

– Owszem. Sam mi to powiedziałeś. Grób dziewczynki w twojej mieścinie jest doskonale utrzymany. Ktoś więc przychodzi tam regularnie. Kto? Nie jest to Sophie Caillois. Znajdź odpowiedź na to pytanie, a znajdziesz matkę.

– Wypytywałem strażnika. Nikogo nigdy nie zauważył…

– Może nie przychodzi osobiście. Może zleciła to jakiemuś przedsiębiorstwu pogrzebowemu, nie wiem. Szukaj, Karim. W każdym razie musisz wrócić na cmentarz i otworzyć trumnę.

Porucznik wstrząsnął się.

– Otworzyć grób…

– Musimy się dowiedzieć, czego szukali profanatorzy i co znaleźli. W trumnie pewnie jest adres przedsiębiorstwa pogrzebowego. – Niémans mrugnął okiem. – Trumna jak sweter, ma w środku metkę.

Karim przełknął ślinę. Czuł, jak nogi się pod nim uginają ze strachu na myśl, że ma wrócić na cmentarz i po raz drugi zejść do grobowca. Niémans jednak tonem nieznoszącym sprzeciwu powiedział:

– Najpierw odciski palców. Potem cmentarz. Mamy czas do świtu, żeby rozwiązać tę sprawę. Ty i ja, Karim. Nikt więcej. Potem będziemy musieli jak zbłąkane owieczki wrócić do domu i zdać sprawozdanie ze wszystkiego.

– A pan? – zapytał Karim, podnosząc kołnierz kurtki.

– Ja? Udam się do źródła purpurowych rzek, tropem mojego młodego porucznika, Érica Joisneau. Był tym, który samodzielnie odkrył część prawdy.

– Był?

Na twarzy Niémansa pojawił się grymas bólu.

– Zabił go Chernecé, zanim sam z kolei został zamordowany przez naszego zabójcę lub zabójczynię. Odnalazłem jego ciało oblane chemikaliami w piwnicy doktora. Chernecé, Caillois i Sertys byli szubrawcami, Karim. Teraz już jestem tego pewien. Przypuszczam, że Joisneau wpadł na ich trop i zapłacił za to życiem. Dowiedz się, kim jest morderca, a ja odnajdę motyw. Dowiedz się, kto się kryje za duchem Judith, a ja ci wtedy powiem, co znaczą purpurowe rzeki.

Obaj wyszli na korytarz, nie zwracając żadnej uwagi na żandarmów.

45

– Zrobione, panowie.

– Ale przecież nic nie widać…

W małym pokoiku na pierwszym piętrze kilku policjantów wpatrywało się niepewnym wzrokiem w monitor zaopatrzony w ruchomą lupę i połączony plątaniną kabli ze skanerem.

W głębi pokoiku, siedząc twarzą do ekranu, wysoki blondyn z wielkimi oczami w skupieniu regulował parametry programu. Był to Patrick Astier we własnej osobie. Obok niego stał Marc Costes, zgarbiony brunet w grubych okularach.

Policjanci podeszli bliżej, trącając się łokciami i wymieniając pod nosem uwagi na temat zawodności nowoczesnej technologii. Nawet nie zauważyli Karima.

Karim przedstawił się Costesowi i Astierowi. Po kilku słowach wszyscy trzej stwierdzili, że świetnie się rozumieją. Młodzi, z pasją oddający się swojej pracy, nielękający się niczego, skoncentrowali się tylko na tym dochodzeniu. Kiedy Karim wyjaśnił, z czym przyszedł, Astier nie mógł powstrzymać podniecenia. Wykrzyknął:

– Cholera! Odciski palców zabójcy, a niech to. Natychmiast je włożymy do naszego urządzenia.

Karim zdziwił się.

– To ono działa?

Astier uśmiechnął się nieznacznie.

– Oczywiście, że działa. – I wskazując na policjantów, zajętych już czymś innym, dodał: – To oni nie nadążają za postępem…

Energicznym ruchem otworzył jedną z niklowanych walizeczek, które Karim zauważył w kącie pokoju. Komplet przyborów do ujawniania ukrytych odcisków i masa do ich utrwalania. Inżynier wyjął magnetyczny pędzelek. Nałożywszy gumowe rękawiczki, zanurzył namagnesowany instrument w pojemniku z tlenkiem żelaza w proszku. Na końcu igły delikatne cząsteczki ułożyły się w kształt maleńkiej różyczki.

Astier wziął glocka i potarł pędzelkiem kolbę. Następnie przyłożył do kolby kawałek przezroczystej kliszy, którą z kolei przykleił do specjalnego kartonika. Pod kliszą pojawiły się natychmiast srebrzyste linie papilarne.

– Fantastyczne – westchnął Astier.

Wsunął daktyloskopijną fiszkę do skanera i usiadł przed ekranem. Odsunął na bok szkło powiększające i postukał szybko palcami po klawiaturze. Linie papilarne niemal natychmiast ukazały się na monitorze.

– Odciski są doskonałej jakości – powiedział. – Ustalimy co najmniej dwadzieścia jeden punktów…

Ukazały się ciemnoczerwone światełka połączone ukośnymi liniami, nakładające się na linie papilarne.

– Zobaczymy, co nam powie centralna baza danych – mówił częściowo do siebie Astier.

Karim po raz pierwszy w życiu obserwował działanie takiej aparatury. Tonem wykładowcy Astier wyjaśnił, że centralna baza danych to ogromny rejestr informatyczny, w którym przechowuje się odciski palców przestępców z większości krajów Europy. Dzięki modemowi program ten może w jednej chwili porównywać każdy odcisk palców. Jego słowom wtórowało brzęczenie twardego dysku.

Wreszcie komputer dał odpowiedź – negatywną. Odciski palców „cienia” nie pasowały do fiszek żadnego ze znanych przestępców. Karim odetchnął z ulgą. Spodziewał się takiego wyniku. Jego podejrzana nie była zwyczajną kryminalistką.

Nagle przyszło mu coś do głowy. Z kieszeni kurtki wyjął kartonową fiszkę z odciskami palców Judith Hérault, pobranymi zaraz po wypadku samochodowym, czternaście lat temu. Pokazał je Astierowi i zapytał:

– Czy możesz zeskanować i porównać te odciski?

Astier okręcił się na taborecie i wziął fiszkę.

– Nie ma problemu.

Przez kilka sekund oglądał kartonik, po czym spojrzał na Karima wzrokiem krótkowidza.

– Skąd pochodzą te odciski?

– Z posterunku na autostradzie. Należą do tej dziewczynki, która zginęła w wypadku samochodowym w osiemdziesiątym drugim roku. Nigdy nie wiadomo… Jakieś podobieństwo albo…

– Zdziwiłbym się, gdyby rzeczywiście nie żyła.

– Co takiego?

Astier wsunął fiszkę pod szkło powiększające. Ukazały się pod nim w tęczowej otoczce powiększone, wyraźne linie papilarne.

– Nie muszę poddawać analizie tych odcisków, żeby ci powiedzieć, że są identyczne z tymi na kolbie twojego gnata. Nawet drobniutka siateczka poprzeczna, nawet skręcenie linii papilarnych.

Karim był oszołomiony. Patrick Astier przysunął ruchomą lupę do ekranu komputera, żeby obie próbki linii papilarnych znalazły się obok siebie.

– Identyczne odciski – powtórzył – z dwóch różnych okresów życia. Na twojej fiszce są odciski dziecka, na kolbie pozostały odciski osoby dorosłej.

Karim wpatrywał się w oba obrazy i nie mógł uwierzyć w to, co widział.

Judith Hérault zginęła w 1982 roku, przygnieciona przez rozbity w wypadku samochód.

Judith Hérault, ubrana w czarny błyszczący kombinezon, w kasku cyklisty, opróżniła magazynek jego glocka, strzelając ponad jego głową.

Judith Hérault była jednocześnie martwa i żywa.

46

Był już czas, żeby skontaktować się ze starymi przyjaciółmi.

Fabrice Mosset. Mistrz ekspertyz w policji paryskiej. Specjalista od linii papilarnych. Karim poznał go w trakcie bardzo zagmatwanego dochodzenia, w którym uczestniczył, odbywając staż w komisariacie XIV dzielnicy, na avenue du Maine. Geniusz, który twierdził, że potrafi rozpoznać bliźniaki na podstawie ich odcisków palców. Jego zdaniem ta metoda była równie niezawodna jak metoda oparta na badaniu przekazywanej genetycznie ilości chromosomów w komórkach.

– Mosset? Mówi Abdouf. Karim Abdouf.

– Jak się masz? Ciągle jesteś w tej dziurze?

Jego głos był melodyjny. Odległy o całe lata świetlne od tego koszmaru.

– Jestem – mruknął Karim. – Tyle tylko, że wędruję od dziury do dziury.

Technik wybuchnął śmiechem.

– Jak kret?

– Jak kret. Mosset, jest pewien problem, jak się wydaje, nie do rozwiązania. Powiesz mi swoje zdanie, nieoficjalnie. I to zaraz, dobrze?

– Prowadzisz jakieś śledztwo? Nie ma sprawy. Słucham.

– Mam dwie próbki identycznych odcisków palców. Jedna z nich została pobrana od dziewczynki, która zmarła piętnaście lat temu. Druga jest dzisiejsza i pochodzi od podejrzanej, nienotowanej w rejestrach policji. I co ty na to?

– Jesteś pewien, że tamta dziewczynka nie żyje?

– Całkowicie. Rozmawiałem z człowiekiem, który przykładał do tuszu palce tej małej.

– Wobec tego musi być jakiś błąd w protokole. Źle pobraliście odciski palców na miejscu przestępstwa. To niemożliwe, żeby dwie osoby miały identyczne odciski palców. Nie-moż-li-we.

– Nie mogą to być kobiety z tej samej rodziny? Bliźniaczki? Przypominam sobie, że pracowałeś nad…

– Tylko odciski bliźniąt jednojajowych mają podobne cechy. Prawa rządzące genetyką są niezwykle skomplikowane: istnieją tysiące czynników, które wpływają na ostateczny rysunek linii papilarnych. Trzeba nadzwyczajnego przypadku, żeby te rysunki były podobne do tego stopnia…

Karim przerwał mu:

– Masz w domu faks?

– Nie jestem w domu, jestem w laboratorium – westchnął. – Nie ma litości dla specjalistów.

– Mogę ci przesłać moje fiszki?

– Nie powiem ci nic więcej. – Ponieważ porucznik milczał, Mosset niechętnie skapitulował. – Zgoda. Idę do telekopiarki. Zadzwoń do mnie wkrótce.

Karim udał się do pokoju z telefonem, skąd wysłał dwa faksy. Następnie zadzwonił pod ten sam numer.

– Jestem wstrząśnięty – powiedział Mosset. – Jesteś pewien, że na pierwszej fiszce są odciski zmarłej?

Karim spojrzał po raz kolejny na czarno-białe zdjęcia z wypadku. Kruche ciało małej dziewczynki, zmiażdżone wśród szczątków rozbitego samochodu. Ujrzał znowu twarz starego pracownika autostrady, który przechował tę fiszkę.

– Jestem pewien – odparł.

– Musiała zajść jakaś pomyłka, gdy zapisywano nazwisko na fiszce z odciskami. To się u nas dość często zdarza…

– Nie rozumiesz mnie – odburknął Karim. – Nieważne, co napisano na fiszce. Pal sześć nazwisko i tę całą pisaninę. Powtarzam ci, że na ręce dziewczynki, która uległa wypadkowi, i na ręce kobiety, która trzymała broń tej nocy, są te same odciski. To wszystko. Mam gdzieś identyfikację. To jest ta sama ręka!

Zapadła pełna napięcia cisza, aż wreszcie Mosset wybuchnął śmiechem.

– Twoja historia jest nieprawdopodobna. To wszystko, co ci mogę powiedzieć.

– Miałem cię za bardziej lotnego. Musi być jakieś wyjaśnienie tej sprawy.

– Zawsze jest jakieś wyjaśnienie. Obaj to wiemy. I nie wątpię, że je znajdziesz. Zadzwoń do mnie, jak tylko rozwiążesz ten problem. Lubię

historie, które dobrze się kończą. I mają racjonalne wyjaśnienie.

Karim obiecał, że zadzwoni, i rozłączył się. Miał wrażenie, że jego mózg pracuje na jałowym biegu.

Na korytarzu komendy żandarmerii spotkał ponownie Marca Costesa i Patricka Astiera. Lekarz sądowy miał na ramieniu skórzaną torbę. Był trupio blady.

– Jadę do szpitala w Annecy – powiedział i spojrzał z wahaniem na swojego kolegę. – Właśnie dowiedzieliśmy się, że mają tam dwa trupy. Cholera! Ten młodziutki porucznik… Éric Joisneau… To już nie jest zwyczajne śledztwo. To jakaś makabryczna gra.

– Wiem. Ile czasu ci to zajmie?

– Przynajmniej do świtu. Już tam jest jeden lekarz sądowy. Sprawa przybiera coraz większe rozmiary.

Karim przyjrzał się szczupłej twarzy doktora, młodzieńczej i tak bardzo zmęczonej. Ten człowiek się bał, ale Abdouf czuł, że jego obecność dodała mu otuchy.

– Costes, mam jeden problem… Chciałbym cię zapytać o pewien szczegół.

– Słucham.

– W pierwszym raporcie napisałeś, że zabójca użył cienkiej linki i że mogła to być linka hamulcowa lub struna fortepianu. Czy twoim zdaniem Sertys został uduszony taką samą linką?

– Taką samą. To samo włókno, ta sama grubość.

– A gdyby chodziło o strunę fortepianu, to czy byłoby możliwe określenie wysokości jej dźwięku?

– Dźwięku?

– Tak, mam na myśli nutę muzyczną. Czy znając średnicę struny, można określić, jakiej nucie oktawy odpowiada?

Costes uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Domyślam się, o co ci chodzi. Czy chcesz, żebym…

– Ty albo twój asystent. Bardzo mnie interesuje problem tonacji.

– Masz jakiś ślad?

– Jeszcze nie wiem.

Lekarz poprawił machinalnie okulary.

– Jak będę mógł się z tobą skontaktować? Masz komórkę?

– Nie.

– Weź. – Astier wsunął Karimowi do ręki maleńkich rozmiarów czarny, chromowany telefon komórkowy. Widząc głupią minę porucznika, uśmiechnął się. – Mam dwa. Sądzę, że w najbliższych godzinach będziesz potrzebował telefonu.

Kiedy przekazali sobie nawzajem numery telefonów i Marc Costes odszedł, Karim zwrócił się do Astiera:

– A ty co masz zamiar robić?

– Nic specjalnego. – Rozłożył ręce. – Na razie nie mam roboty przy tej maszynerii.

Karim, nie zastanawiając się wiele, zapytał inżyniera, czy może mu pomóc w śledztwie i zrobić dla niego dwie rzeczy.

– Dwie? – ucieszył się Astier. – Ile tylko zechcesz.

– Po pierwsze, trzeba pójść do szpitala w Guernon i sprawdzić coś w tamtejszym rejestrze urodzeń.

– A co trzeba tam wyszperać?

– Pod datą dwudziesty trzeci maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku znajdziesz nazwisko Judith Hérault. Sprawdź, czy nie miała siostry albo brata bliźniaka.

– To ta dziewczynka od odcisków palców?

Karim przytaknął głową.

– Myślisz o drugim dziecku z takimi samymi liniami papilarnymi? – zapytał znowu Astier.

Porucznik uśmiechnął się zmieszany.

– Wiem, że to nie ma sensu, ale zrób to dla mnie.

– A drugie zlecenie?

– Ojciec tej dziewczynki zginął w wypadku drogowym.

– On także?

– Tak, on też. Tyle tylko, że jechał rowerem i potrącił go jakiś samochód. W sierpniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Nazywał się Sylvain Hérault. Sprawdź to w tutejszej komendzie żandarmerii. Jestem pewien, że odnajdziesz akta tej sprawy.

– A czego właściwie mam szukać?

– Jakie były dokładnie okoliczności tego wypadku. Facet został rozjechany przez kierowcę, który się ulotnił. Przestudiuj każdy szczegół. Może okaże się, że coś jest nie tak.

– Na przykład wypadek spowodowany umyślnie?

– Coś w tym rodzaju.

Karim już odchodził, kiedy Astier zawołał za nim:

– A ty gdzie się wybierasz?

Porucznik odwrócił się na pięcie.

– Ja? Wracam do punktu wyjścia – odpowiedział lekkim tonem, mimo że obleciał go strach przed tym, co postanowił zrobić.

Część IX

47

Zakład dla ociemniałych mieścił się w jasnym budynku, jakże innym od starych, z resztkami świetności domów w Guernon. Budowla ta, stojąca u stóp masywu Sept-Laux, wyglądała imponująco nawet w strugach deszczu. Niémans zaparkował koło drzwi wejściowych.

Była trzecia nad ranem. W żadnym z okien nie paliło się światło. Komisarz nacisnął dzwonek, rozglądając się jednocześnie po trawnikach okalających gmach. Zauważył fotokomórki zainstalowane na niskich słupkach w obrębie ogrodzenia. Niewidoczne promienie tworzyły sieć alarmową, bez wątpienia nie tyle z myślą o złodziejach, co dla ostrzeżenia niewidomych, żeby nie oddalali się za bardzo od zakładu.

Niémans zadzwonił jeszcze raz.

Po długiej chwili w otwartych drzwiach pokazał się strażnik, zaskoczony tak wczesną wizytą. Wysłuchał wyjaśnień komisarza, chyba nic z nich nie rozumiejąc. Mimo to wpuścił policjanta do obszernego holu i poszedł obudzić dyrektora zakładu.

Komisarz cierpliwie czekał. Pomieszczenie oświetlała tylko lampa w westybulu. Cztery ściany z białego cementu i tak samo naturalnie biała podłoga. W głębi podwójne schody, które wznosiły się na kształt piramidy, wzdłuż bariery z surowego jasnego drewna. Pod sufitem paliły się lampki. Przez szyby w oknach bez klamek widać było pobliskie góry. Całość przypominała nowoczesne sanatorium, jasne i przytulne, które w zamyśle architektów miało poprawiać nastrój.

Niémans dostrzegł kolejne fotokomórki. Niewidomi poruszali się cały czas w strzeżonej przestrzeni. Po szybach ściekały tysiącami krople deszczu. W powietrzu unosił się zapach żywicy i cementu; czuło się tu chłodną wilgoć.

Przeszedł się kilka kroków. Zaintrygował go pewien szczegół: część pomieszczenia zajmowały sztalugi, na których rozwieszone były rysunki z dziwnymi znakami. Z daleka przypominało to równania matematyczne. Z bliska można było rozpoznać małe, prymitywnego kształtu postacie

z uduchowionymi twarzami. Niémans zdziwił się, że w instytucie dla ociemniałych dzieci istnieje pracownia plastyczna. Przede wszystkim jednak doznał głębokiego uczucia ulgi. Od momentu, gdy tu wszedł, nie usłyszał szczekania ani żadnego dźwięku świadczącego o obecności zwierząt. Czy to możliwe, żeby w ośrodku dla niewidomych nie było wcale psów?

Nagle rozległ się odgłos kroków na marmurowej posadzce. Komisarz zrozumiał w tym momencie, dlaczego na podłodze nie było dywanów. Wnętrze tego domu specjalnie tak urządzono, żeby każdy hałas był dla niewidomego znakiem orientacyjnym. Odwrócił się i zobaczył energicznego mężczyznę z białą brodą, jak u patriarchy, z czerwonymi policzkami i zaspanymi oczami, w beżowym swetrze. Niémans natychmiast, od pierwszego wejrzenia, poczuł do niego sympatię. Wiedział, że może mu zaufać.

– Doktor Champelaz, dyrektor instytutu – przedstawił się krzepki staruszek niskim głosem. – Co za diabli sprowadzili pana o tej porze?

Niémans podał mu swoją trójkolorową legitymację.

– Jestem komisarzem policji, nazywam się Pierre Niémans. Przyjechałem do pana w związku z morderstwami w Guernon.

– Znowu?

– Tak, znowu. Właściwie chciałbym pana zapytać o tę pierwszą wizytę. Był u pana porucznik Éric Joisneau. Sądzę, że udzielił mu pan informacji bardzo ważnych dla śledztwa.

Champelaz wydawał się zaniepokojony. Na jego białe jak śnieg włosy padały refleksy światła, odbitego od zmoczonych deszczem szyb. Przyglądał się kajdankom i pistoletowi na pasku komisarza.

– Ja tylko odpowiedziałem na jego pytania.

– Pańskie odpowiedzi zaprowadziły go do Edmonda Chernecé.

– Oczywiście. I co z tego?

– A to, że obaj już nie żyją.

– Nie żyją? Jak to? Niemożliwe…

– Bardzo żałuję, ale nie mam teraz czasu na wyjaśnienia. Chciałbym, żeby pan odtworzył szczegółowo waszą rozmowę. Pana informacje okazały się niezwykle istotne dla naszego dochodzenia.

– Ale czego pan właściwie chce… – urwał. Potarł gwałtownie ręce, może z zimna, a może ze zdenerwowania. – No tak… Powinienem się wreszcie

dobudzić.

– Myślę, że tak.

– Napije się pan kawy?

Niémans kiwnął potakująco głową. Poszedł w ślad za nim korytarzem. Co pewien czas wysokie okna, które mijali, rozjaśniały się światłem błyskawic, po czym ponownie zapadał półmrok w strugach deszczu.

Komisarz miał wrażenie, że idzie przez las fosforyzujących lian. Na ścianie naprzeciw okien zobaczył jeszcze inne rysunki. Tym razem były to pejzaże. Niewyraźne zarysy gór. Rzeki naszkicowane w pastelowych barwach. Gigantyczne zwierzęta z grubą łuską, z nienaturalną liczbą kręgów, które wydawały się pochodzić z epoki kamienia.

– Sądziłem, że w pańskim ośrodku zajmujecie się tylko dziećmi niewidomymi.

Dyrektor odwrócił się i podszedł bliżej.

– Nie tylko. Leczymy wszelkiego rodzaju choroby oczu.

– Na przykład?

– Barwnikowe zwyrodnienie siatkówki. Daltonizm…

Dyrektor powiódł palcem po jednym z obrazków.

– To są niezwykłe rysunki. Nasze dzieci nie widzą rzeczywistości tak jak pan i ja, nie widzą też swoich rysunków. Prawda – ich prawda – nie tkwi ani w realnym pejzażu, ani na tym papierze. Ona tkwi w ich umysłach. Jedynie one wiedzą, co chciały wyrazić, a my, z naszym zwykłym widzeniem, możemy się tego tylko domyślać z ich szkiców. Zaskakujące?

Niémans wykonał nieokreślony ruch ręką. Nie mógł oderwać wzroku od tych przedziwnych rysunków. Kontury rozmazane, kolory żywe, ostre. Pole bitwy kresek i barw, ale jednocześnie coś skłaniającego do zadumy.

Doktor poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

– Proszę ze mną. Kawa dobrze panu zrobi. Nie wygląda pan najlepiej.

Weszli do dużej kuchni, której umeblowanie i cały sprzęt były z nierdzewnej stali. Błyszczące ściany przypominały Niémansowi kostnicę.

Dyrektor przygotował dwie duże porcje kawy, zaparzonej w lśniącym ekspresie z okrągłą szklaną kulą, nieustannie podgrzewaną. Podał komisarzowi filiżankę i usiadł przy jednym ze stolików. Niémans znowu pomyślał o zwłokach poddawanych sekcji, o twarzy Caillois i Sertysa. O pustych, brunatnych oczodołach, podobnych do czarnych dziur.

Champelaz z niedowierzaniem w głosie powiedział:

– Nie jestem w stanie uwierzyć w to, co usłyszałem od pana… Ci dwaj ludzie nie żyją? Ale jak to się stało?

Pierre Niémans, uchylając się od odpowiedzi, zapytał:

– O czym rozmawiał pan z Joisneau?

Lekarz wzruszył ramionami, mieszając kawę w filiżance.

– Wypytywał mnie o choroby, które tu leczymy. Wyjaśniłem mu, że mamy najczęściej do czynienia z chorobami dziedzicznymi i że większość moich pacjentów pochodzi z rodzin z Guernon.

– Czy zadawał bardziej szczegółowe pytania?

– Tak. Interesowało go, jak można nabawić się tych chorób. Wytłumaczyłem pokrótce, jak wygląda system genów recesywnych.

– Chciałbym to też usłyszeć.

Dyrektor westchnął i zaczął mówić:

– To bardzo proste. Niektóre geny są nosicielami chorób. Są to geny niepełne, z błędami w zapisie, który posiadamy wszyscy, ale na szczęście one same nie wywołują choroby. Jeśli natomiast dwoje rodziców ma takie same geny, wtedy sytuacja się zmienia. Choroba może objawić się u ich dzieci. Ludzie łączą się w pary i przenoszą choroby, jak dwa połączone gniazdka, które przewodzą prąd. I dlatego właśnie mówi się, że pokrewieństwo psuje krew. To oznacza, że dwoje rodziców z taką samą grupą krwi ma większe szanse przenieść na swoje potomstwo choroby, których obecności we własnych organizmach nie są świadomi.

O tym zjawisku wspominał także Chernecé. Niémans pytał dalej:

– Czy choroby dziedziczne występujące w Guernon wynikają z pewnego pokrewieństwa?

– Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Wiele dzieci, które są leczone w moim instytucie jako pensjonariusze lub dochodzący, pochodzi z tego miasta. Są to przede wszystkim dzieci profesorów i naukowców z tamtejszego uniwersytetu, którzy tworzą bardzo wyizolowaną grupę.

– Proszę wyjaśnić mi to dokładniej.

Champelaz skrzyżował ręce, jakby nabierając rozpędu.

– W Guernon istnieje bardzo stara tradycja uniwersytecka. Uczelnia powstała w osiemnastym wieku. Zakładano ją wspólnie ze Szwajcarami. Kiedyś mieściła się w dzisiejszych budynkach szpitala… Krótko mówiąc, od trzech stuleci profesorowie i naukowcy tej uczelni mieszkają na terenie kampusu i pobierają się tylko między sobą. Dali życie wielu pokoleniom

wybitnych intelektualistów, ale dziś są osłabieni genetycznie. Guernon i tak było już miastem odosobnionym, jak wszystkie osady w dolinach górskich. A więc izolacja w izolacji, rozumie pan? Prawdziwy mikrokosmos.

– Czy to wyizolowanie wystarczająco wyjaśnia źródło chorób genetycznych na tym terenie?

– Tak sądzę.

Niémans nie pojmował jeszcze, w jaki sposób te informacje mogły się łączyć z jego śledztwem.

– O czym jeszcze pan opowiadał Joisneau?

Champelaz spojrzał na komisarza z ukosa.

– Wspomniałem mu także o pewnym szczególnym, dziwnym fakcie.

– Słucham.

– Mniej więcej jedną generację wstecz u tych rodzin z zepsutą krwią pojawiły się zupełnie inne dzieci. Dzieci bardzo zdolne umysłowo i jednocześnie zaskakująco sprawne fizycznie. Biorą udział we wszystkich zawodach sportowych i bez trudu osiągają największe sukcesy.

Niémans przypomniał sobie zdjęcia w przedpokoju gabinetu rektora. Młodzi, uśmiechnięci zwycięzcy, którzy zgarniali wszystkie puchary i wszystkie medale. Przypomniał sobie także zdjęcia młodych zawodników z olimpiady w Berlinie oraz długi elaborat Caillois o igrzyskach olimpijskich. Czy to możliwe, żeby te elementy składały się na jakąś specyficzną prawdę?

Udając trochę naiwnego, zapytał:

– Wszystkie te dzieci powinny być chore, prawda?

– Nie jest to takie pewne, ale moglibyśmy założyć, że powinny mieć jakieś wady budowy, pewne powtarzające się ułomności, jak na przykład dzieci z naszego zakładu. A tymczasem nic podobnego. Odnosi się wrażenie, że ci mali geniusze zagarnęli dla siebie wszystkie zdolności fizyczne z całej społeczności, a pozostałym zostawili choroby genetyczne. Nie pije pan kawy?

Niémans spojrzał na filiżankę, którą trzymał w ręce. Upił mały łyk i nagle pojął sensacyjne znaczenie tych informacji.

Tak jakby jego umysł od dłuższego czasu czekał w napięciu na najmniejszy znak, na najmniejszy promyk światła.

– Czy badał pan bliżej to zjawisko? – zapytał.

– Już prawie dwa lata prowadzę własne małe dochodzenie. Najpierw sprawdziłem, czy ci czempioni pochodzili rzeczywiście z rodzin uniwersyteckich. Sprawdzałem w urzędzie stanu cywilnego, w merostwie… Wszystko się zgadzało. Potem przestudiowałem bardzo dokładnie ich drzewa genealogiczne. Przejrzałem nawet akta rodziców i dziadków, szukając jakiegoś znaku, jakichś specjalnych wskazówek. Nie znalazłem nic konkretnego. Okazało się, że niektórzy z ich przodków byli nosicielami wad dziedzicznych, jak w innych rodzinach, których dzieci tu leczę… Wydało mi się to naprawdę bardzo dziwne.

Niémans komasował w pamięci każdy szczegół tych informacji. Czuł, choć nie potrafiłby tego uzasadnić, że przybliżają go do zasadniczego aspektu sprawy.

Champelaz wstał i przemierzał teraz kuchnię wielkimi krokami, wywołując lekkie drżenie stalowych mebli.

– Rozmawiałem również z lekarzami i położnikami szpitala uniwersyteckiego i wówczas odkryłem jeszcze jedną rzecz, która mnie ostatecznie zdziwiła. Od około pięćdziesięciu lat wzrósł niepomiernie poziom śmiertelności dzieci z rodzin wiejskich, zwłaszcza mieszkających wysoko w górach. Noworodki umierają zaraz po porodzie. Mamy tu do czynienia z rodzajem inwersji, rozumie pan? Słabiutkie dzieci ze środowiska uniwersyteckiego, za sprawą jakiejś magii, stały się silne, a dzieci wieśniaków marnieją…

Zajrzałem także do akt zmarłych noworodków, których rodzice byli hodowcami lub poszukiwaczami kryształów, ale nie doszedłem do żadnego wniosku. Rozmawiałem o tym z personelem szpitala i niektórymi naukowcami z ośrodka uniwersyteckiego, zwłaszcza specjalistami od genetyki. Nikt nie potrafił wyjaśnić tego fenomenu. W końcu, choć z przykrością, zrezygnowałem z dalszych dociekań. Wszystko dzieje się tak, jakby dzieci ze środowiska uniwersyteckiego ukradły całą energię życiową swym małym sąsiadom z oddziału położniczego.

– Co pan przez to rozumie?

Champelaz wycofał się natychmiast na pozycję nie do przyjęcia dla komisarza:

– Proszę zapomnieć o tym, co przed chwilą panu powiedziałem. To nie ma podstaw naukowych i jest całkowicie irracjonalne.

Może było irracjonalne, ale Niémans upewnił się w swoim przekonaniu, że tajemnica tych genialnych dzieci nie jest dziełem przypadku. To jedno z ogniw tego koszmaru. Zapytał stłumionym głosem:

– Czy to już wszystko?

Doktor zawahał się. Komisarz powtórzył głośniej:

– Czy to na pewno wszystko?

– Nie. Jest jeszcze jedna rzecz. Tego lata zdarzyło się coś zaskakującego, choć może bez większego znaczenia. Pod koniec lipca w szpitalu w Guernon przeprowadzono generalny remont, który objął także szpitalne archiwum. Do podziemi, gdzie przechowywano całe sterty zakurzonych akt, zeszli specjaliści, żeby ocenić zasoby archiwum. W związku z tym przeszukali pozostałe podziemia szpitala, czyli piwnice uniwersyteckie, gdzie do lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku mieściła się biblioteka.

Niémans wytężył uwagę.

– W czasie tego przeglądu eksperci dokonali ciekawego odkrycia. Znaleźli karty urodzeń i pierwsze strony akt dotyczących noworodków z okresu mniej więcej pięćdziesięciu lat. Jakby ktoś chciał je ukryć, bo reszty stron brakowało.

– Gdzie dokładnie znaleziono te akta?

Champelaz znowu przeszedł się po kuchni kilka kroków. Starał się ukryć zdenerwowanie, ale w jego głosie słychać było zaniepokojenie.

– I to właśnie jest najbardziej zadziwiające… Karty te były schowane w szafce jednego z pracowników, zatrudnionego w bibliotece.

Niémans poczuł, że krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach.

– Nazwisko tego człowieka?

Champelaz spojrzał na komisarza z przestrachem.

– Caillois. Étienne Caillois.

– Ojciec Rémy’ego Caillois?

– Tak.

Komisarz wstał.

– I dopiero teraz pan o tym mówi? Kiedy odnaleziono te karty?

Dyrektor sposępniał.

– Nie podoba mi się ten ton, panie komisarzu. Proszę mnie nie łączyć z pańskimi podejrzanymi. Przede wszystkim opowiedziałem panu o drobnej nieistotnej sprawie administracyjnej. Jaki może to mieć związek z morderstwami w Guernon?

– To ja decyduję o związku takich drobnych spraw ze śledztwem.

– Zgoda. Jednak powiedziałem o tym wszystkim pańskiemu porucznikowi. Proszę się więc uspokoić. I nie zdradzam panu żadnej tajemnicy. Każdy człowiek w mieście mógłby panu opowiedzieć tę historię. To tajemnica poliszynela. Pisano nawet o tym w regionalnych gazetach.

Niémans opanował się. Otarł rękawem czoło i już spokojniej powiedział:

– Proszę mi wybaczyć. Ta sprawa jest bardzo pogmatwana. Morderca zabił już trzy razy i będzie zabijał nadal. Liczy się każda minuta, każda informacja. Gdzie są teraz te stare karty?

Dyrektor uniósł brwi, odprężył się trochę i oparł o stalowy blat stolika.

– Zostały ponownie dołączone do reszty kart przechowywanych w podziemiach szpitala.

– I są tam też karty dotyczące tych małych geniuszy?

– Raczej nie, bo pochodzą z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Są jednak karty ich rodziców lub dziadków. Właśnie ten szczegół mnie niepokoi. Sam je przeglądałem w trakcie mojego prywatnego śledztwa. Poza tym w oficjalnych zbiorach akt tych kart nie brakowało, rozumie pan?

– Caillois ukrył duplikaty?

Champelaz znowu chodził po kuchni. Niezwykłość całej historii zdawała się go bulwersować.

– Duplikaty… lub oryginały. Caillois mógł umieścić w archiwum podrobione karty urodzeń zamiast prawdziwych. Wówczas karty odnalezione w jego szafce byłyby prawdziwymi, oryginalnymi.

– Nikt nie mówił mi o tej sprawie. Policja nie przeprowadziła dochodzenia?

– Nie. To mało istotna sprawa. Ponadto ewentualny podejrzany, Étienne Caillois, nie żyje już od trzech lat. Prawdę mówiąc, wygląda na to, że tylko ja się tym interesowałem.

– Chyba ma pan rację. Czy nie próbował pan sprawdzić tych nowych kart? Porównać je z tymi z archiwum?

Champelaz uśmiechnął się z przymusem.

– Próbowałem, ale zabrakło mi czasu. Pan chyba nie zdaje sobie sprawy, o jaki rodzaj dokumentów chodzi. Jedna kartka to fotokopia kilku kolumn, opisujących wagę, wzrost i grupę krwi noworodka. Następnego dnia po narodzeniu te dane są przenoszone do książeczki zdrowia dziecka. Są pierwszym elementem w dossier noworodka.

Niémans pomyślał o Joisneau, który zamierzał pójść do archiwum. Te karty, może i niemające znaczenia, zainteresowały go w najwyższym stopniu.

– Jaki związek z całą tą sprawą miał doktor Chernecé? Dlaczego Joisneau po wyjściu od pana udał się bezpośrednio do niego? – zapytał, zmieniając temat.

Na twarzy dyrektora znowu widać było zakłopotanie.

– Edmond Chernecé bardzo interesował się dziećmi, o których panu opowiadałem…

– Dlaczego?

– Chernecé jest… bywał w naszym zakładzie jako lekarz wyznaczony z urzędu. Orientował się doskonale w chorobach genetycznych naszych pensjonariuszy. Miał więc wszelkie prawo zastanawiać się, dlaczego inne dzieci, kuzyni z pierwszej lub drugiej linii tamtych młodych pacjentów, tak bardzo się od nich różnią. Poza tym genetyka była jego pasją. Uważał, że cechy genetyczne są zapisane w źrenicach człowieka. Pod pewnymi względami był to lekarz nietuzinkowy…

Komisarz przypomniał sobie tego człowieka o piegowatym czole. Określenie „nietuzinkowy” bardzo do niego pasowało. Niémans ujrzał w myślach zwłoki Joisneau zżerane przez kwasy.

– Nie pytał go pan o jego poglądy medyczne?

Champelaz zrobił ruch, jakby uwierał go sweter.

– Nie. Nie… śmiałem. Nie zna pan atmosfery naszego miasta. Chernecé należał do śmietanki uniwersyteckiej. Jest jednym z najbardziej szanowanych okulistów w tym regionie. To wielki profesor. Tymczasem ja jestem tylko strażnikiem tych murów…

– Czy przypuszcza pan, że Chernecé oglądał tamte oficjalne karty urodzeń?

– Tak.

– Czy zrobił to przed panem?

– Niewykluczone.

Dyrektor opuścił wzrok. Jego czerwoną twarz pokrywały kropelki potu.

– Czy mógł odkryć, iż te karty były sfałszowane? – naciskał Niémans.

– Ależ… skąd mam wiedzieć?! Nie rozumiem, o co panu chodzi.

Niémans dał mu spokój. Champelaz nie próbował wczytywać się w karty ukradzione przez Caillois, bo bał się, że odkryje jakieś informacje na temat

profesorów uniwersytetu. A ci profesorowie rządzili tym miastem i od nich zależał los ludzi takich jak on.

Komisarz podniósł się.

– Czy powiedział pan coś jeszcze Joisneau?

– Nic więcej. Powiedziałem to, co teraz panu.

– Proszę się jeszcze zastanowić.

– Zapewniam pana, że to wszystko.

– Czy nazwisko Judith Hérault coś panu mówi?

– Nie.

– A Philippe Sertys?

– Czy to nazwisko drugiej ofiary?

– Nigdy go pan wcześniej nie słyszał?

– Nie.

– Czy określenie „purpurowe rzeki” coś panu przypomina?

– Nie. Naprawdę, ja…

– Dziękuję panu, doktorze.

Niémans skłonił się dyrektorowi i skierował do wyjścia. Stojąc już w drzwiach, odwrócił się.

– Jeszcze jeden drobiazg, doktorze: nie widziałem ani nie słyszałem żadnego psa. Czy w ogóle ich tu nie ma?

Dyrektor wyglądał na trochę zaskoczonego.

– Pyta pan… o psy?

– Tak. Psy dla niewidomych.

Kiedy doktor pojął sens pytania, uśmiechnął się z pewnym wysiłkiem.

– Psy są potrzebne niewidomym, którzy mieszkają sami i nie korzystają z żadnej pomocy z zewnątrz. Nasz ośrodek jest zaopatrzony w bardzo dobry system alarmowy. Nasi pacjenci są ostrzegani o najmniejszej przeszkodzie, sterowani i pilnowani… Nie potrzebują psów.

Kiedy Niémans wyszedł na dwór, spojrzał na lśniącą w deszczu, jasną ścianę budynku. Od rana unikał wizyty w tym instytucie z powodu psów, których nie było. Wysłał tu Joisneau przez zwykłe tchórzostwo, ze strachu przed widmami, które ujadały tylko w jego umyśle.

Otworzył drzwiczki samochodu, przeklinając w duchu samego siebie.

Jego urojenia kosztowały młodego porucznika życie.

48

Niémans jechał drogą prowadzącą z Sept-Laux stromo w dół. Deszcz lał ze zdwojoną siłą. W świetle reflektorów błyszczał parujący asfalt. Od czasu do czasu grudki gliniastej ziemi bębniły o karoserię. Niémans, trzymając mocno kierownicę, starał się zapanować nad wozem, który ciągle zbaczał w kierunku przepaści.

Nagle rozległ się sygnał pagera, który miał w kieszeni. Włączył go jedną ręką. Była to wiadomość od Rheimsa, z Paryża. Niémans chwycił więc telefon i wywołał numer zakodowany w pamięci aparatu. Gdy Rheims usłyszał jego głos, oznajmił bez żadnych wstępów:

– Anglik umarł, Pierre.

Niémans, całkowicie pochłonięty swoim śledztwem, musiał zdobyć się na wysiłek, żeby zrozumieć konsekwencje tej nowiny. Ale nie był w stanie się skoncentrować. Dyrektor tymczasem mówił dalej:

– Gdzie jesteś?

– Jadę do Guernon.

– Kazano cię aresztować. Teoretycznie powinieneś uznać się za więźnia, oddać broń i przerwać prowadzenie śledztwa.

– Teoretycznie?

– Rozmawiałem z Terpentes’em. Wasze dochodzenie ślimaczy się i wygląda, że będzie jeszcze gorzej. Wszystkie media są już w tej twojej dziurze. Jutro rano Guernon stanie się najsławniejszym miastem we Francji. – Rheims zamilkł na chwilę. – No i wszyscy cię szukają.

Niémans nic nie powiedział. Poprzez strugi deszczu patrzył na wijącą się drogę. Ciszę przerwał Rheims:

– Pierre, czy jesteś w stanie szybko zatrzymać mordercę?

– Nie wiem. Jeszcze raz ci mówię, że jestem na właściwym tropie. Nie mam co do tego wątpliwości.

– No to uregulujemy nasze rachunki później. Nie rozmawiałem z tobą, bo jesteś nieuchwytny i nie udało mi się z tobą połączyć. Masz do dyspozycji

jedną, najwyżej dwie godziny, żeby uporządkować ten burdel. Potem już nic nie będę mógł dla ciebie zrobić. Chyba że znaleźć ci dobrego adwokata.

Niémans mruknął coś pod nosem i wyłączył telefon.

W tym momencie zobaczył w świetle reflektorów wyskakujący z prawej strony samochód. Komisarz zareagował o jedną sekundę za późno. Jego auto, uderzone w prawy bok, otarło się o skalną ścianę. Komisarz krzyknął i chwycił kierownicę, która na moment wyśliznęła mu się z rąk. Odzyskał panowanie nad wozem, zerkając z przestrachem na tamten wóz. Był to ciemny peugeot 404, ze zgaszonymi reflektorami, który znów szykował się do ataku.

Masywny samochód niespodzianie zajechał komisarzowi drogę, zmuszając go do gwałtownego hamowania. Teraz peugeot 404 był przed nim i pędził z całą szybkością, nie pozwalając się wyprzedzić. Błoto tryskało spod jego kół. Komisarz przyspieszył, próbując wyminąć peugeota z prawej strony. Nie udało się. Gdy tylko podjeżdżał bliżej, czarny samochód uderzał go w lewy bok, spychając wóz Niémansa w stronę przepaści.

Czego chciał ten wariat? Niémans zwolnił. Odległość między nim i atakującym wozem wzrosła do kilkunastu metrów. Peugeot 404 także zwolnił, przez co dzielący ich dystans znów się zmniejszył. Jednak komisarz wykorzystał tę zmianę taktyki.

Gwałtownie dodał gazu i lewą stroną drogi wyprzedził napastnika.

Gnał coraz szybciej z pedałem gazu wciśniętym do dechy. W tylnym lusterku widział znikający w ciemnościach wóz terenowy. Machinalnie zmienił bieg i przejechał tak kilkanaście kilometrów.

Znowu był sam na drodze.

Jechał z maksymalną szybkością asfaltową krętą szosą, słabo widoczną w padającym obficie deszczu, obsadzoną modrzewiami. Co to było? Kto go zaatakował? I dlaczego? Co takiego wiedział, żeby trzeba go było wyeliminować? Napaść była tak niespodziewana, że komisarz nie zdołał rozpoznać, kto siedział za kierownicą.

Na końcu zakrętu dojrzał drogę zawieszoną nad Jasse. Sześć kilometrów betonowego mostu, opartego na ponadstumetrowej wysokości słupach. Był więc nie dalej niż dziesięć kilometrów od Guernon.

Dodał jeszcze gazu.

Wjeżdżał na most, gdy oślepił go jaskrawy błysk światła, zalewający całą tylną szybę. Znowu ten peugeot 404. Z zapalonymi reflektorami, napierał na jego tylny zderzak. Niémans opuścił wsteczne lusterko i wbił wzrok w betonową szosę, tonącą w ciemnościach nocy. Instynktownie pomyślał: „Nie mogę umrzeć w taki sposób. Tylko nie tak”. Nacisnął jeszcze mocniej pedał gazu.

Światła reflektorów wciąż były za nim. Pochylony nad kierownicą, wpatrywał się w wyznaczające środek szosy odblaskowe światełka, migające w strugach deszczu. Metry zyskane w wyścigu na czas.

Niémansowi przemknęła przez głowę dziwna myśl, jakaś niewytłumaczalna pewność, że dopóki będzie w tej ulewie pędzić przez most, dopóty nic mu się nie stanie.

Na skutek zderzenia stracił na chwilę oddech.

Głową poleciał do przodu i rozbił nią przednią szybę. Lusterko wsteczne rozprysnęło się na kawałki. Jego podstawa wbiła się w skroń Niémansa jak hak. Komisarz jęknął, z rękami uwięzionymi nad głową. Czuł, że samochód zjeżdża na lewo, potem na prawo, obraca się… Krew zalała mu twarz.

Kolejny wstrząs i nagle ostre uderzenie deszczu. Przejmujący chłód nocy.

Cisza. Ciemność.

Kiedy Niémans otworzył oczy, nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył – niebo i błyskawice, wszystko w odwrotnej pozycji. Leciał sam, na wietrze, w ulewie.

Gdy jego samochód zderzył się z balustradą mostu, Niémans został wyrzucony do góry jak z katapulty. Teraz opadał powoli, w ciszy, wymachując rękami i nogami i zadając sobie absurdalne pytanie, co się czuje w ostatniej chwili przed śmiercią.

Odpowiedź nadeszła wraz z silną falą bólu. Ostre ukłucia. Trzask gałęzi. Igły modrzewiowe wbijające się w ciało i ból rozrywający je na tysiące kawałeczków.

Potem dwa, prawie jednoczesne, uderzenia.

Najpierw zetknięcie się z ziemią, zamortyzowane przez gęste gałęzie drzew. A potem apokaliptyczny huk. I ostatni wstrząs. Jakby jakaś ogromna pokrywa spadła nagle na jego ciało. W jednej sekundzie pogrążył się w chaosie sprzecznych doznań. Zimno. Gorąco. Woda. Kamienie. Ciemności.

Czas płynął.

Niémans ponownie otworzył oczy. Nic, tylko ciemność. Ciemność lasu. Pomału odzyskiwał przytomność. Stopniowo, z najdalszych zakamarków świadomości, wyłaniała się pewność: żył.

Próbował odtworzyć przebieg wydarzeń.

Spadł na drzewa i szczęśliwym zbiegiem okoliczności wylądował na ziemi, w kałuży między słupami mostu. W tym samym czasie samochód, którym jechał, wpadł na barierę mostu i rozbił się bezpośrednio nad jego głową. Uwiązł jednak w rynnie odpływowej i nie spadł na dół.

Cud.

Niémans zamknął oczy. Całe ciało bolało go niemiłosiernie od licznych ran, ale największy, palący ogniem ból pulsował w prawej skroni. Domyślił się, że to obudowa wstecznego lusterka rozcięła mu głęboko głowę nad uchem. Czuł jednak, że, ogólnie biorąc, wyszedł z wypadku względnie cało.

Z brodą przyciśniętą do piersi przyglądał się dymiącej nad nim chłodnicy samochodu. Był uwięziony pod gorącymi jeszcze blachami, w betonowym sarkofagu. Obrócił głowę na lewo i zobaczył, że za sekundę zwali się na niego kawał zderzaka.

Zdobył się na rozpaczliwy wysiłek i przesunął się w bok. Okazało się to dla niego zbawienne, bo ból, który przedtem był nie do zniesienia, odczuwał teraz jak przez mgłę.

Udało mu się prześliznąć pod zderzakiem i wydostać z tego grobowca. Mając już wolne ręce, dotknął skroni i wyczuł krew płynącą z otwartej rany. Jęknął. Pomyślał o ptaku z dziobem oblepionym mazutem i do oczu napłynęły mu łzy.

Wyprostował się, trzymając się rynny ściekowej, ale chwilę potem upadł na ziemię.

Wiedział, że zabójca wróci, żeby go wykończyć.

Chwytając się karoserii, zdołał jakoś wstać. Uderzeniem pięści otworzył powyginane drzwiczki i zabrał swój pistolet, jak również garść nabojów rozsypanych wewnątrz wozu. Przytrzymując broń lewym ramieniem i cały czas przyciskając dłonią ranę, prawą ręką załadował magazynek. Wszystko to robił po omacku, niemal nic nie widząc, bo zgubił okulary, a noc była wyjątkowo ciemna.

Z twarzą umazaną krwią i błotem, z obolałym ciałem, komisarz odwrócił się i uniósł broń. Żadnego dźwięku. Nic się nie poruszyło. Poczuł zawrót głowy. Obsunął się po masce samochodu i upadł znowu na ziemię.

Otrzeźwił go dotyk zimnej wody. Poczołgał się wzdłuż betonowej ściany w kierunku rzeki.

Po tym wszystkim nic już nie było mu straszne.

Przycisnął broń do piersi i pozwolił się ponieść wodzie, jak faraon w drodze do Krainy Umarłych.

49

Niémans płynął długo z prądem. Otwartymi szeroko oczyma wpatrywał się w niebo bez gwiazd widoczne pomiędzy liśćmi. Wokół siebie widział splątane chaotycznie gałęzie i korzenie.

Wkrótce rzeka się poszerzyła, prąd przybrał na sile. Lodowata woda powodowała zwężenie naczyń na skroni, co hamowało upływ krwi. Komisarz miał nadzieję, że prąd zniesie go aż do Guernon, na teren uniwersytetu.

Bardzo szybko przekonał się, że jego nadzieje były złudne. Ta rzeczka nie miała ujścia – nie płynęła do kampusu. Wiła się na kształt litery S, stawała się coraz węższa i wpływała w głąb lasu, tracąc swój rozpęd.

W końcu prąd całkiem osłabł.

Niémans podpłynął do brzegu i ciężko dysząc, wydostał się z mulistej, mętnej wody. Rozciągnął się na wilgotnej ziemi, pokrytej zwiędłymi liśćmi. W nozdrza uderzył go charakterystyczny, mdlący zapach zgnilizny.

Odwrócił się na plecy i rozejrzał po lesie. Rosnące tu drzewa tworzyły przejrzyste zagajniki z bujnym poszyciem. Panowała jednak tak głęboka ciemność, że z trudem dostrzegał czarne kontury gór nad nim. Nie miał pojęcia, ile czasu płynął ani w jakim kierunku.

Mimo bólu, mimo dotkliwego uczucia zimna podczołgał się do jednego z drzew i oparł o jego pień. Zmusił się do zebrania myśli. Usiłował odtworzyć w pamięci mapę regionu, na której zaznaczył miejsca ważne dla śledztwa. Przypomniał sobie, że uniwersytet w Guernon położony był na północ od Sept-Laux.

Kierunek północ.

Nie znając własnej pozycji, jak miał znaleźć północ? Nie dysponował ani kompasem, ani żadnym innym instrumentem magnetycznym. W dzień mógłby zorientować się według słońca. Ale nocą?

W sytuacji, gdy krew wciąż płynęła z rany na skroni, a zimno przenikało na wskroś całe jego ciało, miał przed sobą najwyżej kilka godzin życia.

Nagle go olśniło. Nawet teraz, w środku nocy, może określić położenie słońca dzięki roślinom. Komisarz nie znał się na przyrodzie, ale tak jak wszyscy wiedział, że niektóre gatunki mchów i porostów lubiące wilgoć rosną tylko w cieniu i absolutnie unikają słońca. Takie rośliny muszą więc być pod drzewami od strony północnej.

Uklęknął, szukając w kieszeni mokrego płaszcza odpornego na uderzenia pudełka z zapasowymi okularami. Były całe. Teraz, gdy je założył, dokładnie widział najbliższe otoczenie.

Zaczął poszukiwania pod modrzewiami rosnącymi wzdłuż brzegu. Po kilku minutach wymacywania zgrabiałymi z zimna i brudnymi palcami przekonał się, że miał rację. Przy samych pniach, zawsze od tej samej strony, płożyły się kępki świeżego, szmaragdowego mchu. Komisarz wyczuł palcami drobniutkie, cieniutkie i miękkie listeczki – miniaturowa dżungla, która wskazała mu pomoc.

Niémans podniósł się z trudem i ruszył drogą wyznaczoną przez mech.

Zataczał się jak pijany, potykał na wertepach, a serce waliło mu jak młotem. Brnął przez kałuże, po ziemi usianej kawałkami kory, między kłującymi gałęziami modrzewi. Pod jego stopami chrzęściły drobne kamyki i kolce opadłe z ciernistych krzaków. Cały czas nie tracił z oczu porostów. Przechodził także przez podmarznięte moczary, które żłobiły słonawe bruzdy wśród pagórków. Mimo zmęczenia, mimo ran szedł dość szybko, wdychając świeże powietrze, które dodawało mu sił. Ulewa na chwilę ustała, żeby znów powrócić z nową siłą.

W końcu pojawiła się jakaś droga.

Lśniąca asfaltem droga zbawienia. Niémans ponownie przyjrzał się rosnącym na skraju kępkom mchu, żeby określić dokładnie kierunek. Nagle na zakręcie pojawiła się furgonetka policyjna z zapalonymi wszystkimi światłami.

Samochód zatrzymał się i wyskoczyli z niego żandarmi, by pomóc Niémansowi, który, ledwie żywy, cały czas ściskał w ręce swój pistolet.

Osłabiony komisarz czuł, jak podtrzymują go pod ramiona. Słyszał szepty, krzyki. Światła reflektorów przecinały ciemności. Gdy już znalazł się w furgonetce, jeden z żandarmów krzyknął:

– Do szpitala!

Niémans, na pół przytomny, wymamrotał:

– Nie, na uniwersytet.

– Co takiego? Jest pan straszliwie poraniony i…
– Na uniwersytet. Mam… tam spotkanie.

50

Drzwi otworzyły się natychmiast.

Niémans opuścił oczy. Zobaczył mocne, opalone przeguby rąk kobiety, a wyżej rękawy grubego pulowera, potem powędrował wzrokiem aż do szyi i karku, nad którym przymgloną aureolę tworzyły jedwabiste włosy, zwinięte w kok. Pomyślał, że jej piękna skóra ma jakiś jedyny w swoim rodzaju czar, pod którego wpływem każdy materiał, każde ubranie na niej zmienia swój charakter. Fanny ziewnęła:

– Bardzo późno pan przychodzi, komisarzu.

Niémans usiłował się uśmiechnąć:

– Pani… nie spała?

Pokręciła przecząco głową i odsunęła się na bok. Wszedł w światło. Twarz Fanny stężała: dopiero teraz zauważyła zakrwawioną skroń komisarza. Cofnęła się o krok i obrzuciła uważnym spojrzeniem jego zmaltretowaną sylwetkę. Niebieski płaszcz nasiąknięty wodą jak gąbka. Podarty krawat. Utytłane mułem ubranie.

– Co się panu stało? Jakiś wypadek?

Niémans skinął potakująco głową.

Rozejrzał się po pokoju. Miał gorączkę i z trudem oddychał, ale był szczęśliwy, że znalazł się w tym miejscu. Czyste ściany w pastelowych barwach. Biurko z komputerem, zasłane książkami i papierami. Kamienie i kryształy na półkach. Rzucony bezładnie sprzęt alpinistyczny i ubrania w odblaskowych kolorach. Mieszkanie młodej dziewczyny, prowadzącej tryb życia domatorki i zarazem sportsmenki. W jednej sekundzie przypomniał sobie ich wspólną wyprawę na lodowiec. Wspomnienie okryte szronem.

Niémans zwalił się ciężko na krzesło. Na dworze znowu padało. Słychać było bębnienie deszczu o dach i stłumione dźwięki dochodzące od sąsiadów. Skrzypnięcie drzwi. Kroki. Nocne życie studentów, niespokojnych, szukających odosobnienia.

Fanny ściągnęła z komisarza płaszcz, a potem obejrzała z uwagą ranę na skroni. Wydawało się, że ani zakrzepła krew, ani głębokie, ciemne rany nie robią na niej żadnego wrażenia.

– Jest pan paskudnie poraniony. Mam nadzieję, że tętnica skroniowa nie została naruszona. Trudno to stwierdzić, bo krew ciągle płynie i… Jak to się stało?

– Miałem wypadek – odparł lakonicznie Niémans. – Wypadek samochodowy.

– Powinnam pana zawieźć do szpitala.

– Nie ma mowy. Muszę kontynuować śledztwo.

Fanny zniknęła w drugim pokoju, po czym wróciła z naręczem bandaży, leków, pudełek z jednorazowymi strzykawkami i z surowicą. Otworzyła zębami kilka opakowań. Potem umocowała igłę w plastikowej strzykawce. Niémans spojrzał na ampułkę.

– Co to jest?

– Środek znieczulający. Nie będzie pan czuł bólu. Proszę się nie bać.

Niémans przytrzymał jej rękę.

– Niech pani poczeka.

Przebiegł wzrokiem skład leku. Ksylokaina. Środek znieczulający z adrenaliną, który z pewnością uśmierzy ból, ale nie wprawi go w otępienie.

– Niech się pan nie boi – szepnęła Fanny. – Ten lek zmniejszy także krwawienie.

Niémans odwrócił głowę. Poczuł kilka ukłuć wokół rany. Po chwili ból ustąpił.

– Czy ma pani czym zszyć ranę? – wymamrotał.

– Oczywiście, że nie. Musi pan udać się do szpitala. Nie wolno czekać, aż znów pojawi się krwawienie.

– Proszę to czymś zacisnąć. Czymkolwiek. Muszę dalej prowadzić śledztwo i zachować przytomność umysłu.

Fanny wzruszyła ramionami, po czym skropiła opatrunki jakimś aerozolem. Niémans popatrzył na nią. Dżinsowe spodnie opinały jej pośladki, a krągłość piersi była tak wyraźna, że pomimo stanu, w jakim się znajdował, poczuł silne podniecenie.

Zastanowił się nad kontrastami charakteryzującymi tę młodą kobietę. W jaki sposób potrafiła być tak delikatna i zarazem konkretna? Tak słodka

i okrutna? Tak bliska i tak daleka? Tę samą dwoistość rozpoznał w jej wzroku: energiczny błysk oczu, nieskończona słodycz w rysunku brwi. Wdychając ostry zapach środków antyseptycznych, zapytał:

– Pani mieszka sama?

Fanny obtarła ranę kilkoma szybkimi ruchami. Komisarz czuł lekkie palenie, wywołane coraz silniejszym działaniem środka znieczulającego.

– Kolejna gafa – odparła z uśmiechem.

– Przepraszam… Czy jestem niedyskretny?

Fanny, stojąc bardzo blisko niego, szepnęła mu do ucha:

– Mieszkam sama. Nie mam nikogo, jeśli o to panu chodziło.

– Ja… Ale… dlaczego mieszka pani na uniwersytecie?

– Bo mam stąd blisko na wykłady, na zajęcia praktyczne…

Niémans chciał odwrócić głowę, ale Fanny przytrzymała ją stanowczym ruchem.

– No tak – powiedział komisarz – przypominam sobie. Najmłodsza we Francji osoba z dyplomem wyższej uczelni. Córka i wnuczka zasłużonych profesorów. Należy więc pani do tych dzieci, które…

Fanny przerwała mu ostrym tonem:

– Jakich dzieci?

– Miałem na myśli te niezwykle uzdolnione dzieci z kampusu, które są także czempionami…

Twarz młodej kobiety spochmurniała. W jej głosie dało się słyszeć nieufność.

– Czego pan szuka?

Komisarz nie odpowiedział, mimo iż miał wielką ochotę zapytać Fanny o jej pochodzenie. Czy można jednak pytać młodą kobietę, skąd się wzięła jej siła życiowa, gdzie jest źródło jej chromosomów?

– Panie komisarzu, nie wiem, dlaczego, będąc w takim stanie, postanowił pan do mnie przyjść. Jeśli jednak ma pan pytania, to słucham.

Zastrzyk zaczął działać. Niémans nie czuł już żadnego bólu. Uśmiechnął się zmieszany.

– Chciałem porozmawiać z panią o tym magazynie uniwersyteckim, w którym pani pisuje…

– Chodzi panu o „Tempo”?

– Tak.

Niémans odczekał chwilę. Fanny odłożyła opatrunki do plastikowej torebki, a następnie owinęła bandażem jego głowę.

– Ciekaw jestem, czy to pani napisała artykuł o dziwnym zdarzeniu na uniwersytecie, który miał miejsce w podziemiach szpitala w lipcu…

– O jakim zdarzeniu?

– W szafce Étienne’a Caillois, ojca Rémy’ego, znaleziono karty urodzeń.

– Ach, o to panu chodzi…

– Napisała pani o tym?

– Zaledwie kilka linijek.

– Dlaczego mi pani o tym nie wspomniała?

– Czy ma to jakiś związek z morderstwami?

– Dlaczego nie powiedziała mi pani o tej kradzieży? – powtórzył głośniej komisarz.

Fanny wzruszyła lekko ramionami.

– Nic nie świadczy o tym, że była to kradzież… Przy tym bałaganie, jaki panuje w archiwach, zawsze coś się gubi, coś się znajduje… Czy to takie ważne?

– Czy widziała pani te karty?

– Tak, byłam w archiwum.

– Nie zauważyła pani nic ciekawego w tych dokumentach?

– Co na przykład?

– Nie porównywała ich pani z oryginałami?

– To były luźne kartki, zapisane przez pielęgniarki. Nic ciekawego.

– Ile ich było?

– Kilkaset. Nie rozumiem, o co panu chodzi…

– Czy wymieniła pani w swoim artykule nazwiska z tych kart, czy wspomniała pani, których rodzin dotyczyły?

– Już panu powiedziałam, że napisałam tylko krótką notatkę.

– Czy mógłbym ją przeczytać?

– Nigdy nie zachowuję tego, co piszę.

Stała ze skrzyżowanymi ramionami, obojętna, niewzruszona. Niémans pytał dalej:

– Czy nie sądzi pani, że ktoś mógł przejrzeć te karty? Na przykład ludzie zaniepokojeni, że w tych dokumentach znalazły się ich nazwiska albo nazwiska ich rodziców?

– Powiedziałam już, że nie wymieniałam żadnych nazwisk.

– Czy ktoś mógł tam coś sprawdzać?

– Nie sądzę. Niełatwo dostać się do archiwum. Zresztą jakie to ma znaczenie? Jaki to ma związek ze śledztwem?

Niémans nie odpowiedział od razu. Unikając wzroku Fanny, zaatakował ją innym, podstępnym pytaniem:

– Czy dokładnie obejrzała pani te karty?

Zapadła cisza. Komisarz podniósł wzrok. Fanny wyglądała tak, jakby myślami była bardzo daleko. W końcu powiedziała:

– Mówiłam panu, że je oglądałam. Co chce pan wiedzieć?

Niémans zawahał się na sekundę.

– Chciałbym wiedzieć, czy znalazła pani w tych kartach nazwisko pani rodziców lub dziadków?

– Nie, nic takiego nie znalazłam. Dlaczego pan o to pyta?

Komisarz nie odpowiedział. Teraz oboje stali naprzeciw siebie, jak wrogowie na dwóch różnych biegunach. Niémans zobaczył swoją obandażowaną głowę w lustrze i szepnął skruszonym tonem:

– Dziękuję pani. I proszę mi wybaczyć te pytania. – Chwycił swój płaszcz i dorzucił: – Choć brzmi to bardzo niewiarygodnie, sądzę, że z powodu tych kart zginął jeden z policjantów pracujących nad śledztwem. Młodziutki porucznik, który dopiero zaczynał pracę. Chciał przejrzeć te papiery. Przypuszczam, że go zabito, żeby mu w tym przeszkodzić.

– Bzdury.

– Przekonamy się. Idę do archiwum, żeby porównać te karty z oryginałami.

Wkładał już swój przemoczony płaszcz, kiedy go powstrzymała słowami:

– Nie może pan wyjść w tym mokrym ubraniu! Niech pan poczeka.

Fanny wyszła z pokoju, a po chwili wróciła z przeciwpotną koszulą z długimi rękawami, pulowerem, grubą kurtką polarową i nieprzemakalnymi spodniami.

– Wprawdzie to nie jest pana rozmiar, ale przynajmniej te rzeczy są ciepłe i suche. I niech pan nałoży to…

Szybkim gestem naciągnęła na jego obandażowaną głowę czapkę. Niémans po chwili zaskoczenia zaśmiał się. Oboje jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

Znów została nawiązana pomiędzy nimi nić porozumienia.

– Muszę kontynuować dochodzenie. Idę do archiwum – powiedział komisarz.

Zanim zdążył się poruszyć, Fanny objęła go i pocałowała w usta. Zesztywniał. Zalała go fala gorąca. Zamknął oczy i szepnął:

– Muszę kontynuować śledztwo.

Ale wiedział już, że nie jest zdolny tego czynić.

Część X

51

Karim zerwał sznur zagradzający dostęp do grobowca i przyklęknął przed uchylonymi nadal drzwiczkami. Włożył rękawiczki, wsunął palce w lukę i gwałtownie szarpnął. Odsłoniło się całe wejście. Bez wahania zapalił latarkę i wśliznął się do środka. Schyliwszy się pod kamiennym sklepieniem, zszedł w dół po kilku stopniach. Wiązka światła odbiła się od czarnej powierzchni wody. Wpadający przez drzwiczki deszcz napełnił nią grób do połowy, upodobniając go do śluzy.

Karim powiedział sam do siebie: „Nie mam wyboru”. Wstrzymał oddech i zanurzył się w wodzie. Trzymając latarkę w lewej ręce, stylem indiańskim popłynął na boku. Smuga latarki halogenowej przecinała ciemność. W miarę jak Karim zapuszczał się głębiej w grobowiec, smród stęchlizny stawał się coraz intensywniejszy. Z twarzą zwróconą ku stropowi, porucznik, plując wodą, brnął w błocie.

Nagle uderzył głową w trumnę. Krzyknął zaskoczony i przystanął, żeby się uspokoić. Przyglądał się małej trumnie, która kołysała się na wodzie jak łódka.

Powtórzył sobie: „Nie mam wyboru”. Opłynął trumnę, oglądając ją ze wszystkich stron. Wieko przymocowane było kilkoma śrubami. Z latarką w zębach Karim zwrócił uwagę na pewien szczegół, którego nie zdążył zauważyć rano, gdy zaskoczył go stróż cmentarza. Wokół śrub sterczały w jasnym drzewie ciemniejsze drzazgi, farba w tych miejscach odprysła. Pewnie ktoś otwierał tę trumnę. „Nie mam wyboru”. Karim wydobył z kurtki kombinerki, które mogły jednocześnie służyć za śrubokręt, i zabrał się do odkręcania zawiasów wieka.

Stopniowo drewniana pokrywa ustępowała, aż w końcu puścił ostatni zawias. Uderzając głową w sklepienie – poziom wody stale się podnosił i sięgał już jego ramion – Karim odchylił wieko. Końcem rękawa otarł oczy i zajrzał do trumny, gotów wstrzymać oddech.

Okazało się to niepotrzebne.

W trumnie nie było szkieletu dziecka. Nie było też śladów żadnej profanacji. Trumnę wypełniono po brzegi drobnymi, ostrymi, białymi kosteczkami. Prawdziwe sanktuarium szczurów – tysiące wyschłych szkieletów, kredowobiałe pyszczki wyostrzone jak sztylety, klatki piersiowe zwinięte jak szpony, mnóstwo cienkich jak zapałki kości udowych, żeber i miniaturowych kości ramiennych.

Karim, drżąc na całym ciele, sięgnął ręką do ossuarium. W załamującym się promieniu latarki tysiące szkieleciков połyskiwały jakby odbitym światłem z odległych czasów.

W tym momencie usłyszał za sobą głos, który przebił się przez bębnienie deszczu:

– Nie powinieneś tu wracać, Karim.

Porucznik nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, kto mówi. Zacisnął pięści i z głową pochyloną tuż nad stosem kości mruknął:

– Crozier, niech mi pan nie mówi, że i pan jest wmieszany w tę sprawę…

– Nie powinienem pozwolić ci prowadzić tego śledztwa.

Karim rzucił krótkie spojrzenie do tyłu. Sylwetka Henriego Croziera odcinała się bardzo wyraźnie na tle wejścia do grobowca. W ręce trzymał manurhina, model MR73, taką samą broń, jaką miał Niémans. Sześć kul w bębenku. W kieszeni magazynki do szybkiej wymiany. Kilka sekund na wyrzucenie łusek i wstawienie nowych naboi bez najmniejszej straty czasu. Proste jak drut.

– Co pan robi w tym całym burdelu? – powtórzył Karim. Crozier nie odpowiedział.

– Czy mogę chociaż wyjść z tego gówna? – zapytał Karim, unosząc nad wodą mokre łokcie.

Crozier machnął bronią przyzwalająco.

– Wyłaź, ale powoli, bardzo powoli.

Karim osunął się do wody i dopłynął do schodków, zostawiwszy otwarty grobowiec. Chwiejny promień światła latarki, którą trzymał w zębach, podrygiwał na kamiennym suficie jak w szalonym tańcu. Powtórzył poprzednie pytanie:

– Jaka jest pana rola w tym wszystkim? Co pan naprawdę wie?

Crozier w końcu powiedział:

– To było w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku. Kiedy przyjechała do nas, od razu ją zauważyłem. To moje miasto, chłopcze, moje terytorium.

A w tamtym czasie byłem właściwie jedynym gliniarzem w Sarzac. Ta kobieta, która przyjechała, żeby podjąć pracę nauczycielki, była taka piękna, postawna… Domyśliłem się od razu, że coś z nią jest nie tak…

– „Crozier, oko Sarzac” – westchnął Karim.

– Ano właśnie. Przeprowadziłem małe dochodzenie. Udało mi się zdobyć jej zaufanie. Powiedziała, że diabły chciały zabić jej dziecko.

– To wszystko już wiem.

– Nie wiesz jednak tego, że postanowiłem im pomóc. Znalazłem dla nich fałszywe dokumenty…

Karim miał wrażenie, jakby nagle stanął nad przepaścią.

– Kim były te diabły?

– Pewnego dnia zjawili się dwaj mężczyźni. Szukali starych dzienników szkolnych. Byli z Guernon, miasta uniwersyteckiego, skąd przyjechała także Fabienne. Natychmiast zrozumiałem, że to oni są tymi diabłami…

– Ich nazwiska?

– Caillois i Sertys.

– Niech pan nie robi ze mnie durnia. Rémy Caillois i Philippe Sertys mieli wówczas po dziesięć lat!

– To byli ich ojcowie, Étienne Caillois i René Sertys. Mieli chyba koło czterdziestu lat. Okropne gęby z oczami fanatyków.

Karim poczuł smak goryczy w ustach. Dlaczego sam na to nie wpadł? Purpurowe rzeki odnosiły się do wielu pokoleń. Przed Rémym Caillois był Étienne Caillois. Przed Philippe’em Sertysem był René Sertys.

– I co dalej? – zapytał cicho.

– Odegrałem rolę inkwizytora. Kontrola dokumentów, tożsamości i tym podobne. Ale nie miałem się do czego przyczepić. Wszystko było zgodne z przepisami. Wyjechali i nie zdążyli odnaleźć Fabienne ani jej dziecka. Tak przynajmniej uważałem. Jednak gdy Fabienne dowiedziała się, że ci faceci krążą po Sarzac, chciała natychmiast uciekać. Nie pytałem o nic. Zniszczyłem dokumenty, wyrwałem kartki z zeszytów, zatarłem ślady… Fabienne zmieniła tożsamość swojego dziecka, ale…

Karim mu przerwał. Rozdzielała ich ściana deszczu.

– Syn Sertysa przyjechał tu w nocy, w niedzielę. Czy domyśla się pan, czego szukał w grobie?

– Nie.

Abdouf wskazał na grobowiec.

– W tej cholernej trumnie są kości szczurów. Prawdziwy koszmar. Co to znaczy?

– Nie wiem. A ty nie powinieneś otwierać tej trumny. Nie masz szacunku dla zmarłych.

– Jakich zmarłych? Gdzie jest ciało Judith Hérault? Czy ona naprawdę nie żyje?

– Nie żyje i została pochowana, chłopcze. To ja zająłem się pogrzebem.

Karim zatrząsł się.

– I to pan dba o grób?

– Ja. Przychodzę tu w nocy.

Karim, przysunąwszy się do wycelowanej w niego broni, krzyknął:

– Gdzie ona jest? Gdzie jest teraz Fabienne Hérault?

– Nie trzeba jej robić krzywdy.

– Panie komisarzu, ta sprawa wykracza daleko poza profanację na cmentarzu. Tu chodzi o morderstwa.

– Wiem.

– Pan wie?

– Bębnią o tym na wszystkich kanałach telewizyjnych.

– Wobec tego wie pan, że chodzi o serię zabójstw, z torturami, z trupami umieszczonymi w makabrycznej scenerii… Crozier, niech pan mi powie, gdzie mogę znaleźć Fabienne Hérault!

Cień padał na nieruchomą twarz Croziera. Nadal trzymał rewolwer wycelowany w pierś Abdoufa.

– Nie wolno jej robić krzywdy.

– Nikt jej nie zrobi krzywdy. Fabienne Hérault jest w tej chwili jedyną osobą, która może wytłumaczyć mi ten cały burdel. Wszystko przemawia za tym, że winna jest jej córka, kapuje pan? Fakty świadczą przeciw Judith Hérault, która powinna spoczywać w tym grobie!

Stali tak kilka sekund w ulewie, po czym Crozier powoli opuścił rewolwer. Karim wiedział, że komisarz pierwszy raz w życiu miał kogoś na muszce.

– Fabienne mieszka dwadzieścia kilometrów stąd, na wzgórzu Herzine. Pojadę z tobą. Jeśli ją skrzywdzisz, zabiję cię – powiedział Crozier.

Karim uśmiechnął się i cofnął o krok. Potem obrócił się gwałtownie i kopnął komisarza obcasem w gardło. Crozier upadł nieprzytomny na marmurowe stele.

Abdouf pochylił się nad nim, zapiął mu pod brodą kaptur i zaciągnął pod osłonę granitowego grobowca. W duchu prosił go o wybaczenie.

Musiał jednak działać samodzielnie.

52

– Gorąco, Abdouf. Bardzo, bardzo gorąco.

Głos Patricka Astiera przebił się przez zakłócenia. Telefon komórkowy odezwał się, gdy Karim jechał przez kamieniste, szare pustkowie. Porucznik aż podskoczył i omal nie wpadł na zryte koleinami pobocze drogi. Astier mówił z wielkim podnieceniem:

– Te dwa zadania, które mi zleciłeś, to bomby z opóźnionym zapłonem. Totalne zaskoczenie!

Karim czuł, że nerwy ma napięte do ostatecznych granic.

– Słucham cię – powiedział, zatrzymując samochód na poboczu i gasząc reflektory.

– Najpierw wypadek Sylvaina Héraulta. Odnalazłem protokół, który potwierdził twoje informacje. Sylvain Hérault zginął, jadąc rowerem drogą D siedemnaście, pod kołami gabloty, której nigdy nie zidentyfikowano. Przykra sprawa. Klasyczny przypadek. Żandarmi przeprowadzili wówczas rutynowe dochodzenie. Brak świadków. Brak motywu, który uzasadniałby inną interpretację…

Z tonu głosu Astiera wyczuwało się, że oczekuje na pytania. Karim podporządkował się temu życzeniu:

– Ale?

– Ale – podjął na nowo chemik – od tamtej odległej pory dokonaliśmy gigantycznego postępu w dziedzinie obróbki zdjęć…

Karim, przeczuwając, że usłyszy skomplikowany techniczny komentarz, przerwał mu:

– Miej litość nade mną, Astier, przystąp od razu do rzeczy!

– Dobra. W protokole znalazłem zdjęcia. Czarno-białe fotografie, zrobione przez miejscowego gliniarza. Widać na nich ślady opon roweru, które się krzyżują z odciskami opon tej gabloty. Wszystko jest takie małe i niewyraźne, że nie bardzo rozumiem, dlaczego zachowano te zdjęcia.

– I co z tego?

Naukowiec milczał przez sekundę dla zwiększenia efektu.

– Na terenie kampusu w Grenoble znajduje się instytut optyki…

– Cholera jasna, Astier, czy zamierzasz…

– Poczekaj. Faceci z tego instytutu potrafią zrobić takie cuda ze zdjęciami, że nawet sobie nie wyobrażasz. Metodą obróbki cyfrowej powiększają, uzyskują duży kontrast, usuwają zanieczyszczenia, zmieniają siatkę obrazu… Krótko mówiąc, potrafią wydobyć szczegóły niewidoczne gołym okiem. Znam dobrze tych inżynierów. Pomyślałem, że chyba warto ich obudzić i przesłać im te zdjęcia. Zamiast je skanować, użyłem faksu. Ci faceci, nawet wyrwani z łóżka, są genialni. Natychmiast zabrali się do roboty i…

– I co?

Astier chwilę milczał, by zwiększyć efekt.

– Z poddanych obróbce zdjęć wynika, że ten wypadek miał zupełnie inny przebieg niż opisany w raporcie przechowywanym w żandarmerii. Powiększyli ślady opon roweru i samochodu. Po nastawieniu na duży kontrast mogli dokładnie się przyjrzeć bieżnikom i ustalić, w jakim kierunku jechały oba pojazdy. Ich pierwszy wniosek jest taki, że Hérault nie jechał do pracy, w góry, jak napisano w raporcie. Rysunek bieżników wskazuje kierunek przeciwny: Hérault jechał na uniwersytet. Sprawdziłem to na mapie.

– A co… mówiła jego żona, Fabienne?

– Fabienne Hérault skłamała. Czytałem jej zeznanie. Po prostu potwierdziła to, co przypuszczali żandarmi, że poszukiwacz kryształów jechał w kierunku Belledonne. Nic bardziej fałszywego.

Karim zacisnął szczęki. Kolejne kłamstwo, kolejna tajemnica. Astier kontynuował:

– To nie wszystko. Optycy zajęli się także śladami opon samochodu. – Inżynier znowu zawiesił głos, po czym mówił dalej: – Te ślady idą w dwóch kierunkach. Kierowca przejechał raz przez ciało, potem wrócił i najechał drugi raz na ofiarę. Niezły z niego skurwysyn. Zimny, nieczuły jak głaz.

Karim już go nie słuchał. Serce waliło mu w piersi jak młotem. Nareszcie miał motyw zemsty dla członków rodziny Hérault. Przed ucieczką dwóch kobiet, przed tym życiem w strachu i niepewności, co spowodowało śmierć Judith, wcześniej miało miejsce morderstwo. Zabito Sylvaina Hérault.

Diabły najpierw wyeliminowały „głowę rodziny”, a potem ścigały jego żonę i córkę.

Fabienne Hérault. Judith Hérault. Po głowie Abdoufa krążyły przeróżne myśli.

– A czego dowiedziałeś się w szpitalu?

– To bomba numer dwa. Przejrzałem rejestry urodzeń z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego. Strona dotycząca dwudziestego trzeciego maja została wyrwana.

Karim miał wrażenie, jakby już to wszystko kiedyś przeżył, jakby wracała do niego fala przybojowa drugiego życia, które miało trwać tylko kilka godzin.

– Ale nie to jest najdziwniejsze – powiedział Astier. – Zajrzałem również do archiwum, gdzie są przechowywane dane medyczne dotyczące dzieci. Bez najmniejszych trudności znalazłem teczkę Judith. Rozumiesz, co to znaczy? Wygląda na to, że tej nocy wydarzyło się jeszcze coś, co zostało zanotowane w głównym rejestrze, ale nie w teczce Judith. Wydarto tę kartkę, żeby ukryć narodziny tej małej dziewczynki. Próbowałem dowiedzieć się czegoś od tamtejszych pielęgniarek, ale one wolały spać, a poza tym były za młode, żeby przejmować się historyjkami wujka Astiera…

Technik zgrywał fanfarona, żeby stłumić własny strach. Pomimo zakłóceń w odbiorze Karim słyszał to w jego głosie. Podziękował mu i się rozłączył.

Spojrzał na porośnięty trawą masyw wzgórza Herzine, które rysowało się w odległości czterystu metrów przed nim.

Czy nareszcie miał się tam dowiedzieć prawdy?

53

Dom Fabienne Hérault.

Na szczycie wzgórza. Ściany z kamienia. Wszystkie okna pozamykane na głucho.

Szare obłoczki przesuwały się po ciemnym niebie. Deszcz właśnie przestał padać. Nad zielonymi zboczami unosiły się długie smugi mgły. Wokoło, aż po horyzont, całkowita pustka. Tylko kamienie. W promieniu dwudziestu kilometrów nie było widać nikogo ani niczego.

Karim zaparkował wóz i poszedł do góry trawiastym zboczem. Ta kobieta w podobnym domu mieszkała w Sarzac – grube kamienne ściany nadawały mu wygląd celtyckiej świątyni. W pobliżu domu zauważył ogromny talerz anteny satelitarnej. Wyjął broń. Upewnił się, że nabój został wprowadzony do lufy. To go uspokoiło.

Odnalazł garaż, w którym stało volvo przykryte jasną plandeką. Nie było zamknięte. Otworzył maskę i kilkoma ruchami, jak człowiek znający się na rzeczy, wyjął bezpieczniki. Gdyby coś poszło nie tak, Fabienne Hérault nie będzie mogła stąd odjechać.

Podszedł do drzwi i zastukał cicho kilka razy. Potem cofnął się o krok, z bronią w ręku. Po kilku sekundach drzwi się otworzyły. Bez szczęku zamka. Fabienne Hérault już się niczego nie bała.

Karim, chowając broń, podszedł bliżej.

Ujrzał kobietę tak wysoką jak on, która patrzyła wprost na niego. Szerokie ramiona, blada twarz o bardzo regularnych rysach, w aureoli gęstych, kręconych włosów. W okularach o bardzo grubych szkłach. Karim nie umiałby opisać tej twarzy, marzycielskiej, niemal nieobecnej.

Pewnym siebie tonem przedstawił się:

– Porucznik Karim Abdouf. Policja.

Kobieta nie okazała żadnego zdziwienia. Spoglądała na Karima sponad okularów, kołysząc z lekka głową. Potem opuściła wzrok na rękę, w której trzymał glocka. Abdoufowi wydało się, że dojrzał w jej oczach błysk drwiny.

– Czego pan chce? – zapytała ciepłym głosem. Karim nie poruszył się, urzeczony ciszą wiejskiej nocy.

– Na początek wejść.

Kobieta uśmiechnęła się i zrobiła mu przejście.

Żaluzje były opuszczone, większość mebli okrywały pstrokate pokrowce. Telewizor z czarnym ekranem i fortepian z lakierowanymi klawiszami. Karim zauważył otwarte nad klawiaturą nuty – sonata h-moll Fryderyka Chopina. Cały pokój był pogrążony w półmroku, jaki tworzyło drgające światło kilkunastu świec.

Idąc za wzrokiem porucznika, Fabienne Hérault cicho powiedziała:

– Żyję na uboczu, z dala od świata i czasu. Dom urządziłam według swojego gustu.

Karim pomyślał o siostrze Andrée i jej ucieczce w ciemność.

– A antena satelitarna na zewnątrz?

– Muszę utrzymywać kontakt z ludźmi. Muszę wiedzieć, kiedy objawi się prawda.

– Już bardzo niedługo, proszę pani.

Kobieta skinęła potakująco głową, nie zmieniając wyrazu twarzy. Porucznik nie spodziewał się takiej reakcji: ten spokój, uśmiech, ciepły głos. Podniósł broń, choć było mu wstyd, że grozi tej kobiecie.

– Proszę pani – powiedział z trudem – mam bardzo mało czasu. Muszę zobaczyć zdjęcia Judith, pani córki.

– Zdjęcia mojej…

– Bardzo proszę. Szukam pani od ponad dwudziestu godzin. Cały ten czas odtwarzam pani dzieje i próbuję zrozumieć, dlaczego zorganizowała pani cały ten spisek, dlaczego chciała pani zatrzeć ślad po twarzy swojej córki. Na razie znam tylko dwa fakty. Judith nie była maszkarą, jak początkowo myślałem. Sądzę, że była śliczna, czarująca. Po drugie, jej twarz jest chyba kluczem do rozwiązania tego koszmaru. Koszmaru, który przed laty zmusił panią do ucieczki i który teraz ożył jak uśpiony wulkan. Proszę więc pokazać mi te zdjęcia i opowiedzieć całą historię. Chcę usłyszeć daty, szczegóły, wyjaśnienia, wszystko. Chcę zrozumieć, jak to jest możliwe, że mała dziewczynka, która zmarła czternaście lat temu, morduje ludzi w uniwersyteckim mieście u podnóża Alp!

Kobieta stała nieporuszona przez kilka sekund, potem dużymi krokami ruszyła korytarzem. Karim, ściskając broń, szedł tuż za nią. Rozglądał się

na prawo i na lewo. Inne pokoje, inne pokrowce, inne kolory. Atmosfera tego domu kojarzyła mu się z żałobą i zarazem z karnawałem.

Gdy znaleźli się w małej sypialni, Fabienne Hérault otworzyła szafę i wyjęła metalowe pudełko. Karim chwycił ją za rękę i sam je otworzył.

Fotografie. Tylko fotografie.

Kobieta spojrzała na niego pytająco, po czym wybrała jedno zdjęcie i pokazała porucznikowi.

Mimo woli uśmiechnął się do siebie.

Z fotografii patrzyła na niego mała dziewczynka z owalną twarzą o jasnej cerze, okoloną krótkimi czarnymi lokami. W ślicznej twarzyczce błyszczały duże oczy, osadzone głęboko pod długimi, trochę zbyt gęstymi brwiami, które jednak pasowały doskonale do błękitnych źrenic.

Karim przyglądał się z uwagą zdjęciu. Miał wrażenie, jakby znał tę twarz od dawna, od bardzo dawna. Od zawsze.

Nie nastąpił jednak żaden cud. Porucznik miał nadzieję, że gdy zobaczy tę twarz, dozna jakiegoś olśnienia. Fabienne szepnęła ciepłym głosem:

– To zdjęcie zostało zrobione kilka dni przed jej śmiercią. W Sarzac. Miała wtedy krótkie włosy, a my…

Karim podniósł na nią wzrok

– Coś tu nie gra. Spodziewałem się, że to zdjęcie dostarczy mi jakiejś wskazówki, coś mi wyjaśni. A widzę tylko śliczną dziewczynkę.

– Bo to zdjęcie jest niekompletne.

Karim zadrżał. Kobieta podsunęła mu drugie zdjęcie.

– Oto ostatnia fotografia szkolna z Guernon. Szkoła imienia Lamartine’a, klasa CE dwa. Tuż przed naszym wyjazdem do Sarzac.

Porucznik przyjrzał się uśmiechniętym twarzyczkom dzieci. Odnalazł Judith, a potem odkrył zdumiewającą prawdę. Tego właśnie oczekiwał. Było to jedyne możliwe wyjaśnienie. Dalej jednak nie wszystko rozumiał.

– Judith nie była pani jedyną córką?

– Tak i nie.

– Tak i nie? Co to ma znaczyć? Proszę to wyjaśnić.

– Nie jestem w stanie panu niczego wyjaśnić, młody człowieku. Mogę tylko opowiedzieć, w jak niepojęty sposób złamano mi życie.

Część XI

54

W podziemiach szpitala, w sali archiwum, znajdowała się nieprzebrana ilość papierzysk. Całe mnóstwo ciasno powiązanych teczek, od których uginały się przeładowane ponad miarę szafy. Na podłodze zawalały przejścia bezładnie rzucone paczki. Dalej, w głębi sali, w jaskrawym świetle lamp, widać było ściany z półkami uginającymi się od dokumentów.

Niémans ominął sterty leżące na podłodze i wszedł w pierwszą alejkę. Tysiące teczek, osłoniętych siatkami w ten sposób, żeby nie runęły na podłogę. Idąc wzdłuż półek, nie przestawał myśleć o Fanny. Miniona godzina wydawała się prawie nierealna. Wciąż widział jej twarz w cieniu, jej obnażoną rękę wyłączającą lampę, śniadą skórę. I te oczy – dwa małe, niebieskawe płomyki, świecące w ciemnościach. Wspominał gesty i szepty – krótkie chwile, które zdawały się trwać całą wieczność.

Ile czasu spędził w jej ramionach? Niémans nie potrafiłby na to odpowiedzieć. Ale czuł, że na jego wargach i zmaltretowanym ciele pozostał jakiś niezwykle trwały ślad. Fanny udało się wydobyć z niego głęboko ukryte, zapomniane uniesienia, co wprawiło go w zdumienie. Czy to możliwe, że równocześnie z tym całym horrorem, w trakcie zawiłego śledztwa trafił na coś tak czystego i słodkiego?

Wrócił myślami do rzeczywistości. Wiedział, gdzie leżą odnalezione karty, gdyż skontaktował się telefonicznie z archiwistą, który, mimo iż wyrwany ze snu, udzielił mu dokładnych informacji. Niémans przeszedł kilka razy wzdłuż rzędu półek. W końcu zauważył zamknięte kartonowe pudło, wepchnięte w najdalszy kąt metalowej klatki zabezpieczonej solidną kłódką. Klucz do niej dostał od strażnika szpitala. Jeśli te stare dokumenty miały być naprawdę takie „bez znaczenia”, to dlaczego je w ogóle przechowywano?

Niémans wszedł do wnętrza klatki i usiadł na stosie starych papierzysk, które leżały na ziemi. Otworzył pudło, wyjął kilka kart i zabrał się do czytania. Nazwiska. Daty. Raporty pielęgniarek dotyczące noworodków. Na kartach zapisano nazwisko rodowe, wagę, wzrost, grupę krwi każdego

nowo narodzonego dziecka. Ilość butelek mleka, witamin i jakichś innych odżywek.

Przejrzał wszystkie karty – było ich kilkaset i obejmowały okres ponad pięćdziesięciu lat. Żadne z nazwisk nic mu nie mówiło. Żadna data z niczym się nie kojarzyła.

Niémans wstał i postanowił porównać te karty z oryginalnymi dokumentami noworodków, które powinny znajdować się gdzieś w archiwum. Zdjął z półki pięćdziesiąt teczek. Twarz miał mokrą od potu. Było mu gorąco w polarowej kurtce przylegającej do ciała. Przeniósł teczki na metalowy stolik, a potem ułożył je tak, żeby z okładki można było szybko odczytać nazwisko. Zaczął sprawdzać każdą teczkę i porównywać z pierwszą stroną kart.

Wtedy okazało się, że karty włączone do teczek były sfałszowane. Étienne Caillois naśladował dość zręcznie pismo pielęgniarek, ale przy zestawieniu z prawdziwymi kartami oszustwo natychmiast wychodziło na jaw.

W jakim celu to robił?

Komisarz położył obok siebie dwie karty. Porównał każdą kolumnę, każdą linijkę i niczego nie zauważył. Były identyczne. Porównał dwie następne. I znowu niczego nie znalazł. Te karty niczym się nie różniły. Zdjął okulary, wytarł strużki potu ze szkieł, po czym jeszcze dokładniej przejrzał kilka następnych kart.

I wówczas zobaczył.

Różnica między oryginalną i fałszywą kartą była minimalna. Niémans jeszcze nie wiedział, jakie to ma znaczenie, ale przeczuwał, że jest na dobrej drodze do odkrycia prawdy. Spocona twarz płonęła od gorączki, a jednocześnie co chwila przeszywał go lodowaty dreszcz. Upewniwszy się, że na innych kartach różnica jest też widoczna, zgarnął wszystko – teczki z oryginałami i karty ukradzione przez Caillois – do szarego pudła.

Zabrał swój łup i opuścił archiwum.

Umieścił pudło w bagażniku swego nowego samochodu, niebieskiego peugeota z żandarmerii, po czym wrócił na teren szpitala, tym razem na oddział położniczy.

O szóstej nad ranem miejsce to było pogrążone w ciszy. Jaskrawe światło odbijało się od podłogi. Idąc korytarzem, mijał pielęgniarki i położne, wszystkie w białych kitlach, czepkach na głowie i papierowych pantoflach

na nogach. Niektóre z nich próbowały zatrzymać Niémansa, który nie miał na sobie aseptycznego stroju, ale trójkolorowa legitymacja i zdecydowana mina ucinały wszelkie komentarze.

W końcu znalazł lekarza położnika, który właśnie wychodził z sali operacyjnej. Wyraz jego twarzy świadczył o śmiertelnym znużeniu. Niémans przedstawił się i zadał jedno, jego zdaniem zasadnicze, pytanie:

– Panie doktorze, czy jest jakieś logiczne uzasadnienie tego, że noworodki zmieniają wagę w czasie pierwszej nocy po urodzeniu?

– O co panu chodzi?

– Czy to normalne, że takie maleństwo traci lub przybywa na wadze kilkaset gramów w ciągu pierwszych godzin życia?

Lekarz odpowiedział, przyglądając się czapce i krótkim spodniom komisarza:

– To się zdarza. Jeśli jednak dziecko traci zbyt dużo na wadze, poddajemy je bardzo dokładnemu badaniu, bo może to być symptom poważnej choroby…

– A jeśli nagle przybywa na wadze w ciągu pierwszej nocy?

Lekarz spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– To się nigdy nie zdarza. Nie rozumiem pana.

Niémans uśmiechnął się.

– Dziękuję panu, doktorze.

Idąc korytarzem, przymknął na moment przekrwione ze zmęczenia oczy. Nareszcie wiedział, jaki był motyw morderstw w Guernon.

Przerażająca machina purpurowych rzek.

Pozostawało sprawdzenie ostatniego szczegółu.

W uniwersyteckiej bibliotece.

55

– Wychodźcie! Niech wszyscy stąd wyjdą!

Sala czytelni była jasno oświetlona. Funkcjonariusze policji śledczej podnieśli głowy znad książek. Sześciu z nich przeglądało dzieła poświęcone w mniejszym lub większym stopniu problemowi zła i czystości. Pozostali w dalszym ciągu sprawdzali listy studentów, którzy bywali w bibliotece podczas lata i na początku jesieni. Przypominali żołnierzy, o których zapomniano w środku działań wojennych, po przeniesieniu ich na inny front.

– Wychodźcie! – powtórzył Niémans. – Tutaj już zakończyliśmy śledztwo.

Policjanci wymienili ukradkowe spojrzenia. Z pewnością wiedzieli, że komisarzowi Niémansowi odebrano prowadzenie tego śledztwa. Nie rozumieli jednak, dlaczego ten sławny gliniarz miał głowę owiniętą bandażem i w jakim celu ściskał pod pachą szare, wilgotne pudło. Czy można było jednak mu się przeciwstawić?

Wstali i włożyli swoje bluzy mundurowe.

Jeden z nich, mijając komisarza, odezwał się do niego cichym głosem. Niémans rozpoznał krępego porucznika, który ślęczał nad pracą dyplomową Rémy’ego Caillois.

– Przeczytałem do końca ten elaborat, panie komisarzu. Może to nie ma większego znaczenia, ale ostateczny wniosek Caillois jest naprawdę zaskakujący. Przypomina pan sobie, że posługiwał się on pojęciem *athlon*, człowieka łączącego w sobie inteligencję i siłę, ducha i ciało, tak jak to było w starożytności? No więc Caillois obmyślił pewien plan, żeby przywrócić tego rodzaju związek. Rzeczywiście przedziwny plan. Nie chodziło mu o nowy program kształcenia w szkołach i na uniwersytecie. Nie pisze też o nowej formacji nauczycieli i profesorów. Chciał zrealizować swój zamiar za pomocą…

– Genetyki.

– Pan też to czytał? To idiotyczne. Wyobraził sobie, że inteligencja człowieka łączy się z jego konstrukcją biologiczną, z konkretnymi genami, które należy połączyć z innymi, odpowiedzialnymi za siłę fizyczną, żeby w ten sposób uzyskać doskonałość, jaką charakteryzował się grecki *athlon*…

W głowie Niémansa aż huczało. Zrozumiał teraz, na czym polegała idea purpurowych rzek. I nie chciał słuchać dalej niezręcznych objaśnień policjanta. Ten horror musi pozostać w ukryciu, nieujawniony, przemilczany. Schowany głęboko w jego zranionej duszy.

– Daj spokój, chłopcze – poprosił ochrypłym głosem. Młody policjant jednak ciągnął swój wywód:

– Na ostatnich stronach Caillois mówi o selekcji urodzeń, o związkach małżeńskich opartych na rozsądku, o czymś w rodzaju systemu totalitarnego… To wymysły szaleńca, panie komisarzu. Jak w fantastycznych powieściach z lat sześćdziesiątych… Mój Boże, nic dziwnego, że ten facet tak skończył. Niezły ubaw.

– Zjeżdżaj!

Policjant patrzył na niego zaskoczony, wahał się jeszcze chwilę i wreszcie zniknął.

Komisarz przeszedł przez całą ogromną, pustą już czytelnię. Czuł, że wraca mu gorączka, ściskająca głowę jak rozpalonymi obcęgami. Wszedł do biura Rémy’ego Caillois, kierownika biblioteki uniwersyteckiej.

Zastukał w klawiaturę komputera. Ekran rozjaśnił się natychmiast. Ale Niémans nagle zmienił zdanie. Informacje, których szukał, dotyczyły okresu sprzed 1970 roku, a więc nie mogły znajdować się w komputerze.

Zaczął nerwowo szukać w szufladach biurka zestawień list, które go interesowały.

Nie było wykazu wypożyczanych książek. Tylko listy studentów i numery oszklonych boksów, przez które przewinęły się w ciągu wielu lat tysiące czytelników.

Obaj Caillois, ojciec i syn, w sposób bardzo przemyślany sadzali studentów w boksach. Niémans spodziewał się czegoś podobnego po wizycie w szpitalu na oddziale położniczym.

Otworzył przyniesione pudło i wyjął z niego teczki noworodków. Policzył lata, kiedy te dzieci wyrosły i stały się studentami, spędzając popołudnia i wieczory w bibliotece, potem odnalazł ich nazwiska na

wykazie miejsc, które zajmowali według zasady starannie obmyślonej przez obu kierowników biblioteki.

Odnalazł plan boksów, na którym wypisane były nazwiska studentów. Nie umiałby sam obmyślić systemu bardziej logicznego, dokładnego i dopasowanego do spisku, którego istnienie podejrzewał. Każde z dzieci wymienione w kartach narodzin, gdy po mniej więcej dwudziestu latach stawało się studentem, przez wszystkie lata studiów, dzień w dzień, miesiąc po miesiącu, rok po roku, było zawsze sadzane w tym samym boksie, naprzeciw tej samej osoby płci przeciwnej.

Niémans wiedział już teraz, że miał rację.

Dla pewności sprawdził jeszcze, wybierając na chybił trafił, dokumenty innych studentów, na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Za każdym razem okazywało się, że dany student bywał sadzany naprzeciw tej samej osoby, w tym samym wieku, ale przeciwnej płci, gdy codziennie przychodził do biblioteki uniwersyteckiej w Guernon.

Komisarz drżącymi rękami wyłączył komputer. W obszernej sali czytelni panowała głucha cisza. Siedząc nadal za biurkiem Caillois, zadzwonił z telefonu komórkowego do nocnego stróża w merostwie. Z trudem udało mu się namówić tego człowieka, żeby zszedł do archiwum i wydobył rejestry małżeństw zawartych w Guernon.

W końcu strażnik dał się przekonać. Niémans dyktował mu przez telefon nazwiska, a on sprawdzał w dokumentach. Komisarz chciał wiedzieć, czy te osoby zawierały ze sobą związki małżeńskie. W siedemdziesięciu przypadkach na sto okazało się, że domyślał się trafnie.

– Czy to jakaś zabawa? – burczał niezadowolony strażnik.

Po sprawdzeniu dwudziestu przykładów Niémans uznał, że to mu wystarczy, i podziękował strażnikowi.

Zamknął swoje pudło i opuścił czytelnię.

Niémans szedł szybkim krokiem przez dziedziniec kampusu. Mimo woli szukał wzrokiem okien mieszkania Fanny, ale ich nie odnalazł. Na schodach jednego z budynków grupa dziennikarzy wyraźnie na kogoś czekała. Wszędzie dokoła, na trawnikach, przy wejściach do innych budynków, widać było umundurowanych policjantów i żandarmów.

Mając do wyboru policjantów i reporterów, komisarz wolał tych pierwszych. Dzięki swojej legitymacji minął kilka zapór. Nie rozpoznał żadnej twarzy. Były to z pewnością posiłki przybyłe z Grenoble.

Wszedł do budynku administracyjnego i znalazł się w obszernym, jaskrawo oświetlonym holu, gdzie jacyś ludzie o bladych twarzach, w większości starsi wiekiem, niecierpliwie chodzili tam i z powrotem. Najprawdopodobniej byli to profesorowie, doktorzy, uczeni. Nad wszystkim unosiła się atmosfera ogólnego niepokoju. Niémans minął ich, nawet nie rzuciwszy okiem w tamtą stronę, nie zwracając uwagi na pytające spojrzenia.

Wszedł na ostatnie piętro i skierował się bezpośrednio do gabinetu Vincenta Luyse'a, rektora uniwersytetu. Idąc przez przedpokój, zerwał ze ścian portrety młodych medalistów uniwersytetu. Bez pukania otworzył drzwi.

– Co to znaczy…

Rektor uspokoił się natychmiast, gdy rozpoznał komisarza. Krótkim kiwnięciem głowy odprawił osoby obecne w gabinecie i zwrócił się do Niémansa:

– Mam nadzieję, że przychodzi pan z nowymi informacjami! My wszyscy jesteśmy…

Komisarz rzucił zdjęcia na biurko, a potem wyjął karty urodzeń z pudła. Luyse poruszył się niespokojnie.

– Doprawdy, ja…

– Proszę poczekać.

Niémans dokończył rozkładanie zdjęć oraz kart. Oparł się dłońmi o biurko.

– Niech pan porówna te karty i nazwiska swoich mistrzów sportu. Czy chodzi o te same rodziny?

– Słucham?

Niémans przysunął zdjęcia bliżej do swego rozmówcy.

– Mężczyźni i kobiety z tych fotografii zawarli między sobą związki małżeńskie. Myślę, że należą do słynnego klanu uniwersyteckiego, są zapewne profesorami, badaczami, intelektualistami… Proszę spojrzeć na nazwiska i powiedzieć mi dokładnie, czy są to rodzice lub dziadkowie tej generacji niezwykle zdolnych studentów, którzy dziś zgarniają wszystkie medale…

Luyse założył okulary i spojrzał na dokumenty.

– Rzeczywiście, znam większość nazwisk…

– Czy potwierdza pan, że dzieci tych par odznaczają się wyjątkowymi zdolnościami intelektualnymi i fizycznymi?

Napięte rysy twarzy Luyse’a rozluźniły się w mimowolnym szerokim uśmiechu. Niémans z rozkoszą starłby mu z gęby ten cholerny uśmiech pyszałkowatej satysfakcji.

– Ależ oczywiście. Ta nowa generacja jest wspaniała. Niech pan wierzy, te dzieciaki nie zawiodą naszych oczekiwań… Zresztą mieliśmy już w poprzednich generacjach kilku wyróżniających się studentów. Dla naszego uniwersytetu takie wyniki są szczególnie…

Nagle Niémans uświadomił sobie, że to nie była nieufność, którą odczuwał w stosunku do intelektualistów, ale nienawiść. Nienawidził ich z głębi duszy. Nienawidził ich pretensjonalnego, trzymającego na dystans stosunku do innych ludzi, ich skłonności do opisywania, analizowania, oceniania rzeczywistości, jakakolwiek by była. Te żałosne typy wchodziły w życie, jak się wchodzi do teatru, i wychodziły z niego mniej lub bardziej rozczarowane, mniej lub bardziej zdegustowane spektaklem. A jednak wiedział, że nie można im było życzyć tego, co się im przydarzyło, a czego nie byli świadomi. Nie można tego życzyć nikomu.

– Ta młoda generacja umocni jeszcze prestiż naszej uczelni i… – ciągnął Luyse.

Niémans wrzucił zdjęcia i karty do pudła. Przerwał Luyse’owi, mówiąc ochrypłym głosem:

– Niech pan się więc cieszy. Bo te nazwiska jeszcze powiększą sławę pańskiego uniwersytetu.

Rektor popatrzył na niego zaskoczony. Komisarz otworzył usta, żeby coś dodać, ale zauważył przerażenie na twarzy Luyse’a, który wyszeptał:

– Co się z panem dzieje? Pan… pan krwawi.

Niémans opuścił wzrok i spostrzegł wielką, czarną kałużę na blacie biurka. Gorąco, które czuł na głowie, to była krew płynąca z otwartej ponownie rany. Chwiejąc się na nogach, wpatrywał się w odbicie swojej twarzy w ciemnej, błyszczącej plamie. Czy przypadkiem nie widzi ostatniego refleksu z serii tych morderstw?

Tracąc przytomność, osunął się zemdlony na kolana, z twarzą na biurku, w lepkiej, czarnej krwi, w której odbijał się jego własny wizerunek.

56

Światło. Szmery. Gorąco.

Pierre Niémans nie od razu zorientował się, gdzie się znajduje. Potem zobaczył czyjąś twarz w aureoli papierowego czepka. Biały kitel. Silnie świecące lampy. Szpital. Ile czasu był nieprzytomny? I skąd ta słabość w ciele, jakby jego ręce i nogi, mięśnie i kości wypełniono jakimś płynem? Chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle. Zmęczenie przykuło go do skrzypiącego szpitalnego łóżka na kółkach.

– Silnie krwawi. Trzeba zatamować krew płynącą ze skroni.

Otworzyły się drzwi. Skrzypnęły kółka przesuwanego łóżka.

Oślepiająca eksplozja światła rozszerzyła jego źrenice. Czyjś głos powiedział:

– Zacznijcie transfuzję.

Komisarz usłyszał jakieś szczęknięcia, poczuł, że coś zimnego dotyka jego ciała. Obrócił głowę i zobaczył rurki połączone z grubym podwieszonym workiem, z którego ściekała kroplami krew.

Ma tu leżeć, na pół przytomny, otoczony aseptycznymi woniami, w tym jaskrawym świetle, kiedy już znalazł motyw morderstw? Kiedy poznał tajemnicę tej serii zabójstw? Grymas wykrzywił jego twarz.

– Wstrzyknijcie dwadzieścia mililitrów diprivanu – usłyszał czyjś głos.

Niémans poderwał się. Chwycił za rękę lekarza, który trzymał już elektryczny nóż chirurgiczny, i szepnął:

– Nie zgadzam się na znieczulenie!

Lekarz nie krył zdumienia.

– Nie chce pan być znieczulony? Jest pan straszliwie pokiereszowany. Muszę pana pozszywać.

– Niech pan zrobi znieczulenie miejscowe… – wykrztusił Niémans. Lekarz westchnął i z piskiem kółek cofnął swoje obrotowe krzesło. Zwrócił się do anestezjologa:

– Proszę mu dać ksylokainę. Maksymalną dawkę, do czterdziestu mililitrów.

Niémans uspokoił się. Ułożono go pod bezcieniowymi lampami. Kark oparto na podgłówku w taki sposób, żeby głowa znalazła się jak najbliżej światła. Twarz zasłonięto chustą chirurgiczną.

Komisarz zamknął oczy. Podczas gdy lekarz i pielęgniarki krzątali się przy jego skroni, nie przestawał rozmyślać. Serce biło mu wolniej, głowa już nie dokuczała. Popadał w otępienie.

Tajemnica… Tajemnica Caillois i Sertysa… Wszystko takie mętne, odległe… Przy każdej myśli pojawiała się twarz Fanny… Jej ciało, opalone, silne, krągłe jak kamienie wulkaniczne, wygładzone ogniem, pianą, wiatrem… Fanny… Wizje, obrazy, przesuwające się przed j ego oczyma, były jak szepty, jak dotyk miękkiej tkaniny, jak oddech elfów…

– Stop!

Jakaś ręka zerwała chustę i Niémans dojrzał jak przez mgłę diabła z długimi warkoczykami, który wymachiwał trójkolorową legitymacją pod nosem osłupiałego lekarza i pielęgniarek.

Karim Abdouf.

Niémans spojrzał na prawo: rurkami wciąż ściekały pod jego skórę, do żył, ciemne krople krwi. Eliksir życia.

Lekarz wziął nożyce chirurgiczne.

– Niech go pan nie dotyka – krzyknął Karim.

Chirurg znowu znieruchomiał. Abdouf podszedł bliżej i obejrzał ranę Niémansa, obwiązaną niczym pieczeń wołowa. Doktor wzruszył ramionami.

– Muszę poobcinać nici…

Karim rozejrzał się nieufnie wokół.

– Jaki jest jego stan?

– Ma silny organizm. Stracił dużo krwi, ale zrobiliśmy mu transfuzję. Pozszywaliśmy rany. Zabieg jeszcze się nie skończył i…

– Czy daliście mu jakieś świństwa?

– Świństwa?

– Środki usypiające?

– Zrobiliśmy tylko znieczulenie miejscowe i…

– Proszę znaleźć amfę. Jakieś środki pobudzające. Muszę go wybudzić.

Mówiąc do lekarza, Karim wpatrywał się w Niémansa.

– To sprawa życia i śmierci – dodał.

Lekarz wstał z krzesła i wyjął z szuflady opakowanie z małymi pigułkami.

– Proszę – powiedział. – Po zażyciu tego będzie czuł się dobrze przez jakieś pół godziny, ale…

– Proszę teraz wyjść – Abdouf zwrócił się do grupki ludzi w białych fartuchach. – Proszę wyjść! Muszę porozmawiać z komisarzem.

Lekarz i pielęgniarki opuścili salę operacyjną.

Niémans poczuł, jak z jego ramienia wysuwa się igła do transfuzji krwi, usłyszał szmer zwijanej chusty. Karim podał mu polarową kurtkę, brązową od krwi. W drugiej ręce miał garść kolorowych pigułek.

– Amfa dla pana, komisarzu – uśmiechnął się. – Nie przywyknie pan od jednego razu.

Niémansowi jednak nie było do śmiechu. Chwycił za skórzaną kurtkę Karima i blady jak śmierć wymamrotał:

– Karim… Wiem, na czym polegał ich spisek.

– Spisek?

– Spisek Sertysa, Caillois i Chernecégo. Wiem, co oznaczają purpurowe rzeki.

– Co takiego?

– Oni zamieniali noworodki.

Część XII

57

Ósma rano. Krajobraz czarny, rozmyty, nierealny. Deszcz rozpadał się na dobre, jakby chciał wypucować góry po raz ostatni przed świtem. Strugi deszczu przecinały ciemności jak kawałki szkła.

Pod koroną olbrzymiego modrzewia Karim Abdouf i Pierre Niémans stali naprzeciw siebie, jeden oparty o audi, drugi o pień drzewa. Obaj skoncentrowani i napięci do ostatnich granic. Porucznik obserwował komisarza, który stopniowo odzyskiwał siły, a raczej przytomność, dzięki działaniu amfetaminy. Skończył właśnie relację o morderczym ataku peugeota 404. Abdouf chciał jednak jak najszybciej dowiedzieć się reszty.

W szumie ulewy Pierre Niémans zaczął opowiadać od początku:

– Wczoraj wieczorem pojechałem do zakładu dla ociemniałych.

– Śladem Érica Joisneau, wiem. Czego się pan tam dowiedział?

– Champelaz, dyrektor instytutu, poinformował mnie, że zajmuje się leczeniem dzieci dotkniętych chorobami dziedzicznymi. Są to dzieci pochodzące zawsze z tych samych rodzin, z elity uniwersyteckiej. Champelaz objaśnił ten fenomen w następujący sposób: ta społeczność intelektualistów, izolując się od innych, zawierała małżeństwa tylko między sobą, co doprowadziło do zubożenia genetycznego ich krwi. Dzieci, które rodzą się dziś, będą bardzo zdolne i wykształcone, ale słabe fizycznie. Po kilku generacjach krew tego uniwersyteckiego środowiska uległa zepsuciu.

– Jaki to ma związek ze śledztwem?

– Początkowo wydawało się, że żadnego. Joisneau udał się tam z powodu chorób oczu, które mogłyby mieć związek z wyłupywaniem oczu u naszych ofiar. Ale to nie było to, absolutnie nie to. W czasie mojej wizyty Champelaz zasygnalizował mi, że ta osłabiona pod względem fizycznym wspólnota od jakichś dwudziestu lat nagle zaczęła wydawać na świat dzieci inteligentne, ale jednocześnie zdobywające medale mistrzów sportu. Ten szczegół nie pasuje do całości sprawy. Jakim sposobem ludzie należący do tego samego klanu, najpierw płodzą dzieci słabe, a potem wykraczające poza zwykłe normy? Champelaz postanowił sprawdzić pochodzenie tych

uzdolnionych dzieci. Przejrzał dokumentację na oddziale położniczym. Szukał w archiwum informacji o ich pochodzeniu. Zapoznał się nawet z kartami urodzeń rodziców i dziadków, w nadziei, że trafi tam na jakąś wskazówkę na temat cech genetycznych. Ale niczego takiego nie znalazł.

– No i co dalej?

– W tej historii ubiegłego lata nastąpił pewien zwrot. W lipcu, w trakcie zwykłego przeglądu archiwum szpitalnego, odnaleziono stare papierzyska złożone w podziemiach biblioteki. Były to karty urodzeń, które dotyczyły rodziców lub dziadków tych nadzwyczaj zdolnych dzieciaków.

– Co to znaczyło?

– Że te karty miały duplikaty. A dokładniej mówiąc, że dokumenty zbadane przez Champelaza były fałszywe, natomiast oryginalne były te, które znaleziono w szafce kierownika biblioteki, Étienne’a Caillois, ojca Rémy’ego.

– Jasna cholera!

– Ano właśnie. Z logicznego punktu widzenia wynikałoby, że Champelaz powinien porównać karty, które już przejrzał, ze świeżo znalezionymi. On tego jednak nie zrobił. Z braku czasu. Z lekkomyślności. Także ze strachu, że mógłby odkryć jakąś niebezpieczną prawdę o środowisku uniwersyteckim w Guernon. Ale ja to zrobiłem.

– Co pan odkrył?

– W oficjalnym archiwum były fałszywe karty. Étienne Caillois podrabiał pismo pielęgniarek wypełniających karty urodzeń i zmieniał w każdej pewien drobiazg.

– Jaki drobiazg?

– Zawsze ten sam: wagę dziecka po urodzeniu. Chodziło o to, żeby waga zgadzała się z innymi stronami w teczce danego dziecka, gdzie pielęgniarki notowały rezultaty ważenia w następnych dniach.

– Nie rozumiem.

Niémans pochylił się i mówił dalej głuchym tonem:

– Posłuchaj uważnie, Karim. Étienne Caillois fałszował pierwsze strony kart, żeby ukryć pewien dziwny fakt – na tych stronach waga noworodków zaraz po urodzeniu nie zgadzała się z ich wagą w dniu następnym. Te nowo narodzone dzieci przybierały lub traciły na wadze kilkaset gramów w ciągu jednej nocy. Byłem na oddziale położniczym i rozmawiałem z lekarzem. Dowiedziałem się od niego, że jest niemożliwe, żeby waga dziecka tak

szybko się zmieniała. I wtedy pojąłem, że to nie waga zmieniała się w ciągu nocy, ale dziecko. Tę straszliwą prawdę starał się ukryć stary Caillois. On, a raczej jego wspólnik, stary Sertys, posługacz szpitalny, zatrudniony w szpitalu uniwersyteckim w Guernon, podmieniał dzieci w sali porodowej.

– Ale… w jakim celu?

Niémans uśmiechnął się krzywo. Gnany wiatrem deszcz smagał jego twarz jak biczem.

– Żeby odnowić tę osłabioną wspólnotę, żeby następnym pokoleniom dodać nowej, zdrowej, silnej krwi. Technika panów Caillois i Sertysa była prosta: na miejsce niektórych dzieci z rodzin uniwersyteckich podkładali dzieci z górskich wiosek, wybrane na podstawie cech fizycznych ich rodziców. W ten sposób te zdrowe, tryskające życiem istoty włączały się w społeczność intelektualną uniwersytetu w Guernon. Nowa krew mieszała się ze starą w jedynym miejscu, gdzie niedostępni intelektualiści spotykali się z ciemnymi wieśniakami – na oddziale położniczym. Tu rodziły się wszystkie dzieci tego regionu i dlatego tylko tu możliwe było zrealizowanie takiego pomysłu.

Taki jest więc sens tajemniczych słów z notesu Sertysa: „Ujarzmiamy purpurowe rzeki”. Te słowa nie odnosiły się ani do żadnej książki, ani do hydrografii, ale do krwi mieszkańców Guernon. Układu krwionośnego dzieci tej doliny. Caillois i Sertys, ojcowie, a potem synowie, ujarzmiali krew ich miasta. Zastosowali najprostszy z możliwych genetyczny manewr – zamianę dzieci.

Doszedłem także do wniosku, że ci panowie postawili przed sobą jeszcze jeden cel. Pragnęli nie tylko odnowić cenną krew profesorów, ale również stworzyć istoty doskonałe, nadludzi. Istoty tak piękne jak ci sportowcy z fotografii z igrzysk olimpijskich w Berlinie, które oglądałem w mieszkaniu Rémy’ego Caillois. Istoty tak inteligentne jak najsławniejsi badacze z Guernon.

Zrozumiałem, że ci szaleńcy pragnęli połączyć mózgi z Guernon i zdrowe ciała z górskich wiosek, scalić zdolności umysłowe profesorów i zdolności fizyczne wieśniaków, poszukiwaczy kryształów czy hodowców. Jeśli rozumuję słusznie, to udoskonalili oni swój plan poprzez programowanie związków małżeńskich między wybranymi dziećmi.

Karim chłonął wszystkie te informacje, które odbijały się echem w jego niewypowiedzianych myślach. Niémans kontynuował swój gorączkowy

monolog:

– Jak to możliwe? Jak programować te małżeństwa? Pomyślałem o pracy, jaką wykonywali Caillois i Sertys. Pojąłem, że właśnie te niewiele znaczące, skromne stanowiska pozwoliły im zrealizować tak ogromne zamierzenie. Pamiętasz te zdania z notesu: „Jesteśmy panami, jesteśmy niewolnikami. Jesteśmy wszędzie, jesteśmy nigdzie”. Ukryty sens tych słów jest taki, że pomimo ich niskiego statusu społecznego, a nawet dzięki niemu, ci ludzie pokierowali losem całego regionu. Byli sługami, ale byli także panami.

Sertysowie, zwykli posługacze szpitalni, dokonali przewrotu w życiu tego regionu przez zamianę noworodków. Natomiast panowie Caillois, wykorzystując stanowisko bibliotekarza, organizowali resztę programu dotyczącą małżeństw. Jak mogli wpływać na zawieranie związków małżeńskich?

Przypomniałem sobie robione przez Caillois wykazy osób korzystających z biblioteki. Sprawdzaliśmy je pod kątem tytułów wypożyczanych książek oraz nazwisk studentów, którzy z nich korzystali. Jeszcze jedną rzeczą nie zainteresowaliśmy się – rozmieszczeniem czytelników w oszklonych boksach. Byłem w czytelni i porównałem plan boksów zajmowanych przez studentów ze sfałszowanymi kartami urodzenia. Cały ten proceder trwa już od pięćdziesięciu lat.

Podmienione dzieciaki, gdy już studiowały, były zawsze sadzane w czytelni naprzeciw tych samych osób płci przeciwnej, pochodzących z najwybitniejszych rodzin w kampusie. Byłem także w merostwie i przekonałem się, że większość par, które poznały się w bibliotece, spoglądając na siebie poprzez oszklone boksy, zawarła potem związek małżeński.

Miałem więc rację. Ci ludzie po dokonaniu wymiany dzieci organizowali im starannie przemyślane spotkania. Naprzeciw dzieci wiejskich sadzali profesorskich potomków, wyróżniających się nieprzeciętnym intelektem. Tym sposobem dawali życie wspaniałej generacji, łączącej w sobie siłę ciała z siłą ducha. I ten proces, Karim, funkcjonował doskonale. Mistrzowie uniwersytetu to właśnie dzieci tych zaprogramowanych par.

Abdouf nie odzywał się. Jego myśli zaczynały się krystalizować w konkretne wnioski. Wokół nich wirowały w deszczu opadające igły modrzewia. Niémans mówił dalej:

– Zbierałem te wszystkie elementy i pomału układałem je jak puzzle. Zrozumiałem, że podążam śladami zabójcy, którego musiała zelektryzować wiadomość o odnalezionych kartach, podana przez miejscowe gazety. Z pewnością tak jak ja porównał obie grupy dokumentów. Sądzę, że miał już wcześniej jakieś wątpliwości co do pochodzenia owych „czempionów” z Guernon. Jestem pewien, że on sam jest jednym z tych mistrzów. Że jest tworem tych szaleńców.

Domyślił się, na czym polegała zasada spisku. Zaczął śledzić Rémy’ego Caillois i przekonał się, że on oraz Sertys i Chernecé mieli jakąś wspólną tajemnicę. Moim zdaniem ten ostatni był tylko pionkiem, trochę pomylonym lekarzem, który, lecząc niewidome dzieci, odkrył prawdę, ale wolał przyłączyć się do oszustów, niż ich zadenuncjować. Krótko mówiąc, nasz zabójca postanowił złożyć w ofierze swoich wspólników. Torturował pierwszą ofiarę, Rémy’ego Caillois, żeby dowiedzieć się całej prawdy, ale zadowolił się okaleczeniem i zabiciem dwóch pozostałych.

Karim wyprostował się. Mimo skórzanej kurtki drżał na całym ciele.

– I to wszystko tylko dlatego, że podmieniali dzieci? Że planowali małżeństwa?

– Jest jeszcze jeden fakt, o którym nie wiesz. Wśród wieśniaków zamieszkujących okoliczne wsie w górach notuje się ostatnio wysoką śmiertelność noworodków. Zjawisko jest raczej dziwne, gdyż chodzi o dzieci z rodzin cieszących się jak najlepszym zdrowiem. Teraz już domyślam się przyczyny tej śmiertelności. Sertysowie nie tylko dokonywali zamiany noworodków, ale także zdarzało się, iż dusili dopiero co urodzone dzieci intelektualistów, które zapisywano potem jako dzieci wieśniaków. W ten sposób zyskiwali pewność, że ludzie z gór, po stracie potomka, postarają się o kolejne dziecko i dostarczą im nowej zdrowej krwi dla środowiska intelektualistów. Ci ludzie byli fanatykami, Karim. Ojcowie i synowie to chorzy zabójcy, gotowi na wszystko, żeby dać życie wymarzonej przez nich wyższej rasie.

Karim, ciężko oddychając, zapytał ochrypłym głosem:

– Jeśli te morderstwa stanowią akt zemsty, to jaki jest powód tych z precyzją wykonanych okaleczeń?

– Mają one znaczenie symboliczne. Ich celem jest zniszczenie tożsamości biologicznej ofiar, usunięcie znaków świadczących o pochodzeniu. Z tego samego powodu ciała ofiar umieszczone zostały

w takiej scenerii, żeby najpierw odkrywano ich odbicie, a potem dopiero zwłoki. Chodziło o to, żeby zdematerializować ofiary, pozbawić je ciała. Caillois, Sertys i Chernecé byli złodziejami tożsamości. I tym samym zapłacili. Zastosowano tu jakby prawo odwetu.

Abdouf podszedł do Niémansa. Wiatr smagał deszczem ich upiornie wyglądające twarze. Wilgotna, biaława mgiełka unosiła się nad kościstą, krótko ostrzyżoną głową komisarza i długimi, splątanymi, nasiąkniętymi wodą warkoczykami Abdoufa.

– Niémans, pan jest genialnym gliną.

– Nie, Karim. Znam motyw, którym kierował się zabójca, ale wciąż nie wiem, kim on jest.

Porucznik zaśmiał się oschle.

– Ale ja wiem.

– Co takiego?

– Teraz już wszystko gra. Przypomina pan sobie moje śledztwo dotyczące diabłów, które chciały zniszczyć twarz Judith, bo stanowiła dowód winy? Te diabły to nie kto inny tylko Étienne Caillois i René Sertys, ojcowie ofiar, i wiem, dlaczego postanowili zniszczyć twarz Judith. Bo mogła zdradzić ich spisek, odkryć, czym były purpurowe rzeki i na czym polegała zamiana dzieci.

– Ale dlaczego? – zapytał zaskoczony Niémans.

– Bo Judith miała siostrę bliźniaczkę, którą oni podmienili.

58

Teraz przyszła kolej na opowieść Karima. Mówił niskim, obojętnym tonem. Wraz ze świtem deszcz padał coraz słabiej. Nikły brzask wstającego dnia oświetlał rozplecione, namoczone wodą dredy na jego głowie.

– Powiada pan, że spiskowcy selekcjonowali dzieci po zbadaniu kondycji fizycznej ich rodziców. Z pewnością szukali najsilniejszych i najzręczniejszych z górali. Nie mogli więc nie zwrócić uwagi na Fabienne i Sylvaina Héraultów, młode małżeństwo mieszkające w Taverlay, w górach Pelvoux, na wysokości tysiąca ośmiuset metrów.

Ona, metr osiemdziesiąt wzrostu, potężna, wspaniale zbudowana. Nauczycielka i doskonała pianistka. Cicha, delikatna, silna i romantyczna. Znacznie mniej informacji mam o jej mężu, Sylvainie. Czas spędzał głównie w górach, szukając w skałach rzadkich kryształów. On także był bardzo wysoki i silny i nie bał się wspinać na najtrudniejsze, najbardziej niedostępne szczyty.

Panie komisarzu, gdyby ci konspiratorzy zamierzali ukraść jedno tylko dziecko w całym regionie, musiałoby to być dziecko tej wyjątkowej pary, wyróżniającej się bez wątpienia genami najlepszego gatunku.

Jestem pewien, że czekali z niecierpliwością na narodziny dziecka tych dwojga. Wreszcie, dwudziestego drugiego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku, nadeszła ta chwila. Sylvain i Fabienne Hérault przyjechali do szpitala uniwersyteckiego w Guernon. Zanosiło się na to, że ta piękna, wysoka kobieta będzie rodzić lada moment, choć był to dopiero koniec siódmego miesiąca ciąży. Poród miał więc być przedwczesny, ale położne uważały, że wszystko będzie w porządku.

Wydarzenia jednak nie potoczyły się zgodnie z przewidywaniami. Dziecko było źle ułożone. Potrzebna była interwencja lekarza położnika. Cały czas pracowała aparatura kontrolująca. O godzinie drugiej nad ranem dwudziestego trzeciego maja lekarz i akuszerka stwierdzili, że Fabienne Hérault urodzi nie jedno dziecko, ale dwoje – jednojajowe bliźnięta.

Podano Fabienne środki ogólnie znieczulające. Lekarz zrobił cesarskie cięcie i wydobył dwie maleńkie dziewczynki, podobne do siebie jak dwie krople wody. Miały kłopoty z oddychaniem. Dano je posługaczowi, żeby jak najszybciej umieścił dziewczynki w inkubatorze. Widzę te ręce w gumowych rękawiczkach, jakbym tam był. Sukinsyn. Te ręce należały do René Sertysa, ojca Philippe'a Sertysa. Facet był całkowicie zdezorientowany. Miał podmienić dziecko Héraultów, ale nie mógł przewidzieć, że urodzi się dwoje dzieci. Co robić? Łajdak oblał się zimnym potem, niosąc dwa przedwcześnie urodzone noworodki, dwa cudy natury, mające w sobie doskonałą, zdrową krew dla nowej generacji w Guernon. Ostatecznie Sertys kładzie obie dziewczynki w inkubatorze, decydując się wymienić tylko jedną z nich. Nikt nie zdążył zobaczyć dokładnie ich twarzyczek. W gorączkowej atmosferze bloku operacyjnego nikt nie przyglądał się, czy dziewczynki są do siebie podobne, czy nie. Sertys podejmuje decyzję. Wyjmuje jedną z bliźniaczek z inkubatora i na jej miejsce kładzie maleńką dziewczynkę z rodziny profesorskiej, która pasowała do dzieci Héraultów – ten sam wzrost, ta sama grupa krwi, nawet waga była podobna.

Sertys uświadamia sobie teraz, że musi zabić tę podłożoną do inkubatora dziewczynkę. Bo nie może dopuścić, by pozostała przy życiu fałszywa bliźniaczka, która w niczym nie będzie przypominać swojej siostry. Dusi więc to maleństwo, po czym podnosi alarm i woła na pomoc lekarzy i pielęgniarki. Odgrywa umiejętnie swoją rolę – jest przerażony, ma wyrzuty sumienia. Nie rozumie, jak to się stało, naprawdę nic nie rozumie… Ani lekarz położnik, ani pediatra nie zauważyli niczego podejrzanego. Jeszcze jedna niespodziewana śmierć z rodzaju tych, które w tajemniczy sposób przydarzają się od pięćdziesięciu lat w rodzinach wieśniaków. Personel medyczny pociesza się, że przynajmniej jedno z dwojga dzieci przeżyło. Natomiast Sertys cieszy się w głębi duszy, że oto druga córeczka Héraultów zostanie w nowej rodzinie i będzie odtąd należeć do uniwersyteckiego klanu w Guernon.

Wszystko to, panie komisarzu, odtworzyłem dzięki pańskim odkryciom i wnioskom. Bo kobieta, z którą rozmawiałem dziś w nocy, Fabienne Hérault, do dziś nie ma pojęcia o spisku tych szaleńców. Tamtej nocy nic nie widziała, nic nie słyszała, była bowiem pod narkozą.

Kiedy się obudziła nazajutrz, powiedziano jej, że urodziła dwie dziewczynki, ale tylko jedna z nich żyje. Czy można opłakiwać istotę, której istnienia nawet się nie podejrzewało? Fabienne przyjęła tę wiadomość z rezygnacją. Po tygodniu pozwolono jej opuścić szpital i zabrać małą córeczkę, która bardzo szybko się wzmocniła.

Z jakiegoś zakątka szpitala René Sertys obserwował ich odjazd. Nieśli na rękach jedną z bliźniaczek, kopię tej, którą im zabrał. Przekonany był, że ta para ludzi z gór, mieszkająca pięćdziesiąt kilometrów stąd, nie będzie miała żadnego powodu, żeby wrócić do Guernon. Sertys, pozwalając żyć drugiemu dziecku, podjął pewne ryzyko, wydawało się, że minimalne. Wierzył, że ta bliźniaczka nigdy więcej nie pojawi się w Guernon i że tym samym jej twarz nie naprowadzi nikogo na ślad ich spisku.

Pomylił się.

Po ośmiu latach szkoła w Taverlay, gdzie pracowała Fabienne, została zamknięta. Fabienne przeniesiono, co było absolutnym przypadkiem, do cieszącej się doskonałą renomą szkoły imienia Lamartine’a w Guernon, do której uczęszczały dzieci profesorów uniwersytetu.

I wtedy Fabienne dokonała niezwykłego, wręcz nieprawdopodobnego odkrycia. W klasie CE dwa, do której zapisano Judith, znalazła się druga Judith. Mała dziewczynka, która była dokładną kopią jej własnego dziecka. Fotograf szkolny uwiecznił na zdjęciu klasowym dwie siostrzyczki – sobowtóry – stojące obok siebie. Po chwili zaskoczenia Fabienne analizuje sytuację. Istnieje tylko jedno wyjaśnienie. Ta dziewczynka, identyczna z jej córeczką, to z pewnością bliźniacza siostra Judith, która przeżyła, ale w tajemniczy sposób została zamieniona z innym noworodkiem.

Fabienne udaje się więc na oddział położniczy, chcąc wyjaśnić sprawę. Przyjęto ją tam chłodno i podejrzliwie. Fabienne jest jednak kobietą silną i nie daje się łatwo zniechęcić. Oskarżyła lekarzy, że ukradli jej dziecko, i obiecała, że jeszcze wróci. Nie ulega wątpliwości, że całej scenie asystował René Sertys i że wyczuł niebezpieczeństwo. Tymczasem Fabienne postanowiła złożyć wizytę rodzinie profesorskiej, domniemanym rodzicom jej drugiej córeczki. Jedzie rowerem razem z małą Judith w kierunku kampusu.

Nagle zaczyna się koszmar. Zbliża się wieczór i robi się już ciemno, gdy jakiś samochód usiłuje je przejechać. Fabienne wraz z córeczką spadają do przydrożnego rowu na stromym górskim zboczu. Matka leży bez ruchu,

tuląc dziecko do siebie, i widzi zabójców. Dwaj mężczyźni wyskakują z wozu, z bronią w rękach. Przerażona, na pół przytomna Fabienne nic nie rozumie. Czym spowodowany jest ten napad?

Zbrodniarze ostatecznie odchodzą, przekonani, iż kobieta z dzieckiem zabiły się w przepaści. Tego samego wieczoru Fabienne jedzie do męża, do Taverlay. Opowiada mu całą historię. Uważa, że powinni udać się z tym na posterunek żandarmerii. Sylvain nie zgadza się. Chce sam uregulować rachunki z łajdakami, którzy próbowali zabić jego żonę i dziecko.

Bierze strzelbę, wsiada na rower i zjeżdża do doliny. Natyka się na zabójców znacznie wcześniej, niż się tego spodziewał. Ci zbrodniarze potrącają go na drodze departamentowej, przejeżdżają po nim kilka razy i znikają bez śladu. W tym czasie Fabienne chroni się w kościele w Taverlay. Całą noc czeka na Sylvaina. O świcie dowiaduje się, że jej mąż został zabity przez nieznanego pijanego kierowcę. Teraz już nie ma wątpliwości, że jej dziecko stało się ofiarą oszustwa i że ludzie, którzy usunęli jej męża, zabiją także i ją, jeśli natychmiast nie zniknie im z oczu.

Dla niej i dla jej dziecka zaczęła się gehenna ucieczki.

Dalszy ciąg pan zna. Kobieta i jej córeczka docierają do Sarzac, ponad trzysta kilometrów od Guernon. Ponowna ucieczka, kiedy Étienne Caillois i René Sertys trafiają na ich ślad, wysiłki Fabienne, by zmienić twarz córki, jej przekonanie, że padła ofiarą klątwy, potem wypadek samochodowy, w którym ginie Judith.

Od tamtej pory Fabienne żyje tylko modlitwą. Cały czas rozważa kilka hipotez. Najbardziej przekonuje ją ta, że przybrani rodzice jej drugiej córki, pracownicy uniwersytetu, osoby wpływowe i złe, uknuły spisek, żeby zamienić swoje martwe dziecko na jej córeczkę, i że były gotowe zabić ją i Judith, by po prostu nie zakłócała im życia. Nigdy nie domyśliła się, jak było naprawdę, nie dowiedziała się o oszustwie konspiratorów, którzy poszukiwali po całej Francji ich obu, w obawie, żeby nie odkryły ich przerażających manipulacji, żeby twarz dziewczynki nie posłużyła za dowód ich winy.

W tym momencie, panie komisarzu, nasze dwa śledztwa zbiegają się jak dwie szyny torów kolejowych. Pańska hipoteza potwierdza moją. Tak: zabójca oglądał skradzione karty urodzeń. Tak: dopadł najpierw Caillois, potem Sertysa, potem Chernecégo. Tak: odkrył manipulacje i postanowił

dokonać krwawej zemsty. A tym zabójcą jest nie kto inny, tylko siostra bliźniaczka Judith.

Bliźniaczka jednojajowa, która postąpiła tak, jakby zrobiła to Judith, bo teraz już znała prawdę o swoim pochodzeniu. Dlatego użyła struny fortepianowej, by przypominała ona talent wirtuozowski jej biologicznej matki. Dlatego zabija oszustów wysoko w górach, tam gdzie jej prawdziwy ojciec szukał kryształów. Dlatego jej odciski palców mogły być pomylone z odciskami Judith… Szukamy jej rodzonej siostry, panie komisarzu.

– Kim ona jest? – wybuchnął Niémans. – Jakie nosi nazwisko?

– Nie wiem. Matka nie chciała mi go podać. Ale mam jej zdjęcie.

– Jakie zdjęcie?

– Fotografię Judith, gdy miała jedenaście lat. Znam więc twarz morderczyni, bo one są identyczne. Myślę, że z tym zdjęciem…

Niémans trząsł się jak osika.

– Szybko, pokaż mi to zdjęcie.

Karim wyjął fotografię i podał mu ją.

– To ona, komisarzu, to ona zabija. Mści się za swoją zmarłą siostrę. Mści się za zamordowanego ojca. Mści się za uduszone noworodki, za oszukane rodziny, za wszystkie te sfałszowane pokolenia od… Panie komisarzu, co panu?

Fotografia drżała w ręce Niémansa, który przyglądał się twarzy dziewczynki i zaciskał zęby, aż zgrzytały. Nagle Karim zrozumiał i nachyliwszy się do niego, złapał go za ramię.

– Dobry Boże, pan ją zna? Czy mam rację, pan ją zna?

Niémans upuścił fotografię, która spadła w błoto. Wydawało się, że jest na granicy szaleństwa.

– Musimy mieć ją żywą – powiedział urywanym głosem.

59

Dwaj policjanci pędzili w deszczu. Nie odzywali się do siebie. Minęli kilka zapór policyjnych; wartownicy, stojący tu od świtu, obrzucali ich podejrzliwymi spojrzeniami. Ani jeden, ani drugi nie pomyślał nawet o wezwaniu posiłków. Niémansa wykluczono ze śledztwa, Karim nie był na swoim terenie. Obaj jednak wiedzieli jedno: to było ich śledztwo i sami muszą je zakończyć.

Dotarli do kampusu. Przejechali asfaltowymi ścieżkami, minęli wspaniałe trawniki, zatrzymali się i wbiegli pędem na ostatnie piętro głównego budynku. Szli równym krokiem aż do końca korytarza; zastukali do drzwi, ustawiwszy się po obu ich stronach. Nikt nie odpowiadał. Wyważyli drzwi i dostali się do mieszkania.

Niémans miał gotowego do strzału remingtona, którego zabrał z komendy. Karim trzymał w ręce swojego glocka i latarkę – śmierć i światło.

Nie było nikogo.

Zaczęli przeszukiwać gorączkowo mieszkanie, gdy niespodzianie odezwał się pager Niémansa. Miał skontaktować się z Markiem Costesem, i to natychmiast. Komisarz wyjął telefon komórkowy i zadzwonił. Jego ręce drżały cały czas, w żołądku czuł straszliwy ból. Usłyszał głos młodego lekarza:

– Panie komisarzu, jestem z Barnesem. Odnaleźliśmy Sophie Caillois.

– Żywą?

– Tak, żywą. Uciekała pociągiem do Szwajcarii…

– Czy złożyła zeznanie?

– Powiedziała, że jest następną ofiarą i że zna zabójcę.

– Czy podała nazwisko?

– Chce mówić tylko z panem.

– Pilnujcie jej jak oka w głowie. Niech nikt z nią nie rozmawia. Niech nikt się do niej nie zbliża. Za godzinę będę w komendzie.

– Za godzinę? Ma pan… jakiś ślad?

– Cześć.

– Chwileczkę. Czy Abdouf jest z panem?

Niémans rzucił telefon porucznikowi i wrócił do przeszukiwania mieszkania.

– Już znam tonację tej struny fortepianowej – powiedział lekarz Karimowi.

– H-moll?

– Skąd wiesz?

Karim nie odpowiedział i rozłączył się. Spojrzał na Niémansa, który wpatrywał się w niego przez poplamione kroplami deszczu okulary.

– Nic tu nie znajdziemy – wychrypiał, kierując się do drzwi. – Jedziemy do hali sportowej. To jej azyl.

Drzwi hali, budynku stojącego w dalszej części kampusu, nie stawiały oporu ani przez sekundę. Dwaj policjanci weszli do środka. Karim z glockiem i latarką w ręce. Niémans zapalił lampkę przymocowaną do łoża swojego karabinu.

Tu też nie było nikogo.

Ominęli rozłożone namioty, przeszli pod równoważniami, spojrzeli uważnie do góry, gdzie w ciemności kołysały się kółka gimnastyczne i sznury z węzłami. W całym pomieszczeniu panowała głucha cisza. W powietrzu unosił się zapach potu i sparciałej gumy. W mroku rysowały się niewyraźnie symetryczne kontury metalowych konstrukcji. Gdy Niémans potknął się o trampolinę, Karim gwałtownie się odwrócił. Atmosfera pełna napięcia. Rozglądali się niepewnie dokoła. Obaj czuli strach. Niémans szepnął:

– To tu. Jestem pewien, że to tutaj.

Karim znowu się rozejrzał, zwrócił uwagę na kaloryfery i instalację centralnego ogrzewania. Ominął sztangi i skórzane piłki, doszedł do stosu materaców ustawionych pod ścianą. Nie starając się już zachowywać ciszy, odrzucił je na bok. Ta barykada zakrywała wejście do lokalnej kotłowni centralnego ogrzewania.

Gdy porucznik stwierdził, że drzwi są zamknięte, wywalił je jednym silnym kopnięciem.

Wewnątrz było ciemno.

Zajrzał do środka i natychmiast się cofnął z trupio bladą twarzą. Po czym obaj weszli jednocześnie.

W nosy uderzył ich metaliczny smród.

Krew.

Krew na ścianach, na żeliwnych rurach. Krew na ziemi, przysypana poczerniałymi kupkami talku. Krew na ścianach kotła grzewczego.

W tej makabrycznej scenerii nawet nie czuli mdłości; zastygli z przerażenia. Weszli głębiej, oświetlając latarkami każdy najmniejszy szczegół. Wokół rur owinięto błyszczące struny fortepianowe. Na ziemi stały kanistry z benzyną, zatkane zakrwawionymi szmatami. Na uchwytach hantli zwisały kawałki suchej, brunatnej skóry. W kałużach lepkiej krwi walały się noże.

W miarę jak posuwali się w głąb tego ciasnego pomieszczenia, snopy światła latarek coraz bardziej podrygiwały, zdradzając ogarniający ich strach. Niémans dojrzał jakieś kolorowe przedmioty pod ławką. Przyklęknął. Turystyczne lodówki. Przyciągnął jedną i otworzył ją. Bez słowa oświetlił jej wnętrze z myślą o Karimie.

Oczy.

Powleczone żelatyną, białawe, ułożone w lodzie, połyskiwały delikatnie, jak kryształ.

Niémans wyciągnął drugą lodówkę, w której, jak się okazało, ułożono skurczone, posiniałe dłonie, z paznokciami poczerniałymi od krwi, z pociętymi nadgarstkami. Komisarz cofnął się. Karim przytrzymał go za ramiona i jęknął.

Obaj wiedzieli, że wtargnęli do mózgu morderczyni. Do jej kryjówki, gdzie wydała wyrok na zabójców nowo narodzonych dzieci.

Karim odezwał się nienaturalnie ostrym głosem:

– Ona uciekła. Pewnie jest już daleko od Guernon.

– Nie – odrzekł Niémans, podnosząc się z kolan. – Potrzebna jej jest jeszcze Sophie Caillois. To ostatnia osoba z jej listy. Sophie Caillois właśnie dotarła do komendy głównej. Jestem pewien, że ona się o tym dowie albo już wie.

– Jak minie zapory na drodze? Natychmiast zostanie zatrzymana…

Karim urwał. Obaj mężczyźni spojrzeli po sobie i szepnęli zgodnie:

– Rzeka.

Wszystko odbyło się w okolicy kampusu. W tym samym miejscu, gdzie zostało znalezione ciało Caillois. Tam, gdzie rzeka zmieniała się w małe jeziorko, z którego potem płynęła ku miastu.

Dwaj policjanci z poślizgiem kół pędzili trawiastym zboczem, które prowadziło prosto do rzeki. Nagle, gdy Karim skręcił wzdłuż skalnej ściany, dostrzegli w świetle reflektorów sylwetkę w czarnym, błyszczącym kombinezonie, z niewielkim plecakiem. Odwróciła się na moment i znieruchomiała. Karim rozpoznał kask i kominiarkę. Kobieta odwiązała czerwoną nadmuchiwaną łódź o podłużnym kształcie i ciągnęła ją do siebie, trzymając za linę, jakby miała do czynienia z rozbrykanym wierzchowcem.

Niémans mruknął:

– Nie strzelaj. I nie zbliżaj się. Sam ją zatrzymam.

Zanim Karim zdążył odpowiedzieć, komisarz wyskoczył z samochodu. Porucznik zatrzymał się i wyłączył silnik. W świetle reflektorów widział komisarza, który biegnąc wielkimi krokami, krzyczał:

– Fanny!

Młoda kobieta stawiała już nogę do łódki. Niémans chwycił ją za kołnierz i jednym ruchem przyciągnął do siebie. Karim nie poruszył się i jak zahipnotyzowany obserwował dwie sylwetki, wykonujące jakąś niezrozumiałą dla niego pantomimę.

Wydawało mu się, że się obejmują. Zobaczył, że kobieta odrzuca głowę do tyłu i przedziwnie się wygina. Zobaczył, że Niémans wyprostowuje się i chwyta za broń. Z jego ust chlusnęła krew i Karim zrozumiał, że kobieta zraniła go śmiertelnie nożem. Usłyszał głuchy odgłos strzałów. To kule MR73 Niémansa trafiły celnie w dziewczynę, ale oboje wciąż trwali w śmiertelnym uścisku.

– Nieee!

Krzyk uwiązł w gardle Karima. Biegł z bronią w ręku w kierunku pary, która chwiała się na nogach nad brzegiem jeziora. Chciał krzyknąć jeszcze raz. Chciał przyspieszyć bieg, zatrzymać czas. Nie zdołał zapobiec temu, co było nieuniknione: Pierre Niémans i kobieta wpadli do szumiącej, szmaragdowej wody.

Kiedy dobiegł do brzegu, ujrzał już tylko dwa ciała unoszone słabym prądem w dal. Splecione ze sobą, przepłynęły szybko obok skał i znikły w rzece, która zmierzała ku miastu.

Porucznik stał jak skamieniały, porażony, wpatrując się w nurt wody, słysząc szum piany rozbijającej się o kamienie gdzieś dalej za jeziorem. Ale nie był to jeszcze koniec koszmaru, bo nagle poczuł ostrze noża przystawionego do karku.

Czyjaś ręka wsunęła się pod jego ramię i wyjęła glocka zawieszonego na pasie z lewej strony.

– Cieszę się, że znowu cię widzę, Karim.

Głos był miły, słodki, urokliwy. Karim powoli się odwrócił. W niewyraźnym świetle dnia rozpoznał natychmiast owalną twarz, smagłą cerę, jasne oczy pełne łez.

Wiedział, że ma przed sobą Judith Hérault, doskonałą kopię kobiety, którą Niémans nazwał „Fanny”. To była ta mała dziewczynka, której tak długo szukał.

Piękna i żywa.

60

– Było nas dwie, Karim. Zawsze byłyśmy dwie.

Porucznik potrzebował trochę czasu, żeby dojść do siebie.

W końcu szepnął:

– Opowiadaj, Judith. Opowiedz wszystko. Jeśli mam umrzeć, chcę poznać całą prawdę.

Młoda kobieta wciąż płakała z rękami zaciśniętymi na kolbie glocka Karima. Miała na sobie czarny, obcisły kombinezon do nurkowania oraz ciemny kask, błyszczący jak polakierowane paznokcie dłoni.

Nagle zaczęła mówić głośniej, z pośpiechem:

– Kiedy mama dowiedziała się w Sarzac, że diabły znowu nas odnalazły, zrozumiała, że nigdy się od nich nie uwolnimy… Że diabły będą nas zawsze ścigać i w końcu mnie zabiją… Wtedy wpadła na genialny pomysł… Pomyślała, że jedyną kryjówką, gdzie nie będą mnie szukać, jest miejsce w cieniu mojej siostry bliźniaczki, Fanny Ferreiry… W samym sercu jej środowiska… Uznała, że moja siostra i ja powinnyśmy żyć tym samym życiem, we dwójkę, i to tak, żeby nikt o tym nie wiedział.

– Czy tamci rodzice byli… wtajemniczeni?

Judith roześmiała się przez łzy.

– Ależ skąd… Fanny i ja miałyśmy okazję poznać się w szkole podstawowej imienia Lamartine’a w Guernon. Nie chciałyśmy się więcej rozdzielać… Tak więc moja siostra zgodziła się natychmiast… Odtąd obie miałyśmy żyć życiem jednej, oczywiście w największej tajemnicy. Najpierw jednak należało uwolnić się na zawsze od zabójców. Trzeba było ich przekonać, że ja nie żyję. Mama zaaranżowała wszystko tak, żeby uwierzyli, że zamierzamy uciec z Sarzac… Wyprowadziła ich w pole, bo wymyśliła podstęp – wypadek samochodowy…

Karim uświadomił sobie, że on także dał się nabrać. Jego własna opinia, iż jest dobrym gliniarzem, okazała się niewarta funta kłaków. Jeśli udało mu się w ciągu kilku godzin wpaść na ślad Fabienne i Judith Hérault, to

tylko dlatego, że szedł z góry wyznaczoną trasą. Trasą, na której zostali wystrychnięci na dudka stary Caillois i Sertys.

Judith, jakby czytając w jego myślach, mówiła dalej:

– Mama oszukała was wszystkich. Wszystkich! Nigdy nie była wariatką… Nigdy nie uwierzyła w diabły… Nie chciała unicestwiać mojej twarzy… Wybrała zakonnicę do odzyskania zdjęć dlatego, żeby łatwiej wpadli na nasz ślad, rozumiesz? Udawała, że zaciera ślady, a w rzeczywistości żłobiła głęboką bruzdę, żeby mordercy doszli nią aż do sceny finałowej… Z tego samego powodu wciągnęła w to Croziera.

Karim od nowa odtworzył w pamięci każdą wskazówkę, każdy szczegół, który pozwolił mu odnaleźć ślad tych kobiet. Dręczony wyrzutami sumienia lekarz, przekupny fotograf, pijaczyna ksiądz, zakonnica, połykacz ognia, stary pracownik autostrady… Wszystkimi tymi osobami Fabienne Hérault posłużyła się jak pionkami. Byli jak tyczki do znaczenia drogi, które miały doprowadzić ojców Caillois i Sertysa aż do sfingowanego wypadku. Doprowadziły również po kilku godzinach Karima do punktu kontrolnego na autostradzie, miejsca ostatecznego przeznaczenia Judith.

Karim próbował buntować się przeciw tej manipulacji.

– Caillois i Sertys nie podążyli waszym śladem. Nikt o nich nie wspominał w czasie mojego dochodzenia.

– Byli bardziej ostrożni niż ty! Ale szli naszym śladem. No i było gorąco, wierz mi… Bo kiedy zorganizowałyśmy wypadek, to Caillois i Sertys wyśledzili nas i zamierzali zabić.

– Wypadek… Jak to zrobiłyście?

– Mama poświęciła ponad miesiąc na przygotowania. Zwłaszcza żeby tak zgrabnie rozbić samochód o mur i wyjść z tego cało…

– Ale… zwłoki? Kto to był?

Judith uśmiechnęła się ironicznie. Karim przypomniał sobie rury ochlapane krwią, kanistry z benzyną, kałuże krwi. Zrozumiał, że Fanny tylko podtrzymywała siostrę w chęci zemsty, ale że prawdziwą morderczynią była ona, Judith. Szalona. Furiatka, której należałoby założyć kaftan bezpieczeństwa, która usiłowała zabić Niémansa na moście.

– Mama czytała wszystkie miejscowe gazety. Interesowały ją różne wydarzenia, wypadki, nekrologi… zbierała informacje w szpitalach, na cmentarzach… Potrzebne jej były zwłoki odpowiadające mojemu wzrostowi i mojemu wiekowi. Na tydzień przed wypadkiem wykopała

z grobu dziecko, pochowane na cmentarzu znajdującym się pięćset kilometrów od nas. Małego chłopca. To było genialne. Mama postanowiła, że do dokumentu stwierdzającego moją śmierć poda imię „Jude”, co miało być ukoronowaniem jej oszustwa. W każdym razie planowała zmiażdżyć ciało tak, żeby nie można było rozpoznać dziecka, nawet jego płci.

Zaśmiała się nienaturalnie, po czym, tłumiąc łkanie, kontynuowała:

– Musisz wiedzieć, Karim… Od piątku do niedzieli przetrzymywałyśmy ciało w domu. Zwłoki tego małego chłopca, który zginął w wypadku, jadąc na motorowerze, były już nieźle zepsute. Umieściłyśmy go w wannie wypełnionej lodem. I czekałyśmy.

– Czy Crozier wam pomagał?

– We wszystkim. Był opętany urodą mamy. Uwierzył, że ta cała makabra dzieje się dla naszego dobra. Czekałyśmy więc dwa dni. W naszym kamiennym domku. Mama grała na fortepianie. Grała i grała… Zawsze tę samą sonatę Chopina. Jakby chciała zapomnieć o tym koszmarze… Ja zaczynałam już wariować z powodu tego ciała, które rozkładało się w wannie. Bolały mnie oczy od soczewek kontaktowych. Dźwięk fortepianu wwiercał się w moją głowę jak żelazo. Mózg mi pękał, Karim… Bałam się, strasznie się bałam…

– A odciski palców? Twoje odciski palców na kartoniku, jak sobie z tym poradziłyście?

Judith, dziewczyna ze śliczną twarzą i bujnymi lokami, znowu uśmiechnęła się przez łzy.

– Nic prostszego. Crozier zdjął moje odciski palców i podłożył na miejsce fiszki zrobionej na autostradzie. Mama nie chciała ryzykować, na wypadek gdyby diabły wróciły, żeby sprawdzić ten szczegół…

Porucznik zacisnął pięści. Nic prostszego, rzeczywiście. Wściekły był na siebie, że na to nie wpadł. Nagle jak błyskawica przemknęło mu przez głowę jedno wspomnienie. Ręka z opatrunkiem, trzymająca jego glocka na deszczu.

– Tamtej nocy to byłaś ty?

– Tak, mój milutki sfinksie – zaśmiała się. – Przyszłam, żeby zabić Sophie Caillois, tę dziwkę, tak szaleńczo zakochaną w swoim mężu, że nie zdobyła się na odwagę, żeby donieść na Rémy’ego i pozostałych… Powinnam była cię zabić… – Łzy trysnęły strumieniem z jej oczu. – Gdybym to zrobiła, Fanny żyłaby nadal… Ale nie mogłam, nie mogłam…

Judith milczała chwilę, mrugając oczyma spod kasku. Potem podjęła znowu swą cichą, pospieszną opowieść:

– Po wypadku pojechałam do Fanny, do Guernon. Poprosiła swoich rodziców, żeby pozwolili jej zamieszkać w internacie przy szkole imienia Lamartine'a… Miałyśmy zaledwie po jedenaście lat… Ja mieszkałam na poddaszu. Już wtedy świetnie sobie radziłam ze wspinaczką… Wchodziłam do siostry po belkach, przez okno… Jak pająk… I nikt nigdy mnie nie zauważył. Mijały lata. Zastępowałyśmy się w różnych sytuacjach, na wykładach, w rodzinie, z koleżankami i kolegami. Dzieliłyśmy się jedzeniem. Prowadziłyśmy dokładnie takie samo życie, tyle tylko że na zmianę. Fanny była intelektualistką, to ona podsuwała mi książki do czytania, ona pomagała mi w nauce, dzięki niej poznałam geologię. Ja uczyłam ją górskiej wspinaczki, pokazywałam góry, rzeki. We dwie razem stanowiłyśmy niezwykłą osobowość… Jak smok o dwóch głowach.

Co pewien czas mama chodziła w góry, żeby się z nami zobaczyć. Przynosiła nam zapasy jedzenia. Nigdy nam nie opowiadała o naszym pochodzeniu ani też nigdy nie mówiłyśmy o dwóch latach spędzonych w Sarzac. Uważała, że takie okłamywanie to najlepszy sposób, żebyśmy były szczęśliwe… Ale ja nigdy nie zapomniałam o przeszłości. Zawsze miałam przy sobie strunę fortepianową. I zawsze słyszałam tę sonatę h-moll. Sonatę małego chłopca w wannie. Czasami ogarniało mnie dzikie szaleństwo… Zaciskałam strunę, która wrzynała się głęboko i raniła mi palce. Pamiętałam wszystko. Nie zapomniałam nigdy o strachu w Sarzac, gdy udawałam chłopca, o niedzielach spędzanych w pobliżu Sète, gdzie nauczyłam się połykać ogień, o ostatniej niedzieli, gdy mama pojechała z tym martwym chłopcem.

Mama nigdy nie chciała mi podać nazwisk tych morderców, tych drani, którzy nas prześladowali i którzy zabili mojego ojca. Budziłam w niej strach, nawet ona się mnie bała… Myślę, że zrozumiała, że któregoś dnia zabiję tych zbrodniarzy… Moja zemsta czekała na najmniejszy sygnał… Żałuję tylko, że ta sprawa z kartami urodzeń wyszła na jaw tak późno, kiedy starzy Caillois i Sertys już nie żyli.

Judith umilkła i ścisnęła mocniej broń. Karim milczał i ta cisza była jak niewypowiedziane pytanie.

– Co chcesz, żebym ci jeszcze powiedziała? Że Caillois przyznał się do wszystkiego i błagał o litość? Że ich proceder trwał od wielu, wielu lat? Że

w dalszym ciągu podmieniali dzieci? Że zamierzali wydać nas za mąż, mnie i Fanny, za któregoś z tych delikacików z zepsutych rodzin profesorskich? Byłyśmy ich pupilkami, Karim… To byli szaleńcy… Chorzy psychicznie bez nadziei na wyleczenie, którzy wierzyli, że działają dla dobra ludzkości, tworząc szczepy genetyczne… Caillois z tym swoim tłumem biegaczy uważał się za Boga… Sertys hodował w swoim magazynie tysiące szczurów… Reprezentowały ludność Guernon… Każdy zwierzak nosił nazwisko jakiejś rodziny. I co ty na to? Wyobrażasz sobie, do jakiego stopnia ci łajdacy byli szaleni? A Chernecé był dodatkiem do kompletu… Opowiadał, że źrenice ludzi wyższej rasy świecą szczególnym blaskiem i że on, jako stróż świata, poniesie przed ludzkością pochodnię z tęczówek…

Judith oparła się kolanem o kamień i, trzymając cały czas glocka wycelowanego w Karima, mówiła dalej zniżonym głosem:

– Razem z Fanny napędziłyśmy im niezłego stracha… Najpierw załatwiłyśmy tego cwaniaczka Caillois. Nasza zemsta musiała pasować do ich zbrodni… Fanny wpadła na pomysł okaleczeń… Uważała, że trzeba unicestwić ich tożsamość tak samo dogłębnie, jak oni unicestwili tożsamość dzieci z Guernon… Że trzeba pozbawić zwłoki cielesności, żeby zostało po nich tylko ich odbicie… Ja wybrałam miejsca, gdzie była woda, lód, szkło. I ja wykonałam czarną robotę… Żelazną sztabą, ogniem, nożem zmusiłam pierwszego łajdaka do mówienia… Kiedy już umieściłyśmy jego ciało w skale, pojechałyśmy zrobić porządek w magazynie Sertysa… Potem wydrapałyśmy napis w mieszkaniu bibliotekarza… Wiadomość podpisałyśmy moim imieniem – Judith – żeby ci mordercy zaczęli trząść portkami i żeby zrozumieli, że powraca duch zmarłej… Fanny i ja przewidywałyśmy, że pozostali dwaj powrócą do Sarzac, żeby sprawdzić, czy naprawdę, tak jak uważali od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku, umarłam i zostałam pochowana w tej śmierdzącej dziurze… Pojechałyśmy tam więc i opróżniłyśmy moją trumnę… Usunęłyśmy ciało chłopca i napełniłyśmy ją kosteczkami szczurów, które znalazłyśmy w magazynie. Sertys, pomylony drań, opatrzył każdy szkielecik etykietką z nazwiskiem… Wyobrażam sobie ich miny, gdy otworzyli trumnę! – Wybuchnęła śmiechem, ale za chwilę znowu spoważniała. – Widzisz, Karim… oni musieli zrozumieć, że nadszedł czas zemsty, że niedługo też zdechną… Że zapłacą za całe zło, jakie wyrządzili naszemu miastu, naszej rodzinie, nam, dwóm małym siostrzyczkom, no i mnie, mnie, mnie…

Umilkła. Dzień wstawał w perłowym blasku.

– I co teraz? Co zamierzasz robić? – zapytał cicho Karim.

– Wrócę do mamy.

Porucznik pomyślał o tej dorodnej kobiecie, żyjącej pośród jaskrawych zasłon i mebli okrytych pokrowcami. Pomyślał o samotnym Crozierze, który zapewne dotarł do niej nad ranem. Wcześniej czy później zostaną oboje zatrzymani.

– Muszę cię aresztować, Judith.

Dziewczyna roześmiała się.

– Mnie aresztować? Przecież to ja trzymam twój rewolwer, mój sfinksie! Jeśli zrobisz jakiś ruch, zabiję cię.

Karim, usiłując się uśmiechnąć, zrobił krok do przodu.

Kiedy dziewczyna nacisnęła spust, Karim zdążył już wyciągnąć berettę, którą zawsze nosił na plecach. Ta beretta pozwoliła mu pokonać skinów, była jego ostatnią szansą.

W ciszy zagrzmiały dwa strzały. Ich pociski się skrzyżowały. Karim nie został trafiony, ale Judith zachwiała się lekko. Kołysała się przez kilka sekund, jakby w rytmie jakiegoś tańca, a na jej piersi ukazały się czerwone plamy.

Wypuściła z rąk pistolet, zrobiła kilka kroków i runęła w przepaść. Karimowi wydało się, że dostrzegł na jej twarzy uśmiech.

Krzyknął i podbiegł do skały, żeby zobaczyć ciało Judith, małej dziewczynki, którą – teraz to wiedział na pewno – przez minione dwadzieścia cztery godziny kochał ponad wszystko na świecie.

Dostrzegł zakrwawioną sylwetkę spadającą w dół do rzeki. Widział, jak jej ciało oddala się, żeby dołączyć do zwłok Fanny Ferreiry i Pierre’a Niémansa.

W oddali, ponad szczytami gór, wstawało rozpalone do białości słońce.

Karim jednak nie zwracał na to uwagi.

Czuł, że nie ma takiego słońca, które zdołałoby rozświetlić ciemności ogarniające jego serce.